This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

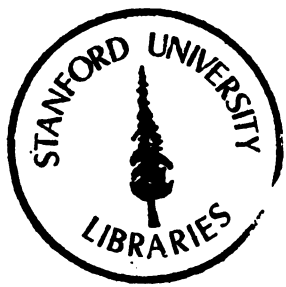
STANFORD UNIVERSITY
LIBRARIES

MOJA DRUGA MŁODOŚĆ

z niewydanych pamiętników

SZYMONA KONOPACKIEGO

b. Prezesa Izby Cywilnej Wołyńskiej i Marszałka powiatu Zasławskiego

(1816–1826).

Tom I.

WARSZAWA
DRUKARNIA
A. T. Jezierskiego
47. Nowy-Świat 47.

PG7158
K575Z5

Дозволено Цензурою.
Варшава, 18 Октября 1899 года.

Lietuvos TSR
VALSTYBINĖ
BIBLIOTEKA
U 26195

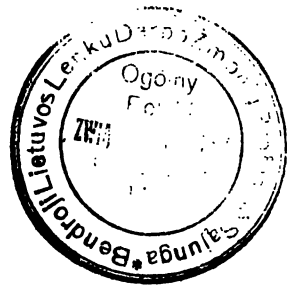

Dla ścisłych moich stosunków z Brunonem hr. Kicińskim, jako już bezczynny, częściej bywałem u jego krewnych, to jest u poważnej wiekiem panny Cieciszewskiej, jego ciotki, gdzie była, jak wyżej wspomniałem, jej siostrzenica, panna Konstancya Łuszczewska. Kazimierz zauważył, iż staranniej ubieram się na te wizyty i ztąd zaczął żartować, przepowiadając, iż nowe będą piosneczki. Naprożno upewniałem go, żem tylko raz w życiu kochał i że na podobne uczucie nigdy się już nie zdobędę; i aby wyprowadzić go z błędu, usilnie namawialem, aby zechciał poznać się z tym domem, a może miła, młodziutka Kostusia potrafi go ująć.

— Nie namówisz mnie na to i znać jej nie pragnę. Ona nie dla mnie. Mówiłeś mi, że lubo córka ministra, przecież nie więcej mieć będzie posagu, jak sto tysięcy złotych. Choćby ona była aniołem i z piękności i z dobroci, czy mógłbym z nią być szczęśliwym, kiedy zawsze tkwiłoby w myśli to podejrzenie, że ona oddała mi rękę nie dla osoby mojej, ale dla funduszów posiadanych przezemnie, które o kilka razy są większe niż jej posag; a kochać się bez celu nie mogę.

Uśmiałem się z jego dziwacznych zasad i po kilku powtórzonych wizytach, po raz ostatni przed wyjazdem będąc u panny Cieciszewskiej z pożegnaniem, przyjąłem jej list do jej stryja, biskupa łuckiego,

księdza Cieciszewskiego, któremu osobiście oddać go, jadąc przez Łuck, przyrzekłem.

Nastręczono mi lokaja z dobremi świadectwami; nająłem furmana Żyda z czterema jego końmi; Kazimierz Budzyński do swojego kocza zabrał Ignacego Izbickiego, a ja za nimi koczem p. Morzkowskiego wyruszyłem z Warszawy w piękny dzień maja śród ciągłej pogody. W Puławach miałem wypadek. Furman, zbyt pewny siebie, nieostrożnie spuszczał konie na prom w czasie przebywania Wisły i złamał dyszel u kocza. Za to, nim nowy przyprawiono dyszel, za który z okuciem dałem złotych szesnaście, mieliśmy przyjemność zwiedzić piękny ogród przy pałacu księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich. Byliśmy w świątyni Sybilli, gdzie nam pokazywano zabytki drogie, tak dla archeologów jakiej bądź narodowości, jako też osobno nieocenione pamiątki krajowe, drogie dla każdego z Polaków. Tam są dochowane z dalekich rozmaitych budowli cegiełki, mówiące o starożytności zamierzchłej. W tem mnóstwie zabytków z epok historycznych trudno mi było wszystkie szczegóły objąć pamięcią, aby je dziś dokładnie opisać. Poemat Woronicza pod tytułem *Sybilla* wspomina o nich.

W Lublinie westchnąłem cichutko nad poniesioną tu stratą drogiego pieska, danego mi na wiernego stróża przez tę, która nie wytrwała po kilkunastu miesiącach w swej przyrzeczonej dla mnie wierze.

Na ówczesnej granicy przed Uściługiem wstrzymano nas. Naczelnik straży granicznej poznał mnie i zrobił uwagę, że w roku 1815 w grudniu jechałem do Warszawy saniami, a dziś wracam nowo kupionym koczem. Miałem gotowe na ten zarzut dwie buteleczki perfum i pachnące mydełka. Oddając je, rzekłem:

— Proszę pana przyjąć to na pamiątkę, że w tym roku w maju nie ma sannej drogi.

Przybywamy do Łucka, tej starej niegdyś,

księztwa wołyńskiego, która stolicy przetrwała liczne klęski w ciągu wieków, najwięcej z częstych pożarów wynikłe; dziś ruinę widocznie poświadczają gruzy upadłych kościołów i klasztorów już na zawsze zniklych, z czego u mieszkańców urosło przysłowie: *„A w naszym Łucku, wse ne po ludzku: na dokoło woda, w seredyni bida!“* Sterczą tam jeszcze potężne bramy murowane i wieże zębate u wierzchu, ślady przedwiecznej fortyfikacyi tego grodu. Styr przypomniał mi głośne tam niegdyś dziwactwo Stefana księcia Czetwèrtyńskiego, który gdy został Dominikanem i tam wkrótce życia w klasztorze dokonał. Z pozostałą po nim wdową, Reginą z Kaszowskich Czetwertyńską, prapradziad mój, Jan Konopacki, 1688 roku ożenił się, o czem w familijnych podaniach szczegółowo napisałem. Tu niegdyś za czasów Kazimierza Wielkiego, udzielnym był księciem Lubart, syn Gedymina, przodek trwającej dotąd rodziny książąt Sanguszków.

Skorośmy się rozlokowali w zajezdnem domostwie żydowskiem, Kazimierz zaczął badać gospodarza, jak z Łucka daleko do wsi Mstyszyna, gdzie mieszkają państwo Pielawscy, i skłaniał nas, abyśmy z nim jechali do nich. On z panią Pielawską i jej córką zabrał znajomość u jej krewnych, Dąbrowskich, w Januszpolu. Chętnie zgodziłem się towarzyszyć mu do Mstyszyna, ale z warunkiem, aby poczekał na mnie, bo wprzód mam tu być u biskupa Cieciszewskiego, aby mu oddać list od jego synowicy z Warszawy, potem być na chwilę u marszałka Stanisława Lipskiego w Hnidawie, która ztąd tak jest blizko, że tę wieś uważają za przedmieście Łucka. Jakoż udałem się naprzód do sędziwego, patryarchalnej postawy biskupa, który znając mego ojca, łaskawie mnie przyjął, a gdy mu list z Warszawy oddałem, badał mnie o krewnych swoich Łuszczewskich i Brunona hr. Kicińskiego. Następnie dojechałem do Hnidawy, gdzie mnie serdecznie powitał Lip-

ski i chciał mnie zatrzymać, lecz krótko tam bawić mogłem, bo mnie oczekiwał kawaler spieszący do panny na wydaniu. Przy pożegnaniu, Lipski oddał mi moje dziesięć dukatów, które pożyczyłem mu, gdy wyjeżdżał z Warszawy. Zacny to był człowiek i powszechnego też doznawał szacunku, a jak cały powiat łucki kochał tego marszałka, została na to pamiątka w krzyżu św. Włodzimierza, który on otrzymał będąc chorążym, gdy w roku 1812 zastępował marszałka. Ten order IV klasy dało mu zdarzenie następne: Generał książę Bahration idąc ze swoim korpusem na wojnę z Napoleonem I, gdy stanął ze sztabem swoim w Łucku, kazał przywołać do siebie zastępcę powiatowego marszałka, pana chorążego Lipskiego. Groźnie a treściwie powitał go temi wyrazy:

— Jeśli za trzy dni obywatele nie dostawią do Łucka drew cztery tysiące fur, to wśród tego miasta każę cię powiesić.

Lipski rozesłał natychmiast po powiecie wiadomość o tem postanowieniu. Lasy wprawdzie niedaleko, ale 4,000 fur nie łatwo zebrać. Przecież w oznaczonym terminie drwa w żądanej ilości zwieziono do Łucka i w miejsce szubienicy, Lipski, jako pamiątkę przychylnych mu powietników, krzyż św. Włodzimierza otrzymał.

Wieczorem przybywamy do Mstyszyna. Zastajemy dom oświetlony, a w nim jedynego gościa, generała Ururga. Był to konkurent, jak się później okazało, do ręki panny Pielawskiej. Ojciec jej, wiekiem lat około 90 nachylony, nie dał się nam widzieć. Kazimierz, znany gospodyni, prezentował jej obu nas z nim przybyłych. Uderzyło mnie niestosowne do wieku pretensyonalne jej ubranie głowy, upstrzonej sztucznym czerwonym kwiatem i świetnej barwy kokardami wstążek. Pstro w tej głowie—pomyślałem sobie.—Jakoż dowiedziałem się, że na domiar niestosowności do marszczek na twa-

rzy, ta dama, udając młodziutką, śród licznych towarzystw staje do skocznych anglezów. Panna Pielawska, dość przystojna, przyzwoicie wychowana, jak to zwykle mówią, bo umie odezwać się po francuzku i gra na fortepianie, była jedyną pociechą domu, starsza bowiem jej siostra wydana już była za mąż, a jaki los ją spotkał, głosi o tem bardzo zajmująca i porządnie napisana powieść przez drogiego przyjaciela mego, Jana Załęskiego, nadesłana z Kaukazu, gdzie on pokutował, a umieszczona w „Gwiaździe“ kijowskiej roku 1849, pod tytułem „Arystokracja z warjacjami.“ Gdyśmy w Mstyszynie nocowali, zapytałem na boku Kazimierza:

— Jakże ci się zdaje? czy panna Pielawska kiedykolwiek ściągnie cię tu jeszcze?

— Bogu to wiadomo. Potrzebuję wprzód pewnych o tym domie wiadomości.

Rozjechaliśmy się z kochanym Kazimierzem Budzyńskim nie pomnę już w jakim punkcie, o trzy lub cztery mile od naszych domów, on z Ignacym Izbickim do swojej Wygnanki pod Lubar, a ja do Szulajek pod Cudnów, do kochanych rodziców. Jakie było powitanie, gdym stanął na progu domowym, łatwo się domyśli, kto doznał szczęścia w stosunkach rodzinnych.

Ojciec rad był, żem nie marnował czasu na zbijanie bruków warszawskich, jak o niektórych z sąsiedztwa mawiano i rad był z mego powrotu, bo w myśli sięgał przyszłości, w której bym na prowincyi stał się użytecznym dla swoich. Matkę zaś widocznie cieszyło, że błyszczałem nieznanym w okolicy znakiem, jakkolwiek błahej zasługi. Siostry nacieszyć się mną nie mogły. Opowiadały jak zręcznie mistyfikował je przyjaciel mój Józef Bobrowski, przybywszy tam dwoma miesiącami wprzódy. Utrzymywał przed niemi uporczywie, zaklinając się na wszystko, co mu jest najdroszego, że biedny Szymon zostanie już do śmierci kawalerem, i nieprędko, aż za

wejściem do pokoju matki mojej, objawił, że król dał mi order ś. Stanisława. Z tem wszystkiem, sam na sam będąc ze mną, litowały się nad udręczonem sercem mojem wiadomością o zaręczynach Józefy Bierzyńskiej z Turkułem. Starsza żałowała, żem tak długo łudził się daremną nadzieją; a młodsze, gdym wspomniał przysłowie: *Les absentes ont toujours fort*, usprawiedliwiała Józię, bo wówczas powiedziała mi: *Vous me trouverez libre*, gdy na jej zapytanie, jak prędko wrócę z Warszawy, rzekłem jej te słowa: *dans six mois ou jamais*. Ona więcej niż rok cały oczekiwała ciebie i nakoniec, nie z własnej zapewne woli, bo, jak ci z ust jej wiadomo, wcale nie sprzyjała Turkułowi, lecz za czynnym wpływem otaczających ją ciotek i niezłomnem postanowieniem wuja, jej opiekuna, musiała biedaczka zdecydować się. O! nie będzie ona szczęśliwą, bo ciebie jedynie tylko kochała i do śmierci kochać będzie. Jakże jej nie żałować?

Z całą usilnością otrząsałem się z tych wspomnień, aby nakoniec oswoić się z położeniem obecnem, z woli Boga wynikłem.

Do odesłania kocza o mil kilkanaście w gubernię Kijowską do Koiłówki panu Morzkowskiemu, którego córka wyszła później za p. Teodora Bobra, a o którym będę miał niemało do napisania, ojciec mój użył jednego z czynszowej szlachty, i po dniach kilku odebrałem grzeczny list od pana Morzkowskiego z podziękowaniem za dostawienie powozu.

Z pomiędzy kilku sztuk moich malowideł olejnych ojciec wybrał do swego pokoju św. Katarzynę z książką w ręku, z oczami ku niebu, którą pod okiem Villaniego kopiowałem z cudnego oryginału Dominikina.

Zabawiwszy z parę tygodni u rodziców, puściłem się w podróż do familijnych domów: do Wyszczynus, Michałówki, Wygnanki, Przewałówki i Ożarówki, gdzie jeszcze żyła stryjenka mojej matki, sę-

dziwa a pobożna pani skarbnikowa Garbowska, któ rej lat dziewięćdziesiąt siedem liczono.

Gdy od krewnych wróciłem do domu, ojciec mój miał jakąś potrzebę sprawunków. Dawszy mi na to pieniądze, wyprawił mnie o pięć mil do Berdyczowa, gdzie wówczas ciągnął się trzy lub cztery tygodnie jarmark onufrejski.

W Berdyczowie, porobiwszy sprawunki polecone mi przez ojca, dowiedziałem się, że tu jest z Niemierzyniec dobrze mi znajoma marszałkowa Abramowiczowa. Mąż jej Józef, urodzony z Budzynskiej, był ciotecznym bratem blizkich mi z mojej matki krewnych. Niegdyś bywałem w ich domu.

Ubrawszy się, jak na wizytę, ani przeczuwam, co mnie tam czeka. Uprzejmie byłem przyjęty przez panią marszałkowę. Zastałem przy niej troje jej dzieci: córkę, pannę Cecylię, którą wówczas uważałem za niemylnie narzeczoną mego przyjaciela, Jakóba Cichońskiego, i dwóch młodszych od niej synów: Tytusa i Apolinarego. Z radością powitałem tam Pijara, czcigodnego niegdyś mego profesora, księdza Seweryna Kulikowskiego, który przy tych malcach domowym był czas jakiś guwernerem. Zastałem obcych kilku mężczyzn dobrze mi znanych, pomiędzy którymi powitał mnie poeta ukraiński, Kajetan Marcinkowski, znany z wierszów swoich „o rzekach polskich." Zawsze wesoły, zawsze dużo mówiący, pożądanym był niekiedy gościém, chroniącym od uśpienia etykietalnego pomiędzy damami towarzystwa. Gdy w najlepsze rozmaitą zabawiamy się gawędką, wchodzi lokaj z oznajmieniem wizyty... pani podkomorzyny Zaleskiej z pannami. Wnet, unikając niemiłego dziś dla panny Bierzyńskiej spotkania się ze mną, chwytam mój kapelusz i chcę żegnać gospodynię. Ta z rąk mi go wyrywa:

— Nie puszczę pana! — zawołała — chcę koniecznie widzieć, jak też spojrzycie sobie w oczy po jej zaręczynach.

Wśród targów o mój kapelusz wchodzą zapowiedziani goście. Smutnaż tam była moja postawa! Po przywitaniach z gospodynią, gdy wśród innych mężczyzn i ja powitałem te panie uchyleniem głowy, podkomorzyna, jak zwykle rubaszna, a niegdyś dla mnie łaskawa, dostrzegłszy mój ukłon, zawołała:

— A gdzie to pan zadziałeś się nam na tak długo?

— Sądzę, że pani wiadomo, iż przebywałem w Warszawie.

— Tak, bo przed odjazdem, ale na długo, pan byłeś u nas. Nawet w roku przeszłym na wiosnę odebrałyśmy z poczty grzeczny list jego z książką. Ależ potem na dwa listy nasze nie raczyłeś pan ani słówka odpisać. Czy to grzecznie!

Zdziwiony rzekłem:

— Świadczę się Bogiem, żem żadnego tam listu z Wołczyńca nie odebrał.

— Józiu! — staruszka ozwała się do wnuczki— powiedz szczerze prawdę, jak było?

Zarumieniona, ze spuszczeniem oczu, cicho wymówiła:

— Pisałyśmy dwa listy.

Natychmiast uderzył mnie domysł o niezawodnej intrydze jej wuja i opiekuna, który niechęcią tchnął ku mnie, o czem wiedziałem od jej brata, Świętosława. Pewnie opiekun, dowiedziawszy się o moim liście przy posyłce książki, zapobiegł dalszej korespondencyi, a mieszkając w Pilipach, o mil kilka od matki, mógł dać komuś tajne polecenie, aby odtąd listy z Wołczyńca adresowane do Warszawy i te, jakieby przychodziły odemnie na pocztę machnowiecką, odsyłane były do niego. Mamże ten mój domysł objawić przed nią? Czy to zmieni moje względem zaręczonej położenie? Niech się spełnia wola Boga, niech Bóg losami naszemi rozsądza!

Wkrótce oznajmiono wieczerzę. Wszyscy dali się na nią zaprosić. Było nas osób około dwudzie-

stu. Gdyśmy przeszli do jadalni, Marcinkowski jowialny, jak zawsze, ozwał się do gospodyni:

— Pozwól, pàni, abym każdemu z mężczyzn naznaczył miejsce u stołu.

— Bardzo o to proszę — rzekła mu z lekkim uśmiechem, co pewnie wynikło z umowy pomiędzy niemi.

Nie uważałem, gdzie kogo Marcinkowski posadził; ale skoro dostrzegł próżne krzesło przy pannie Bierzyńskiej, wnet pośpieszył ku mnie i wskazał mi miejsce przy niej. To wystawienie nas było wyraźnie jakby dla uciechy widzów, którym były wiadome moje kilkoletnie a serdeczne z Wołczyńcem stosunki. Wcalem o to nie dbał. Zrazu, milczący, utkwionem spojrzeniem śledziłem każdy ruch jej oddechu. Oczy jej ciągle były spuszczone i ani razu nie zeszły się z mojemi. Nie wiem jak długo trwałoby moje zadumanie nad tym zaprzedanym aniołem, gdyby ktoś z biesiadników nie podjął kwestyi znanej mi w Warszawie młodzieży z Ukrainy, która przy mnie weszła do polskiej służby wojskowej. Spostrzegłem wówczas, jak w milczeniu, oczy wszystkich były na nas oboje zwrócone. Odpowiedziałem na zapytanie i oprzytomniony, zacząłem, niby swobodny i niczem niezajęty, opowiadać szczegóły o licznej szkole podchorążych, o ich oficerach wyższej i niższej rangi, o głównym dowódcy armii, o vice-królu i o całym owoczesnym rządzie Kongresowego Królestwa. Słowem, przez pozór mojej swobody, staralem się zatrzeć smutne wrażenie grochowego na mej głowie wianka, czyli, jak mówi Francuz, chciałem *faire bonne mine à mauvais jeu.*

Gdym zauważył, że już nacieszono się nami, bo zaczęto głośno pomiędzy sobą gwarzyć, chętka mnie wzięła przemówić do niej i przyszło mi na myśl moje pożegnanie jej w Wołoczyńcu. Przemówiłem cichutku:

— Przypomina sobie pani, czyliż nie mówiłem, że nie zastanę pani już swobodną?

— Tak! pamiętam. A na zapytanie, kiedy pan wrócisz, była odpowiedź: za sześć miesięcy lub nigdy; i wówczas to powiedziałam, że pan zastaniesz mnie swobodną.

Tu rozmowa przerwaną została, bo w tejże chwili powstano od stołu. Opuszczając krzesło, zwróciła się twarzą ku mojej stronie, jakby na to, abym w jej rysach wyczytał, nie wiem, czy gniew tak niewłaściwy jej anielskiej dobroci, czy zasłużoną pogardę. Widziałem tylko silne jej wzruszenie, a oczy zawsze spuszczone, jakby już nie miała ich dla mnie.

Gdym wrócił na swoją kwaterę, mocno nierad sobie i udręczony, zdało się, żem już nad grobem. Przez noc całą, z powodu dreszczy i gorączki, oka nie zmrużyłem. Amen! wołałem, amen szczęściu lat młodych! O! gdybyż ona przynajmniej z tym dla niej niegdyś „nieznośnym“ mogła być szczęśliwą! Ach! i tego życzenia objawić jej nie miałem przytomności. Roił się po głowie śmiertelny pojedynek na zasadzie dawniejszych praw moich do jej serca. Jeśli on mnie zabije, lżej mi będzie niż teraz. Ona zabójcą pogardzi; a ja przed Bogiem stanę czysty, bom ważył życie w obronie uczuć natchnionych przez Boga! A jeśli on z ręki mojej ma zginąć?... Zkąd pewność, że ona będzie moją?... A gdybym nawet był kochany?... Gdzież ją zaprowadzę?...

Dręczące myśli w szalony zamęt mnie wiodły. Samotność!? Uchowaj mnie Boże! Za cóż mam karać dobrych rodziców, tak mnie kochających i tak kochanych? Wiara nasza grozi męką pośmiertną. O! bywa ona i za życia. Ta noc stała mi się piekłem, tem silniej dojmującem, żem przeczuwał wierność jej dla mnie, bo gdyby była obojętną, czyliżbym widział to dziś tak silne wzruszenie? Tu w miotanych przekleństwach na świat cały i na siebie wzy-

wałem pomsty Boga za krzywdę nam obojgu zrządzoną; i zalałem się łzami dziecka, które ze skargą stawi się przed ojcem. Serdeczne a głośne łkania ocknęły ze snu w drugim pokoju mego warszawiaka.

Poczciwy Mazur, niedawny u mnie służący, zapala świecę i wchodzi, a widząc mnie siedzącego w łóżku z niepowstrzymanym płaczem, a z głową rękami objętą, pyta mnie:

— Co to panu? Czy tak boli głowa? Może herbaty trzeba?

— Nic nie trzeba! Idź sobie!

— A tu, proszę pana, zajechał przez sień i stanął jakiś jegomość, kiedy pan się był położył. Widząc mnie w sieni, zapytał o nazwisko pana. Skoro powiedziałem, bardzo się uradował i chciał tu wejść, alem ja nie puścił; powiedziałem, że pan już śpi, a on na to: No, to do jutra.

— Obudź jego furmana i spytaj, jak się ten jegomość nazywa.

Po chwili Mazur wrócił:

— Już dnieć zaczyna; już koniom obrok dają; a ten furman mówi, że jego pan, to Józef, zdaje się, Bobrowski.

— O! Boże wielki! Jakżeś ty dobry! Weź ztąd świecę, może jeszcze zasnę.

I jak dziecię, pieszczotą matki utulone w płaczu, na jej ręku spokojnie zasypia, tak i ja, tą pewnością, że pod tymże dachem jest mój przyjaciel z lat pacholęcych, ukojony w ubolewaniach nad sobą, cichym snem pokrzepiłem znękane siły. Już było około dziewiątej, gdym się obudził, a zaledwie ubrany, wpadam przez sień do Józefa, zastaje go na wpół ubranego. Rzucamy się w objęcia:

— Ach! kochany Szymonie! Blizko dwa lata nie widziałem się z tobą. Ależ co ci jest? Czyś ty nie chory? Widzę cię mocno zmienionym!

— Nie dziw się, rzecz dziwna, że jeszcze żyję!

Wyjęczałem przed nim wczorajsze nieszczęsne spotkanie z panną Bierzyńską.

— At! pluń na to! Czy ona warta poczciwego serca twego, skoro bogactwo wyżej nad ciebie ocenia!

— Mój kochany Józefie! Nie potępiaj tej biednej sieroty! Ona jest godną i moich uczuć i litości twojej!

— Powiedz mi tylko, że ona cię zawsze kocha, a wyzwiemy Turkuła i zabijemy go!

Zaśmiałem się na tę pewność, że Turkuł ma być zabity.—Tak!—rzekłem—zabijemy, lub on mnie zabije. Wiadoma ci moja niegdyś w Żytomierzu sprawa honorowa. Karol Pruszyński publicznie uznał się winnym i dlatego tylko złożyliśmy broń zabójczą. Ztąd wierzysz zapewne, że śmierć wcale mnie nie zastrasza.

Opowiedziałem mu krótką rozmowę wczorajszą z panną, dodając w końcu:—W takiem dziś położeniu jestem, że gdybym wydarł ją Turkułowi, i cóż? oto nie miałbym gdzie wprowadzić tego anioła, a hardy wuj i opiekun jej posagu, podejrzywałby mnie, że nie mając kąta, czyham tylko na jej majątek.

— Poczekaj! z zimną krwią rozbierzmy tę sprawę. Jej wuja, pana marszałka, znam dobrze. Gdyśmy jeszcze byli w szkołach, mój ojczym, zagarnąwszy nasz sierocy kapitał, na swoje imię za kontraktem dzierżawnym trzymał lat kilka wieś jego Pilipy. Pan marszałek jest to poprostu tuz żołądny, siedzący na worach z pieniędzmi. O szlachetność tam ani pytaj! Czyliż on cię pojmuje, kochany Szymonie? Ale czy nie masz w domu jej babki kogobądź z życzliwych dla ciebie?

— Miałem brata panny, Świętosława, który pierwszy dał mi poznać sprzyjanie dla mnie swej siostry i niechęć ku mnie jej wuja. Na biedę moją, Świętosław zamieszkał w Petersburgu, gdzie ma miejsce w ministerstwie spraw zagranicznych.

1016

Moja druga młodość.

Lietuvos Lenkų Darbo Žmonių Profesinė Sąjunga

— A więc pozostaje nam coś wnioskować z jej wyrazów, wczoraj wyrzeczonych. Zdaje się w nich przebijać wyrzut, żeś po sześciu miesiącach nie przybył i że ty wwiodłeś ją własnemi słowami w to mylne mniemanie, iż nigdy już nie wrócisz. Może ja się mylę, ale rozważając jej wyrazy i to silne wzruszenie, które w niej dostrzegłeś, zdaje się, że najmocniej kochająca, a tak skromna panna, nie mogłaby więcej powiedzieć na okazanie żalu i niezachwianych uczuć. Obojętna, a z pierścieniem zaręczynowym na ręku, byłaby wesołą w odpowiedzi na wczorajsze twoje przemówienie i pewnie podobnych nie czyniłaby ci wyrzutów. Bądź przeto cierpliwy! Ona, jeśli, jak mnie się widzi, jeszcze tobie jest wzajemną, może mu zwrócić jego pierścień, i wówczas on może cię wyzwać, a ty, mając pewność jej wierności, będziesz miał przynajmniej o co bić się, familia zaś nie zdoła jej zmusić do niemiłego dla niej związku z Turkułem. Gdy się tak wyjaśnią wasze osobiste stosunki, czyliżbyśmy, u licha, nie zaradzili dzisiejszej trudności co do twego położenia? Wiem, że twój czcigodny ojciec ma coś na procencie, a nakoniec ręczę, że poczciwy Kazimierz, który tak śpieszył do Warszawy, aby cię widzieć, chętnie ci dopomoże. Weźmiesz jakąbądź dzierżawę i hardemu marszałkowi kłaniać się nie będziesz.

Kochany Józef tak łudzącem przypuszczeniem wierności kobiecej ukołysał moje cierpienia. Dzień cały poświęciłem jego towarzystwu w Berdyczowie. Tam on opowiedział mi dziwne sceny przy wyjściu swej pięknej siostry Joanny za Jacentego Czosnowskiego, jak dla niej szalał z miłości ich siwy ojczym i jak nakoniec zmuszeni byli rozpocząć z nim proces o zagarnięte ich sieroce fundusze.

Podczas samotnego powroctu do domu, wątpliwość znów się wkradała, i ztąd przybyłem do rodziców z twarzą zasępioną i zbolałą. Troskliwość matki zbywałem żartami i przybraną wesołością; siostry tyl-

ko wtajemniczone były w mój smutek. Ojcu zdało się, żem tęsknił za miastem. Raz w ciągu lata przed żniwami rzekł do mnie:

— Pojedziemy rozerwać się trochę do Walejówki. Dawno nie byłem u chorążego Ochockiego, a pan Duklan nawiedza nas niekiedy i bardzo dopytywał się o ciebie.

Po lekkiem śniadaniu, ulubionym mego ojca koczykiem bombą, puszczamy się na tę wizytę. Zaledwie wyjechaliśmy za wieś, ojciec ozwał się:

— Zmówmy, synu, godzinki.

Strach mnie przejął; dawno bowiem pożegnałem się z godzinkami, nie dlatego, abym przestał wierzyć w protekcyę N. M. Panny, lecz, że niegdyś, przywykły z lat dziecinnych odmawiać je w towarzystwie rodziców, zaniedbałem je, poprzestając na zwykłym pacierzu i modlitwie szkolnej, jaką i dziś jeszcze odmawiam. Przeżegnawszy się, gdy ojciec przemówił: „Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę świętą!“ trafnie wiersz drugi przywiodłem. Lecz następnie, gdy zącząłem błąkać się, a ojciec poprawiał i ciągle naprowadzał, zniecierpliwiony nakoniec, tak mnie łaskawie nauczał:

— Źle, synu! Świat cię zepsuł, zapomniałeś godzinek! Pamiętaj na to, że jak ty z Bogiem, tak będzie Bóg z tobą! Już ja sam zmówię godzinki.

W Walejówce najmilej mi było powitać gospodynię domu, panią Ochocką, jako siostrę pułkownika Euzebiusza Siemianowskiego, który przez przyjaźń dla mojego ojca szukał znajomości ze mną w Warszawie i okazywał dla mnie życzliwość. Chlubiłem się przed nią temi z jej bratem stosunkami, a ona, jako dobra przyjaciółka mojej matki, rada była temu. Zastaliśmy tam pana podkomorzego Kajetana Jukowskiego. Człowieczek to był bardzo nizkiego wzrostu, ale zwykłą wesołością swoją, umiał zajmować wszelkie towarzystwo. Mieszkał w Bratałowie pod Lubarem, w jednym domu z bratem swoim starszym,

panem sędzią Adamem, i obaj, nie mając własnego funduszu, byli ożenieni z dwiema rodzonemi siostrami, które po swoich rodzicach Suszczewiczach odziedziczyły tę majętność. Dom ich był bardzo poważany. Bezdzietni oba, niepospolitym byli wzorem jedności i zgody braterskiej. Ich żony trudniły się koleją tygodniami zawiadywaniem domem i wydziałem płci swojej, a podobnież kolejne trudy około gospodarstwa, na dłuższe tylko terminy, mężów zajmowa-

. Ale podkomorzy, który umiał żyć w cichej zgo-
:ie z bratem, nie zawsze pomniał na prawidła pożycia z ludźmi i w napadach krotochwili zbaczał przeciw nim niekiedy. Bo też potrzeba nielada rozwagi, aby zamilczeć koncept czasem dotkliwy, jaki się w myśli nawinie. Zwykła to jest wada plujących co chwila dowcipem.

Po obiedzie, w osobnym dla mężczyzn pokoju, przy czarnej kawie, podano nam fajki. Gospodarz, wiekiem zbliżony do lat mego ojca, zaczął przywodzić wypadki ostatnich lat rzeczypospolitej, a mianowicie, jak wówczas magnaci wołyńscy zbywali tanio dobra swoje szlachcie i jak ci umieli z czasu korzystać. Tu podkomorzy przerywa, zwracając się do mego ojca:

— Naprawdę rzekłszy, ty, panie starosto, prześlepiłeś pomyślne 1791 roku kontrakty dubieńskie.

— Mylisz się, panie podkomorzy, bo wówczas nabyłem bardzo tanio wieś Ożarówkę od Żurowskiego i dnia tegoż, bez najmniejszego zarobku, odstąpiłem ją stryjowi mojej żony, skarbnikowi Garbowskiemu, jako przyległą do wsi Wygnanki, gdzie mieszkała córka jego z Wojciechem Budzyńskim. Wzgląd ten należał się odemnie dla skarbnika, bo z jego domu pojąłem dobrą moją żonę.

— Ależ—przerywa Jukowski—na tych kontraktach pan, dowiedziawszy się, że w Szulajkach, na błocie osadzonych, są na dziedzińcu sadzawki, gdzie

Lietuvos TSR VALSTYBINĖ BIBLIOTEKA
U 20195

dzikie gnieżdżą się kaczki, jako zapalony myśliwy, wyrzekłeś się wszelkich z ziemi korzyści, byle swemu dogodzić upodobaniu strzelania z ganku do kaczek i wlepiłeś sto tysięcy złotych na zastawę dwóch błotnych wiosek, Szulajek i Raciów.

Dotknął mnie pan Jukowski tym żartem, na który ojciec mój odpowiedział mu:

— Trzeba najprzód wiedzieć, że moja żona życzyła sobie zamieszkać blizko sióstr swoich Budzyńskich, a po odstąpieniu Ożarówki jej stryjowi już nie było nic podobnego do nabycia i ztąd owe te wioski prawem zastawu objąłem. Mój panie podkomorzy, wolno ludziom mniemać o szczęściu, jak się podoba; ja rad mojej mierności, dziękuję Bogu, że z dochodów tego, jak nazywacie, błota, spłaciłem długi, jakie ciężyły na wiosce w Łuckim powiecie, spadłej po moim ojcu, i z tegoż błota dałem za pomocą Bożą wychowanie moim pięciorgu dzieciom.

A ja na to ozwałem się do p. podkomorzego:

— Oto brat pana, Piotr, umiał najzręczniej z ostatnich czasów rzeczypospolitej korzystać!

Pan podkomorzy wnet spuścił z tonu. Utkwił oczy w ziemię i zamilkł, a baczny gospodarz, wiedząc o przyczynie jego zmieszania się, natychmiast zmienił przedmiot i zaczął nas zajmować opowiadaniem o świetnych czasach Łabunia, gdzie on w młodości swojej, dawnym obyczajem, był dworzaninem przy kijowskim wojewodzie Stępkowskim.

Gdyśmy dnia tego wracali do domu, ojciec mnie zapytał:

— Co ty wiesz o bracie podkomorzego, Piotrze Jukowskim?

Opowiedziałem zdarzenie następne: — W roku przeszłym w Warszawie, będąc raz na obiedzie w traktyerni, gdziem zwykle jadał, wypadło mi siedzieć obok nieznanego mi starca, porządnie ubranego. Zaledwie podano mi zupę, wchodzi młody oficer

z polskiej gwardyi pieszej, z którym w zażyłej byłem znajomości. Powitał mnie podaniem ręki i usiadł z drugiej strony przy mnie. Ten oficer, spoufalony ze mną, zajmował mnie ciągłą rozmową, a ów staruszek, nieznany nam obu, nie spuszczał oka z niego. Po skończonym obiedzie oficer, zapłaciwszy, co się należało, pożegnał mnie i odszedł, a ja i mój sąsiad, gdyśmy kazali podać sobie czarnej kawy i fajek, jak wielu innych pozostałych biesiadników, zaczęliśmy z sobą rozmowę. On pierwszy przemówił do mnie:

— Przebacz pan, że mu nieznany, śmiem zapytać, kto jest ów oficer, co z panem rozmawiał?

— Jest to Podolanin, syn, jak wnoszę, bogatego obywatela, bo, jak mi mówił, ojciec przysyła mu corocznie trzy tysiące dukatów na utrzymanie, które na jego potrzeby nie wystarczają.

— A nazwisko?

— Jakowski.

Na to uśmiechnął się i rzecze:

— Tak! zgadłem! Bo też to wykapany ojciec: i z mowy, i z ruchów, i z twarzy, jakby miniatura pana Piotra!

— Pan znasz jego ojca?

— O! Boże mój! Nietylko dobrze go znałem, ale gdy był w biedzie, nieraz go moim karmiłem chlebem; ale słuszniej było dać go psu niż jemu, bo on go nie wart był, jak się okazało. Służyliśmy razem pod Kościuszką 1794 roku. Jukowski grywał w karty i czasem tak się zgrywał, że jako kolegę, wypadało przez litość utrzymać go przy życiu. Że niekiedy mawiano, iż on w grze używa sztuczek szulerskich, to jeszcze mniejsza. Ale, panie! Wstyd wspomnieć to o koledze! Pod Maciejowicami, pan Piotr korzystał z popłochu, skradł wojenną kasę i oparł się z nią w Tarczynie. Tam tak podłatał kieszeń, że nareszcie mógł nabyć znaczny na Podolu majątek, Brahiłowszczyznę. Takim był tego

oficera ojciec; łotr wierutny, panie! Publiczny złodziej!

Na to mój ojciec:

— Przypominam sobie, że dawniej mówiono mi o tem, tylko nie z takiemi szczegółami. Ale ty, synu, niepotrzebnie zawstydziłeś podkomorzego wspomnieniem o Piotrze; bo cóż on winien, że brat jego wykroczył?

— Prawda — rzekłem, że podkomorzy nie ma żadnej na sobie plamy; ale nie należało mu żartować sobie z człowieka poważnego wiekiem i godnego szacunku, jak dziś postąpił z kochanym ojcem.

— Ja nie mam o to urazy—przerywa ojciec.— On takiej jest natury, że ozwać się nie może bez konceptu; i dlatego może i słusznie mówią, że dowcipniś bawi, ale szacunku nie wzbudzi, bo łatwiej mu obrazić najszczerszego przyjaciela, niż zamilczeć koncept obraźliwy, jaki mu przyjdzie do głowy.

Wkrótce potem, dni pierwszych lipca tegoż 1817 roku, mój ojciec, nie mając zamiaru jechać na wybory do Żytomierza, gdzie nas obu, mnie i brata mego Franciszka, miał wysłać, pragnął pomówić z Budzyńskimi, Kazimierzem i Marcelinem, o kandydacyach na urzędy gubernialne i nowogródwołyńskie, gdzie oni oba wotowali. Wziął przeto mnie z sobą i po drodze wprzód zajechaliśmy do Przewałówki, gdzie wówczas mieszkali Marcelinowstwo. Trafiliśmy na porę przedobiedną, a zastajemy i tam podkomorzego Jukowskiego. Ujrzawszy go, przyzwoicie powitałem z tem w duchu postanowieniem, aby po owej u Ochockiego wzmiance o jego niegodnym bracie, tu w niczem mu nie uchybić. U stołu siedziałem naprzeciw podkomorzego. W ciągu obiadu ktoś z domowych nadmienił o nowo wyszłej z druku poezyi. Pan podkomorzy, wcale nie literat, zabiera głos:

— Powiem szanownym państwu otwarcie, że u mnie poeta, niedość, że próżniak, ale poprostu wa-

ryat, bo po co mu łeb suszyć na dobieranie rymowych końcówek, kiedy przecież my, ludzie przy zdrowych zmysłach, rozumiemy się, rozmawiając prozą? Dodam jeszcze i to, że u mnie poeta nie wart jest ani czci, ani wiary; bo on dla rymu gotów poświęcić nietylko własne przekonanie, ale nawet wszelką świętość religii, jeśliby mu wypadło w miejscu Boga napisać dla kadencyi choćby o szatanie. O! bo to rzecz musi być niełada dobieranie rymów; i tak naprzykład, proszę pana, jak tu obmyślić kadencyę (obrócił się do mnie), jeśli pierwszy wiersz kończy się na takim wyrazie: *dyszel?*

Ja mu na to, domyślając się, że on chce mnie dotknąć przymówką:

— Naprzód, zdaje mi się, że poeta z natchnienia wcale nie suszy głowy nad rymem; on mu sam nieproszony stawi się w potrzebie. A co do wyrazu *dyszel*, o którym pan wspomniałeś, jako niepodobnym do zrymowania, ja ważyłbym się naśladować Jana Kochanowskiego, który w poważnym wierszu o zwycięztwie Polaków za Zygmunta-Augusta użył raz jeden pewnej poetycznej licencyi: oto u niego w pierwszym wierszu był końcowy wyraz *głęboko*. Poeta w drugim wierszu, bez pracy nad rymem, rozdziela ostatni wyraz mu potrzebny, i pisze: *oko*, trzeci zaś wiersz zaczyna od reszty wyrazu rozdzielonego, i napisał: *-liczności*. Ja przeto, idąc za tym ojcem poetów naszych, który owej licencyi raz tylko użył, gdybym miał złorzeczyć jakiemu łotrowi za jaką kradzież publicznego dobra, jeśliby przypadkiem w wierszu moim był na końcu wyraz *dyszel*, drugi wiersz kończyłby się także rozłamanym wyrazem; i napisałbym: *ty szel-*, a w trzecim wierszu, dokończyłbym myśl moją sylabą: *-mal* Zaśmiał się na głos mój ojciec, któremu podobało się rozwiązanie podanej trudności, i zawołał:

— Wykręcił się, jucha!

A pan podkomorzy udał uśmiech tylko.

Tegoż dnia byliśmy w Wygnance u Kazimierza Budzyńskiego i z nim razem zdążyliśmy o milę do Ożarowki, gdzie jego babka i matka mieszkały. Tam zastaliśmy marszałkową z Bukarów Wyleżyńską i jej siostrę pannę Maryę, którą nazywano Maryanną. Obie te panie były w żałobie po niedawno umarłym ojcu. Łączyło je powinowactwo z domem ciotki mojej Budzyńskiej, której córka jedyna, Julia, była od lat kilkunastu za ich stryjem, wysokich zalet człowiekiem, Sewerynem Bukarem. Te obie żałobne panie znałem z lat najmłodszych. Rodzice moi bywali we wsi Lemieszach u ich ojca, marszałka żytomierskiego, Marcina Bukara, który był starszym bratem Seweryna, i jeszcze po polsku się nosił; bywali też i w Burakach, u ich babki, poważnej wiekiem i dawnemi obyczajami pani sędziny Bukarowej, gdzie pani Wyleżyńska i jej siostra brały wychowanie, i gdzie miejscowy kapelan, pamiętny mi ksiądz Paizy, wykładał im naukę religii. Stosunki światowe tych Bukarów były z wyższej sfery. Marcin był ożeniony z Moniką Hańską, panną posażną, której brat Wacław, dziedzic dóbr licznych tu i w gubernii Kijowskiej, był niedawno naszym gubernialnym marszałkiem, a siostra starsza była wdową po znakomitym tak z prawnej głowy, jako też z rozrobionych głową milionów Morzkowskim, niegdyś prezesie kijowskiego sądu głównego, a która córkę swoją z czterema milionami posagu wydała za księcia Karola Jabłonowskiego z Ostroga; z dwóch zaś obecnych tu córek Marcina Bukara starsza, Kunegunda, była małżonką Jana Wyleżyńskiego, członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a spokrewnionego także ze znakomitemi domami; matka bowiem jego, Karwicka z domu, była siostrą generała Krzysztofa Karwickiego, który był ożeniony z Franciszką Małachowską, córką kanclerza wielkiego koronnego. Te wszystkie świetne stosunki podnosiły ich znaczenie w mniemaniu okolicznych domów. Przecież sędzina Bukarowa, staruszka powszechnie

szanowana, równie jak jej synowie, Marcin, Seweryn, Adryan i Józef, jako też jej córka, wprzód generałowa Raczyńska, potem marszałkowa Nagórska, a ostatecznie Woroniczowa, podobnie jak państwo Wyleżyńscy, nawiedzali niekiedy dom szlachecki moich rodziców, tak z tytułu powinowactwa przez związek Seweryna z Budzyńską, po której on wziął sześćkroć sto tysięcy złotych w posagu, jako też ze wzajemnego szacunku.

Pani Wyleżyńska, młoda jeszcze mężatka, bardzo ujmująca grzecznością, przytem przystojna a żywa, jak prawie wszystkie brunetki, dostrzegła we mnie jakiś tajony smutek. Po wieczerzy, śród gwaru towarzystwa, usiadła na kanapie przy mnie i zaczęła badać:

— Co to panu jest? widzę wielką w jego humorze zmianę, jak gdybyś w poezyi swojej naśladował Yunga, co z wielką przyjemnością czytaliśmy w „Pamiętniku warszawskim", opłakiwał istotnie stratę przyjaciela. Ale powiem panu otwarcie, w obronie płci mojej, co w tych wierszach wydało mi się niewłaściwem dla młodych lat pana. Doradzasz tam strzedz się miłości, jako zwodniczej dla młodzieży ułudy. Ktośby sądził, że owa rada pochodzi z ust człowieka lat sędziwych, który z własnego niegdyś doświadczenia podaje młodszym naukę.

Zbyłem ten zarzut uśmiechem, a rzuciłem jakąś obojętną kwestyę, byle się nie tłómaczyć na jej podejrzenia o swoim smutku. Ona wkrótce, ponawiając rozmowę o tej poezyi, dodała:

— Ale nie uwierzysz pan, jak ów lamentujący artykuł jego w „Pamiętniku" silne sprawił wrażenie na mojej siostrze. Wpływa na to jej dotkliwe położenie. Ona biedaczka, z lat niemowlęcych wypieszczona u matki i u babki, a nadewszystko u naszego kochanego ojca, wszystko to utraciła i nad ich grobami potoki łez wylała. Ztąd, jako istotna sierota przeżywszy to wszystko, co najmocniej w życiu ko-

chała, patrzy dziś na świat, jakby księżyc śród nocy jakąś mgłą przykryty. Wszystko posępne, wszystko smutkiem tchnące, do jej duszy przemawia. Śmiałam się i żal mi jej było, gdy kilka dni temu zastałam ją płaczącą nad poezyą pana.

A co starcze?... Po upływie lat pięćdziesięciu kilku, złapałeś sam siebie na gorącym uczynku. Musisz wyznać jak było: oto miłość własna podszepnęła ci, że biedaczka sierota godną jest twego szacunku, bo cię zrozumiała. Tak było istotnie!

Lecz tyle tylko powiedziałem na to pani Wyleżyńskiej:

— Szczerze wchodzę w boleśne położenie siostry pani; i milejby mi było jakąbądź radość jej sprawić, niż przypomnieniem sieroctwa łzy jej wycisnąć.

Ona na to:

— Jeśli pan szczerze pragniesz radość nam przynieść, racz przyjechać do nas w następnym sierpniu; bo niebawem pan zapewne, podobnie jak i my, wyjedziesz do Żytomierza na wybory. Ale skoro wrócimy, czy pan nie odmówisz nam przyjemności powitania go w Kotelance?

— Miłym będzie dla mnie obowiązkiem złożyć państwu uszanowanie w ich domu.

Trzebaż i to wyznać, że po rozejściu się na spoczynek, gdy nieprędko mogłem zasnąć, sumienie przemówiło do mnie:

— Tam biedna Józia, może wierna tobie, dziś może niecierpliwi się w oczekiwaniu twego z jej narzeczonym pojedynku o jej wyzwolenie, o czem ktoś z domysłu mógł przed nią napomknąć; a ty, powodowany miłością własną, ocknioną przez pochlebne wrażenie, sprawione ramotą twoją na sierocie, już ją przyrzekasz pocieszać, gdy tamta może łzy leje za tobą!... I cóż? pomimo tak ciężkich wyrzutów sumienia, gdy się z niemi biedzę, podchodzi uwaga nad niezwalczoną trudnością z hardym opiekunem, a tu

żałobne wejrzenie posępnej blondynki i tak ujmujące z ust jej siostry jakby przywabianie do niej... Owóż, najpewniejszy siebie przeciw wszelkim ułudom, powziąłem cichutką myśl, Bóg wie na co, zgłębić tę bolejącą duszę.

Całych wyborów obojętnym byłem uczestnikiem. Wotowałem, jak zwykle, z dwóch powiatów: Łuckiego i Nowogrodwołyńskiego, a to wedle narady pomiędzy ojcem moim i Kazimierzem Budzyńskim. Naszym marszałkiem został Nikulicz, ojciec Karola, który po ojcu i po Żeromskim dwanaście lat był naszym powiatowym, a sześć lat wołyńskim gubernialnym marszałkiem, i w tym urzędzie zakończył życie w Orenburgu 1864-go roku. Na tych zaś 1817-go roku wyborach gubernialnym marszałkiem był obrany Eustachy książę Sanguszko; prezesem cywilnego sądu głównego Stanisław Karwicki z Karpowiec, a departamentu kryminalnego Józef książę Lubomirski z Dubna. W Łuckim powiecie Lipski nadal został marszałkiem. O innych urzędach nie pomnę do jakich kto był wezwany; pamiętam tylko, że zacny mój przyjaciel, Eligi Piotrowski, po sześciu latach czynnej deputacyi w cywilnym sądzie głównym, obrany został podkomorzym żytomierskim.

Balów tak świetnych, jak za czasów Komburleja, nie było. Jeden tylko wieczór tańcujący był u gubernatora Giżyckiego, a drugi u księcia Sanguszki, gdziem dostrzegł serdeczne zalecanki Henryka Ilińskiego do księżniczki Doroty Sanguszkówny, cudnie pięknej panny, która później, dla widoków majątkowych, wydaną była za stryjecznego brata swego ojca, księcia Karola Sanguszkę, kawalera już przekwitłego i twarzy wcale niepowabnej, a co do zalet rachunkowych miał siedem tysięcy dusz w Zasławszczyznie, a czternaście tysięcy na Białorusi. Ale Bóg temu związkowi nie błogosławił; bo nazajutrz po ślubie panna podała prośbę o rozwód, który łatwo

otrzymała za użyciem tych dzielnych środków, jak wprzód wyjednały dyspensę na związek w tak bli kiem pokrewieństwie. A w lat kilka potem ta ni winna ofiara spekulacyi, podróżując po Włoszec w Rzymie życie zakończyła. Nad tak bolesnym ci sem dla rodziców, którzy utracili jedynaczkę we wdzi kach zaledwie rozkwitłych, dwaj przyjaciele moi ok zali w rymach współczucie: Konstanty Piotrows ułożył klasyczną odę, a Mikołaj Wąż, obywatel p wiatu Konstantynowskiego (o którym niżej pisać b dę), już hołdując wprowadzonej do nas romantyczn ści, posłał przez ręce czyjeś do Sławuty wierszy w rodzaju żałośnej idylli, którą wnet przetłómaczoi na język francuski.

Oryginał dla pamięci drogiego mnie autora, kt ry zbyt wcześnie nas pożegnał w 1823 roku, przywodzę:

Na śmierć księżny Doroty Sanguszkowej.

Jak szczęście, jak radość miła,
Jak wiosny ulotna pora,
Jak róża, co z wiosną żyła,
Kwitła nam piękna Izora.

Jak młodości urojenia,
Jak chwila miłości skora,
Jak mdłej nadziei złudzenia,
Zn.kła nam piękna Izora!

Dziś strojna w szatę niedzielną,
Połyskasz wdziękiem i cnotą;
Już ci koronę weselną
Własne rywalki twe plotą.

Znika śród smutku dzień chlubny,
Znika śród płaczu i jęku:
Drogiej córki wianek ślubny
Usycha w matczynym ręku!

O! jakże błyszczysz wspaniale
Młody kwiatku przy twym wschodzie!

Jakże błyszczysz okazałe
Jasnego poranku płodzie!

Gdzieżeś się podział, o kwiecie,
Szczęścia naszego ozdobo!...
Ty kwitniesz na innym świecie,
A ziemia płacze za tobą!...

Później, w lat kilkanaście, kiedy już zamieszkawszy w Ławrynowcach, bywałem niekiedy w Sławucie, książę Eustachy Sanguszko, w dowód swej życzliwości, przysłał mi raz na pamiątkę własne swoje wiersze, opłakujące stratę tej jedynej córki. Schowałem je tak dobrze, razem z listem jego, że dziś, w natłoku tysiącznych korespondencyj z dat rozmaitych, odszukać nie mogę. Pomnę tylko, że sam żal ojcowski nie doprowadził go do szczytów Parnasu.

Wracam do wyborów 1817 roku. Obyczajem dawnym, urzędnicy nowoobrani huczne dawali obiady. Kto obywatel, a do tego ukochany w powiecie, musiał się upić. Najczęściej od tych kielichowych napadów chroniłem się do państwa Wyleżyńskich. Wyleżyński, zdawszy urząd marszałka, lubił zabawiać się kartami. Do partyj wista zawsze się ktoś znalazł, a codziennym na to gościem był tam chorąży Ochocki, biegły wielbiciel gry każdej, z nieodstępnym towarzyszem do wista, podkomorzym Kajetanem Jukowskim. Ten raz przy kartach przypomniał sobie moje odjadania się na jego przycinki niedawne i bez względu na własne swoje położenie, że fartuszkowym żyje chlebem, widząc mnie rozmawiającego z siostrą gospodyni, zanucił prostą piosenkę z wyrazami najoczywiściej do mnie zastosowanemi, że nie mając kąta własnego, zalecam się do tej panny. Uśmiechnąłem się tylko, pomyślawszy: *kociol garnkowi przygania*... Ale ja swoją drogą, bez względu na owe przymówki, nie mając żadnej o Wołczyńcu wiadomości, zacząłem smakować w towarzystwie posępnej panny Maryi. Po wyborach spełniłem przyrzeczenie: byłem w Kotelance. Najuprzejmiej przyję-

ty, chętnie tam dwa dni zabawiłem. Trzeba wyznać moje nad sobą spostrzeżenie, że ciągła w spojrzeniu tej panny posępność sieroca pociąga mnie ku niej.

Po powrocie z Kotelanki pojechałem do Bratałowa odwiedzić czcigodnych podkomorstwa Piotrowskich, których wiek sędziwy otacza się licznem gronem dzieci; mieli bowiem rozmaitych wieków siedmiu synów i trzy córki, z których dwie z pierwszego małżeństwa podkomorzego wyszły już za mąż: starsza za marszałka Kochanowskiego, młodsza za Knola, a trzecia z powtórnego związku z Proskurzanką, była jeszcze młodziutką panną. Państwo podkomorstwo słynęli w okolicy z cnót towarzyskich, bogobojności i z troskliwego wychowania swych dzieci; ich dom zwykle patryarchalnym zwano.

Najstarszy syn podkomorzego z pierwszego związku z Chojecką, Jan, dymisyonowany porucznik huzarów, były adjutant generała Suworowa, który utonął, jeszcze wówczas mieszkał przy rodzicach, lecz wkrótce potem wypuścił mu ojciec w dzierżawę wioskę za Cudnowem, Dryhłow.

W Bratałowie przy rodzicach mieszkali jeszcze moi koledzy szkolni, Eligi i Konstanty, a wszyscy młodzi byli w gimnazyum krzemienieckiem. Miałem szczęście ująć sobie czcigodnego podkomorzego od owej daty, kiedy będąc podsędkiem, sądziłem sam jego sprawę z sąsiadem w lesie dryhłowskim, o czem wyżej wspomniałem. Lecz teraz podkomorzemu zdaje się, że uchybiłby dostojności mojej, gdyby mnie nazywał podsędkiem. Przy obiedzie, nalawszy swój kieliszek wina, głosi toast:

— Zdrowie pana kawalera.

Gdy w Bratałowie nocowałem z młodzieżą w oficynie, Eligi zapytał mnie, czy znam państwa Chojeckich w Motowidłówce? A dowiedziawszy się, że ich znam oboje, ale dawno tam nie byłem, namówił mnie, abym na dzień 30 sierpnia tam zjechał. Pań-

stwo Chojeccy przy dostatnim majątku, mają dwie tylko córki: starsza już wydana za Ksawerego Czeczota, a młodsza, Różá, jest jeszcze panną. W dniu tedy jej imienin ma być balik i zbiegowisko młodzieży.

Mając dobrze opatrzoną moją garderobę wedle najświeższej mody, przy wyjeździe z Warszawy, puszczam się do Motowidłówki na umówiony termin. Zastałem liczne zgromadzenie krewnych domu z gubernii Kijowskiej i okolicznych sąsiadów, znanych mi i nieznanych. Zabawy i tańce przeciągały się długo w noc.

Z tego baliku pozostała mi pamiątka w następującem zdarzeniu: Jako gość młody, musiałem należeć do tańców, a przez grzeczność dla solenizantki i jej rodziców, brać ją częściej niż inne. Raz śród walca, krzyż ś-go Stanisława, który miałem przy fraku, schwycił skrzydłami orzełków koronkę otaczającą gors panny Róży. W szybkim wirze nie dostrzegłem takiej pomiędzy nami kombinacyi. Lecz kończąc walca, gdy przywiodłem pannę do jej krzesła, dostrzegam, że ona ręką przytrzymuje koronkę, którą mój krzyż pociąga.

— Ah? przepraszam panią! — Nachyliłem się przed nią, a z pobocznych krzeseł panny, widząc nasz kłopot, dopomogły wydobyć z niewoli ś. Stanisława.

Wnet znalazło się opróżnione miejsce przy pannie Róży, i przez grzeczność wypadało mi słów kilka najobojętniejszych przemówić. Uprzejmy gospodarz, pan marszałek Hilary Chojecki, kawaler ś. Stanisława i Orła Białego z tych jeszcze czasów, gdy za Rzeczypospolitej był sędzią ziemskim kijowskim, znany był mojemu ojcu. Urodził się kaleką, z wykrzywionemi nogami, nizkiego był wzrostu, nosił się po polsku, a chodził, przechylając się na obie strony, jak kaczka.

Słyszałem to od mego ojca, że gdy otrzymał od

króla dyplom na to kijowskie sędziowstwo ziemskie, ojciec jego, lubiący mówić po rusku, wyprawiając go z błogosławieństwem na ten dostojny urząd, nadający mu prawo miecza, powiedział mu:

— Chody krywo, bo tak Boh chotiw; sudy prosto, bo tak Boh kazaw!

Brat młodszy Hilarego, Jan, był posłem z województwa Kijowskiego na wielki sejm czteroletni. W dyaryuszu tego sejmu zdarzyło mi się czytać mowy tego posła pełne uczuć patryotycznych. Król Stanisław August upodobał go sobie, chociaż Jan Chojecki, gardząc obcym strojem, nosił zwykle kontusz. Chciał król gorliwość jego poselską wynagrodzić orderami polskiemi. Lecz ten, otrzymawszy audyencyę, prosił króla, aby tę łaskę raczył wyświadczyć starszemu jego bratu, Hilaremu, który dawniejsze niż on położył zasługi, urzędując w Żytomierzu. I stało się zadość tej prośbie: Hilary otrzymał patenty na ordery polskie.

Zdarzyło mi się słyszeć dość zabawną dykteryjkę o panu Hilarym. Od 1686 r., kijowskie województwo miewało swoje sejmiki już nie w Kijowie, odstąpionym Moskwie, lecz w Żytomierzu, i pan Hilary, lubo sądził sprawy w Żytomierzu, był sędzią ziemstwa kijowskiego. Wiadomo, że na sejmikach przedsejmowych, wybranym przez województwo posłom dawano polecenia, ażeby od zgromadzonych na sejmie stanów wyjednać potrzebne im prawo, albo zmianę dawnego. Owóż na sejmiku w Żytomierzu Jan Chojecki, jako poseł województwa kijowskiego, gdy przy instrukcyi danej mu od ziomków, miał załączony projekt do nowej ustawy, brat jego, Hilary, sędzia ziemski, nie czekając na potwierdzenie przez sejm owego projektu do prawa, uważał go za stanowczą ustawę i w jednym z dekretów swoich napisał, że decyzyę w nim zasadza *na mocy wypaść mającej konstytucyi*. Lecz zdaje się, iż to pewnię była wymyślona farsa.

Ale wracam do hucznego u jej rodziców balu 1817 r. w Motowidłówce, zkąd bliżsi rozjechali się nadedniem, a nam dalszym wygodny przysposobiono odpoczynek, po którym nazajutrz, byliśmy uraczeni poranną kawą, i nie widząc się z nikim, każdy w swoją puszczał się drogę. Gdy już byłem za wsią, dopędza mnie ktoś powozem i krzyczy:

— Stój, stój!

Furman wstrzymał konie. Oglądam się i postrzegam, że to Eligi Piotrowski, który mnie na ten bal namówił, a widocznie chce coś mówić ze mną, bo wysiada z kocza. Gdym wysiadł z mego powozu i zbliżyłem się, on uśmiechnięty rzecze:

— Słuchaj, mój aniele! Wczoraj tu o tobie szeptano. Gdyś był w tańcu z panną Różą i krzyżyk twój wplątał się w jej koronkę, z której go z trudnością wydobyto, a potem usiadłeś przy niej, ja stałem tuż za krzesłem jednej z matron, która ozwała się do siedzącej obok:

— Ot, jak to Bóg ludzi kojarzy! Tu widocznie Bóg zesłał w swaty Świętego Stanisława na krzyżu. Patrzcie! już usiadł przy niej i z przymileniem rozmawia. Zobaczycie asaństwo, że coś z tego będzie.

Serdeczniem się zaśmiał z uwag tej kumoszki, a Eligi pyta:

— Powiedz mi otwarcie, czy nietrafny był jej domysł?

— O! bądź pewny, że tobie najpierw zwierzyłbym się przed naszym ztąd wyjazdem, gdybym jakie miał zamiary.

— Jeśli ich nie masz, to i ja otwarcie powiem, że ta panna podobała mi się; i proszę, ażebyś jakąbądź grzecznością nie wprowadzał ją w domysły, że masz starać się o jej rękę. Bo któż zgadnie? Może bez twojej woli te szepty kumoszek będą mi przeszkadzać.

Na to upewniłem go, że noga moja nigdy odtąd nie postanie w domu państwa Chojeckich.

I w następnym 1818 r. kochany Eligi Piotrowski ożenił się z panną Różą Nieraz jeszcze będę o nim mówił, jako o prawdziwym moim przyjacielu.

Co do związku małżeńskiego osób mnie zajmujących, zapomniałem o okoliczności z czasu wyborów 1817 r.

Kazimierz Budzyński, dostrzegłszy w sali zgromadzenia naszego moją poufałą zażyłość z marszałkiem łuckim, Stanisławem Lipskim, szepnął mi raz na sali:

— Proś Lipskiego, który siedzi w kole marszałków, ażeby ci pozwolił zajrzeć do księgi obywateli jego powiatu. Ja będę za tobą i pod literą *M* wyczytam coś o Mstyszynie, gdzieśmy byli na wiosnę.

Idziemy oba za kratę, oddzielającą stół marszałków. Lipski na moje żądanie podaje mi księgę leżącą przed nim. Szukam i znachodzę Mstyszyn. Kazimierz z ciekawością spojrzawszy tam, szepnął mi:

— Sto siedemdziesiąt dusz na dwie córki i żyjących rodziców! To nie warto zachodu.

Przecież później dowiedziałem się, że generał Orurg, ożenił się z tą panną Pielawską, przy której zastaliśmy go w Mstyszynie. A Kazimierzowi Bóg przeznaczył... ale zostawię to do roku następnego.

Pod koniec 1817 r., matka moja, patrząc troskliwie na częste zamyślenia i moją w nich posępność, wnosiła sobie, że ten smutek pochodził z zupełnej bezczynności i jak dowiedziałem się od siostr moich, wstawiała się za mną do ojca o wzięcie dla mnie jakiej niedalekiej od nich dzierżawy. Po ich naradzie stanęło na tem, że ponieważ brat mój młodszy o lat pięć, Franciszek, objawia upodobanie w gospodarstwie, a ja pewnie będę więcej książką zajęty, przeto ojciec, przeznaczając dla nas dwóch sześćdziesiąt tysięcy złotych, ma upatrzyć dzierżawę do wzięcia dla nas na wspólne imię.

Aby zaś mógł snadniej zajrzeć niekiedy do na-

szego gospodarstwa, powziął myśl o wsi Romanówce. Wieś ta dziedziczna jest senatora Ilińskiego, o dwie tylko wersty od Szulajek. Ten zamiar bardzo sprzyjał rojącej mi się myśli o pannie Bukarównie; o czem nikt w domu naszym nie wiedział.

Raz ojciec, wróciwszy z Romanowa, ozwał się przy wieczerzy:

— Senator chętnie wypuszcza synom moim Romanówkę w posesyę. Wprawdzie drogo ją ceni, bo żąda po złotych dwa za dzień ciągłej i pieszej pańszczyzny, i z góry za 3 lata, co z daninami i z karczemna arendą wyniesie czterdzieści pięć tysięcy złotych. Ale ponieważ ozimina pięknie zielenieje, to może tyle dać warto. Z rachunków, jakie potrzeba sprawdzić, należy mi się coś od senatora, a co do reszty, może cokolwiek utargujemy, i jakoś się temu zaradzi. Lecz w tem największy kłopot, że senator temi dniami spodziewa się przybycia z Paryża córki swej żony z pierwszego jej małżeństwa, i powiedział mi otwarcie, że bardzo pragnie, ażeby Szymon z nią się ożenił. Zamilczałem na to przez grzeczność, alem pomyślał sobie: a na co nam to jakieś dziwadło aż z Paryża, co pewnie po ludzku i przemówić do nas nie potrafi.

Moja matka na to:

— Ja spokojna o to, bom pewna, że on związkiem swoim nie naniesie nam wstydu; nie ożeni się on z paryżanką, którąby nas nie rozumiała; ale z duszy radabym, ażeby, zamieszkawszy w Romanówce, zrobił sobie wybór wedle serca, a pewnie będzie weselszym, niż teraz.

Nazajutrz ojciec wezwał mnie do swego pokoju i złożył mi kwity kaznaczejstwa i kwity na rekwizyta wojenne, z gotowem ich przez marszałka ocenieniem. Wedle kontraktu zastawnego o wieś Szulajki i Racie, takie wszystkie opłaty dziedzic powinien zwrócić z procentem. Zliczyłem całą ztąd należność

od senatora i okazała się suma dwadzieścia siedem tysięcy złotych. Nie pomnę, od jakiej daty zaczynał się ten rachunek; lecz ja widząc z kwitów, że podatki powszechne i ordynacyi ostrogskiej już za jesień są zapłacone, zliczałem wszystkie po rok 1818.

Suma, z tych podatków wynikła, dość była znaczna, lecz pomnieć potrzeba, że owe podatki i rekwizyta regulowały się zwykle do ilości dusz skazkowych, a w tych dwóch wioskach było dusz 340.

Okazało się z tak sprawdzonego rachunku, że za dzierżawę trzyletnią Romanówki wypadnie dopłacić gotowemi senatorowi osiemnaście tysięcy złotych. O dopłatę z góry były jeszcze targi: mój ojciec chciał, ażeby dopłatowa suma rozdzieloną została do uiszczenia na początku roku; dopłacalibyśmy corocznie po sześć tysięcy złotych.

Nakoniec, spodziewana pasierbica senatora, panna Konstancya Krague, przybyła do Romanowa. Przywiózł ją z Paryża wuj jej matki, uczony starzec, pan de Mousseau, który po nią jeździł, ten sam, od którego miałem w prezencie wybór poezyi Aleksandra Pope, o które było moje zajście z Karolem Pruszyńskim i z którym to Francuzem wracałem z Petersburga. Panna, dla mnie przez jej ojczyma przeznaczona, już jest, a umowa o dzierżawę jeszcze nie skończona.

Przybywam z moim ojcem do Romanowa.

Przedstawiony rachunek podatkowy, sprawdzony wedle kwitów przez miejscowego plenipotenta, został przez senatora przyjęty; trwały jeszcze targi ze strony mego ojca, ażeby dopłata nie była ryczałtowa. A tymczasem poznałem się z panną Konstancyą. Dziewczę lat szesnastu; zwinne to, żywe, małego wzrostu, ładniutka, szczebiotliwa, śmiała jako paryżanka, przytem pięknie śpiewa przy fortepianie.

Dla dobicia targu o rozkład dopłaty za dzierżawę często mnie mój ojciec posyłał do Romanowa. Tam zaś, jako dla tej panny przeznaczony, nieustan-

nie bywałem zostawiany z nią sam na sam. Po dwóch tygodniach powtarzanych tam wizyt, ja wówczas młody, prędką zabrałem z nią jakoby zażyłą znajomość, a do jakiego stopnia, tu się wyspowiadam.

Raz siedziałem tuż przy niej, kiedy śpiewała przy fortepianie. Matka jej, rada naszej zgodzie, przynosi nam na tacy dwa wązkie podłużne pierniczki mówiąc, podzielcie się.

Skoro matka wyszła, ona przestała śpiewać, gra tylko na fortepianie, trzymając w ustach niecały jeszcze zjedzony pierniczek; a kiedym powiedział:

— Żałuję, żem tak prędko zjadł tę łakotkę, bo bardzo mi się podoba—ona, mając przy ustach sterczący ostatek pierniczka, nadstawia mi go do wzięcia; ja zaś nie ręką, lecz chwytam go ustami tak zręcznie, żem ją razem w same usta pocałował. Trzeba wyznać, żem się zawstydził po tej mojej swawoli; a ona nic mi nie rzekłszy na to, pogroziła tylko palcem uśmiechnięta.

Pomyślałem sobie: — Nie naszych to obyczajów kobieta!—I odtąd byłem względem niej ostrożny, jakby ptaszek, co poznał nastawiony na siebie samotrzask.

Ale dla mnie od lat młodzieńczych pobudkiem do częstych odwiedzin Romanowa były niewinne a nadzwyczajne przyjemności, jakie w stołecznych miastach doznawać się zdarza. Orkiestra w pełnym komplecie z samych wirtuozów złożona, pod dyrekcyą znakomitego artysty Ignacego Dobrzyńskiego, ztąd częste po kolei na rozmaitych instrumentach koncerty.

Dziwna muzyka rogowa, dotąd u nas nieznana, którą wyćwiczył i dyrygował Rosyanin, nazwiskiem Siła. Cudna jej harmonia w błąd wprowadzała: zda się zdala, że jakiś biegły artysta na doskonałych gra organach; ale jakaż wypracowana organizacya stanowi tę harmonię! Dyrektor staje przy

pulpicie, na którym leżą przed nim nuty; on tylko patrzy w swoje nuty z uwagą i pałeczką wybija takty. Milczałaby cała ta orkiestra, gdyby nie odgłos owej pałeczki. Kilkudziesięciu wziętych ze wsi chłopców włościańskich, porządnie we fraki odzianych, mają w ręku metaliczne rogi rozmaitych rozmiarów, zacząwszy od małego jak pikolina, do ogromnych w końcu jak tuba morska. Każdy z nich, stojąc przy swoim pulpicie nad nutami, rachuje pilnie wybite przez dyrektora takty, ażeby nie chybić kolei, w której ma odezwać się ze swoim tonem lub półtonem. Ten cały ogół jednostek, nic nieznaczących zosobna, stanowi jakby jeden najdoskonalszy instrument.

Mogłem tam słyszeć w każdą niedzielę i w święto w przepysznej kaplicy pałacowej cudną muzykę wokalną. Tuż za pałacem w parku był teatr z wejściem bezpłatnem, gdzie naprzemian przedstawiano opery włoskie, komedye i balety.

W pałacu wspaniałéj budowy liczna galerya malowideł, bogata w rzadkie oryginały; w drugiej tuż ponsowej sali, o ścianach mozajkowanych, statuy marmurowe dłuta niepospolitych włoskich artystów. Osobliwości w sprzętach pokojowych, jakich po wiejskich najzamożniejszych domach widzieć się nie zdarza, jak np. stoły z jednostajnych płyt kamiennych, drogiego malahitu i droższego lapis-lazuli, porfirowe z jednej sztuki dość wysokie żłobkowane kolumny i tym podobne wyroby kosztowne. Zważyć przytem należy te ku pożytkowi publicznemu fundacye, jako to: instytut głuchoniemych i szkołę wprawdzie pod dyrekcyą Jezuitów, lecz która ku początkowym naukom tak w łacinie, jako też w innych przedmiotach dla okolicznej szlachty wielce była przydatną. Słowem w tej epoce Romanów stanowił nietylko jakby wystawę sztuk pięknych i zbiegowisko różnoplemiennych artystów, lecz razem był ogniskiem szerzącej się w okolicy szlacheckiej oświaty.

Senator Józef-August hrabia Iliński, dla znają-

cych zaćnc jego wpływy u tronu rosyjskiego, jaśniał aureolą wysokich zasług. On przez względy u cesarza Pawła przyczynił się do oswobodzenia wziętych w niewolę w 1794 r. pod Maciejowicami Kościuszkę, generała Kopcia, Niemcewicza i innych; on, wysłany przez tegoż cesarza na wizytę zachodnich gubernij dla wejrzenia w porządek procedury prawnej i administracyi, wyjednał przedstawieniem swojem dalsze trwanie praw miejscowych, któremi te prowincye rządziły się z zachowaniem po juryzdykcyach sądowych języka polskiego po rok 1842; on, jako gorliwy katolik, listem do cesarza Aleksandra I obronił wyznanie nasze od zgubnych planów, dążących ku zerwaniu stosunków kościoła łacińskiego z Rzymem.

Zważywszy opisane tu wyżej wszystkie tak liczne przynęty Romanowa, nie dziw, że ja dość lubiony przez senatora, miałem istotną przyjemność bywać w jego domu.

W tych to czasach, nim przyszło do ukończenia układów o dzierżawę wsi Romanówki, ojciec raz wezwał mnie do przetłómacznnia z języka francuskiego listu senatora Ilińskiego do cesarza Aleksandra I w przedmiocie religii katolickiej. Kopia francuska dostała się mojemu ojcu, gdym przebywał w Warszawie. Oto dosłowne jej tłómaczenie:

„Najjaśniejszy Panie! Wiem, że ważę się na krok wielce śmiały przeciw możnemu człowiekowi. Ale gdy idzie o Boga i o monarchę, słucham własnego tylko sumienia. W obecnem zdarzeniu, gdziem ja gotów narazić życie, a nawet poświęcić je z największą rozkoszą, kiedy Opatrzność dała nam ojca tylu ludów w osobie monarchy-anioła; słuszną samemu sobie ściągnąłbym naganę milczeniem wówczas, gdy oto bez wiedzy waszej cesarskiej mości przygotowano środki ku prześladowaniu dziesięciu milionów katolików, wiernych jego poddanych.

„Chcą korzystać z pory, zda się im, dogodnej,

ku rozwinięciu planu, jaki ułożył wychrzta, a uświęcił prałat wiekiem obarczony i zbyt dumny niestety! planu wspartego przez ministra, który dla błędów niejakich osób, przejąwszy się nienawiścią ku religii katolickiej, a tem samem ku dziesięciu milionom niewinnych, mających szczęście być wiernymi w. c. m. poddanymi, broni ów plan zapamiętale. Przez ten plan, najjaśniejszy panie, chcą nam nadać pod imieniem metropolity patryarchę z władzą, jaką ma sam papież, a nawet z większą jeszcze. Chcą zniszczyć kolegium duchowne, dzieło waszej cesarskiej mości, podobne temu, jakie Piotr Wielki w 1721 r., dla religii panującej, siostry wyznania katolickiego, ustanowił. Chcą złożyć pełną władzę w ręku jednego człowieka, czego nie posiada sam papież, albowiem działania jego wypływają z narady w gronie kardynałów.' Byłoby to nietylko anti katolickiem, lecz nawet niebezpiecznem dla państwa. Robią go legatem papieża, gdy on nigdy nim nie był i nie jest. Chcą uzasadnić prawa jego na buli wydanej w czasie klęski powszechnej, kiedy naczelnik kościoła katolickiego był niewolnikiem Bonapartego, na bulli odwołanej natychmiast, skoro ten dostojny więzień ręką anioła-wybawiciela Europy został oswobodzony.

„Ów plan, przedstawił minister wyznań senatowi, gdzie łącznie z ministrem sprawiedliwości, miano odmówić potwierdzenia. Ale senat, próżno powodowany obawą, nic w tym przedmiocie nie postanowił i dnia 30 grudnia 1815 r. plan pomieniony zwrócił ministrowi wyznań.

„Zanim przyszło do tej ostateczności, ażebym tę rzecz n. panu objawił, żądałem u ministra i otrzymałem konferencyę. Wystawiłem mu, że plan jego jest zupełnie antikatolicki; że ułożył Sierpiński, żyd wychrzczony, który opanowawszy umysł metropolity, zamierza zemścić się na wszystkich katolikach za usunięcie go z kolegium przez najwyższy rozkaz; że dostrzegam powszechną w katolikach trwogę; że

część ich znaczna była u mnie dla zwierzenia powodów swej trwogi; że ten dla innych nie przyniesie następstw, jak tylko prześladowanie dziesięciu milionów katolików, wiernych poddanych powszechnego ojca; że gdyby Bóg nam nie dał anioła za pana, ja pierwszy pragnąłbym raczej szczęścia męczenników, niż pójść za tak antikatolickim planem.

„Całą ministra odpowiedzią było, że on mnie zna obrońcą jezuitów, gdy ja ani o tym zakonie, ani o żadnym z jego członków, nie wspomniałem wcale. Na zrobioną mu uwagę, że jeśli nie dowierza mojemu zdaniu, niech raczy badać, co do swego planu zdań osób wpływających do kolegium, bądź duchownych, bądź świeckich. Odpowiedział mi, że wszyscy są jezuitami. Nakoniec prosiłem, ażeby zasięgnął zdania katolików cywilnych, członków rady państwa, senatu lub innych, jacy się tu znajdują. Odpowiedział na to, że wszyscy są stronnikami jezuitów.

„A tak, najjaśniejszy panie! chcą zwalczyć bronią i zamknąć usta katolikom!

„Zrobiłem drugą jeszcze uwagę ministrowi, że od niejakiego czasu w sprawach duchownych nie spełniają najmniejszego czynu sprawiedliwości lub łaski bez opłaty. Odebrałem odpowiedź taką: że to złe jest powszechnem; albowiem wszędzie po kancelaryach biorą pieniądze.

„Widząc przeto, że moje wstawienie się, prośby i starania pożądanego nie przynoszą skutku, opuściłem ministra w tem samem przedsięwzięciu, w jakiem go zastałem.

„W kilka dni później przedstawił on ów plan departamentowi rady państwa, gdzie na szczęście, jednym z członków jest teraz obecnym katolik, który niewątpliwie objawi zdanie, jakiego religia i sumienie wymaga. Lecz, najjaśniejszy panie! wszystko zależy od tego, ażeby to zdanie przedstawione było w. c. m. w oryginale, a nie w treści tylko.

„Racz wasza cesarska mość zważyć w swej mą-

drości, czyli ten plan nowego pomysłu i ta chęć prześladowania katolików nie pochodzi z tajnego zamachu iluminatów, jakobinów i tych sektarzów piekielnych, którzy chcą, ażeby żadnej nie było religii, a przez pozorne środki, zamierzając upadek wiary Jezusa Chrystusa, niekiedy używają potemu nawet uczciwych ludzi, którzy nie spostrzegłszy się, należą do ich widoków i mimowolnie za narzędzia im służą. Jednym z widocznych dowodów, że w tym planie ani o dobro religii, ani o chwałę Boga nie idzie, jest wypadek zdarzony w Dorpacie, gdzie proboszcz publicznie z ambony śmiał mówić przeciw Jezusowi Chrystusowi; a przecież zamilczano o tem i nie wzięto tego za okoliczność nadzwyczajnej wagi. Sam tylko minister oświecenia zapobiegł tak okropnemu zgorszeniu młodzieży miejscowego uniwersytetu.

„Za cóż N. Panie tylu ma nieprzyjaciół religia katolicka, która nas uczy: oddać Cezarowi, co jest cezarowego, a co jest Boskiego, Bogu? Kochać Boga nadewszystko, a bliźniego, jak samego siebie? w monarsze swoim widzieć Boga, którego on na ziemi wyobraża; być uległym jemu i posłusznym; wypełniać najściślej obowiązki stanu swego lub urzędu, a przekładać śmierć ciała nad śmierć duszy! Wszakże takie są, n. panie, prawidła wspólne łacińskiego i greckiego kościoła. Ale ponieważ one obadwa stanowią silną zaporę przeciw zbrodniom illuminatów, jakobinów i ich sektarzy, chcą przeto zacząć od katolików, jako w tem państwie słabszych, a skończyć na religii panującej.

„Racz n. panie przebaczyć wiernemu poddanemu twemu i urzędnikowi, że otwartem mówi sercem do najukochańszego Monarchy, do sprawiedliwego zarówno wszystkich ojca wiernych sobie poddanych. Zdradziłbym obowiązki najświętsze względem Boga i mojego pana, gdybym w tak ważnym przedmiocie zamilczał. Gdzie idzie o chwałę Boga, pomyślność panującego i szczęście całego państwa, przekładam

ć się ofiarą zemsty, niż milczeniem zdradzać. Wa-
j cesarskiej mości pana miłościwego najwierniej-
poddany (podpisano) Józef August Iliński, sena-
państwa. Dnia 4 maja 1816 roku, w Peters-
rgu "

Kopia francuska tego listu po kilku latach
zieś zaginęła, bo pomiędzy papierami mego ojca
alazłem po jego śmierci to powyższe tylko moje
maczenie.

Ów list senatora Ilińskiego zniweczył grożące
tolicyzmowi zamiary; a odtąd duchowni naszego
'znania powszechnie mianowali go protektorem re-
ii. Bywałem świadkiem uwielbiania go, a nawet
iżoności przed nim naszych biskupów.

Dni pierwszych stycznia 1818 roku ojciec mój
stanowił jechać ze mną do Romanowa, aby osta-
znie pomówić z senatorem o rozdział dopłaty na
y terminy, z tem, że jeśli on nie zechce odstą-
: od swego założenia, to wszystko doplacimy
góry.

Około dziesiątej przed południem przybywamy
pałacu. Wchodzimy na piętro — spotyka nas ka-
rdyner i oznajmia, że pan senator jeszcze nie
rany, a razem otwiera nam drzwi naprzeciw do
artamentów pani senatorowej, gdzie radzi około
godziny zabawić, nim pan hrabia będzie mógł
yjąć. Grzecznie powitani, zasiedliśmy na kanapie
ok siebie, naprzeciw tej pięknej pani. Mój ojciec
łatwą miał z nią rozmowę. Do ich zrozumienia
nieustannym byłem pośrednikiem. Po kwadran-
czczej gawędy ona mnie zapytuje, czy Roma-
wka już wzięta w posesyę? Powiedziałem, że są
zcze niektóre trudności do załatwienia i że po to
ąśnie przybyliśmy. Na to rzekła mi:

— *Faites la cour à ma fille, et vous affaires
ıt bien.*

Szepnąłem ojcu memu, że coś ważnego mu po-
em. Pożegnawszy senatorową, schodzimy ze scho-

dów i tam objawiam ojcu o nowym warunku, trudność największą.

— A niech nas Bóg obroni od paryżanki! Cóżeś na to odpowiedział?

— Zamilkłem.

— No! śmiała kobieta! U nas chyba wszetecznica tak się odezwie za córką.

Nakoniec tegoż dnia szczęśliwie, bo bez tego senatorowej warunku, z całą tylko dopłatą z góry za trzy lata, wziętą została Romanówka w dzierżawę. Zaproszeni byliśmy na obiad, a ja w milczeniu siedząc u stołu, marzyłem: Gdybym ten miły domek przy lasku w Romanówce miał był w roku przeszłym, gdy u pani Abrahamowiczowej na wieczerzy posadzono mnie przy pani mojego serca; o! pewnie ważyłbym się jej powiedzieć: jeśli pani dochowujesz w duszy tę dla mnie życzliwość droższą mi nad życie, jaką przy moim odjeździe do Warszawy okazać raczyłaś, to pozwól, abym się upomniał u jej narzeczonego o dawniejsze prawa do jej serca! Miłe to było marzenie, choć o niecofniętej już przeszłości. Już bowiem panna Bierzyńska, jak mi powiedziano, dnia pierwszego stycznia 1818 r. ślubowała Turkułłowi. A więc amen temu!

Zamieszkawszy z bratem moim, Franciszkiem, w schludnym domku Romanowie, wkrótce potem odwiedziłem Kotelankę, gdzie przez państwa Wyleżyńskich najuprzejmiej byłem powitany. Układałem sobie zaskarbiać powoli życzliwość panny Bukarówny. Rysy jej twarzy, lubo tchnące dobrocią, nie mogły zaliczać się dla malarza do wzorowych typów, lecz dla mnie upadłego na duchu, zapowiadały powab duchowy ku osłodzie życia. Co do upłynionych jej wiosen, była w tej zagadkowej dobie, w której lata panny nietkniętą stają się u nas tajemnicą. Wiedzą o nich cokolwiek, a zwykle nie szczędząc dodać rok lub dwa lata, młodsze i starsze przyjaciółki, i o tem szepcą sobie niby litościwie. Ja zaś, pomnąc, kiedy

ujrzałem ją niegdyś po raz pierwszy młodziuchnem dziewczęciem, gdy z babką swoją, panią sędziną, były u moich rodziców, pono niemylnie rachowałem jej lat około dwóch tuzinów, a więc młodszą była odemnie o lat cztery. Ztąd miałem powód do wniosku, że i ona w jakiejś tajonej skłonności już pewnie doznała zawodu i że z tego względu mamy wspólne prawo wzajemnej oczekiwać dla siebie pociechy.

Z tem wszystkiem, gdym zaczął częściej tam bywać, przystęp do niej okazał mi się nie tak łatwym, a nawet prawie niepodobnym dla mnie posesora tylko Romanówki. Nie dość bowiem było dla niej, że biegłą była muzyczką, że najcelniejszych mistrzów sztuki z dokładną ekspresyą i z uczuciem grała na fortepianie, lecz nadto miała zamiar wyszukać artystę, któryby uczył ją prawideł generał-basu, co, jak wiadomo, koniecznem jest tylko dla kompozytorów. Nie koniec na tem: oto raz przybywszy zastałem tam rudego ogromnej postawy Anglika, który po dwakroć na tydzień dojeżdżał z Miropola, gdzie uczył swego języka pannę hrabiankę Roztworowską, która później wyszła za pana Czapskiego, marszałka gubernialnego kowieńskiego. Ten Anglik w Kotelance dawał też lekcye pannie Bukarównie. Ja zaś prostak, sądząc po szlachecku, ten język w ustach naszych kobiet miałem zawsze za nieomylny probierz ich próżności. Jakże mnie ubogiemu na duchu i mieniu porywać się na taką przed światem wystawę? W podobnych myślach odszedłem tam na spoczynek. Nazajutrz wcześniej niż zwykle konie moje zaszły przed ganek. Anglik tam nocował i jeszcze był nie odjechał. Gospodyni, jak zawsze grzeczna, dostrzegłszy moje zobojętnienie, z większem naleganiem usiłowała mnie zatrzymać.

— Cóż pana tak nagli?

— Przyznam się pani, że niepohamowany mam wstręt do Anglików i ich języka.

— A przecież pan tłómaczyłeś Yunga.

— Naśladowałem go z prozy francuskiej Laturnera.

Z panną nie widząc się nawet, odjechałem.

W ciągu tegoż 1818 roku rząd polecił naradę po guberniach, aby obywatele, zapobiegając głodowi włościan, jaki w roku zeszłym dotknął całą Litwę, postanowili albo napełnić zapaśne wiejskie magazyny, pod własną odpowiedzialnością za ich całość, lub też składać corocznie pewną opłatę wedle ilości dusz włościańskich na fundusz zakupienia zboża w zdarzeniach nieurodzaju. Do narad na ten przedmiot wyznaczono po dwóch delegatów w pomoc marszałkom z każdego powiatu. Powiat Nowogródwolyński obrał Tadeusza Walewskiego i mnie do tego na ogólny zjazd obowiązku. Rad byłem tej dostojności delegata, bo przytem była sposobność spełniać w Żytomierzu ważny urząd w □.·., do którego mnie tam powołano po moim powrocie z Warszawy w stopniu temu odpowiednim.

Ten nasz zjazd był nie mały, bo oprócz dwunastu marszałków i dwudziestu czterech delegatów, pod prezydencyą marszałka gubernialnego, księcia Eustachego Sanguszki, zjechało się mnóstwo bliższych obywateli przez ciekawość, jak rozwiążemy kwestyę, przez rząd postawioną.

Pomnę, że raz na sesyi, gdzie przy długim stole zasiadło nas trzydziestu sześciu, a przy guberskim marszałku usiadł z boku nasz gubernator, Bartłomiej jenerał Giżycki, jako obywatel żytomierskiego powiatu, a przeto równie z innymi oczekujący ostatecznej decyzyi, gubernialny i kilku powiatowych marszałków ozwali się z projektem złożenia w naturze zsypki do wiejskich zapasowych magazynów. Na to Lipski, marszałek łucki, półgłosem przemówił:

— Mój powiat, a niezawodnie włodzimierski i kowelski, nie są w stanie naraz tyle zboża złożyć, i chyba gubernialny marszałek z ogromnego majątku

swego pożyczką do oddania przez rozkład te trzy powiaty zastąpi.

Książę Sanguszko dosłyszał te słowa i wnet jakby z oburzeniem na cały głos ozwał się:

— Pan marszałek łucki powiedział ni w pięć, ni w dziewięć.

Zarumienił się Lipski i w żywości przerwał:

— Książę po sesyi, na boku, raczy mi to powtórzyć, bo tu nie miejsce, abym mu stosownie odpowiedział.

Już nie było mowy o zsypce w naturze. Za Lipskim skłoniło się całe towarzystwo nasze i postanowiono, aby z duszy włościańskiej każdy obywatel płacił corocznie do kasy rządowej po groszy dwadzieścia na skupienie zboża w zdarzeniu wielkich w gubernii nieurodzajów. Zaraz po zamknięciu sesyi, Lipski wyzwał księcia Sanguszkę, ale obecny temu gubernator Giżycki pojednał ich, bo skłonił księcia do uznania się winnym i książę w obecności naszej przeprosił Lipskiego.

Po tej sesyi książę Sanguszko, który na czas urzędowania swego najął był dom dość obszerny z ogrodem na ulicy Berdyczowskiej u Żelopuhy, zaprosił nas wszystkich i wielu innych obywateli na obiad. Żona jego z piękną ich córką księżniczką Dorotą przebywała czas jakiś w Żytomierzu, a przeto na ten obiad zjechały się i zaproszone damy, jako to gubernatorowa Giżycka z synowicą swego męża Elżbietą Giżycką, później Chołoniewską i inne. Nim podano do stołu, otwarte drzwi parapetowe w salonie do ogrodu przynęciły tam wielu, gdyż potemu dzień letni sprzyjał nam pogodą. Kilku nas zasiadło w cienistej altanie, gdzie nas mocno zajmował opowiadaniem odbytego w roku 1791 poselstwa swego do Danii dziś błyszczący rosyjskim senatorskim pąsowym mundurem, a gwiazdami tylko polskiemi, Adam Rzewuski, nowo-kreowany senator, niegdyś kasztelan witebski. Wtem, niespodzianie dla nas,

wszedł z salonu do ogrodu w takimże mundurze z dwiema polskiemi i mnóstwem gwiazd rosyjskich senator od czasów Pawła I, Józef August hr. Iliński, zbliża się ku altanie, a dostrzegłszy Rzewuskiego, z przymileniem przemówił:

— Witam kolegę, lubo wprawdzie o wiele młodszego niż ja, senatora.

Rzewuski, powstając, podał mu rękę i odpowiedział:

— Tak, jestem młodszy, jeśli za nic będziemy liczyć Rzeczpospolitę polską.

Jaka później nastąpiła pomiędzy nimi rozmowa, już nie dosłyszałem, bo wielu, gawędząc, zeszło się razem, aby za nimi wrócić na pokoje.

Co do księcia Eustachego Sanguszki, przychodzi mi na myśl smutny a niezasłużony jego wypadek, który dotknął całą gubernię. Nie pomnę tylko, w jakim z pewnością było to roku, ale niezawodnie po odbytem już jego urzędowaniu, które trwało do 1820.

Powód wypadku był taki. Nasze zachodnie gubernie i Litwa podlegały rozporządzeniom jakby generał-gubernatora, Wielkiego Księcia Konstantego, który mieszkał zawsze w Warszawie, jako naczelny wódz wojska polskiego, gdzie i wojsk rosyjskich był pewien oddział. Z tego, wysłani oficerowie dla zakupienia koni, znachodzili się w Berdyczowie, gdzie księżna Eustachowa Sanguszkowa z córką, wracając z Daszowa do Sławuty, zajechała na nocleg. Stanąwszy w obszernym zajezdym domu, jako zdrożona, udała się natychmiast na spoczynek. Zaledwie drzemać zaczęła, dały się słyszeć śród nocy, z pokojów przez sień tylko, częste wystrzały. Przywołany gospodarz tłómaczył się, że temu zaradzić nie może, bo tam ma kwaterę oficer rosyjski, pan Strzelnicki, do którego inni oficerowie z tegoż wojska zeszli się. Księżna, polegając na tem, że p. Strzelnicki zdaje się być Polakiem, wysłała do niego kamerdynera z prośbą, aby zaprzestano strzelać, gdyż ona

jest chorą. Wraca posłany z tem, że wkrótce dadzą księżnie odpowiedź. A tymczasem p. Strzelnicki sposobi się do tej odpowiedzi: wchodzi do sieni, rysuje węglem cel na drzwiach wchodowych do pokoju księżny, i niebawem, przy zapalonych w sieni świecach, strzały po strzałach huczały, aż się okna trzęsły. Księżna śród nocy wnet się wybrała do innego domu na spokojniejszy nocleg, bez myśli, aby z tak niemiłego jej zdarzenia wyniknąć miała sprawa grożąca jej mężowi; a tyle tylko z jej strony było winy, że wróciwszy do domu, tam przed księciem, zdając sprawę ze swej podróży, wspomniała o dziwnej niegrzeczności pana Strzelnickiego, oficera wojsk rosyjskich. W miesiąc po tem zdarzeniu przybywa do Sławuty p. Strzelnicki dla kupna koni. Udaje się wprost do książęcej stajni. Tam dowiaduje się, że nikomu nie pokazują koni bez polecenia od samego księcia. Pan porucznik Strzelnicki, ufny w swój mundur, idzie do pałacu. Lokaj wstrzymuje go w przedpokoju i prosi, aby dla oznajmienia księciu raczył powiedzieć swoje nazwisko. Zaledwie książę dowiedział się, że ten, co znieważył żonę jego, chce się z nim widzieć, oburzony, dał rozkaz lokajowi tak głośno, aby gość usłyszał:

— Powiedz mu, że ja podłego człowieka, co na bezbronne napada kobiety, nie przyjmuję w moim domu.

Jak sparzony odleciał z pałacu Strzelnicki, a wróciwszy do Warszawy, skarżył się przed W. Księciem, że w Sławucie nietylko zakazano stajennym pokazać mu konie, ale ich właściciel nazwał go podłym, skutkiem czego wydano rozkaz, aby księcia Eustachego Sanguszko osadzono na odwachu w Żytomierzu.

Nie wspomniałem jeszcze, jakie w sąsiedztwie były stosunki państwa Wyleżyńskich. Oni prawem zastawy posiadali wieś Kotelankę, należącą do Połonszczyzny, dziedzictwa brygadyera Adama Walewskiego, czyli raczej żony jego, z domu księżniczki Lubo-

mirskiej, a po rozwodzie, generałowej Witowej, którzy miasteczko Połonne z przyległościami nadali synowi swemu, Tadeuszowi Walewskiemu, jak również córce, wydanej za księcia Gagaryna, wydzielili w posagu Nowosielicę i inne włości. Tadeusz Walewski był jeszcze wówczas nieożeniony; związek jego z piękną i dobrą Anną Karwicką z Mizocza, córką generała Krzysztofa Karwickiego, nastąpił później, lecz matka jej, generałowa Karwicka, dziedziczka Lubaru, bawiąc niekiedy w tym swoim majątku, a będąc w pokrewieństwie z Wyleżyńskim ztąd, że matka jego była z domu Karwicką, siostrą generała, nawiedzała czasem Kotelankę. Bywał tam częstym gościem Adam Walewski i syn jego, Tadeusz, podobnie jak pani Witowa. Z blizkiego też Miropola odwiedzała ich często dziedziczka tego miasteczka, hrabina Rostworowska, z domu Dzieduszycka. Pomimo tych zażyłych stosunków z domami wyższej koteryi, zostawałem w Kotelance jedynego konkurenta śmiałego o rękę panny Bukarówny, który pod żadnym względem nie zbliżał się do wymienionych tu domów; był to polski odstawny kapitan z krzyżem wojennym, który mianowicie odznaczał się śmiesznością zaklęcia: „jak mi Egipt miły!“ a zwał się Łagowski. Nieborak! zwykłem zaklęciem swojem narażał się na szyderstwo, tem bardziej, iż z pewnością wiedziano, jako on nie był w Egipcie, a nawet dokładnego wyobrażenia mógł nie mieć, w jakiej części świata Egipt się znachodzi, a mógł zasłyszeć tylko o zwycięzkich sztandarach Napoleona I-go pod piramidami.

Ztąd niewielki był tryumf dla mnie, że pani Wyleżyńska i jej siostra, okazywać raczyły grzecznością swoją moję przewagę nad nim. Łatwo dostrzegł to pan kapitan i zaprzestał tam bywać. Ja zaś, ujęty wzmagającą się uprzejmością, dość często bywałem u nich. Wyszukane kwiaty w wazonach posyłałem ich amatorce, pannie Bukarównie, przy listach

francuskich, jak ówczesny głupi nakazywał obyczaj, gdziem śmiało powtarzał znane jej z ust moich uczucia. Odpisywała mi w tymże języku, nie szczędząc przyzwoitych grzeczności. Pomnę, jak raz uniosła się zanadto nad moim jakoby darem poetycznym, rokując mi w liście swoim sławę Woltera, z czego śmiałem się tylko. Znając bowiem nizką wartość pism moich w literaturze, nigdym w myśli nie sięgał po sławę. O tej zaś pannie raz napisałem, po pierwszej bytności mojej w Kotelance, cztery następne strofki pod tytułem „O śmierci:"

Czy samotną znajdę cisze,
Czy też mnie ciemność otoczy;
Sierotę widzę i słyszę,
Sieroty śledzą mnie oczy.

W jej spojrzeniu dusza pała;
Ale dusza nieszczęśliwa!
Cokolwiek w życiu kochała,
Wszystko już w grobie spoczywa!

Dziś na całe ludzkie plemię
Tak posępnem patrzy okiem,
Jak wzniesiony ponad ziemię
Pokryty księżyc obłokiem.

Czy namiętne, albo skromne
Wraża czucia, nie dba oto.
Nic też o sobie nie wspomnę;
Wzdycham tylko nad sierotą.

Te wierszyki dałem, odjeżdżając, pani Wyleżyńskiej, która, jak wyżej nadmieniłem, użalając się nad sieroctwem swej siostry, myśl do nich podała. Od niej zapewne dostały się one według adresu.

Wszystkie domy tu wspomnione, jakie nawiedzały państwa Wyleżyńskich, miałem sposobność poznać osobiście. Ztąd w tymże 1818 roku, przybywszy raz do Lubaru dla odwiedzenia chorej siostry mojej, będącej tam na kuracyi u doktora Groshejma,

zrobiłem wizytę w tamtejszym pałacu u pani generałowej Karwickiej. Córka jej, Anna, wielką była przyjaciółką panny Bukarówny i niezawodnie była wtajemniczoną w jej stosunki ze mną. Dobrze pamiętam owoczesną rozmowę moją z panną Karwicką, gdy matka jej, dla jakiejś korespondencyi, wyszła do drugiego pokoju.

Po rzuconej kwestyi o Warszawie, powiedziała mi grzeczność, że wielką jest chlubą dla młodości mojej, znak cywilnej zasługi, jaki na mnie widzi. Uwaga moja nad nim uśmieszyła ją.—Szczerze wyznaję, rzekłem, iż ztąd tylko jakąś wartość do tego znaku przywiązuję, że ona na później ma być pamiątką młodszych lat moich. Ale co do obecnego jakoby znaczenia, przyznam się pani, że krzyżyk mój widzę przydatnym na to jedynie, aby w przedpokoju nieznanego mi domu, zkąd mam być oznajmiony gościem, miejscowa służba nie była w błędzie i nie wzięła mnie za jakiegoś lokaja z listem.

Jakie były stopnie, obwarowane ścisłą zawsze przyzwoitością, które przechodząc rok cały, powziąłem przekonanie o niemylnej dla mnie życzliwości panny Maryi Bukarówny; tych wszystkich szczegółów, jako nieróżniące się od powszechnie znanych, nie będę opisywał. Dość na tem, że nie odmówiła mi swojej ręki, że najslodszą karmiła mnie nadzieją, lecz tylko trzymała w zawieszeniu ostateczne postanowienie co do związku naszego. Niecierpliwił mnie ten stan niepewności, a przecież polubiłem więzy.

Raz nocując w Kotelance, gdym wszedł do pokoju, gdziem zwykle sypiał, służący mój oddał mi list od mego ojca, w tymże dniu pisany, z tem, abym go, idąc spać, odebrał. Całe to pismo tchnęło drogą dla mnie troskliwością o moją przyszłość. Były tam pochwały dla zacnego domu Bukarów, z którymi mój ojciec żył zawsze w przyjaźni; ale co do zamiarów moich względem młodszej córki nieboszczyka Marcina, znalazłem niesłychane dotąd z ust

ojca mniemanie o tej pannie, że ona przez pokrewieństwo i zażyłe stosunki z domami możnemi nie będzie szczęśliwą w związku z człowiekiem miernego bytu i nie może dać mu szczęścia. I dlatego ojcowską daje mi przysługę i radę, abym zaniechał dalszych o tę pannę starań.

Ten list kochanego ojca pozbawił mnie snu przez całą noc prawie. Męczyło mnie dochodzenie, zkąd pochodzi mylna o tej pannie opinia, jakiej poprzednio nie było. Prawda, że niepotrzebny był metr języka angielskiego, że była śmieszną myśl nauki generał-basu; ależ jedno i drugie już zaniedbano; i pochlebiałem sobie, że rozbrat z Anglikiem nastąpił wskutek żartu mego wobec pani Wyleżyńskiej, iż niezwalczony mam wstręt ku niemu.

Po tak niespokojnej nocy nazajutrz Wyleżyński zapytuje mnie na boku, czy prosiłem generała Giżyckiego, jako kuratora Bukarówny, aby za mną wstawił się do niej, bo list o mnie bardzo życzliwy odebrała od niego. Zdziwiła mnie ta odezwa gubernatora za mną. Upewniłem Wyleżyńskiego, że żadnych tu obcych wpływów nie szukam. Do powziętej wiadomości o liście Giżyckiego żadnej nie przywiązywałem stanowczej wagi, choć serdecznie wdzięczny mu byłem. Wola ojca, lubo tak przeciwna mojemu życzeniu, była dla mnie świętą. Wahałem się tylko, czy przybywszy do rodziców, mam im objawić postęp, jaki już w sercu panny zrobiłem, aby im okazać, jak dziś zaniechanie jej byłoby dla mnie niegodnem. Wahałem się, bo ciągłe jej zwlekanie stanowczego słowa wprowadzało mnie niekiedy w wątpliwość i podejrzenie, iż ona trzyma mnie na uwięzi, aż zdarzy się ktoś godniejszy jej ręki. Tą trapiącą myślą zajęty, gdy przed samym wyjazdem, siedząc przy pannie sam na sam, okazałem pewne zobojętnienie ku niej, w tejże chwili, znając już głąb duszy mojej, ujmuje mnię takiem spojrzeniem, takiem ku mnie powłoczy

okiem, jakby błagała o wiarę w jej miłość. Nie! to nie łudząca maska! Ona szczerą jest dla mnie.

Gdy przybyłem do domu, chciałem naprzód pomówić z którąbądź z dwóch sióstr moich; starsza była jeszcze na kuracyi w Lubarze. Napisałem do młodszej, że dziś nie będę w Szulajkach, bo trochę niedomagam, a proszę, aby mnie na chwilę odwiedziła. Kobiety mają dar domysłów we wszystkich sprawach serca, dar przenikania najskrytszych jego tajemnic. Ta mianowicie siostra moja dowiodła mi nieraz w tem rzadkiej biegłości. Wiadomy był jej bieg cały moich starań o rękę Maryi, którą kochała, równie jak trudność, jakiej ciągle doznaję w wyjednaniu u sprzyjającej mi panny jej decyzyi stanowczej. Skoro opowiedziałem treść listu ojcowskiego, wczoraj odebranego, wnet odgadła, dlaczego ojciec zmienił przekonanie o Maryi. Przeczytawszy ów list, rzekła mi:

— Jest to niezawodnie skutek wizyty chytrego sąsiada, który był u nas z najstarszą córką. Ta widocznie szaleje za tobą; mówiła o tobie z takiem uniesieniem i z takim rodzajem troskliwości o położenie twoje w Kotelance, jak gdybyś był jedynym celem jej życia. Jej ojciec pewnie chciałby ją wydać za ciebie. On to musiał przedstawiać ojcu naszemu ową niestosowność związku z Maryą, bo w zamkniętym pokoju długo rozmawiali z sobą. On też bywa i u Wyleżyńskich. W zażyłej niegdyś znajomości z ojcem Maryi, ma przystęp do niej i udając litość nad jej sieroctwem, mógł przed nią szepnąć, że ojciec nasz nierad staraniu się twemu o jej rękę i że wówczas tylko mogłaby jej nie odmówić, gdyby nasz ojciec osobiście wstawił się za tobą.

W końcu dodała siostra moja:

— Utwierdza mnie w tym domyśle ważna okoliczność, że przed tą wizytą wymownego sąsiada często rodzice wspominali o twoich zamiarach w Kotelance i nigdy nie było wzmianki o niestosowności,

z matka nawet nasza cieszyła się szczęściem z nią twojem.

Tak oświecony trafnym domysłem, postanowiłem, zgodnie z siostrą moją, pomimo listu mego ojca, jeszcze nie zrywać z domem państwa Wyleżyńskich, tak życzliwych dla mnie, a jeśli to zwlekanie Maryi pochodzi rzeczywiście od podszeptów chytrego sąsiada, dla którego ojciec nasz nigdy nie miał i niema istotnego szacunku, to z czasem, gdy odkryjemy podstęp w jego namowach, ojciec, kochając bardzo Seweryna Bukara, który jest krewnym naszym przez związek z Budzyńską, zechce i o jego synowicy Maryi zachować dawniejsze przekonanie i przyczyni się u niej o niezwlekanie związku ze mną.

Poczciwy brat mój Franciszek po całych dniach na koniu, zajęty zwożeniem obfitego żniwa, pracował z upodobaniem dla mnie i dla siebie; a ja próżniak, z pendzlem lub z książką w ręku miałem pożywać owoc jego trudów. Ale jak zawsze, człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi.

W Romanowie, po skończonej zwózce i obsiewach oziminy, cały nasz tok spłonął. Szkoda znaczna, zwłaszcza dla nas, posesorów. Było bowiem stert dużych około dwudziestu, a zboże po przeszłorocznym nieurodzaju w wysokiej było cenie. Spaliły się też wszelkie nasze remanenta i folwarczne zabudowania; ocalał tylko mieszkalny dom i oficyna. Byłem wówczas u Budzyńskich i tam dowiedziałem się o tak smutnej przygodzie, którą przecież ze stoicką wytrwałością zniosłem, bo zajmujący mnie przedmiot wyższy był nad wszystko. Ale biedny mój brat Franciszek, który jedynie gospodarstwu był oddany i cieszył się wypieszczonym trudów swoich plonem, on mocno ucierpiał! On silnie uczuł tę stratę!

Po tym wypadku, jakby szukając pociechy, zajrzałem do Kotelanki, gdziem nikogo nie zastał. Wyleżyński wyjechał od dni kilku do Żytomierza, żona

jego i jej siostra są na wizycie w blizkim Miropolu. Przy drobnych w domu dzieciach została tylko bona, znająca mnie Niemka, która po przywitaniu upewniała mnie łamanym językiem, że panie wrócą niezadługo. Potem, rada baba gawędzić, opowiadała, co tam się działo na wiadomość o pożarze w Romanówce, że myślano, iż panna odchoruje ten wypadek, tak mocno cały dzień łzami się zalewała.

Słysząc to, dojmującs rozkosz mnie przejęła! Wstyd mi dziś wyznać: oto rad byłem pożarowi, bo on odkrył drogą dla mnie jej przychylność ku mnie. Doczekałem się ich powrotu z wizyty. Panna dziś w spojrzeniu i w tajnym uścisku ręki, więcej niż zwykle widocznej objawia czułości. Kłopot z tem sercem! Silniejsze poczułem lgnienie ku niej. Pójszły na bok ojcowskie rady i uwagi! To jedynie mam przed oczyma, że ona mnie kocha! A więc znów błagam, aby nie zwlekała mego szczęścia, jeśli pragnie, abym wierzył w jej życzliwość. Ona z powagą upewnia mnie, iż nikogo więcej nademnie szanować nie może, ale razem prosi, abym jeszcze nie nalegał o związek. Ja, mając w myśli chytrego sąsiada, westchnąłem na to i mówię:—Niezawodnie wpływa tu przeciw mnie ktoś niechętny, wróg mój nawet, który chytrze umie zamaskować własne w tem widoki.

— Mylisz się pan—rzekła—nie znam człowieka, któryby tak powszechną, jak pan, zjednał sobie miłość u ludzi.

A wpatrując się w oczy moje, najwymowniej mówi swojemi o tej miłości i znów podawnemu jestem uwięziony.

Wyleżyńscy, dla łatwiejszego wychowania kilkorga drobnych dzieci, przenieśli się na mieszkanie do Lubaru, gdzie u Bazylianów liczna była powiatowa szkoła, a przy niej nauczyciele obcych języków. Wyleżyński, potrzebując pieniędzy, wziął u mnie pięćset rubli, z tem, że je odda w Kijowie, gdzie mam

być w styczniu na kontraktach. Pożyczyłem je u Kazimierza Budzyńskiego, ażeby tamtemu zrobić dogodność.

Tymczasem nowa rozwlekła się chmura nademną. Ojciec mój raz po bytności swej w Romanowie, wróciwszy do domu, gdzie mnie zastał, opowiadał przy wieczerzy rozmowę swoją z senatorem, który zaczął od tego:

— Dowiedziałem się z doświadczeń na gruncie, że poddanka moja ze wsi Romanówki, jakoby przez zemstę za to, że jej syna wzięto w rekruty, podpaliła folwarczne zabudowania, przy których spłonął tok cały. Ja, kochanku, powinienbym wynagrodzić to synom twoim, bo moja poddanka tak wielką im stratę naniosła. Ale chociaż jestem zasłużonym dziekanem senatu, uchylam głowę przed wyrokiem Boga i nie ważę się zmieniać, co On postanowił. Bóg to ukarał Szymona za to, że jest masonem.

Jak gdyby piorun spadł na mnie, tak mnie tem dotknął. Powiedziałem tylko:

— Synowie moi, jako młodzi, mogą jeszcze za łaską Boga dopracować się lepszego bytu i wynagrodzić sobie tę stratę; ale strata na duszy syna mego Szymona jest dla mnie bolesną! O! umarłbym z rozpaczy, gdyby on był istotnie masonem!

Łatwo sobie wyobrazić, co wówczas działo się ze mną, siedzącym u wieczerzy. Potrzeba było jednak z całą przytomnością uspokoić ojca i cośkolwiek prawdopodobnego na własną obronę przemówić.

— Jezuici — rzekłem — obrażeni, że nie u nich, lecz u cudnowskich Bernardynów, jak wszystkim wiadomo, spowiadam się, ten paszkwil wymyślili tam na mnie, a senator, broniąc się od wynagrodzenia, którego my nawet nie żądamy, chętnie tej baśni uwierzył.

Wspomnienie mojej spowiedzi u Bernardynów

ocaliło mnie od gniewu kochanego ojca. I na tem się skończył ów ciężki przeciw mnie zarzut.

Jezuici miewali ciągłą korespondencyę z Petersburgiem, gdzie od 1772 r., czyli od pierwszego rozbioru, przy zajęciu Białorusi z ich kolegiami, mieszkał ich generał. Ten zwyczajem ich zakonu, utrzymując w stolicy rozmaite tajne stosunki, mógł zdobyć wychodzące tam corocznie w języku francuskim pismo pod tytułem *Tableau*, gdzie są przedstawione wszystkie loże masońskie z ich urzędnikami w państwie rosyjskiem, do Wschodu petersburskiego należące. Romanowscy jezuici pewnie otrzymali od swego generała owe „Tableau," gdzie mnie zamieszczono jako urzędnika loży żytomierskiej, do czego miałem już stopień potrzebny, otrzymany w Warszawie. Tę książkę niezawodnie dla oskarżenia mnie przed senatorem okazali mu jako dowód niezbity. Ztąd byłem w ciągłej obawie, ażeby ta książka nie doszła przez jezuitów do rąk mego ojca, który, chociaż po francusku nie umiał, zrozumiałby pod tytułem urzędu mego imię i nazwisko: *Simon Konopacki, chevalier de St. Stanislas.*

Ale Bóg zlitował się nademną, skończyło się na próżnej tylko obawie, a senator Iliński nietylko nigdy nie wspomniał o tym mniemanym grzechu, lecz nawet nie wiem, z jakiego powodu większą dla mnie okazywał względność. Nie było już kwestyi o jego pasierbicę, ażebym się z nią żenił; bo wydaną już była za Rosyanina Panowa, kapitana artyleryi, który ją wkrótce po ślubie porzucił w Romanowie.

W lat kilka potem, widziałem ją przypadkiem w Ostrogu u doktora, w ostatnim stopniu suchot, wynędzniałą i zmienioną do niepoznania. Jakoż dowiedziałem się później, że niebawem umarła, nie pomnę czy w Romanowie, czy w Ostrogu.

Po oskarżeniu mnie o masonię, gdy raz byłem u senatora Ilińskiego, uprzejmie mnie powitał. Po

obiedzie, wezwał do gry w bilard, w której podwakroć byłem zwycięzcą.

— Słuchaj-no, mój wnuciu—rzekł mi—nie dziw się, że cię tak nazywam, bo twego ojca kocham jak syna, chociaż on w latach starszy jest odemnie. Słuchajże, nie zniosę tego dłużej, że ty liczysz sobie przypadkowe karambole. Odtąd musisz powiedzieć mi z góry zanim uderzysz w bilę, gdzie i do jakiej łuzy ma być karambol, a ja, ażeby cię przekonać, żem w grze mocniejszy, daję ci for trzydzieści.

— Zgoda! — zawołałem. — I z temi warunkami, jeszcze prędzej wygrałem.

Dalszą grę przerwał nam jezuita, niosąc sporą księgę pod pachą. Powodem tej księgi była dyskusya przy obiedzie. Senator wymieniał niektórych Polaków przez Rzym kanonizowanych. Ja odezwałem się na to:

— Mnóstwo też jest w plemieniu naszem godnych wspomnienia ze świątobliwości. Czytałem w polskiej starej księdze o Rzewuskim z dawniejszej daty, który był komendantem pewnego oddziału wojskowego w wyprawie przeciw Tatarom, kraj nasz plądrującym. Rzewuski, spostrzegłszy, że nadspodziewanie ogromnego ich tłumu pokonać nie zdoła, opuszcza swoje szeregi, kryje się w niedalekie czahary, a zsiadłszy z konia, pada na kolana, bije czołem o ziemię i prosi Boga o pomoc. Jakoż po jego modlitwie Polacy, w małej garstce, zwyciężyli Tatarów bez porównania liczniejszych.

Senator na to:

— Czy nie szydzisz, ty kochanku, że komendant skrył się w krzaki? Pamiętać trzeba, że serdeczne modły wymagają skupienia się ducha, a to potrzebuje cichej osobności i dlatego tylko ów komendant opuścił szeregi. Ale tu rzecz ważna, że ty, kochanku, mylisz się podobno co do nazwiska owego komendanta; nigdy bowiem nie słyszałem, ażeby któ-

rybądź z Rzewuskich był dawniej lub teraz podobnie świętobliwym.

Tu jezuita odezwał się:

— I mnie się widzi, że jaśnie oświecony senator słuszną robi uwagę; ale ażeby się o tem dokładnie przekonać, po skończonym obiedzie przyniosę Martyrologium, gdzie pomiędzy męczennikami Pańskimi są i świętobliwi pod właściwemi ich nazwisku literami, tam zobaczymy, czy jest jaki Rzewuski, któryby o cud Boga uprosił?

Owóż na wejście jezuity z księgą, złożyliśmy kije bilardowe.

Szukał długo ksiądz imienia Rzewuskich, przewracając kartki, i nie znalazł ani wzmianki o nich. A senator, nachylony nad tą księgą podniósł głowę, westchnął i rzewnie zawołał:

— O Boże! jakże chętnie oddalbym resztę mego życia za to, ażeby mnie po śmierci umieszczono w tej księdze!

Jezuita, pochyliwszy przed nim głowę, przemówił:

— Jaśnie oświecony grafie senatorze! Nie trzeba tak długo czekać na to: za życia twego, za życia, będziesz tu niezawodnie!

Tak mu jezuici pochlebstwem wynagradzali ich fundacyę w Romanowie. Fundacya ta była przezornie zrobioną. Senator pamiętał o niestateczności rzeczy ludzkich, zastrzegł przeto w zapisie, że jezuitom płacić będzie procent szósty od pewnej na jego majątku ubezpieczonej sumy, dopókąd ich zakon trwać będzie w Romanowie. Tymczasem na podaną do tronu skargę przez ministra spraw duchownych i oświecenia, Golicyna, że jezuici w Petersburgu usiłowali nawrócić syna jego do katolicyzmu, cesarz Aleksander I nakazal w 1820 r., ażeby jezuici ustąpili z państwa rosyjskiego, a przeto i z Romanowa przenieśli się do Galicyi, gdzie w Tarnopolu założyli szkołę; przez bullę bowiem Piusa VII, jeszcze pod

dniem 7 sierpnia 1814 roku, odwołaną była bulla Klemensa XIV i zwrócono ich po wszystkich katolickich krajach.

W Romanowie, po wyjściu jezuitów, nie było lustracyi takiej, jąką się wsławił 1774 r. lustrator, później wojewoda kijowski, Józef Stępkowski, o którym stuletnia staruszka, sąsiadka moja, Rabczewska, takie opowiadała przedemną podanie, że kiedy po dopełnionej lustracyi jechał, będąc w Warszawie, karetą sześcią końmi w szorach ozdobionych srebrem, lud na ulicy przyklękał i bił się w piersi, bo powszechnie gloszono, że owo srebro przerobione było z kościelnych kielichów i monstrancyj po-jezuickich.

Lecz wracam do rozmowy mojej z senatorem Ilińskim. Po odejściu Jezuity, widząc mego juryzdatora w najsłodszym humorze, postanowiłem korzystać z tej chwili i w ten sposób zacząłem:

— Jako zaszczycony przez pana senatora tytułem wnuka jego, ośmielam się przedstawić moją prośbę.

— Mów, kochanku, rad będę, gdy dla ciebie cokolwiek uczynię.

— Oto mam zamiar pożegnać Romanówkę, jeśli pan senator uwolnić nas raczy od trzyletniego kontraktu i zwrócić nam dwuletnią pozostałą przy nim tenutę z góry zapłaconą.

— Rozumiem cię, kochanku; chcecie zrzec się posesyi, gdzie od pożaru znacznej doznaliście szkody i gdzie wszystkie folwarczne zabudowania spłonęły. Nie roszczę o to pretensyi, chociaż wedle kontraktu, należałoby je zostawić, jak wam oddano, i zgadzam się na oddanie wam trzydziestu tysięcy złotych, ale nie prędzej, aż posesorowie zwiozą mi pieniądze, to jest dni pierwszych stycznia następnego 1819 roku. Wówczas przyjedź tu, kochanku, a odbierzesz tę dwuletnią tenutę.

Serdecznie podziękowałem mu za tę powolność. Ale niedość na tem: doszło było do nas mniemanie,

nie wiem na czem oparte, że popiół ze spalonego zboża wyda nadzwyczajną ilość potażu i doradzano wyrabiać go w niedalekich lasach senatora. A więc, jak mówią, przy jednym ogniu, upiekło się dwie pieczenie: otrzymałem razem wolne użycie kotłów i opału z całym na ten przedmiot warsztatem. Do nas należało tylko dostawić o dwie mile popioły i opłacić miejscowych w lesie robotników.

Okazało się w końcu, że Romanówka ani z popiołów swoich nie była dla nas korzystną; obrachowawszy bowiem cały nakład na tę fabrykę, nie więcej ze sprzedaży potażu mieliśmy zarobku, jak kilka dukatów, a zachód i trudy około tego przepadły. Strata zaś na tej posesyi z przyczyny pożaru, zliczywszy roczną tenutę, 15 tysięcy złotych i kupione zboże na jary zasiew, przytem spalone remanenta nasze, wyniosła z górą dwadzieścia tysięcy złotych.

Co do dalszych widoków gospodarki naszej, całą myśl zwróciliśmy na to, że byle odebrać w pierwszych dniach stycznia nasze 30 tysięcy złotych, pójdziemy na ukraińską ziemię szukać powodzenia.

Żartował sobie często mój dobry przyjaciel i krewny, Kazimierz Budzyński, już z powtórnych moich amorów; ale w tymże roku, przyszła kreska na Matyska.

Wspomniałem wyżej, że za Cudnowem o milę mieszkali w Tytiunnikach krewni nasi, Trypolscy, a najbliższym ich sąsiadem, we wsi Turczynówce, był zacny Jan Madejski, ożeniony z Wiktoryą Czarkowską, która wprzód była za Chomentowskim. Wdowa jej matka, mieszkająca na Ukrainie we wsi Skibińcach, miała dwóch mężów; z pierwszym Bóg ją obdarzył siedmiu synami i tą jedyną córką. W drugim związku z marszałkiem taraszczańskim, Madejskim, człowiekiem majętnym, miała dwoje tylko dzieci: córkę cudnie piękną, pannę Pelagię, i syna Leonarda. Ich ojciec, lubo tegoż imienia, co Jan Madejski

w Turczynówce, nie był żadnym jego krewnym. Nadto zaś był trzeci Madejski, brat rodzony nieboszczyka marszałka, niegdyś porucznik kawaleryi narodowej, później marszałek także taraszczański, lat sędziwych kawaler, który piękny rokował spadek dla synowca i synowicy. Wdowa marszałkowa Madejska, odwiedzając niekiedy z córką swoją Pelagią córkę z pierwszego małżeństwa w Turczynówce, zabrała tam znajomość z Trypolską, z domu Budzyńską. Ta ujęta pięknem panny Pelagii wychowaniem i jej urodą, skłoniła stryjecznego brata swego Kazimierza Budzyńskiego, aby ją poznał i starał się o jej rękę.

Zdarzyła się po temu okoliczność jeszcze pod koniec 1817 roku, że gdzieś na baliku odróżnił ją od innych, zbliżył się, szukał znajomości z jej matką i w ciągu 1818 roku już dość często powtarzały się jego wizyty na Ukrainie.

W tym roku zaczął mnie wzywać na towarzysza miłosnej podróży do Skibina. Niczem mu było przelecieć potężnych mil osiemnaście stepową drogą, gdzie liche na trakcie karczmy miały tylko gorzałkę dla czumaków, a dla koni owies. Podróżny zaś tem żył tylko, co z domu miał w powozie swoim.

Ku końcowi grudnia, kiedy po słotnej jesieni coraz większe wzmagały się mrozy, a śniegu ani krzty nie było, puszczamy się koczem po grudzie, która nam po kościach czuć się daje. Jak on z moich głośnych uniesień, tak ja teraz z niego przedrwiwam, że oczyma tylko chce wybadać pannę, a nigdy choćby jednem słowem nie dał jej poznać świętych zamiarów. Przyrzekał więc poprawę w tem, że ta bytność w święto Bożego-Narodzenia albo będzie ostatnia, albo mu szczęście narodzi. Nakoniec, po mękach nieznośnej podróży, wjeżdżamy na dziedziniec przed dom skibiniecki. Ja, zważając na to, że on tu zawsze chętnie jest przyjmowany, a jako rozsądny, przystojny i nie fircyk w zalotach, bo liczył

już lat 36 i odbył urzędowanie podkomorzego, a nadewszystko, jako przy owych przymiotach trzech pięknych wsi dziedzic, stanowił dla tej panny przyzwoitą partyę, pewny byłem, że mu powiedzie się otrzymać jej rękę, byle o to raz przemówił do niej.

A przeto, mając wysiadać z powozu, powiedziałem mu te słowa:

— Uprzedzam cię, jeśli dziś nie dasz poznać pannie, po co tu bywasz, to ja przy tobie otwarcie jej powiem.

— Na miłość Boga — zaklina mnie — wstrzymaj się! Już sam niezawodnie oświadczę się.

Zastaliśmy, jak zwykle, staruszkę marszałkową i pannę, które nas życzliwie powitały. Synowie pani Madejskiej z pierwszego jej małżeństwa, młodsi i starsi, rozpierzchnieni po Ukrainie, własne mieli domy i tylko w uroczyste święta zjeżdżali się do matki.

Z siedmiu Czarkowskich jeden w wojsku rosyjskiem zginął oficerem w czasie wojny z Turcyą; a z sześciu pozostałych najstarszy tylko Antoni był dotąd żonaty. W ciągu dnia naszego przybycia, zajmując staruszkę rozmową, miałem na oku Kazimierza w tymże pokoju i pannę i podsłuchałem ważny przedmiot ich gawędy: kawaler utyskiwał tylko na bezśnieżną zimę, a panna wzdychała do Boga o śnieg, aby jej bracia Czarkowscy śpieszniej na święta przybyli.

Niecierpliwił mnie Kazimierz, wiedziałem bowiem, że ją rzetelnie szanował i kochał, jak żadnej dotąd. Gdy po wieczerzy, około dziesiątej, wyszliśmy spać do zwyklego tam naszego pokoju, żartowałem z niego, winszując mu zgody z panną w żalach nad brakiem śniegu. On mnie upewniał, że jutro już niezawodnie inaczej z nią pomówi. Ja milczałem na to, a postanowiłem sobie, że byle okoliczność po temu się trafi, to go w tem wyręczę. Nazajutrz o godzinie ósmej weszliśmy powitać marszałkową w jej

pokoju, gdzieśmy zastali i pannę Pelagię. Staruszka, trochę cierpiąca na zdrowiu, z twarzą podwiązaną, siedziała na kanapce przy piecu; naprzeciw tej kanapki, o trzy kroki, stał stolik pod oknem, a przy nim po jednem krześle po obu stronach; na jednem z nich siedziała panna, ja usiadłem na drugiem, a Kazimierz przy staruszce. Toczyła się rozmowa dość koszlawa o rzeczach obojętnych. Wtem marszałkowa zapytuje córkę, czy już posłano po księdza? Córka uspakaja matkę, że już dawno posłano.

Ja wówczas odzywam się do panny:

— Komu tu ksiądz potrzebny?

— Mama będzie się spowiadać.

— Czy też i pani? — zapytałem.

— Nie, tylko mama.

— Ach, pani! Radzę jej spowiadać się!

Zarumieniona w zdziwieniu pyta:

— Czy panu znane są moje grzechy?

— Znam jeden, ale główny, śmiertelny! Pani zabijasz Kazimierza z krwią zimną, a on panią tak kocha, że nie jest w stanie wypowiedzieć tego.

Mówię tak głośno, że Kazimierz to słyszy. Panna, okropnie zmieszana, ucieka z pokoju, a Kazimierz w ślad za nią.

Staruszka zdziwiona, że on, nie dosłuchawszy jakiegoś jej opowiadania, wymknął się raptownie, pyta mnie:

— Co to się stało?

Ja zbliżam się, biorę ją za rękę i mówię:

— Racz pani przebaczyć mi, żem poufale postąpił z jej miłą córką: objawiłem przed nią, co Kazimierz dotąd w mękach serca taił.

I gdy ją w rękę całuję, ona mi mówi:

— Nie mam co przebaczać, owszem, bardzo ci dziękuję — i w czoło mnie pocałowała.

A w tejże chwili oboje młodzi wchodzą, przyklękają przed matką, całują w kolana i proszą o błogosławieństwo. Rzewna była radość staruszki. W uści-

skach koleją to córki, to narzeczonego, łzami ich skropiła. I ja nie mogłem być obojętnym świadkiem dramatu, rad mojej inwencyi ku szczęściu dobrego Kazimierza, łzy poczułem w oczach. On później w lat kilka chciał mi to odwdzięczyć; ale plan jego, dla wielu powodów, nie był zgodny z mojem widzeniem rzeczy. Opowiem to pod właściwą datą. We dwa dni po tych oświadczynach zjechali się do marszałkowej synowie jej, panowie Czarkowscy, z którymi Kazimierz już był dawniej znajomym. Ja zaś, po raz pierwszy poznając ich tam wszystkich, niemało byłem zmieszany, gdy Teofil Czarkowski, podając mi rękę, przemówił:

— Wszak my się znamy z Warszawy.

Jemu to bowiem, z obawy miejskich filutów, jak się wyżej rzekło, odmówiłem kredytu. Przybył z nimi i brat ich cioteczny, Stanisław Dunin, którego matka była rodzoną siostrą pani Madejskiej. On później, w roku 1826, ożenił się z młodszą moją siostrą. Najweselej przeświętowaliśmy w Skibińcach. Przy uroczystej zamianie pierścionków w obecności przybyłego stryja panny i przy jego błogosławieństwie oznaczono termin ślubu na dzień 1 kwietnia 1819 roku.

Na termin umówiony przybywam do Romanowa po dwuletnią niewytrzymaną tenutę pierwszych dni stycznia 1819 roku. Zastałem w kancelaryi kilku posesorów, płacących należność za dzierżawy. Ale wszedłszy do senatora, widzę go z chmurą na czole. Z rachunku za brakujące sukna, które z fabryki swojej obowiązał się dostarczyć dla wojska, w czem go zawiódł Niemiec naczelnik fabryki i wziąwszy pieniądze dla sprowadzenia lepszych machin, nie wrócił już nigdy, widzi senator konieczność sprzedania części majątku i ztąd owa chmura na czole. Powitał mnie dość uprzejmie. Polecił sekretarzowi swemu, panu Karolowi Bochęckiemu, aby mi wypłacono 30 tysięcy złotych. A gdy przypomniałem, że od tej sumy

należy się nam roczny procent tysiąc osiemset złotych, senator, ostro spojrzawszy, odezwał się:

— Czyliż ja u was pożyczałem ów kapitał?

Zamilkłem na to i pożegnałem go, rad, żem odebrał naszą sumkę kapitalną.

Przybywam do państwa Wyleżyńskich w Lubarze mieszkających, aby nakoniec otrzymać rozwiązanie moich zabiegów o rękę panny Maryi Bukarówny. Na moje serdeczne nalegania panna, jak gdyby mająca lat piętnaście, znów mówi mi, że to jest zawcześnie, że potrzeba, abym się jeszcze powstrzymał. Silnie tem zniecierpliwiony, pożegnałem ją temi wyrazy:

— Może Bóg nam da ujrzeć się za lat pięćdziesiąt w tym samym stanie, w jakim dziś jesteśmy.

Gdzie ją potem widziałem i za kogo wyszła za mąż, w swojem miejscu opowiem.

Józef Malinowski, o którym wyżej wspomniałem, że kwaterował u mnie w Żytomierzu, gdym atentował w tamtejszej palestrze, już się był ożenił z owdowiałą księżną Adamową Ponińską, z domu Trzeciakówną. Ta wdowa, mająca dwóch synów z Ponińskim, a czarująca wdziękiem urody, posiadała po nim zapis darowizny kapitału trzykroć osiemdziesiąt tysięcy złotych, który był na procencie u Potockiego w Tulczynie. Malinowski zaś, żeniąc się z nią, wziął w spadku po bezdzietnym stryju trzy wioski w powiecie Skwirskim, z wyborną ukraińską ziemią, jako to: Wolnopole, Carówkę i Czerniatyn. Pierwsza z nich i trzecia były już wypuszczone w dzierżawę. Carówka została do wzięcia. Powziąwszy o niej wiadomość, szukałem Józefa Malinowskiego i znalazłem go u brata jego, Kajetana, w Trusiłówce.

Tam bez długich targów, gdy mi pokazał kontrakt, wedle jakiego trzymał tę wieś dotąd pan Pału-

ski, płacąc mu rocznie dziesięć tysięcy złotych, spisałem z nim kontrakt z tem, że on wypuszcza Carówkę w czteroletnią dzierżawę na wspólne imię moje i brata mego Franciszka za czterdzieści tysięcy złotych—i tę sumę zaraz mu wypłaciłem w złocie, dwoma tysiącami dukatów, które z sobą miałem. Uprzedzeni bowiem byliśmy o warunkach tej dzierżawy i na to brat mój dopożyczył dziesięć tysięcy złotych.

Już zupełnie swobodny, stawiłem się na wezwanie kochanego Kazimierza Budzyńskiego, aby mu towarzyszyć w podróży do Skibiniec, do jego narzeczonej, a ztamtąd do Kijowa na kontrakty, lubo on tam żadnego nie miał interesu.

Na tych kontraktach znachodził się osobiście senator Iliński i rozprzedzał wszystkie wioski z miasteczkiem Ułanowem, stanowiące niegdyś starostwo ułanowskie, darowane senatorowi od cesarza Pawła. Nie wiem z pewnością, wiele tam dusz wogóle liczono; chodziły tylko wieści, że więcej niż dwa tysięce— a za każdą duszę wziął senator po sto dukatów. Ziemia też w tym majątku, wedle powszechnego mniemania, warta była tej niepraktykowanej na Wołyniu ceny. W tej prowincyi bowiem wyżej nie ceniono duszy z ziemią, jak 50 lub 60 dukatów. Załatwił senator tą sprzedażą interesy dokuczliwe z ministrem finansów. Ale już nie miał, jak wprzódy, rocznego dochodu milion dwakroć sto tysięcy złotych. Ztąd też ograniczył swoje rozchody. Upadła opera włoska i teatr niemiecki. Pozostała jeszcze wyborna orkiestra, muzyka rogowa, balety i muzyka wokalna — bo na to wszystko, po większej części, miał już usposobioną młodzież z pomiędzy włościan swoich.

W Kijowie Wyleżyński, ujrzawszy mnie w klubie, szepnął mi, abym był u niego wieczorem dla odebrania pożyczonych mu pięciuset rubli srebrnych. Tegoż dnia, widząc się tam z przyjacielem moim, zacnym Antonim Pawszą, przyjmuję propozycyę jego,

abyśmy dziś zrobili o zwykłej wieczornej porze wizytę w kijowskiej □.·. O umówionej godzinie, zajechał po mnie Pawsza. W przejeździe przez ulicę, gdzie miał kwaterę Wyleżyński, wstrzymałem naszego fiakra, powiedziałem Pawszy, iż wnet powrócę. Wchodzę do wskazanego mi domu i zastaję w obszernej sali stół mocno oświetlony, wokoło niego siedzących z kartami w ręku poniterów, a na ich czele siedział Wyleżyński. Przy nim był bank, leżała przed nim dość spora kupa dukatów — grano w faraona. Rzuciwszy przelotnie okiem, nikt z poniterów nie był mi znajomy. Wyleżyński podał mi na powitanie rękę i szepnął:

— Idź w te drzwi za mną, tam odbierzesz pięćset rubli od mego ekonoma w trzecim pokoju.

Zaledwie tam wszedłem, ekonom, znając mnie, wnet wyjmuje z pod poduszki worek z pieniędzmi i prosi, abym przeliczył sobie, bo worek nie był pieczętowany. Powiedziałem mu:

— Ja wierzę, iż tu jest pięćset rubli, ale proszę pana, abyś ten depozyt raczył jeszcze u siebie zatrzymać. Jutro przed południem będę tu dla odebrania tych pieniędzy.

Odjechaliśmy z Pawszą w zamierzoną wizytę.

Nazajutrz przed południem jadę do Wyleżyńskiego. Bocznemi drzwiami od ulicy wchodzę do jego ekonoma. Zmieszał się widocznie.

— Ach! nieszczęście, panie! Widziałeś pan pewnie kupę złota przed panem marszałkiem. Otóż wszystko to poszło pomiędzy wczorajszych jego gości. Chciał koniecznie odegrać się. Wpada do mnie i pyta, czy panu oddałem jego pieniądze. Kłamać nie umiem. On wziął pański woreczek z pieniędzmi i przegrał co do grosza. Bądź pan spokojny, on niezawodnie odda mi je, chociaż żadnego na to nie wziąłem rewersu.

Na trzeci dzień potem Wyleżyński pokazał się w klubie. Z uśmiechem podchodzi ku mnie i rzecze

— Przebacz, żem użył twego depozytu. Był to fatalny wieczór; ale teraz racz udać się do mnie, a mój ekonom odda ci twoją należność. Bardzo ci dziękuję za kredyt.

Jakoż natychmiast, udawszy się tam, odebrałem 500 rubli.

Kazimierz Budzyński wezwał mnie na towarzysza wyprawy do Lwowa, gdzie, potrzebując odnowić swą garderobę na ważny akt ślubowin, zamierzał taniej i doborniejsze porobić sprawunki. Chętnie zgodziłem się na tę podróż, bom ciekawy był ujrzeć stolicę królestwa Galicyi i Lodomeryi. Ta Lodomerya zabijała niegdyś klina w młodzieńczą głowę moją. Ale gdym był już w piątej klasie u Pijarów międzyrzeckich, mój czcigodny profesor, Seweryn Kulikowski, objaśnił mnie, iż to nazwanie pochodzi od Włodzimierza, miasta wołyńskiego, które niegdyś było stolicą księztwa, do którego Węgrzy od czasu Ludwika króla węgierskiego i polskiego urościli sobie niesłuszne prawo i z rzeczy tego niby prawa, przy pierwszym rozbiorze Polski 1772 roku, zajęli Ruś Czerwoną, którą od księztwa niegdyś Halickiego nazwali Galicyą, dodając z tejże pretensyi tytuł uroszczeń do księstwa włodzimierskiego, zowiąc je Lodomeryą. Dodać tu potrzeba, że pobożna Marya Teresa, cesarzowa niemiecka, królowa węgierska, za podszeptem sumienia, wahała się, czy ma zezwolić na podział Polski, do czego ją skłaniał jej minister, Kaunitz. A ja, nie wdając się w dyplomatykę, wracam do rzeczy.

We Lwowie zastaliśmy Henryka hr. Rzewuskiego, który nas poznał z sędziwym hrabią Chołoniewskim, jednym z dygnitarzy austryackich. U niego na wieczornem zebraniu poznałem poważną wiekiem podkomorzynę Sulerzycką, której niegdyś wdzięki pod imieniem Rozyny, jak mi tam mówiono, wsławił w Sielankach Franciszek Karpiński.

Śmiało patrzyłem w oczy tej Rozynie. I nię-

stety! Wpadłem tylko w zadumanie, jakie niegdyś przejmowało Maryusza wpośród gruzów Kartaginy. Karpińskiego Justyny i Rozyny, te powiędłe i z liści opadłe kwiaty, takie już tylko sprawiały wrażenie, gdy on pewnie z pamięcią o nich żył jeszcze; nieprędzej bowiem to serce wylane dla nich bić przestało, aż w roku 1825. Wówczas-to na mogile swojej kazał położyć ten skromny napis: *Otóż mój dom ubogi.* Wyrazy początkowe wiersza p. n. *Powrót z Warszawy.* Żył lat 85.

Rzewuski poznał mnie też z panem Chłędowskim, redaktorem „Pamiętnika Lwowskiego", i wypłatał mi figla, bo w okolicach naszych zarwawszy u kogoś kilka niepoprawnych wierszydeł moich, nawet poprzekształcanych, dał je do tego „Pamiętnika". A redaktor, pomnąc na przysłowie: Na bezrybiu dobry i rak, przyjął je i wydrukował.

W teatrze widzieliśmy Rzewuskiego w loży, asystującego damom. Powiedziano nam, że były to panny posażne z Ukrainy, Szałajskie z matką, i że o jedną z nich on czynił zabiegi. Nie pomnę, czy taż sama wyszła potem za hrabiego Tyszkiewicza, który dość długo piastował urząd kijowskiego marszałka gubernialnego. Będąc raz na kwaterze u pana Henryka, poznałem najmłodszego z nich, Ernesta, który tam brał nauki. Miał wówczas nie więcej jak lat trzynaście, a główkę dość rozwiniętą.

U lwowskiego żyda antykwaryusza zdarzyło mi się kupić za liche pieniądze sześć tomów dzieła, p. t. „Description et critique de l'Italie par M. l'Abbé Richard". Ktokolwiek ze szczęśliwą pamięcią przeczyta to dzieło, może tak dokładnie prawić o sztukach pięknych u Rzymian i Greków, jak niegdyś uczony badacz starożytności Winckelmann, albo jak gdyby wrócił z wystawy arcydzieł tych obu narodów. Mam dotąd to dzieło.

Skoro Kazimierz ukończył swoje przedślubne sprawunki i załatwił się z krawcami, którzy wedle

najświeższych żurnalów odzieli nas po raz pierwszy w szarawarki, w miejsce dawniejszych opiętych spodni wchodzących w buty, wyruszyliśmy ze Lwowa. W powrocie naszym Kazimierz postanowił zboczyć cokolwiek z drogi, wiodącej do Brodów, aby odwiedzić krewną swego ojca, wdowę panią Szumlańską. Przybycie tam nasze wielką jej radość sprawiło. Była to niegdyś piękność galicyjska; ale już widocznie dźwigała brzemię lat czterdziestu kilku, ztąd żyła tylko rozpamiętywaniem doznanych tryumfów; ale przy tem, jakby znużona długiemi niegdyś zwycięztwami, mdlejącem spojrzeniem zdawała się wyzywać nas jeszcze do złożenia hołdu. W lat kilka później znalazł się hołdownik, młody, silny, a szukający chleba próżniak, który poprzysiągł wiarę — jej wiosce.

W Brodach dzień jeszcze cały Kazimierz poświęcił na dokupienie szczegółów zapomnianych we Lwowie. W ciągu tego dnia zjawił się na naszej kwaterze Żyd biedny, stary, w podartem odzieniu, który niegdyś, jak nam mówiono, był bogatym, a straciwszy całe mienie na ryzykownych spekulacyach, z rozpaczy dostał pomieszania zmysłów i w tym stanie przeżywszy całą rodzinę, dziś wałęsa się o żebranym chlebie. Kazimierz, zdjęty litością, dał mu pół rubla. Biedak, uniesiony wdzięcznością, nazwał go cesarzem austryackim i powiedział mu łamaną polszczyzną:

— Najjaśniejszy panie! Mój wspaniały cesarzu! Spojrzeć na ciebie tak dla mnie miło, jak biednemu Żydkowi miło jest podrapać się, kiedy ma krostę. Ty jesteś... och, ty jesteś jak chudy wieprz, który się wypasa po cudzych ogrodach! Tyś bogaty aż strach! Ty wielki pan, jak nasz pastuch miejski, który przez cały dzień panuje nad niezliczoną trzodą, silniejszą niż on, a głupią jak my, co także boimy się twojego kija. Oj tak! tyś podobny do niego, bo gdy wieczorem rozejdą się krowy po domach

Icków i Moszków, pastuch, oddawszy co komu należy, zostaje tylko przy kiju! At!... — Na tym wyrazie skończywszy mowę jakby do swego cesarza, podniósł rękę, wskazał palcem na niebo i zawołał:— Tam jest prawda!

Po moim powrocie z Galicyi nie miałem dość wolnego czasu, aby zajrzeć i poznać wziętą w dzierżawę Carówkę. Kochany mój brat Franciszek wyjechał tam na oględziny i w końcu marca zaczął już obsiewać pola jarzyną, jaką łatwo nabył u mieszkającego tam jeszcze przeszłego dzierżawcy, pana Pałuskiego, o którym niżej coś powiem.

Zbliżał się termin ślubowin Kazimierza; ztąd on nalegał, abym nieodstępnie mu towarzyszył. Gdy raz na dwa dni odjechałem o cztery mile do moich rodziców, po powrocie moim zastałem go w niemałym kłopocie. Zdarzyła się, nie pomnę jaka, lecz konieczna potrzeba korespondencyi ze Skibińcami. Trzeba było pisać list do panny Pelagii. Przy powitaniu zawołał:

— Ach, Szymonie! Bóg cię tu zesłał! Ratuj mnie! Co ja do niej napiszę!

— To, co myślisz o niej, co dla niej czujesz; i przyłącz razem przedmiot swego listu.

— Tak ci się zdaje, że to nietrudno. Już dwa listy zdarłem. Tobie łatwiejby to poszło, boś ty pewnie miłosne listy pisywał.

Jakoż udało mi się w myśl jego trafić, a on list przezemnie ułożony przekopiował.

Nakoniec, w ostatnich dniach marca, ciotka moja, a matka Kazimierza, wziąwszy do swej karety moją młodszą siostrę, a osobną karetą także o sześciu paradnych koniach Kazimierz ze mną, razem z pakowną za nami bryką, puściliśmy się o mil ukraińskich osiemnaście stepami do Skibiniec. Tam już codziennie zjeżdżało się rodzinne liczne towarzystwo Madejskich i Czarkowskich; przybył też i cioteczny brat ich, Stanisław Dunin, który w ciągu na-

szego tam goszczenia miał sposobność przypatrzyć się i poznać moją siostrę.

W dniu pierwszym kwietnia 1819 roku, gdy w sali skibinieckiej, śród licznego zgromadzenia familijnego, wszystko już wyprężone oczekiwało na pannę młodą i ksiądz w zwykłym aparacie stał przy oświetlonym stole, stanowiącym ołtarz, wchodzi nieśmiałym krokiem, o białym rozpuszczonym woalu czarująca wdziękiem dziewica. Wnet podałem jej rękę, aby ją doprowadzić ku jej poważnej matce po błogosławieństwo. Moja siostra z drugą panną dopełniły tej samej ceremonii, wiodąc Kazimierza do obu matek, i przywiedliśmy tę parę przed ołtarz. Wobec świątobliwego milczenia całego zgromadzenia wymówili dość głośno: *Biorę sobie ciebie...* Ksiądz króciutko wyłożył rzecz o tym Sakramencie, a panna młoda znowu była w objęciu matki. Ja zaś zbliżyłem się do staruszki ze zwykłem przy takich obrzędach powinszowaniem i gdy ją z uszanowaniem całuję w rękę, ona, złożywszy na czole mojem serdeczny pocałunek, rzekła mi:

— Do mojego dziś szczęścia braknie mi tylko drugiej córki, abym ją tobie oddała.

Był to wybuch najszczerszej radości. O intercyzie ani wzmianki nie było. Z tem wszystkiem, lubo nikt o tem nie wspomniał, Kazimierz odebrał wkrótce dwakroć sto tysięcy złotych, a potem w dodatku miasteczko Konełę, co z porządną w srebrach wyprawą stanowiło wogóle więcej niż sto tysięcy rubli srebrnych. Poczciwy Kazimierz, żyjąc tylko lat kilka po tym uroczystym akcie, ciągle dowodził mi najszczerszej życzliwości za przyspieszenie swego szczęścia w tym związku, co niżej w rozmaitych datach przywiodę.

Wróciwszy ze Skibiniec, zabawiłem dzień jeden u rodziców i nakoniec wybrałem się do gubernii Kijowskiej, powiatu Skwirskiego, do Carówki na jej dzierżawę łączną z bratem Franciszkiem. Wioska stepo-

wa, najmniejszego nie miała powabu, ani gałązki drzewa, gdzieby wróbel spoczął. Za domkiem ogród tylko ne marchew i kapustę. W domu, po drugiej stronie przez sień tylko, zastałem przeszłych dzierżawców państwa Pałuskich, ludzi lat już sędziwych, którym brat mój dozwolił zająć dwa pokoiki na czas jakiś.

Przybyłem dnia 9 kwietnia 1819-go roku, jak dobrze pomnę. Franciszka nie zastałem; pilnował wówczas dosiewu jęczmienia, nie spuszczając się nigdy na dozór samego ekonoma. Wnet poznałem się z państwem Pałuskimi. Ich córka była za Łukaszem Golębiowskim, autorem dzieł wielu, chlubnie znanym w piśmiennictwie naszem, którego Tadeusz Czacki umiejąc ocenić różnostronną naukę, wezwał na bibliotekarza do Porycka, gdzie on i po śmierci Czackiego był nieodstępnie aż po rok 1818, w którym książę Czartoryski nabył bibliotekę porycką do Puław, gdzie Gołębiowski, nad połączonemi bibliotekami, miejscową i nabytą, ten sam spełniał obowiązek. Państwo Pałuscy, mając osobną swoją kuchnię, przemieszkali u nas kilka tygodni i nakoniec, już nie pamiętam, czy do zięcia swego, do Puław, czy w inną udali się stronę.

W ciągu tych kilku tygodni zabrawszy bliższą znajomość z panem Pałuskim, gdym raz dostrzegł u niego na stoliku pomiędzy książkami znane dla mnie z samej tylko sławy dzieło Tadeusza Czackiego: *O litewskich i polskich prawach*, wyszłe w Warszawie 1800 roku, i wziąwszy do rąk tom 1 y, gdym rzucił okiem na kilka początkowych wierszy cudnej przedmowy, uczułem niezwalczoną chętkę, choćby za najwyższą cenę, nabyć koniecznie to dzieło. A więc proszę staruszka, czy nie zechciałby ustąpić.

On mi na to:

— Mogę to uczynić, ale z warunkiem, że przy

tych książkach pan razem nabędziesz mój duży czeret słomy, dotąd niesprzedany, jaki mam na toku.

— Ileż panu za słomę i razem za te dwie książki należeć się będzie?

— Warto panie dać czterdzieści złotych.

Podałem mu rękę:

— Natychmiast je przyniosę.

A tak, strąciwszy za niezliczoną ilość fur słomy choćby cztery ruble, nabyłem za dwa ruble to dzieło nieocenione w dużym formacie ćwiartkowym, ten w samych przypiskach las wiadomości encyklopedycznych, czego po dzisiejszych księgarniach na wagę złota nabyć już nie można. To dzieło, drogie mianowicie dla nas, mam dotąd u siebie.

Nim wyjechali z naszego domu państwo Pałuscy, on sam udał się był gdzieś w sąsiedztwo. Żona jego, dobra staruszka, spotkawszy mnie w sieni i jak zwykle pozdrowiwszy, przemówiła:

— Uważam, że pan lubisz książki niekoniecznie nowe. Może u nas znajdzie się coś ciekawego z dawnych czasów na górze. Mój mąż, nie mając gdzie tego mieścić, kazał złożyć pod strychem.

Prosiłem o udział z tej podstrychowej biblioteki. Wnet jej służąca, dziewka, wdrapała się po drabinie na górę i zrzuciła do sieni mnóstwo rozszarpanych i całych broszur i oprawnych książek, kilka zeszytów „Monitora" i część dyaryusza czteroletniego sejmu. Schwyciłem tę część dyaryusza, którego reszty napróżno szukano, wziąłem kilka dzieł całych, a pomiędzy niemi broszurę zajmującą pod tytułem: *Zbrodnia Henryka Niemirycza* i bardzo wdzięczny byłem staruszce za ten posiłek umysłowy. O życiu Henryka Niemirycza i tragicznem rozwiązaniu jego zbrodni powziąłem wiadomość dokładną w części z tej książki, a w części później z opowiadania mojego teścia, który był jego blizkim krewnym.

Henryk Niemirycz był jedynym synem bogatego Niemirycza, podkomorzego owruckiego. Gdy po

śmierci ojca spadł na jedynaka znaczny, bo kilka milionów stanowiący majątek, matka jego, z domu Krzucka, opiekując się nim w samym kwiecie młodości, wyszła powtórnie za Walentego Łaznińskiego łowczego wielkiego koronnego, z którym nie miała potomstwa.

Ztąd więcej jeszcze otaczając pieszczotą jedynaka, chciała mu świetny los zapewnić przez wychowanie wcale nie szlacheckie, lecz jakie tylko ton ówczesnej arystokracyi uznawał za najwytworniejsze. Otoczyła go cudzoziemcami pod naczelnictwem Francuza, który nauczył go nietylko mówić, ale i wierzyć po swojemu. Duchem przeto Woltera przejęty, szydził młodzieniec z tajemnic wiary naszej. Gdy dorósł lat zupełnych i objął ojczyste dobra, natychmiast zamieszkał w Warszawie, zkąd oficer wojsk koronnych, Franciszek Łazniński, późniejszy znakomity generał, pisywał o nim do jego ojczyma, a swojego krewnego, Walentego Łaznińskiego, że Henryk Niemirycz świetne ma powodzenie po stołecznych salonach; że ukształcenie wedle mody i śmiałość w zasadach dają mu tam przystęp, a nadto, że dowiedziawszy się o czwartkowych u króla obiadach dla uczonych tylko, postanowił iść na wyścigi z królem i przez rok cały daje codziennie na sto osób obiady [1]).

Tak marnie strwoniwszy Henryk Niemirycz cały swój majątek, wyniósł z Warszawy tę jedyną korzyść, że stał się znanym dla niektórych dygnitarzów koronnych, wojewodów i kasztelanów. Gdy wrócił na Wołyń, gniazda niegdyś magnatów, nie mając własnego przytułku, wałęsał się po ich domach, znanych mu w stolicy. W ostatku, złączywszy się

---

[1]) Te listy Franciszka Łaźnińskiego dawał mi czytać mój teść Łaźniński, synowiec i jedyny spadkobierca po łowczym koronnym.

z niecnym Kajetanem Miączyńskim, przybył z nim raz blizko granicy austryackiej do pani Igelstromowej, przy której bawiła piękna jej siostra. Było to w sobotę przed niedzielą Kwietną. Nazajutrz, przy obfitem a wesołem śniadaniu, gospodyni rada gościom, którzy podzielają jej we wszystkiem przekonanie, odezwała się żartem:

— Słuchajcie panowie! Gdy my swobodnie bluźnimy przeciw Kościołowi, oto w tejże chwili dzwony tuż obok powołują lud Boży, aby się bił w piersi za winy i szukał ich rozgrzeszenia.

Niemirycz na to:

— A prawda! mówiono mi, że u pani jest kościół parafialny. Cóż nam przeszkadza, choć wprawdzie po śniadaniu, ale czystymi na sumieniu, przystąpić z ludem Bożym do Komunii? Bo co do spowiedzi, już ją dziś dopełniliśmy pomiędzy sobą.

— Brawo, brawo! — śród śmiechu zgodnie zawołano.

Wnet pojazdy już były gotowe. Przybywają do kościoła. Pani Igelstromowa, jej siostra i Miączyński usiedli w ławce, gdzie dla nich tylko znalazło się miejsce; a Niemirycz usiadł po drugiej stronie ławek przy nieznanej damie, modlącej się z książki; przy tej zaś ławie, tuż obok Niemirycza, klęczał głośny z żarliwej pobożności pan Falkowski, skarbnik łucki, w kontuszu i z karabelą przy boku. Niebawem na odgłos dzwonka przy ołtarzu owa dama przyklęka, uchyla głowę i bije się w piersi. Niemirycz pyta:

— Co to jest?

— Biorą Przenajświętszy Sakrament.

Rzucił okiem ku ołtarzowi i widzi już tam klęczące całe swoje towarzystwo. A więc spieszy do nich, przyklęka i przyjmuje z kolei Komunię. Wróciwszy do swej ławki, gdzie dama już z pamięci się modli, bierze jej książkę i pomiędzy kartki z ust wypuszcza komunikant. Skarbnik Falkowski zrywa

się z kolan, dobywa pałasz, grozi nim i woła na cały kościół:

— Kacerstwo! Herezya! Zdeptanie świętej wiary naszej! Potępiony niech będzie przeklęty bluźnierca! Śmierć jemu na duszy i ciele!

Miączyński, trafnie domyślając się, że ten głos powstał przeciw jego koledze, śpieszy ku niemu i szepce:

— Umykaj rychło po za ławką pod ścianę, bo mogą cię schwycić.

Winowajca, przepuszczony przez damę, uszedł szczęśliwie. Dostał się do swego powozu przed kościołem i jako nad granicą niedaleko od Brodów, tam wkrótce już bezpieczny stanął. Pani Igelstromowa na jego odezwę posłała mu niewielki pieniężny zasiłek, który jednak wystarczył na podróż do Paryża. Tam zaciągnął się do oddziału wojska francuskiego, który był przeznaczony do Martyniki, gdzie zaczynał służbę od prostego szeregowca. Działo się to na lat kilka przed francuską rewolucyą 1789 roku. Tymczasem na formalną delacyę, uczynioną przez skarbnika Falkowskiego tak do akt grodzkich, jako też do dycezyalnego biskupa, rozpoczął się kryminalny proces przeciw Niemiryczowi. Sąd na to składał się z senatorów i biskupów. Instygatorem w tej sprawie był wyznaczony podczaszy wielki koronny, Michał Czacki, brat starszy Tadeusza. W ciągu procesu, nikt z familii, ani z mniemanych przyjaciół nie śmiał wstawiać się za bezbożnym. I gdy Henryk Niemirycz na jednej z wysp antylskich w Ameryce żołnierski dźwiga karabin, komisya zaocznie względem niego skazała go na ucięcie mu języka.

Gdy później, w roku 1826, ożeniłem się z panną Klementyną Łaźnińską, ojciec jej, jako najdokładniej świadomy dalszych losów Henryka Niemirycza, opowiadał przedemną, że po bogatym podkomorzym Niemiryczu, oprócz syna Henryka, pozostała córka; że ta, wyszedłszy za Wojciecha Łaźnińskiego,

brata Walentego, który wprzódy stał się jej ojczymem, miała z Wojciechem jedynego syna, którym był teść mój Łukasz, synowiec i spadkobierca po bezdzietnym łowczym w. koron.; — że przeto Henryk Niemirycz był jego wujem, ale zupełnie mu nieznanym; — że ten jego wuj po latach dwunastu służby wojskowej w Martynice, gdy wziął dymisyę już po rozbiorze Polski i przemieszkiwał czas jakiś we Francyi, poznał się tam z podróżującym rosyjskim generałem, Bawrem, który, uznawszy w nim wysokie ukształcenie, polubił go i skłonił do wejścia w służbę rosyjską z zapewnieniem mu tejże rangi majora i wpływów swoich o uwolnienie go od ciężącej na nim w kraju okropnej kary. Jakoż Henryk, wszedłszy na czas jakiś do rosyjskiej służby wojennej, otrzymał od cesarza Aleksandra I go przebaczenie winy przeciw Kościołowi. Następnie dymisyonowany, wrócił swobodnie na Wołyń i odwiedzał znane sobie domy ostatnich Rzeczypospolitej dygnitarzy. Teść mój, będąc raz z wizytą w niedalekim od siebie Tuczynie u Walewskiego, wojewody sieradzkiego, zastał tam nieznanego sobie starca.

Wojewoda, po przywitaniu gościa, zapytał go:

— Panie Łukaszu! Czy nie poznajesz, kto to jest? Wszak to brat rodzony twojej matki, Henryk Niemirycz.

Nastąpiło rzewne poznanie się, po którem pan Łazniński najusilniej prosił wuja, aby raczył zamieszkać u niego.

— Nic z tego nie będzie — rzecze mu — bo waćpan będziesz mi wymawiał dany mi przytułek i kawałek chleba.

Z tem wszystkiem, w kilka tygodni później dokuczyło mu widać wycieranie cudzych kątów, gdyż przyjechał do siostrzeńca i zamieszkał w oficynie. Tam mu przynoszono jedzenie i ulubione trunki, których nadużywał, mianowicie wódki. Wpadłszy w nałóg pijaństwa, mocno zachorował. Sprowadzony doktór

medycyny uznał bezskuteczność leków, bo wewnątrz była już gangrena. Pani Łaznińska, kobieta pobożna, wezwała księdza, kapelana z Hulczy. Ten zaledwie się zjawił, Niemirycz temi słowy się odezwał:

— A ty po co tu? Precz z oczu! Ja mógłbym cię lepiej niż ty mnie nauczyć!

Ksiądz cicho zniósł zniewagę i odjechał.

Ale w pół godziny, gdy silne bóle wewnętrzne zaczęły się wzmagać, chory zaczął krzyczeć:

— Księdza, księdza!

Zawrócony z drogi kapelan pośpieszył, lecz chory utracił już mowę i wśród męki skonał. Było to 1815 r. Pan podkomorzy Łazniński pochował wuja swego przy parafialnym kościele we wsi Tajkurach, na tamtejszym katolickim cmentarzu, i wzniósł nad nim pomnik ze złamaną kolumną, który oglądałem w r. 1852 na pogrzebie mojego teścia. Gdy tu w Ławrynowcach zamieszkawszy, bywałem niekiedy w Sławucie, i gdym raz opowiadał przed księżną Eustachową Sanguszkową, Czartoryską z domu, życiorys Henryka Niemirycza, ona mi rzekła:

— O! pamiętam go z moich lat prawie dziecinnych. Bywał on w Korcu u mojego ojca przed swoją ucieczką za granicę. Kochany ojciec chronił nas przed nim i mawiał:

— Zjawił się Niemirycz, wyjdźcie z pokoju, bo ten wymowny bezbożnik zatruwa duszę w młodzieży. Bałyśmy się tego gościa, jakby złego ducha.

Znając najdokładniej powyższe szczegóły o życiu Henryka Niemirycza, napisałem o nim balladę pod tytułem „Panicz z wieku XVIII,“ umieszczoną w *Gwiazdzie kijowskiej* N. 4, z r. 1849.

Co do wrażeń, jakie Henryk Niemirycz w pamiątce po sobie zostawił w Korostowy, okazywał to z całą otwartością siostrzeniec jego, a mój zacny teść, podkomorzy Łaźniński, który, jak wiem z opowiadania jego, lubował się w rozmowach z wu-

jem swoim w przedmiotach rozumem niepojętych i z uwielbieniem powtarzał jego zdania, o czem niżej nadmienię.

Wracam do Carówki, dzierżawy mojej i brata mego, Franciszka. Brat mój z upodobaniem zajmował się szczegółami gospodarstwa, a ja, osamotniony, miałem moje przyjemności w książkach i niekiedy dla folgi umysłowej w pendzlu. Rzadko, bo tylko w terminach zbiegowiska na sławne jarmarki, nawiedzałem Berdyczów, a to jedynie dla powitania tam krewnych i przyjaciół. Tym jarmarkom winienem znajomość i następnie najściślejsze stosunki z Mikołajem Wężem; tam poznał mnie z nim mój od szkół najżyczliwszy Józef Bobrowski. Wąż często ze mną korespondował. Wzorowy to był uczeń gimnazyum, później liceum krzemienieckiego, i świeżo skończył był wówczas nauki, a przeto o lat kilka młodszym był odemnie. Zdolność jego do poezyi objawiała się w lekkich a miłych wierszykach, jak te wyżej tu przywiedzione, które napisał na śmierć księżny Doroty Sanguszkowej.

Z wielką szkodą dla piśmiennictwa naszego zakończył on życie zbyt wcześnie i jakby z dobrej woli.

W lipcu mieliśmy wizytę juryzdatora naszego, Józefa Malinowskiego, z żoną, z domu Trzeciakówną, która wprzód była za księciem Adamem (synem Adama) Ponińskim. Te nawiedziny winniśmy byli zbliżającej się wedle polskiego kalendarza solenizacyi w Biłohołówce, o milę od nas odległej, gdzie państwo Malinowscy mieli być na imieninach Piotra Potockiego, starosty szczerzeckiego, powszechnie poważanego starca, który od Rzeczypospolitej polskiej, w ciągu czteroletniego sejmu, ostatnim był ambasadorem w Turcyi.

W dniu ś. Piotra w Okowach, to jest 1-go sierpnia wedle polskiego kalendarza, a u nas dnia 19-go, byliśmy z państwem Malinowskiemi w Biłohołówce,

Malinowski prezentował nas solenizantowi; lubo z osiwiałą głową, lecz miła twarz jego i ruchy, przy wyniosłej budowie, poświadczały czerstwość sił żywotnych.

Z mnóstwa obywateli gubernii Kijowskiej nikogo bliżej znajomego nie było. Z widzenia tylko znałem tam niektórych, a na ich czele wymienię pana Maurycego Turkuła, który stał się panem pierwszej w życiu pani mego serca. Nie kiwnąłem mu głową, lubo patrzyliśmy sobie w oczy, ani też on mnie, jakoby zupełnie nieznanego, nie powitał.

Gdy mnie tam ujrzał, nie zgadnę, co pomyślał o mnie; lecz ja, spojrzawszy na twarz jego, poczułem w sobie dreszcz i wpadłem w smutne zamyślenie nad niestatecznością uczuć kobiety. Ten niegdyś, jak mi sama mawiała, nieznośny dla niej, dziś tuli się u jej łona. A więc mnie nie kochała, lubo tyle bywało łudzących mnie pozorów. Bo gdyby istotnie była mi wzajemną, któżby ją mógł przymusić po ostatniem widzeniu się ze mną, chociaż była już zaręczoną, do związku z bogatym, ale nieznośnym dla niej? I po chwilowej rozwadze, westchnąwszy tylko nad zmarnowanem uczuciem własnem, mniej miałem żalu do niego.

Gdy mnie te myśli zajmowały przelotnie, brat mój, dostrzegłszy mnie odosobnionego w zadumaniu, usiadł przy mnie i szepnął:

— Turkuł, zaledwie cię ujrzał, odezwał się do kogoś z nim przybyłego:—Patrz! jest Szymon Konopacki! Zkąd się on tu wziął?!

Uśmiechnąłem się na to, pomyślawszy, że więc nieobojętną dla niego jestem figurą. Jemu zapewne wiadomo, jak byłem widziany przez jego żonę. Niech sobie będą szczęśliwi, jeśli on umie ją ocenić i jeśli przestał być dla niej nieznośnym.

Wśród licznego towarzystwa mężczyzn dwie tylko były damy: pani Malinowska i senatorowa Rze-

wuska z Pohrebyszcz. Tę panią powitałem jako dobrze znajomą, bo w 1814 roku bawiłem w Pohrebyszczach parę tygodni, gdy mój brat cioteczny, Kazimierz Budzyński kupował u jej męża wieś podolską Markusze, za co ona wzięła porękawiczne.

Po obiedzie, gdym zbliżył się do niej, wśród rozmowy nadmieniłem, że na wiosnę tego roku miałem przyjemność widzieć się we Lwowie z jej synem, Henrykiem, u którego też poznałem najmłodszego jej syna, Ernesta, który zdziwił mnie nad wiek rozwiniętym umysłem.

— Komuż nie wiadomo, że jak każdy Radziwiłł z urodzenia szlachetny, tak Rzewuscy rodzą się z dowcipem.

Niżej napiszę, co mi później powiedział pan Ernest na to zdanie matki.

Z wielką przyjemnością oglądałem w salonie Biłohołówki piękne malowidło, przedstawiające wjazd do Stambułu starosty szczerzeckiego, jako ambasadora Polski. Poseł na pysznym koniu, w ubiorze narodowym, okazałym otoczony orszakiem, wyrażał wysoką powagę swego powołania, która ściągała ciekawość mieszkańców z podziwem na twarzach.

Drugie malowidło mocno mnie też zajęło. Był to portret, jak mi powiedziano, krewnej pana starosty, która przedstawiona jest w ogrodzie, umykająca do domu wśród wielkiej burzy w silnem przelęknieniu. Ten jej przestrach w rysach twarzy, włosy w nieładzie, na wolę wiatru puszczone, bliżej i dalej drzewa burzą miotane, wszystko to nadaje życie obrazowi. Zawszem mniemał, że nie dość na podobieństwie w portrecie, potrzeba jeszcze, ażeby w nim nie była martwą twarz, ten obraz duszy. Ztąd wypada, ku zajęciu widza, nadać jej jakieś gwałtowne wzruszenie.

W Biłohołówce rozjechaliśmy się z państwem Malinowskimi; oni odjechali do wsi Rubania pod Humań, do zastawy za trzykroć osiemdziesiąt tysięcy

złotych, darowanych pani Malinowskiej przez pierwszego jej męża, ks. Ponińskiego, a my wróciliśmy do skromnej naszej dzierżawy.

W sąsiedztwie naszem o miedzę poznaliśmy się z dzierżawcą Wolnopola, wioski, należącej także do Józefa Malinowskiego. Posesorem jej był pan Kaźmierski, ożeniony z Bądarzewską, przy której bawiła jej siostra, nie pomnę jej imienia.

Brat mój kochany, ś. p Franciszek, przypomniałby pewnie jej imię, bo dość widocznie sprzyjali sobie; lecz woli Boga nie było. Ten pan Kaźmierski był później marszałkiem powiatu Machnowieckiego. Poznałem się z ojcem jego, osobno gdzieś mieszkającym we własnym majątku. Był to człowiek lat sędziwych, wzrostu wysokiego, silnie zbudowany, niegdyś konfederat barski. Lubił czytywać, nawet po nocach, stawiając na piersiach świecę, gdy już w łóżku leżał.

Miły dla mnie ten starzec, tchnący duchem szlachetnym, mówił:

— Ja żyję wspomnieniami tej przeszłości, ja za młodu lubowałem się pod komendą Kazimierza Puławskiego. Ten wódz mój, godzien lepszego losu, a okryty laurami w Ameryce, tam zginął. Pokój jego popiołom!

I ja wówczas odosobniony i w zupełnej ciszy, swobodnie żyłem rozpamiętywaniem przeszłości krajowej, lubo nie naoczny jej świadek, bo miałem tylko lat pięć, gdy Polskę podzielono.

Opowiadania starców o latach ostatniego konania krajowego śród konwulsyjnych wysiłków i dzieje ojczyste o czasach Zygmuntów i Batorego, były najmilszym przedmiotem samotnych dla mnie dumań. I naprzemian, westchnąłem niekiedy i nad własną przeszłością, nad zawodem niespodzianie doznanym w najmocniejszych uczuciach, zda się przez Boga natchnionych; a o zmianie stanu i położenia mego,

ani marzyłem nawet. Czasem jakby roślina wegetowałem.

Raz przyszła myśl bratu memu, Franciszkowi, ażebyśmy pojechali o trzy mile ukraińskie do Toporów, gdzie mieszkała bogata a bezdzietna wdowa po Antonim-Bonawenturze Konopackim, pierwszym po rozbiorze kraju marszałku powiatu Skwirskiego, który mianował się, nie wiadomo w jakim stopniu, stryjem mego ojca i zapisał był testamentem (później zmienionym) dla nas trzech braci piękną wieś Rzewuchę, a to ze względu wdzięczności, jaką czuł dla naszego dziada.

Historya tego marszałka Konopackiego, z ust mego ojca powzięta, jest taka:

Pan Antoni-Bonawentura miał majątek niewielki po rodzicach, lecz na koszta wystąpienia w konfederacyi barskiej i na dłużki młodości ów cały fundusz przeszedł w obce ręce. Po nieszczęsnej konfederacyi rozwiązaniu konfederat, dowiedziawszy-się, że na Wołyniu, w powiecie Łuckim, mieszka jego imienia Konopacki, który ze swego województwa był posłem na sejm elekcyjny Poniatowskiego, puścił się w te strony jednokonnym wózkiem. Po przebyciu wskazanej mu drogi, stanąwszy rano w karczmie pobliskiej we wsi Kaszówce, dowiedział się, że dzwon, dający się tam słyszeć, jako w niedzielę, dochodził od kaplicy miejscowej dziedziców wioski, państwa Kaszowskich. Postanowił przeto być tam na Mszy św. Tę jego pobożność Bóg mu wynagrodził.

Przywdział w karczmie porządny kontusz ze złotolitym pasem, uwiązał przy boku pełną blasku karabelę, a przy nadzwyczaj pięknej urodzie, przybrał pozór znakomitego obywatela. Narzuciwszy huńkę na cały swój ubiór, zaparadował pokornym wózkiem przed kaplicę, gdzie już stała kolasa mego dziada, przybyłego na Mszę z Holuzyi.

Po skończonem nabożeństwie pan Kaszowski, uprzejmy sąsiad, zaprasza mego dziada na obiad,

a dostrzegłszy stojącego obok ławek obywatela, zapytuje dziada mego, czy on z nim przyjechał. Okazało się, że ów przybyły nie był znany zarówno im obu. Gospodarz, nie zważając na to i nieznajomego zaprasza.

W domu, tuż przy kaplicy, ów gość dał się poznać i ujął ich serca, jako konfederat barski. Następnie dziad mój, wysłuchawszy wywodu jego pochodzenia, uznał go bratem w dalszym tylko stopniu, tembardziej, że i sygnet rodowy na palcu z naszym herbem „Trzaska“ wspierał to pokrewieństwo.

Po obiedzie dziad mój, odjeżdzając z Kaszówki, zabrał go do swej kolasy, a wózek z woźnicą potoczył się za nimi. Gościł pan Antoni - Bonawentura czas jakiś w Hołuzyi; nakoniec, sprzykrzywszy sobie bezczynność, objawił, po co przybył: prosi o protekcyę do którego z magnatów wołyńskich, gdzie mógłby przyjąć obowiązek jakiegobądź oficyalisty. Dziad mój napisał list za nim do najlepiej znanego sobie księcia Sapiehy, wojewody smoleńskiego. Przyjął i to, jakie się zdarzyło, byle miał jakieś zajęcie.

Ale była tam młoda, piękna a bezdzietna wdowa po starym, niedawno zmarłym koniuszym, który wielkich u księcia doznawał względów. Wdowa, jeszcze w żałobie, a lubo Niemka rodem, pokochała Polaka. Żeni się z nią pan Antoni i odbiera od niej w darze sześćdziesiąt tysięcy złotych, cały jej fundusz, przez pierwszego męża zapisany. Lecz niedługo cieszył się tym związkiem, po skończonym roku owdowiał bezdzietnie.

Pożegnawszy księcia Sapiehę, wyniósł się z kapitałem od żony otrzymanym w województwo Kijowskie i tam szczęśliwie po dzierżawach na ziemi ukraińskiej zaczął rozrabiać majątek. W przeszłym już wieku, przed ostatnim rozbiorem kraju, będąc dziedzicem dwóch wsi w powiecie Skwirskim, ożenił się powtórnie z panną Zawadyńską. Obrano go marszałkiem powiatu Skwirskiego, a gospodarny i prze-

zornie oszczędny, stał się wkrótce panem pięciu wsi i kapitałów.

Gdy w tak zamożnym był stanie, zjawili się dwaj synowcowie po jego bracie rodzonym, których obdarzał tymczasowo, karmiąc niepłonną nadzieją ztąd, że własnego nie doczekał się potomka. Jeden z tych synowców obrał sobie stan duchowny i był niedaleko od stryja proboszczem, którego, mieszkając w Carówce, osobiście znałem; drugi, mi nieznany ożenił się i zostawił syna, dziś zamożnego obywatela gubernii Kijowskiej; ten wnuk marszałka po jego bracie, imieniem Aleksy, posiada piękny majątek nad Dnieprem.

Po śmierci pana marszałka, gdy się okazało, że pozostała po nim wdowa, Zawadyńska z domu, miała zapewnione jego testamentem dożywocie na wszelkich męża funduszach, tak nieruchomych, jako też licznych remanentach, synowcowie nieboszczyka, to jest ksiądz proboszcz i brat jego, a ojciec Aleksego, przez dobrowolny układ z dożywotniczką, przyjęli od niej trzykroć sto tysięcy złotych, a zrzekli się sukcesyi po stryju, przyznając jej prawo dziedzictwa posiadanego po mężu majątku.

Ten z nią układ okazał się dla nich korzystnym, dożywocie jej bowiem nie prędzejby się skończyło, aż w lat czterdzieści z górą od terminu tego układu, to jest w dniu jej śmierci, która nastąpiła w 1847 r.

Wracam do naszej wizyty u pani marszałkowej. Grzecznie nas w domu swoim przyjęła i uprzejmie na noc zatrzymała, lubo po raz pierwszy wówczas daliśmy się jej poznać, bardzo życzliwie o zdrowie naszych rodziców pytając; znani jej oni byli ztąd, że za życia jej męża ojciec mój razy kilka, a z matką naszą raz tylko etykietalną wizytę dopełnił. Uwydatniam tę jej życzliwość dla wątpliwości, jak się to niżej okaże.

Pożegnaliśmy ją nazajutrz. Miała wówczas pe-

wnie lat pięćdziesiąt kilka, bez najmniejszego śladu, ażeby mogła kiedyś być piękną. Chuda, sztywna, z twarzą rysów niewróżących dobroci, strojna w loki z włosów niezawodnie cudzych, tuląca się codziennie w drogim szalu tyftykowym, z prawdziwemi na szyi perlami wielkości grochu, które spinała klamrą z soliterem brylanta, lubiła, stojąc w pokoju, przybierać pozę znaczącą, gdy nam deklamowała fraszki z dziejów swego sąsiedztwa nie warte wspomnienia. Posiadała też rzadką sztukę przeciągania blahych monologów.

W lat kilka po tej wizycie naszej w Toporach, już po śmierci czcigodnego ojca mego, gdy raz będąc w Zwiahlu za pewnym interesem, odwiedziłem tamtejszego wówczas marszałka Mikulicza (ojca), który mnie zaprosił na obiad, zastałem tam, obok kilku znajomych mi osób, nieznanego dla mnie księdza proboszcza z miasteczka Połonnego.

Gdy się dowiedział o mojem nazwisku, zbliżył się i zapytuje o imię mojego ojca, a skoro powiedziałem, że jestem synem Prokopa, zawołał:

— O, mój Boże! Znaliśmy się dobrze! Może pan od ojca słyszałeś o mnie. Jestem Palhejm. Nazwisko jakby nie polskie, przecież z duszy i ciała, Bóg świadek, żem Polak! Poznałem i panią starościnę, matkę pana, gdy oboje byli w Toporach, gdziem długo mieszkał jako tamtejszy proboszcz. Ja to z woli ś. p. pana marszałka Konopackiego pisałem po jego dyktowaniu testament, który lat dwa, już podpisany przez świadków i przez niego, zostawał w moich rękach. Przez ten testament, marszałek powodowany wdzięcznością za coś dla dziada pańskiego, którego tam nazwał bratem w dalszym stopniu, zapisał był panu staroście Prokopowi, czyli raczej trzem synom jego, piękną wieś z dóbr swoich, Rzewuchę. Lecz potem, gdy marszałek mocno już był chory i nie miano nadziei, ażeby ozdrowiał, marszałkowa przez karteczkę do mnie zapotrzebowała owego testamentu.

Wiem z pewnością od naocznych świadków, że go podarła, gdy mąż był już konającym. Po jego śmierci okazał się inny testament, którym żona ma nadane sobie prawo dożywocia na wszelkim majątku po nieboszczyku, a o panu Prokopie i synach jego już tam ani wzmianki nie ma. Tak panie, tak! słowem kapłańskiem upewniam, że testament był zmieniony wówczas, gdy nieboszczyk blizki był skonania i kiedy już własnej nie miał woli.

Wysłuchawszy tej proboszcza opowieści, rzekłem mu:

— Niech Bóg osądzi tę sprawę, Bóg, który bez tych zapisów raczy nas nie wypuszczać z pod swej opieki!

W tym 1819 r., gdyśmy mieszkali oba w Carówce, spotkał nas okropny wypadek.

Wyjechaliśmy byli na parę tygodni do domów familijnych. Gdyśmy wracali, jak zwykle na Berdyczów, znalazła się potrzeba sprawuneczków do domu. Były to żelaztwa, jako to: siekiera, młotek, kłódki, klamki i pół puda wybornego tytuniu tureckiego na złotych dziesięć za oko, co dziś u nas, po wojnie krymskiej, choćby na wagę złota napróżnoby szukano jakby ptasiego mleka Wszystko to leżało w nogach naszych pod fartuchem koczobryka.

Deszcz ulewny napadał nas w drodze. Zapięci w budzie firanką, wjeżdżamy traktem zwykłym do Radziwiłówki, wioski należącej do samotnika, wdowca, pana Wojciecha Rothariusza, dobrze nam znajomego o milę sąsiada.

Brat mój chciałby wstąpić tu na obiad. Ja zaś, znużony włóczęgą dni kilkunastu, radbym odpocząć już w domu, moja uwaga przemogła. Konie nasze młode, ogniste, dobrze dobrane gniadosze, bez względu na coraz większe błoto, szparkim biegły kłusem. Furman puszcza je zwykłą drogą wprost na groblę.

Deszcz tam od dwóch dni padając, zalał ślady nowej na prawo drogi poniżej grobli, gdzie tymcza-

sowo, dla reparacyi grobli, sporządzono mostek na fosie, a w miejscu dawnego mostu położono tylko trzy tarcice dla przewożenia taczkami ziemi potrzebnej na groblę. Przy tych deskach furman raptem wstrzymał konie. My w budzie, firanką od deszczu osłonieni, nie wiedzieliśmy dlaczego. Lokaj za budą, sądząc, że będzie potrzebnym, zeskoczył z tłumoka i w błoto głośno klapnął nogami. Żartkie konie na ten odgłos ruszyły na deski, a w tejże chwili orczykowy z mojej strony zleciał w przepaść głębokiej fosy i pociągnął za sobą wszystkie trzy konie i powóz z nami. Sam Bóg tylko mógł nas tam wyratować.

Nie wiem, jak zleciałem na leżące w głębi fosy konie i po ich karkach, jakby wśród walki o życie, wydobyłem się na wierzch, nie wiedząc jeszcze, co się dzieje z bratem. Ale za chwilę i on się nad fosą pokazał. Okryci błotem, winszowaliśmy sobie ocalenia bez najmniejszego szwanku.

Był to jakiś dzień świąteczny. Za groblą przy karczmie gromadka włościan patrzyła na nasz wypadek i natychmiast zbiegli się na ratunek, czy przez chrześciańską miłość bliźniego, czy dla zarobku, mniejsza o to. Dość na tem, że ci ludzie wyciągnęli z przepaści powóz połamany i konie w niczem nieuszkodzone, tylko drżące, może z przestrachu, a może od chłodu, bieżącą wodą zmoczone.

To zaś wszystko, co było sprawunkiem, przepadło na zawsze, zelaztwo poszło gdzieś na dno wody, a z wodą popłynął nasz wyborny tytuń do dalszego stawu, a może przechodząc koleją aż do Czarnego morza, oparł się w końcu o rodzinną ziemię.

Jeden z włościan, posłany do dworu, dał znać o nas panu swemu. On zaraz nadjechał konno z kozakiem i żartując z nas, zawołał:

— Dobrze wam tak! A czemu przed groblą na lewo ominęliście drogę do mnie? Przyjmijcie to za karę.

Brat mój tłómaczy się, że chciał wstąpić, ale ja byłem już zmęczony podróżą.

A on rzekł na to:

— Siadajże, Franciszku, na konia kozackiego i jedźmy, ażeby przyspieszano obiad, a ty, Szymonie za to, żeś nie chciał wstąpić do mnie, musisz tu poczekać, aż przyślę mój powóz po ciebie.

Po obiedzie odesłał nas dobry sąsiad swoim powozem, a nasz później oddany był do naprawy. Zacny to był człowiek ten pan Wojciech, pilny gospodarz; ale szydersko uśmiechał się na wspomnienie o literaturze, a nawet o gazecie. Należał on do niewielkiej już wówczas liczby żartujących z jakiejbądź wiedzy, nabytej z czytania.

Tacy, jak pan Wojciech, mawiali o szukającym tej wiedzy:

— To człowiek, panie, do niczego! bo to ani do chartów na polu, ani do kielicha! On z Homerem tylko obcuje.

Raz wracając sam z Berdyczowa, wstąpiłem do niego. Lokaj oznajmił mi, że pan na toku. Zanim nadszedł, ja, chodząc po pokoju świeżo pobielonym, dostrzegłem za piecem jakąś książkę pobryzganą wapnem, czy gliną. Ciekawością zdjęty nad tem zjawiskiem u pana Wojciecha, który czytanie zowie próżniactwem, wydobywam laską ową książkę. Była to w formacie ćwiartkowym przedwiecznej edycyi, obdarta, bez początku i końca, historya państwa tureckiego.

Gdy przerzucam kartki tej książki, nadchodzi z toku gospodarz. Po uściskach powitania proszę go, ażeby mi darował tę książkę u niego w poniewierce, przez wzgląd na to, żem ją wydobył z niewoli za piecem.

— O, przebacz! To na cały mój dom jedna tylko książka z przymiotem już wypróbowanym. Zdarza się, że czy to w dzień, czy w nocy, czegoś

zasnąć nie mogę. Ona jest na to lekarstwem, biorę ją w rękę i zanim dojdę do pół kartki, już chrapię.

Pod koniec lipca ojciec mój listem przez posłańca wezwał mnie do siebie po to, że ma polecić mi interes do załatwienia w Żytomierzu. Gdym przybył do Szulajek, zastałem ojca zajętego zliczaniem wedle jakiegoś regestru rozmaitej w srebrze monety. Dawniejsze asygnaty, niestałej wartości i do czwartej części zniżone, były u nas w pogardzie i służyły tylko albo na podarki, albo na łapowe ofiary, a przytem zwykle na zachętę do pośpiechu w kancelaryach sądowych. Nowe, dzisiejsze asygnaty, równej ze srebrem wartości, zjawiły się nie wpierw, jak za panowania cesarza Mikołaja, około 1840 roku.

Po mojem powitaniu, ojciec rzekł do mnie:

— To są pieniądze, zebrane przezemnie na kościół uszkodzony przez pożar w Łucku; ofiara to obywateli, sąsiadów naszych. Odebrałem odezwę o to od biskupa Cieciszewskiego. On dziś na noc ma być w Romanowie, na jutrzejsze, w dniu pierwszym Augusta, imieniny senatora Ilińskiego i ma w tym dniu, z wielką asystencyą księży okolicznych, poświęcać miejsce na kościół dla jezuitów romanowskich. Warto, ażebyś i ty powinszował senatorowi. Ile razy tam jestem, zawsze się pyta o ciebie i bardzo życzliwie wspomina za to, że w Petersburgu, miejscem, jakie on wyjednał dla ciebie przy granicy pruskiej, wzgardziłeś dlatego, że on ci nadmienił o znacznych akcydensach pobocznych, do tego miejsca przywiązanych.

Nazajutrz przybywamy do Romanowa. W sieniach pałacu mój ojciec zapytał lokaja o apartament zajęty przez księdza biskupa. Weszliśmy do wskazanych pokojów na dole, gdzie za nami wniósł nasz lokaj worek z pieniędzmi. Ojciec z tą ofiarą na kościół wszedł do dalszego pokoju, gdzie spotkaliśmy już ubranego biskupa. Bardzo uprzejmie byliśmy powitani.

Po kilku słowach mego ojca o spełnieniu ode-

branej od biskupa odezwy i po złożeniu na stoliku opieczętowanego worka, który świadczył o gorliwości obywateli ku dobru Kościoła, biskup w wyrazach wdzięczności oświadczył podziękowanie.

Wkrótce tam nadszedł senator, okryty gwiazdami, mianowany powszechnie przez duchownych protektorem religii katolickiej. Patrzyłem na wzajemne ich zabiegi o uniżoność w powitaniu. Senator chciał ucałować rękę pasterza, ten, nie dopuszczając go do tej pokory, chciał go w niej zwyciężyć, wymykał swoją rękę, usiłował ucałować senatorską. Wśród tej walki skończyło się na tem, że biskup ucałował rękę protektora religii.

Przed obiadem było solenne poświęcenie miejsca na kościół jezuicki. Położono na fundament kamień węgielny, poświęcony przez biskupa. Zjazd ludu i księży był nadzwyczajny. Następnie byliśmy na wystawnym obiedzie. Poważna rogowa muzyka, z parku dochodząca do nas, nadawała jakoby uroczystość tej uczcie. Po czarnej kawie, w bawialnych, pełnych gości pokojach, biskup wolnym krokiem zbliżał się do znajomych sobie niektórych osób dla rozmowy z nimi, a nieodstępni dwaj kanonicy tuż za nim, trzymali w ręku kraj wierzchniej jego szaty.

Jednym z tych kanoników był proboszcz kutowiecki, mój niegdyś nauczyciel, Francuz de Vilmin. Syci tych wszystkich ceremonij i okazałości, wróciliśmy do domu.

Niebawem wyruszyłem do Żytomierza w interesie mego ojca z informacyą od niego powziętą. Co wynikło z téj podróży mojej, najdokładniej wyjaśni list mój w roku następnym, do przyjaciela pisasany, który tu dosłownie przywiodę. Ten list, czyli raczej wyjątek jego, poufnie posłałem senatorowi Skibickiemu dla wiadomości, jak wszedłem do komisyi edukacyjnej, a pan senator podał go do *Gazety Warszawskiej* i umieszczono go po mojej rozpra-

wie o tejże komisyi w N-rze 62 *Gazety Warszawskiej* 1857 r.

Kopia wyjątku z listu mego pod dniem 10 lipca 1820 r. Ten list zwrócono mi po śmierci Mikołaja Węża z wielu innemi, niegdyś przezemnie pisanemi do niego.

„...Badasz mnie, co tu robię? Jak mogłem po tak serdecznem wzdychaniu do niezależności, do ciszy wiejskiej i do swobody, zamieszkać w mieście na to, ażeby znów dobrowolnie zaprządz się do pracy? Słuchaj, a dziwić się będziesz, jak wpadłem w samotrzask, zastawiony przez ludzi uczonych.

„Przeszłego roku, wśród lata, wzywa mnie mój ojciec do siebie i poleca staraniu memu w Żytomierzu dość pilny interes w rządzie gubernialnym. Przybywam tam i ani mam w myśli uderzać natychmiast czołem przed jakąbądź z przeważnych figur w mieście. Wypadało wprzódy wywiedzieć się w kancelaryi o stopniu, na jakim rzeczywiście stoi powierzony mnie interes, i następnie przepuścić go przez radę życzliwych. Cały dzień pierwszy zszedł na tem. Wieczorem wracam do kwatery i zastaję bilet wizytowy hrabiego Platera. Zdziwiła mnie ta grzeczność wicegubernatora, z którym nawet niewielką miałem znajomość. Lecz podobnież skończyło się na bilecie; bo on, jako prezydujący w izbie skarbowej, jeszcze był z sesyi nie wrócił.

„Dnia tegoż po południu przynoszą mi od niego bilet z wezwaniem na bal dzisiejszy. Wpadłem na domysł, lecz nie bardzo trafny, zkąd grzeczność jedynie: zdało mi się, że hrabia chce mieć młodzież do tańca, że powziął wiadomość z policyi o nowoprzybyłych do miasta i ztąd niespodziana jego wizyta, ażeby na wieczór zaprosić.

„Zgromadzenie zastałem liczne; miła wszystkich ożywiała harmonia.

„Gubernator, generał Giżycki, nic udać nie umie; wesołość jego zda się cofać go do lat prawie dzie-

cinnych. Pociecha była widzieć, jak poważny a lubiony naczelnik nasz skakał przed damami [1]). W liczbie wyższych urzędników był marszałek gubernski z familią, książę Eustachy Sanguszko. Słusznych już i bardzo miłych ma synów. Pomiędzy pięknościami jaśniała wdziękiem, grzecznością i, zda się, dobrocią, bawiąca przy gubernatorstwie synowica jego, panna Eliza. Młodzież pocichu szeptała, że hrabia stara się o jej rękę i że ten bal jest dla niej.

„Ku końcowi tańców, gdzie i mnie dostało się przewirować z nią jedne koło sztayera, gospodarz bierze mnie pod rękę na bok i rzecze:

„— Pan możesz mi się wymknąć; a mam ważną prośbę do niego: oto chciałbym, abyś jutro zrobić mi raczył przyjemność i przyjął między pierwszą a druga obiadek sam-na-sam. Wypijemy po dwa kieliszki wybornego *vin de comète* z roku 1811, jeden dla zdrowia, a drugi na wiwat, zgoda?

„— Bardzo chętnie służyć będę panu hrabiemu. Ale zdaje się — rzekłem — że pomiędzy nami nie było i nie ma sporu.

„— Pamiętaj pan, coś wyrzekł. Bardzo cieszyć się będę ze zgody naszej.

„Nie była pora badać; bo wnet odleciał jak z procy, aby zatrzymać kogoś z odjeżdżających gości, a silna ciekawość bodła, gdym wrócił do siebie. Nazajutrz, o naznaczonej godzinie, przybywam do hrabiego. Zastaję przed domem powóz jego zaprzężony; w pokoju stolik nakryty na dwie osoby, a gospodarza z książką w ręku. Po przywitaniu zapytał:

„— Czy pan zna śpiewy historyczne Niemcewicza?

„— Znam, a nawet mam je u siebie.

„— Może pan pamięta treść przedmowy autora. Ale nie zawadzi odczytać jej jeszcze; tylko proszę

---

[1]) Później, w tymże roku, dobra harmonia pomiędzy owym gościem a gospodarzem zerwaną została.

o wielką uwagę. Przebacz, panie, że na chwilę zostawię cię samego. Odwiedzę przyjaciela, o którym dano mi wiedzieć, że zachorował. Za dziesięć minut wrócę".

„Ścisnął mi rękę i odjechał.

„Zagadka, szarada, a nawet logogryf nie tak byłby trudny do rozwiązania, jak rzucenie mi tej przedmowy. Czytałem ją przecież z uwagą; ale choć w łeb strzel, ani domyślam się, o co mu idzie. Nakoniec wraca hrabia; mówi o cierpieniach przyjaciela, o doktorze przy nim, a o Niemcewiczu ani słowa. I ja o nim nie wspominam, bom począł sobie wnosić, że gospodarz, zaprosiwszy mnie, chciał czemkolwiek zająć, nim z koniecznych odwiedzin powróci.

„Przy obiedzie mówiliśmy dość szczegółowie o niektórych osobach, jakie były na wczorajszym u niego wieczorze. Przeszedł potem do badań, jakie też w stronach naszych robi wrażenie rozkaz sadzenia drzewek po traktach pocztowych, co dziś tak powszechnie wieśniaków zajmuje? Słowem, gawęda Bóg wie o czem, ciągle ożywiana, tak, że nakoniec Niemcewicz zupełnie wyszedł mi z myśli.

„Po ukończonym obiedzie, gdyśmy pozostali sami, a lokajowi nie dozwolił sprzątnąć wina, zapytuje:

„— Jak pan mniemasz o zdaniu w tej przedmowie, co do charakteru Polaków?

„— Niebardzo pochlebne, ale oparte na faktach dziejowych.

„— Tak, tak! Prawdę powiedział! Snadny u nas wybuch zapału do szlachetnych przedsięwzięć. Głos potrzeby krajowej budzi ospałych nawet i nawet jest gotowość poświęcenia się na wszystko, cokolwiek znamionuje wyższość charakteru. Ale biada nam! Zrazu wstępnym bojem umiemy zwyciężać trudności; później, stopniami, duch zwolna upada, i w końcu, ów zapał szlachetny gaśnie, jakby go nigdy nie było. Powtarzam to zdanie Niemcewicza w tem przekona-

niu, że propozycyę, jaką mam panu objawić, a od której nawet już mu cofnąć się nie wypada, przyjmiesz najgoręcej; ale czy pan dotrwasz?

„— Znam zasady pana hrabiego, jak je zna każdy wołynianin. Wszelka jego propozycya miłym będzie dla mnie obowiązkiem, bylebym podołał.

„— Za zdolność byłego podsędka ja przed władzą wyższą przyjąłem już na siebie odpowiedzialność, a za zgodę w przyjęciu mojej propozycyi, jakakolwiek ona będzie, wychylmy kieliszek".

„Wzrasta moja ciekawość, a hrabia niebawem przemówił:

„— Oto zacny obywatel, Tomasz Borkowski, który wzorowym z pracy i gorliwości był urzędnikiem komisyi edukacyjnej, umarł w tym roku. My, członkowie tej komisyi zebrani w Krzemieńcu, przedstawiliśmy pana księciu kuratorowi do zajęcia miejsca po Borkowskim.

„— Pozwoli hrabia wiedzieć, jaki to jest obowiązek? Tej bowiem juryzdykcyi prawie nie znam.

„— Mianowanie pana na ten urząd jest dowodem wielkiej ufności, jaką w jego charakterze pokłada władza czuwająca nad środkami publicznego wychowania. Jest to urząd plenipotenta, czyli prokuratora funduszów edukacyjnych w trzech naszych zachodnich guberniach".

„Na ten wyraz *plenipotenta*, zimno poczułem. Sięgam po niedopity kieliszek, aby przytłumić niesmak, a hrabia opowiada to wszystko zwięźle i treściwie, co tu niżej o komisyi znajdziesz. Słodzi, okrasza przyszłe moje trudy, a przecież dostrzega, że ja w nich wcale nie smakuję. Wpada więc w zapał kaznodziejski; przedmiot łatwy: dobro publiczne. Po silnie przypuszczonym ataku, jak niegdyś w Warszawie na trudne po mnie wymaganie Jana hr. Tarnowskiego, powiedziałem mu:

„— Przebacz, panie hrabio, że w tak stanowczej okoliczności, bez rady ojca mego, nie uczynię kroku.

„— Nazbyt zgadzam się — z uśmiechem mi odpowiedział, — Starzy a rozsądni, zwykle są tego zdania, że młodzież, zdatna do umysłowej pracy, nie powinna grzeszyć bezczynnością. Wiem, że pan począłeś niby trudnić się gospodarstwem, żeś wziął dzierżawę w gubernii Kijowskiej. Ale nam wiadomo i to, że tam gospodarstwo jest łączne z młodszym jego bratem, który podobno więcej ma w niem upodobania. Po dwuletnim pobycie w Warszawie, gdzieś pan nie próżnował, dość już tego wytchnienia na wsi. Powie ci to zapewne i ojciec".

„Pożegnałem hrabiego Platera, upewniając, że za dni kilka wrócę z decyzyą stanowczą. Przybywam do rodziców. Zastaję list do mnie, wczoraj przez kogoś z pod Żytomierza przysłany. Z adresu poznałem rękę czcigodnego Aloizego Felińskiego. Pisze z Wołosowa, iż ma być dyrektorem szkół wołyńskich i liceum. Nie pomnę, czy mówiłem ci kiedy, że w roku 1816 ofiarowano mu katedrę literatury w liceum warszawskiem, przy korzystniejszych niż tu warunkach materyalnych; wiem o tem, bo to było przy mnie. Tam odmówił, aby się poświęcić rodzimej prowincyi. Tym listem wzywa mnie, prosząc najusilniej, abym się nie wymawiał od urzędu, do którego bez mojej wiedzy już mnie przedstawiono wyżej, jak mu donosi z Krzemieńca dawny kolega młodości jego, przyjaciel z roku 1794, Franciszek Rudzki; a kończy Feliński tem do mnie:

„— Gdy przyjedziesz i zamieszkasz, Krzemieniec stanie mi się rajem!"

„Opowiedziałem rodzicom, o co idzie. Kochany ojciec radość objawił. A ja na to z wyraźną niechęcią:

„— Ależ plenipotent!... Do wojny z całym światem!... A mnie tak miły pokój z ludźmi!

„— Będzie tam i pokój — ozwał się ojciec. — Rzadko natrafisz na tak zaciętego, aby przeciw oczywistym dowodom stawiał opozycyę. Tobie co inne.

go w myśli; przyznaj się! Byłeś trzy lata z wyborów podsędkiem w towarzystwie poważnych ludzi; otoż dzisiaj przykro ci spadać z tego tytułu. Ale w błędzie jesteś. Wszakże plenipotent partykularny nawet, który umiejętnie oslania od pieniactwa, a często przywodzi strony do podania sobie ręki, zasługuje na powszechny szacunek. Masz na to przykład na poczciwym A. P., który, lubo tak młody, już od wszystkich jest wysoce poważany. Wiadomo ci, że takim był, podobnież partykularnym, ten, co później za czasów rzeczypospolitej został podkomorzym buskim i kawalerem Orła Białego, któremu prezentowałem cię kiedyś na wyborach, dzisiejszy senator. A iluż-to z dawnych mecenasów, dla gruntownej wiadomości prawa i znanego charakteru, mieliśmy zacnych deputatów sądu głównego, a nawet prezesów! Tu zaś jest to zawsze urząd, a nawet uważaćby go można, jakby pierwszą instancyę w sprawie funduszowej. Ten urząd daje opinię o dokumencie; a komisya przy stawieniu się wezwanej strony tę opinię potwierdza, albo kasuje. Bez wiedzy twojej podano cię na to; jakże się nie cieszyć? Widzę w tem łaskawe o tobie mniemanie: wyraźne świadectwo szacunku osób, co tę komisyę składają.

„— Ja sobie tak nie pochlebiam, bo im nieznany — rzekłem — cokolwiek tylko hrabiemu Platerowi, przed którym zanadto nagadał o mnie tenże sam A. P. Hrabia wprzód jemu ten urząd ofiarował; ale on dla ważnych partykularnych interesów przyjąć go nie mógł, jak później sam wyznał przedemną; a sądził, że wyświadczy przysługę, gdy wyrwie mnie ze wsi.

„— Bardzo wdzięczny mu jestem; bo też na życie wiejskie będzie jeszcze pora, kiedy Bóg da, że się ożenisz; a dziś młody jeszcze po temu, pracuj synu dla dobra ludzi. Tyle tylko możesz poświęcić się publiczności, nim cię obsiędą żona i dzieci, przy których człowiek już o sobie tylko myśli. Nie bę-

dziesz tam do siwego włosa; a tymczasem zajęcie miejsca po tak reputowanym prawniku, jakim był cnotliwy Borkowski, może tobie utorować drogę na później do wyższych urzędów w obywatelstwie. Mówcie wy, młodzi, co chcecie, zawsze *vox populi*, *vox Dei*. Kiedy świat widzi, że człowiek nie przemarnował lat młodszych na hulance, a dźwigał coś wedle siły dla dobra innych, to mu nie zapomną tego. Ot tobie i ten patent na krzyżyk naszego patrona poświadczy kiedyś, że niedarmo chleb jadłeś w stolicy. A potem, czy śmiałbyś co odmówić poczciwemu Felińskiemu? Albo czy on może źle tobie radzić?... Ile razy mówię o nim, zawsze na to westchnę, że on się nie ożenił z naszą dobrą Zosią. Dziś ona biedaczka pewnie płacze na to.

„Trzeba ci w nawiasie wiedzieć, kochany Mikołaju, że Feliński, później ożeniony z Omiecińską, starał się wprzódy o posażną a bardzo miłą Zofię Zaleską, krewnę mego ojca. Byłoby przyszło do związku, ale na biedę ich obojga, piękny legionista, pan Litwiński, ozdobiony krzyżem wojennym, oczarował ją i schwycił. Zdało się ludziom, że dobrani; bo on i ona zarówno lubią posiedzieć nad książką. Tym czasem z tego właśnie ich upodobania nastało silne nieporozumienie. Czy uwierzyłbyś? Mając już dwoje dzieci, owa Zosia, jest dziś w separacyi z mężem. A o co? Bo ona niezachwianie utrzymuje we wszystkiem zdanie Jana-Jakóba, a on Woltera. Może ten powód świat sobie wymyślił, świat złośliwy, tam, gdzie nie cierpią mądrych kobiet.

„Wracam do rzeczy. List Felińskiego i wola ojca położyły koniec owemu wahaniu się. Przybywam znów do Żytomierza. Zastrzegam sobie u hrabiego Platera, choćby dla formy, zwiedzenie wprzód naoczne w Krzemieńcu archiwum komisyi, abym przecież mniej-więcej poznał, co mnie tam czeka. Dał mi hrabia list do pana Rudzkiego, pisarza komisyi, a drugi do księcia Maksymiliana Jabłonowskiego,

członka czynnego tej komisyi; wiedział bowiem, że mam jechać na Krzywin.

„Z głową szumiącą przyszłym kłopotem wstępuję do księcia. Było to przed południem. On mnie zaprasza na obiad. Nie wiem, z jakiej okoliczności zjazd był dość liczny osób z familii księcia i obcych. Prezentował mnie swojej pięknej żonie. Poznałem i siostrę jego, z krótko ostrzyżoną, a już błyszczącą srebrem doświadczenia głową, kanoniczką, która podobno z Wiednia przybyła. Księżna po obiedzie, dowiedziawszy się już od męża z listu od hr. Platera, po co jadę do Krzemieńca, mówiąc ze mną, wydziwić się nie mogła, że mam zająć miejsce po starszym odemnie trzy razy, jak jej się zdało. Odpowiedziałem czarującej twarzą i grzecznością, że czas i praca może niezadługo poprawią mnie z wady młodości. I podobno zgadłem, bo nim rok upłynie, ja przy jezuickich dokumentach pewnie posiwieję.

„W Krzemieńcu Rudzki bardzo mnie ujął. Korespondencya jego z Felińskim, który wówczas był jeszcze na wsi, łaskawie go o mnie uprzedzić mogła. Głowa uniwersalna! Z rysów twarzy uczoność przebija. Ma coś podobnego do popiersi mędrców greckich. Obok tego miły często wymyka mu się dowcip w obcowaniu, co rzadkim bywa przymiotem erudytów, jak on, który, oprócz pracowitego urzędu w komisyi, jeszcze ślęczy nad bogactwem niegdyś króla Stanisława-Augusta, nad licznym zbiorem, kilkanaście tysięcy wynoszącym, numizmatów licealnych, jakie były w ręku Albertrandi'ego, a dziś są pod jego zawiadowaniem, i ztąd o duplikatach liczne miewa korespondencye z rozmaitemi akademiami Europy.

„Od owej daty pierwszego z nami poznania się przez te kilka miesięcy mego z nim pobytu wcale nie zawiodłem się na pociągu, doznanym ku niemu przy pierwszej u niego wizycie. Starszy odemnię

o lat 25, a w sile i ruchach jakby młodzieńczych: na przechadzkach po tutejszych górach trudno za nim zdążyć. Lecz zwolniwszy kroku, jakże miło z nim bujać po owych wiekach, co na górze nad miastem dochowały wiele mówiący tytuł *królowej Bony*, gdzie dotąd sterczą skamieniałe latami resztki niegdyś zamku!

„Wracam do pierwszej u niego wizyty. Na moje żądanie poprowadził mnie do murów komisyi. W sali dość obszernej, gdzie dostojni zasiadają, zastałem zwykłe po sądowych jurysdykcyach czerwone sukno na wielkim pośrodku stole, a na nim *Zercale*. Naucz, jakby to po naszemu nazwać, to mówiące o uszanowaniu dla miejsca trójścienne *distinctorium*, z orłem na wierzchu, a z prawami Piotra W.? Ale przeraziły mnie tam dwie potężne szafy, pełne odwiecznych papierów i ksiąg pojezuickich *in folio*, czarnych, jak dola tych nieboszczyków.

„W jednej szafie fascykuły ręką pracowitego ś. p. Borkowskiego naznaczone lubryką, jako już zdecydowane przez komisyę; w drugiej ujrzałem dokumenta, gdzieniegdzie tąż lubryką inaczej podkreślone. Znak to jest, powiedział mi Rudzki, że z nich da się jeszcze coś wyciągnąć. A reszta w tej szafie nietknięta, gdzie mam rozpędzać mule, a kopać i szukać ożywczego źródła na fundusz ku rozwijaniu młodzieńczych zdolności, ku podniesieniu i rozszerzeniu oświaty. Powiesz pewnie: cel wzniosły! Trudno zaprzeczyć. Ale postaw się na mojem miejscu, a przejmie cię trwoga pracy nad bladem pismem opleśniałych dokumentów; trwoga więcej jeszcze dojmująca, że komuś często narazić się można, dojrzawszy okiem sumienia należność śpiącą sobie dotąd.. Strach mnie ogarnął! I cóż? Oto wszyscy tu tak pięknym językiem umieją przemawiać o dobru przyszłych pokoleń, że wstyd było cofnąć się. A dziś wyrzucam sobie pocichu ten mój wstyd fałszywy; bo niezawodnie komisya nieraz czuje brak Borkow-

skiego, który w praktyce prawnej przeżył wiek cały.

„W późnej jesieni przeszłego roku nadesłano utwierdzenie; a ja, przybywszy tu dnia 8 stycznia biegącego 1820 roku, wykonałem w owej sali przysięgę przed księdzem Aloizym Osińskim, profesorem liceum, z którym niekiedy miłe miewam towarzystwo w nawiedzaniu się wzajemnem. Co do członków komisyi, a szczególniej co do czcigodnego prezesa Michała Sobańskiego, później będę o nich pisał. A tymczasem, dowiesz się o nich z kalendarza politycznego, który, wedle twego żądania przyłączam, a gdzie przez mylkę nazwano mnie *Stanisławem*.

„Łatwo sobie wyobrazisz radość moją z powitania Felińskiego, który już od listopada był tu dyrektorem liceum i profesorem literatury polskiej. Ale niestety! był tylko, a już go nie ma! Wiadomo ci, jak od pobytu w Warszawie serdeczne mnie z nim łączyły stosunki! Zapominam o sobie; lecz ileż-to młodzież nasza straciła na tym zgonie tak nagłym! I jak poczciwe ich serca uczuły tę stratę!

„Ale słuchaj! Znasz mnie dobrze; wiesz, jak fałszem brzydzę się, a może trudno ci będzie uwierzyć, że się stało, jak on sobie życzył. Oto raz, na dni kilka przed śmiercią, zatrzymał mnie u siebie na wieczerzę. Wesół, ruchawy, jak zawsze, twarz ciągłym nacechowana uśmiechem błogiej duszy; gdyśmy byli sam-na-sam, bada mnie, dlaczego zmieniłem humor? Zkąd to zasępienie, jakiego dawniej nie dostrzegał we mnie? Z całą otwartością powiedziałem mu, żem nierad sobie; że nawet niekiedy zazdroszczę nieboszczykom.

„— Fe! — zawołał. — Wiem, że ciężką masz pracę w spiesznem przygotowaniu materyałów do sądu komisyi. Ależ przełamać trudności i wytrwać mężnie jest to przysposobić sobie wieniec na późniejsze lata. Co do śmierci, powiem ci, że kiedykolwiek przyjdzie mi na myśl ta smutna konieczność, zwykle

przejmuje mnie tylko żal przedwczesny z opuszczenia drogich sercu osób; i dlatego radbym kiedyś, kiedyś tam, niespodzianie, bezprzytomnie umrzeć. Prawda, że tem trochę grzeszę, bo inaczej śpiewamy w suplikacyi Ale ja, szanując Kościół Święty, nie mogę wyrzec się tej pociechy, że Bóg widzi sumienie człowieka i dlatego najmniejszej trwogi o pośmiertną przyszłość nie czuję".

„Patrz, kochany Mikołaju, jak spełniły się, tylko zbyt wcześnie, jego życzenia. Dnia 11 lutego bieżącego roku, jak tobie pewnie już wiadomo, w nocy, nagle zakończył życie. Nikt nie dostrzegał najmniejszego śladu cierpień, któreby zapowiadał ten okropny wypadek! Dniem wprzódy, wieczorem, w sali kasynowej, siedziałem obok niego na koncercie panny Trętowskiej. Wesół, mówiący, jak zawsze, po koncercie wezwał mnie do bufetu obok i wypiliśmy z jednego butla po szklance limonady. Piszę ci o tem, bo tu rozeszły się były fałszywe wnioski, że ktoś mógł się przyczynić do jego śmierci. Któżby się na to znalazł tam, gdzie go powszechnie kochano? Nakoniec, spać idąc, nic w usta nie brał, prócz owej ze mną limonady.

„Nazajutrz... etc."

Ten wyjątek z mego niegdyś do ś. p. Mikołaja Węża listu, zwróconego mi po jego śmierci, przyłączyłem był poufnie do listu o krzemienieckiej sądowo-edukacyjnej komisyi, dla wiadomości samego tylko senatora Franciszka Skibickiego, jak wszedłem do tej bezapelacyjnej juryzdykcyi, a on podał go do redakcyi „Gazety Warszawskiej" razem z obszernym listem moim o komisyi, i redakcya ów wyjątek umieściła w swej gazecie 1857 roku pod Nr. 62.

Takie istotnie było wejście moje do komisyi edukacyjnej, jak je opisałem w liście do mego przyjaciela, ś. p. Mikołaja Węża, pod rokiem 1820, z którego powyższy wyjątek wszedł do „Gazety Warszawskiej 1857 roku za życia jeszcze niektórych tej

komisyi członków, i jak kalendarz polityczny z roku 1820 poświadcza. Na pół roku wprzódy nie znałem jeszcze tej juryzdykcyi, a nawet w miesiącu sierpniu roku 1819 po raz pierwszy w życiu byłem na dwa dni w Krzemieńcu dla obejrzenia powierzonego mi bez wiedzy mojej archiwum funduszów edukacyjnych i dla poznania, jaka tam praca mnie czeka, jako prokuratora, czyli plenipotenta owych funduszów.

W Carówce do późnej jesieni 1819 roku napróżno oczekuję urzędowego wezwania do Krzemieńca. Tymczasem, pismo do mnie adresowane, o czem nieprędko dowiedziałem się, mylnie odesłano z poczty skwirskiej proboszczowi, księdzu mojego nazwiska, i on je zatrzymał u siebie. Ostatnich dni grudnia nadesłano mi, nie pomnę przez czyje ręce, list od p. Rudzkiego o dawno wysłanej po mnie urzędowej odezwie.

Pożegnałem na zawsze progi naszej dzierżawy, zostawiając dowolne w niej władanie przez resztę lat czteroletniej posesyi kochanemu bratu Franciszkowi i z nim wyjechałem na święta Bożego-Narodzenia do rodziców, zkąd mam się udać do Krzemieńca.

Kochana matka, jak zwykle dobra kobieta, co tylko do serca swego sięga po zdanie o doli człowieka, dostrzegła nieznaną jej wprzódy posępność w mej twarzy, jakby utajony smutek; ztąd nierada była mojemu losowi, litowała się nademną i odwodziła od trudów, jakie mnie czekają. A gdy zacny ojciec utwierdzał w zamiarze, powtarzając zawsze: człowiek w jakimbądź zawodzie, stworzony do pracy, i że każdy, o ile zdoła, ma się przyczyniać ku powszechnemu dobru, ona prawie ze łzami rzecze na to:

— Ależ młode lata poddawać pod jarzmo niewoli i ciągłej pracy, ktośby powiedział dla tej tam pensyi kilkuset rubli, jak gdyby nie miał z czego żyć, gdy jego rowieśnicy swobodni żenią się i są szczęśliwi! Zda się, że sam Bóg sprzeciwia się temu,

kiedy potwierdzenie na ten opłakany urząd nie on, lecz kto inny z poczty odebrał.

Na to kochany ojciec odpowiedział:

— Tę mylkę zrządził wypadek; nie przywiązujmy wagi do tego. Co do pensyi 900 rubli, jaką z kasy państwa ma on pobierać, ta wcale go nie krzywdzi. We wszystkich krajach urzędy są płatne; u nas tylko w prowincyach niegdyś do Polski należących zostawiono przy dawnych prawach miejscowych ten obyczaj, że urzędy, od wyborów zależące, mają nagrodę w położonej ufności współziomków. Lecz nadanie plenipotencyi do wyszukiwania funduszów edukacyjnych od władzy rządowej zależy. Mówisz o szczęściu domowem, o związku małżeńskim: Żenić się jeszcze mu nie pora, a jarzmo pracy, Bóg mu i opinia ludzka wynagrodzą.

Po świętach odwiedziłem z pożegnaniem domy krewnych Budzyńskich i pierwszych dni stycznia 1820 roku stanąłem w Krzemieńcu.

Serdeczneż było moje powitanie się ze czcigodnym Felińskim, jak gdybyśmy tam cieszyć się mieli sobą na czas długi! Podobneż było z ciotką moją Postruską z Krzywicz, która zjechała do Krzemieńca z córką jedyną, trzynastoletnią Bogunią, dla jej wychowania i ze swoją siostrą Raciborowską razem z jej dziećmi, Michałem i Walerką Raciborowskiemi, które w jednym zamieszkały domu.

Dnia 8 stycznia 1820 roku, na sesyi komisyi edukacyjnej, wezwany ksiądz Aloizy Osiński, profesor liceum, w tychże murach tuż przy komisyi mieszkający, w całej formie zwykłej wysłuchał mej przysięgi na urząd. Poczem oddano mi odebrany z poczty pakiet, do mnie adresowany z uniwersytetu wileńskiego. Należy pomnieć, że ten uniwersytet z nadania cesarza Aleksandra I-go pod rokiem 1803 władał obszernym wydziałem edukacyjnym, najbogatszym ze wszystkich innych głównych zakładów podobnych w kraju; należały bowiem do niego, prócz

litewskich, trzy nasze zachodnie gubernie, wyłączając tylko białoruskie, które do innego wydziału załączono. Ztąd i fundusze edukacyjne w tym ogromnym wydziale wykryte i wykryć się mające przez dwie komisye, jedną w Wilnie, a drugą w Krzemieńcu, tudzież w ziemi liczne dobra pojezuickie, podlegały rozrządzeniu uniwersytetu wileńskiego.

W pakiecie z Wilna odebranym otrzymałem szczegółową informacyę o potrzebie utrzymywania dwóch u mnie ksiąg dla wpisywania odchodzących odemnie i przychodzących z uniwersytetu pism urzędowych, a przytem polecenie tegoż uniwersytetu, abym co cztery miesiące dawał mu wiadomość o zaczętych i skończonych, niemniej o wygranych przezemnie i przegranych sprawach w krzemienieckiej komisyi edukacyjnej. Kiedy dziś swobodny, a więcej doświadczeniem wsparty, pomyślę o ciężarze, jaki wówczas na barki moje włożono, wydziwić się nie mogę łasce czuwającej nade mną Opatrzności, żem temu podołał. Nikt z ludzi, Bóg tylko jeden pomagał mi.

Ku większej biedzie, trafiłem na porę zamieszkania wszystkich domów zwykle puszczanych w najem, i za żadne pieniądze nie było do najęcia, jak tylko zajezdne, żydowskie domostwa. Musiałem poprzestać na wyszukanym przez faktora jednym pokoiku w oficynie przy domu pani majorowej Sztejnowej, gdzie godząc się o tę kwaterę dla mnie i przez sień o izdebkę dla mego lokaja, poznałem u niej pannę już lat podeszłych, szpetną jak grzech śmiertelny, z bielmem, czyli białą narością na jednem oku, nazwiskiem Urbańską, o której niżej nadmienię. Za cały sprzęt pokojowy dano mi łóżko, stolik i jedyne krzesło. Szwajcar, *alias* parobek, porządnie odziany, zniósł do mnie z szafy naszej komisyi paki *in folio* papierów do swobodnego w ciszy przejrzenia. Ten szwajcar na usługach juryzdykcyi, wniósłszy pierwszą z pak wskazanych przezemnie do wydania jednemu z kan-

celistów, zapytał spojrzeniem, czy ją położyć ma na mojem łóżku.

— Nie — rzekłem, nie tracąc fantazyi — papierom wygodniej będzie na ziemi.

I pod ścianą składając pakę przy pace, sznurkami dobrze obwiązane, nadałem temu pozór sofki, wprawdzie wązkiej, jak długość arkusza, ale długiej na cztery łokcie. Pomnę, jak mnie tam zmieszała niespodziana wizyta członków komisyi: Feliksa Czackiego, Romualda Steckiego i szefa Józefa Drzewieckiego w towarzystwie pisarza komisyi Franciszka Rudzkiego. Usadowiłem ich na łóżku i krześle; a Rudzki, zawsze wesół, z gotowym na ustach żartem, usiadł na owej sofie papierowej, mieniąc ją bogatszym nad aksamity meblem, bo w niej są krocie funduszów edukacyjnych. Tam stałem się wzorem dla uczniów do rannego wstawania; bo o godzinie czwartej już widziano światło w mych oknach, a mnie nad foliałami zapisów lub dekretów rozbiorowych, gdzie były ubezpieczone sumy Jezuitów albo duchowieństwa galicyjskiego.

Jak myśliwy po tropach zajęczych, tak ja w tych papierach szukałem śladów należności. Tej pracy osłodą bywały w pierwszym miesiącu wieczory u Felińskiego, lub z nim po znakomitszych domach dla wychowania dzieci tam zamieszkałych. U Felińskiego raz na tydzień zbierało się towarzystwo literackie wieczorem, gdzie ktoś zwykle rzecz wypracowaną prozą lub wierszem czytywał. Do chętnych słuchaczów i ja należałem. Dowiedział się o takich wieczorach mój dobrze znajomy sędzia powiatu Konstantynowskiego, zacny a pełen dowcipu Szumski. Ośmielony odpowiedzią moją na jego odezwę, przybył do Krzemieńca dniem przed zwykłą sesyą, abym go dał poznać Felińskiemu. Miał on czytać nazajutrz w zgromadzeniu literatów oryginalną swoją komedyę, której tytułu dziś niepamiętam. Zjechał też na ten termin i Wacław Borejko, znany dawniej

Krzemieńcowi; był bowiem za czasów Tadeusza Czackiego członkiem komisyi edukacyjnej, gorliwy o rozszerzenie światła obywatel. On, dbały o dobrą sławę Wołynia, wyczytawszy w „Dzienniku Wileńskim“ ohydny paszkwil na naszą prowincyę z wyrzutami, jakoby powszechnej u nas ciemnoty, napisany przez Syrkowskiego w przelocie pocztą przez Wołyń do Turcyi, silnie dotknięty, przywiózł pod sąd literatów usprawiedliwienie się z tak niecnych zarzutów, i miano to wysłać do tegoż „Dziennika Wileńskiego.“ Traf bolesny a nieprzewidziany przerwał te zamiary. Nazajutrz, rano, o godzinie ósmej, siedząc nad czytaniem dokumentów, słyszę niezwykły gwar na moim małym dziedzińcu, i wkońcu te wyrazy pani Sztejnowej do wybiegających z jej domu malców:

— Tylko nic nie mówcie o tem przed panem podsędkiem, bo mocno się zmartwi.

O mnie mówi, a więc zajrzałem w okno: widzę biegnących natłocznie w jednym kierunku. Wychodzę w szlafroku za bramę i wstrzymując jednego z malców, pytam:

— Gdzie tak pilnie biegniecie?

— Ach! — zawoła — pan dyrektor umarł!

— Boże!

I bez czapki, w szlafroku, spieszę za nimi. W pierwszym pokoju, znachodzę kilku profesorów i prefekta Antoniego Jarkowskiego, który mnie wita temi słowy:

— Dobrze, żeś pan tu przybył. Poradź nam, panie podsędku! Idzie o to: czy trumna ma być czerwona, czy czarna?

Oburzyła mnie ta obojętność pedagoga. Bez odpowiedzi wbiegam do sypialni. Tam zastaję Rudzkiego z załamanemi rękoma i kilku doktorów ze smutkiem na twarzach; trup w łóżku leżący nawznak, a u nóg jego aptekarz sposobi stosy galwaniczne. Nim on ukończył zastosowanie łańcuszka do ciała, położyłem rękę moją na żołądku zmarłego i ciepło

jeszcze poczułem. Gdy stosy galwaniczne zaczęły działać, ujrzałem dość wyraźne ruszanie się powiek nieboszczyka. Powziąłem jakąś otuchę. Lecz obecni medycy niebawem wywiedli mnie z ułudy. Okazało się bowiem, że jeszcze nie są to znaki życia. Kazano nacierać podeszwy drucianą szczotką—i ten środek nie wrócił mu życia. Wbiegł Klębowski, malarz, z nagiętem na ramach płótnem i z pastelami. Wszelki ratunek widzę już niepodobnym, i łzy mi się polały. Z boleścią w sercu odszedłem do mojej samotni. Tam przywiodłem sobie słowa jego listu do mnie z Wołosowa:

„— Gdy przyjedziesz i zamieszkasz, Krzemieniec stanie mi się rajem!

O! był też to mój przyjaciel, jakich mało! Jakoż silnie uczułem tę stratę! Czemże jest to życie długie, którego sobie wzajemnie życzymy?... Oto w moich 83 latach mam w zysku rozpamiętywanie bolesnej przeszłości, ten jedyny owoc tylu łez, wylanych nad mogiłami najdroższych serc!...

Rozszedł się odgłos po Wołyniu i dalej o nagłej śmierci Felińskiego. Liczne obywateli zbiegowisko napełniło ludny bez tego Krzemieniec. Śród pogrzebu nadjechał z Galicyi Jan hrabia Tarnowski, kasztelan Królestwa Polskiego, wierny od szkół przyjaciel Felińskiego. Powitał mnie w kościele stojącego na uboczu za filarem, ciężkim przejętego smutkiem, gdzie mu ze łzami powiedziałem, ileśmy stracili.

Po żałobnem z wielką wystawą nabożeństwie, po uczczeniu egzortą i mowami starszych uczniów szlachetnego dla oświaty poświęcenia się zmarłego, złożyliśmy zwłoki jego tymczasowo w dolnym licealnym kościele. W tymże dniu zeszło się nas kilku do Rudzkiego, gdzie mieliśmy pod rozwagą jego podany nam pomysł, aby jakimbądź godnem uczuć naszych dla Felińskiego postanowieniem uwiecznić pamięć w Krzemieńcu autora *Barbary*. Tam, przybyły ze Stanisławem Worcelem Konstanty Piotrowski, chą-

rąży żytomierski, podaje myśl piękną, aby ze składki przyjaciół zmarłego założyć pensyę dla czterech ubogich uczniów przy liceum wołyńskiem, pod tytułem *uczniów Felińskiego*. Wszyscy najchętniej tę myśl potwierdzamy, a Rudzki dodał, aby godłem naszego stowarzyszenia i spisać się mającej ustawy na ten przedmiot były wyrazy Felińskiego, jakie on z ust jego słyszał, gdy od niego, jako od dyrektora odchodziły zapłakane ubogie matki, których synowie, dla brakującego już miejsca, nie mogli być przyjęci do konwiktu przez rząd ufundowanego:

„— *Boleję na to, że te biedne matki ze łzami odemnie odchodzą*".

Na tem zgromadzeniu, z nas kilkunastu złożonem, obrano prezesem towarzystwa, mieszkającego ciągle w Krzemieńcu, najdawniejszego z pomiędzy przyjaciół Aloizego Felińskiego, a niegdyś w roku 1794 kolegę jego przy kancelaryi Kościuszki, Franciszka Rudzkiego. Nadano mnie obowiązek sekretarza do utrzymywania pod mojem piórem protokułu miesięcznych sesyj i wpisywania w tęż księgę wnoszonych ofiar, a kasyerem obrano Józefa Kruczkowskiego, kasyera komisyi edukacyjnej. Postanowiliśmy naprzód: aby na funduszu ze składki naszej dla utrzymania czterech ubogich *uczniów Felińskiego*, pierwej było dwóch tylko, to jest syn Aloizego, Tomasz Feliński, i siostrzeniec Tokarski, aż do ukończenia ich nauk w liceum; czuwanie zaś nad nimi powierzyliśmy Teodozemu Sierocińskiemu, rejentowi konwiktu na funduszu rządowym, gdzie i ci dwaj uczniowie mają być wygodnie pomieszczeni. Powtóre: oprócz ofiar jednorazowych, jakie nam zdarzy się zebrać, a jakich byliśmy pewni po szlachetności zamożnych a zamieszkałych tam domów, mamy dołożyć starania ku wzmożeniu się liczby członków naszego towarzystwa, z których, każdy z nas do śmierci obowiązuje się, bez żadnego przed właściwemi aktami sądowemi zapewnienia, pod hasłem tylko przy-

jaźni dla zmarłego Felińskiego, składać z góry corocznie po dziesięć rubli srebrnych, z tem zastrzeżeniem, że od uczniów licealnych, których wówczas było siedemset kilkadziesiąt, jednorazowe tylko ofiary mogą być przyjęte. Potrzecie: postanowiono, aby co miesiąc sesya towarzystwa bywała u prezesa naszego, gdzieby sekretarz składał swoją księgę poświadczającą dochody i rozchód za asygnacyą prezesa, wydawaną do kasyera. Po czwarte: aby staraniem towarzystwa corocznie w dniu imienin ś. p. Aloizego Felińskiego, to jest dnia 21 czerwca, bywały egzekwie za duszę jego z odpowiednią tej pamiątki wystawą, i aby w tym dniu zgromadzało się o ile można towarzystwo nasze u prezesa, gdzie mamy zdawać sprawę z całorocznych czynności naszych.

Po upływie kilku tygodni już księga w moich rękach będąca poświadczała przychód w gotowiznie weszły do kasyera tak z opłaty od stałych członków towarzystwa, jako też z jednorazowych ofiar zebrany, w sumie cztery tysiące kilkaset rubli srebrnych, co stanowiło kapitał, od którego procent szósty wystarczał na cel towarzystwa. Wedle naszej ustawy, po naradzie z obecnymi w Krzemieńcu członkami, od naszego prezesa zależało ten kapitał powierzyć któremu z obywateli na takich jego uczciwości pewnych zasadach, aby ulokowanie tej sumy nie wymagało zaaktykowania rewersu w księgach powiatowego sądu. Jakoż ów kapitał tak dobrze został umieszczony, że od niego procent coroczny z góry opłacany bywał.

Wśród dni letnich 1820 roku na jednej z sesyj naszych rejent funduszowych uczniów, Teodozy Sierociński, pod którego dozorem był Tomasz syn Aloizego Feliński i jego brat cioteczny Tokarski, smutną oznajmił nam wiadomość, że młody Feliński, mający wówczas lat 16, ma niezwalczony wstręt do nauki; że gdy on przedstawia mu, aby pomniał na ojcowską sławę, którą wkłada na niego święty obowiązek stać

się godnym swojego imienia przez pilność w nauce, młodzieniec stanowczo odpowiada:

— Sława nie daje pieniędzy. Poezya, to zapisany papier bez żadnej korzyści. Mój ojciec byłby bogatszym, gdyby był kupował młode konie, starał się je rozmnażać i w Berdyczowie, jak inni, sprzedawał.

A nadto, co boleśniejsza, że objawia niekiedy zboczenie władz umysłowych. Na tej sesyi uradzono, abym ja wezwał Tomasza do siebie i jako najlepiej mu znany przez częste w ciągu kilku niedziel bywanie u jego ojca, wybadał stan jego umysłu. Gdy wezwany przyszedł do mnie po obiedzie, po chwili zachęciłem go do przechadzki po mieście. Na rozmaite rzucane mu kwestye odpowiadał z całą przytomnością. Ale gdyśmy byli na ludnej i szerokiej ulicy, jakaś Żydówka w najlichszem, brudnem odzieniu, dziewczę nieszpetne lat kilkunastu, szła tuż przed nami wpoprzek tej ulicy. Tomasz przerywa rozmowę, rzuca się do tej Żydówki, ściska ją i w twarz całuje po kilkakroć. Napróżno dziewczę się wzbrania, napróżno silnie biorąc go pod ramię, odwodzę. Na tę natarczywość i jej krzyk zbiegli się Żydzi i wyrwali ją z jego objęcia. Gdy po przekleństwach opuścili nas, rzekłem:

— Tomaszu! co ty zrobiłeś! Tak publiczna niedorzeczność bez względu na to, żeś ty Feliński!

— At, co mi tam po tem nazwisku! Ona ładna, a kiedy pewnie mężem jej nie będę, bo ona Żydówka, to przynajmniej niech ją ucałuję!

— Czy masz z nią znajomość?

— Nie; pierwszy ją raz ujrzałem i taką chciałbym mieć żonę!

— Mówisz bez namysłu! Czyliż w twoim wieku przyzwoicie jest myśleć o żonie? Będzie na to pora; a teraz potrzeba ci umysłowo pracować dla własnego dobra i abyś stał się użytecznym dla ludzi, jak twój zacny ojciec.

— Pan Sierociński codzień toż samo powtarza. Łatwo to mówić: przyjdzie kiedyś pora! A jak ja tej pory nie dożyję, to co za korzyść będzie z tej nieustannej pracy nad nauką? Ja wolę teraz być szczęśliwym!

Na te słowa jego pomyślałem sobie: kiedy drzewo na pagórku, jakże często jabłko odtacza się od jabłoni!

Nazajutrz, będąc z regentem i szefem Drzewieckim u Rudzkiego, opowiedziałem im ze szczegółami wczorajszy na ulicy wypadek i rozmowę moją z Tomaszem Felińskim. Rudzkiemu zdało się, że ten pociąg tak wczesny do płci może być punktem zboczenia umysłowego.

Na to szef ozwał się:

— Jest po temu środek, wprawdzie zabójczy dla przyszłości młodzieńca, ale choć nie na długo, może jedyny: ożenić go bez względu na jego lat szesnaście.

Była to pogadanka dość smutna, ale bez skutecznego następstwa. Prosiliśmy tylko Sierocińskiego, aby go nie zmuszał do ciągłej nauki, a raczej, aby go niekiedy zajmował opowiadaniem czegośkolwiek z dziejów krajowych, i pilną miał baczność na to, aby on samotnie kiedykolwiek w miasto się nie wymykał.

Jan hr. Tarnowski nieprędko przysłał nam z Dzikowa obiecany rysunek sarkofagu, jaki ma być nagrobkiem dla Aloizego Felińskiego. Rudzki obchodził ze mną góry otaczające Krzemieniec i upatrzyliśmy najstosowniejsze miejsce. Obrana przez nas góra, nazwana Wołową, należała do mieszczanina, od którego natychmiast Rudzki kupił cząstkę jakąś morga, jakoby dla siebie. Mieszczanin nie cenił wysoko tej ziemi, bo u samego szczytu góry niewiele z siana miewał korzyści, dziwił się pewnie kupnu tego kawałka niepłodnej, krzemienistej ziemi. Nie przy-

szło jednak do postawienia pomnika, w policyi bowiem już zaszły kwestye o składkę uczniów na solenny obchód śmierci Felińskiego w dniu św. Aloizego w kościele, pełnym wielkiego i mniejszego świata u Franciszkanów. Katafalk, ustrojony w najosobliwsze z ogrodu botanicznego kwiaty i mnóstwem jarzącego światła i lamp w kolumnach, miał w przyczółku trumny portret Felińskiego. Żałobna msza św. śpiewana, z muzyką na chórze, egzorta wymownego kaznodziei licealnego, kapucyna Prokopa, i nakoniec egzekwie, wszystko nas rzewnie przejmowało, wszystko przemawiało jakby o wczorajszej przez młodzież poniesionej stracie i składało cześć, należną zmarłemu. Bez znacznego kosztu obejść się to nie mogło, a poczciwego ducha uczniowie wszyscy na wyścigi ofiary na to składali.

Po południu, idąc na konieczną w tym dniu naszą sesyę przez mury licealne, wstąpiłem tam na chwilę do Jana Wyleżyńskiego, o którym wyżej pisałem, ówczesnego wizytatora szkół trzech gubernij i liceum. On mnie zapytał:

— Czyim kosztem tak wspaniale uczczono pamięć o Felińskim?

Powiedziałem mu, jak istotnie było, że bez niczyjego wpływu złożyli się na to uczniowie. On mi rzecze:

— W ławce kościelnej u drzwi wchodowych usiadł przy mnie policmajster i rzucił kwestyę: „Czyim to kosztem?“ Odpowiedziałem, że nie wiem. A on na to: „Ta wystawa stanie się głośną. Ja byłbym odpowiedzialnym, gdybym nie doniósł, jak mi z pewnością wiadomo, że to jest z ofiar uczniowskich. Imienny ukaz, zamykający loże masońskie w całem państwie, w tym roku wypadły, zastrzega razem, aby żadnych nie czyniono składek bez upoważnienia od rządu, z surowym zakazem wszelkich tajnych towarzystw.“ Policmajstrem wówczas był zacny człowiek, pułkownik Larjus. Bywał w domach zamieszka-

łych w mieście i wszędzie życzliwego doznawał przyjęcia. Wspomnę o nim jeszcze przy okoliczności osobiście mnie dotyczącej. Ta jego rozmowa z Wyleżyńskim, była przyjacielskiem tylko ostrzeżeniem. Lecz w tym dniu sesya nasza była już ostatnią. Nie schodziliśmy się już do naszego prezesa w terminach miesięcznych. Czterech nas tylko: Rudzki, Kruczkowski, Sierociński i ja, miewaliśmy niekiedy ciche znoszenia się ku wspólnej wiadomości o dwóch uczniach Felińskiego i o rozchodzie na ich utrzymanie z procentu z góry nam opłacanego od sumy kapitalnej. Po uwolnieniu się mojem od urzędu plenipotenta funduszów edukacyjnych w dniu 8 marca 1823 roku, gdy pożegnałem Krzemieniec, wówczas ci dwaj uczniowie pobierali jeszcze nauki kosztem *przyjaciół Felińskiego*. Później dowiedziałem się, że syn jego, Tomasz, będąc na wsi u matki, nie pomnę czy na wakacyach, czy po ukończeniu już nauk, kąpiąc się w stawie, utonął. Wstręt swój do nauki usprawiedliwił jakby przeczuciem, że nie dożyje owocu prac szkolnych. Mówiono mi, że przed wypadkiem tej śmierci miewał napady melancholii i pomieszania zmysłów, podobnie jak starsza jego siostra, która wyszła była za mąż za p. Michałowskiego, i jak z tego związku syn jej, który w tym stanie umysłu, przybywszy do krewnego swego, z Omiecińskiej także urodzonego, Mateusza Lasockiego, do wsi Wysczykus pod Lubarem, w nocy, śród napadu waryacyi, brzytwą poderżnął sobie gardło i tam zakończył życie; toż samo uczynił też krewny jego, Lasocki, w Żytomierzu.

Długo mnie zajmował wypadek nagłej śmierci Aloizego Felińskiego, zamiar i postanowienie jego przyjaciół. Co do kapitału, zebranego na fundusz ubogich *uczniów Felińskiego*, użycie jego niżej zanotuję. Wypadałoby nadmienić o trzyletniej a ciężkiej pracy mojej, gdym urzędował jako prokurator funduszów edukacyjnych. Ale na cóż się to przyda? Gdybym nawet pisał te

rozpamiętywania w rodzaju pamiętników, aby to ktoś czytał po mej śmierci, to i w takim razie odesłałbym ciekawych, aby raczyli zajrzeć do „Gazety Warszawskiej“ z roku 1857 nr. 57, 58, 59 i 60, lub do tomu V moich rękopisów, gdzie kopię listu o komisyi edukacyjnej, w tej gazecie umieszczonego, dla dzieci i wnuków moich zostawię. Tam każdy dowie się o moich i poprzednika mego, Borkowskiego, zajęciach. Tu wspomnę niektóre tylko wypadki, mocniej w pamięci utkwione, a tam zamilczane. A naprzód: Oto nie wchodząc w to, czy mój pracowity poprzednik miewał jakie z uniwersytetem wileńskim zniesienia się, o czem żadnych po nim piśmiennych śladów nie zastałem, a pomny na informacyę z Wilna otrzymaną abym co cztery miesiące zawiadamiał zarząd uniwersytetu o czynnościach moich w krzemienieckiej komisyi sądowo-edukacyjnej, ściśle spełniałem ten przepis od początku do końca mego urzędowania, wiedziałem bowiem, że ta wysoka instytucya z mocy imiennego nadania, jako zarządzająca w wydziale swoim wszelkiemi funduszami publicznego wychowania, miała prawo wymagać po mnie takich wyjaśnień. Tymczasem hrabia Filip Plater, mieszkający w Żytomierzu jako wice-gubernator, a jako członek naszej komisyi gorliwie dbały o los przyszły liceum wołyńskiego, powziąwszy od kogoś mylną o moich działaniach wiadomość, napisał do mnie z Żytomierza list obszerny, który dotąd znachodzi się u mnie pomiędzy tysiącem rozmaitych korespondencyj. W tym liście czyni mi wyrzut, jakobym kontrolował czynności komisyi, donosząc uniwersytetowi, że komisya pieniądze z procentów, od sum przysądzonych zebrane, oddaje na procenty obywatelom trzech naszych gubernij bez upoważnienia uniwersytetu, a tylko za świadectwem powiatowych sądów o pewności owych lokacyj. Dalej w tym liście daje mi do poznania, że lubo tak istotnie dzieje się, to jedynie w tym celu, że są nadzieje, iż nie-

zadługo liceum nasze będzie miało dodany fakultet medyczny i podniesione zostanie na stopień uniwersytetu z osobnym wydziałem tych trzech gubernij, a ztąd owych sum tu ubezpieczonych, już nie pochłonie Wilno, lecz one przymnożą fundusz dla przyszłości Krzemieńca. Zdziwiłem się nad niesłusznością wyrzutu. Nigdy w urzędowych, ani w prywatnych pismach moich nie wspominałem o sumach na procent oddawanych, lecz tylko o samych kapitałach, przez komisyę przysądzonych, a gdzie procenty od nich podziewają się, o tem nie miałem od uniwersytetu polecenia badać i donosić. Nietajne były przedemną lokacye owych procentów, w kapitały zmienionych; lecz wiadoma też mi była bezapelacyjność komisyi, która przed żadną juryzdykcyą, nawet przed senatem, nie zdawała sprawy ze swoich postanowień. Sam tylko minister oświecenia odbierał od niej coroczną wiadomość o nowoprzybyłych funduszach edukacyjnych. Na list hrabiego Platera odpisałem mu, że na odparcie niesłusznego zarzutu mogę okazać księgę pism odchodzących odemnie, gdzie są wciągnięte dosłowne ich kopie.

Tu przychodzi mi na myśl wynikłe w owych czasach nieporozumienie pomiędzy hrabią Filipem Platerem a gubernatorem, generałem Bartłomiejem Giżyckim, a zarazem smutna dla pierwszego z nich z małych początków katastrofa. Pan hrabia cieszył się niewinnemi względami u dam, ztąd mianowicie, że obok nauki, z jakiej był znany w gubernii, nie pogardzał szczegółową wiadomością wykwintnych ubiorów kobiecych ku uwydatnieniu ich piękności. Utrzymywał na to żurnale mód krajowych i zagranicznych, a tak trafnie udzielał znajomym sobie damom rad poszukiwanych, że stał się dla nich w Żytomierzu wyrocznią. Nie wiem, z jakiej okoliczności miał być bal u gubernatora, na który wiele domów i z prowincyi się spodziewano. Pani Giżycka, z domu Ilińska, siostra znanego senatora, pełna dumy i próżności, po-

stanawia z wielkim zachodem i kosztem podnieść zwiędłe już wdzięki i sprowadza z Warszawy cały przybór strojów, o jakich dotąd żadnej tam z elegantek ani się marzyło. Lecz aby sobie pewność tej rzewagi zabezpieczyć, zamyśla poddać cały swój garnitur pod sąd pana hrabiego. Na dni kilka przed balem, gdy hrabia był u gubernatora, ona go wzywa do swych apartamentów, gdzie w jednym z pokojów na kanapach i sofkach czekały jego sądu te narzędzia podboju serc ludzkich. Hrabia ścisły czyni przegląd, jak gdyby ztąd miał wysłać sprawozdanie do jakiej gazety. Unosi się w pochwałach, przyznaje zupełną zgodność z ostatnim żurnalem paryzkim, ale, nie proszony o tajemnicę, gdy tegoż dnia był na wieczorze w jednym z domów zamieszkałych w Żytomierzu, gdzie młoda gospodyni z obecną tam jej przyjaciółką zasięgały jego rady, jak mają na bal wystąpić, hrabia z żywą pamięcią koloru sukni, jej garnirowania, ubioru, z piórami na głowie i najdrobniejszych dodatków dziś widzianych, co wszystko istotnie było w jego guście, nie wspomina, że u pani Giżyckiej obejrzał strój taki, tylko opowiada tym damom o wszystkich tego ubrania szczegółach i życzy im, aby wedle opowiedzianego przepisu na bal wystąpiły. Jakoż niedaleki Berdyczów tym zamożnym damom dostarczył natychmiast wszelkich na to materyałów, a miejscowa modniarka przygotowała wszystko na oznaczony termin.

Nadchodzi ów dzień feralny. Bal świetnie się rozpoczął. Żadna z dam nie była podobnie wystrojona, jak gospodyni. Lecz śród balu zjawiają się dwie damy, zupełnie tak ubrane jak ona. Zaledwie zbliżyły się, aby ją powitać, ona z fotelu powstaje i w omdleniu pada. Rzucono się do ratunku i wyniesiono ją do dalszego pokoju. Troskliwy mąż nadbiega badać przyczyny tego jej wypadku. Zastaje ją już przytomną, ale w rzewnym płaczu i przekleństwach na zdradę hrabiego Platera. Giżycki często

bywał powolny skinieniu swej żony. Ale znałem jego prawość, znałem poczciwe zasady jego charakteru i ztąd wierzyć nie mogę, aby aż do tego stopnia dla błahych powodów był mściwym, jak życzliwi hrabiemu Platerowi mniemali. Zerwane zostały widocznie dobre pomiędzy nimi stosunki, odtąd już zaprzestali wzajem się nawiedzać, lecz tyle tylko pani Giżycka wymódz mogła na swoim mężu. Następna potem okoliczność dała tak mylne domniemania o Giżyckim. Wielki książę Konstanty, wódz armii polskiej w Warszawie, był wówczas naszym jakby generał-gubernatorem. Zbliżał się w tym roku pobór rekrucki. Nadesłano od wielkorządcy polecenie z pomianowaniem, gdzie który z wyższych urzędników ma się zajmować poborem. Wice-gubernator, hrabia Plater, miał spełniać ten obowiązek w Żytomierzu. Lecz zanim odebrał urzędowe o tem pismo, już jego podwładni przez stosunki z kancelaryą gubernatora wiedzieli o tem rozporządzeniu, a od nich uprzedzony, chcąc uniknąć przykrego mu obowiązku, spiesznie wyjechał do Krzemieńca, jako członek komisyi edukacyjnej. Gubernator, dowiedziawszy się o jego wyjeździe, był w obowiązku zapytać W. księcia, kto ma odbierać rekrutów w miejsce pana hr. Platera, który zasiada teraz w komisyi krzemienieckiej?

Wielki książę, przedstawia senatowi winę nieposłuszeństwa pana hr. Platera. Senat odsądza go od wszelkiego urzędowania.

Byłem wówczas sam na sam u hr. Platera w Krzemieńcu, kiedy pocztylion przyniósł mu z poczty ekspedycyę ze stolicy od jego korespondenta z wiadomością o tak niespodzianym ukazie. Żal było patrzeć na jego przejęcie się tak dotkliwym ciosem. Człowiek w trzydziestu kilku latach, z nauką i zasobem wysokich do publicznej usługi usposobień, skazany na bezczynne życie, mocno uczuł ten wyrok senatu. Natychmiast wyjechał do Petersburga, ażeby

tam stanąć przed potwierdzeniem tego dekretu przez najwyższą władzę.

Mając znajomości w stolicy pomiędzy pierwszymi dostojnikami, umiał uniewinnić się tą jedyną prawdą, że zanim odebrał urzędowe polecenie w Żytomierzu, wyjechał do Krzemieńca, jako członek komisyi edukacyjnej, mianowany przez cesarza,co w ciągu jego urzędowania, jako wicegubernatora, nieraz mu się zdarzało. Jakoż zwrócono mu moc urzędowania i nie mającemu dotąd żadnej rangi, nadano razem za położone zasługi stopień radcy stanu. Ale nie chciał już obejmować żadnego urzędu; zamieszkał w Odesie i niedawem zakończył tam życie.

Dwa lata temu synowiec jego, syn Ignacego i Sobańskiej, córki Michała, Włodzimierz hr. Plater, na podpisach zwykle mianujący się Bröl-Plater, którego lat temu kilkanaście poznałem w Sławucie u księcia Romana E. Sanguszki, grzeczną podwakroć robił do mnie odezwę, wzywając do napisania życiorysu o tym jego stryju. Odpowiedziałem na oba listy: na pierwszy, że porządny życiorys ma dać rzetelny obraz wychowania od pierwszych lat młodzieńczych, aż do ukończenia nauk, co o hrabiu Filipie Platerze tembardziej jest koniecznem, kiedy Tadeusz Czacki, jako wizytator szkół, uznawał go swoim zastępcą, a on po nim czas jakiś ten urząd spełniał, ja zaś nie wcześniej poznałem go zblizka po raz pierwszy, aż wówczas, gdy był wicegubernatorem wołyńskim; a co do badania rówieśników moich, którzyby mogli wiedzieć o jego młodzieńczych latach, odpisałem na list drugi, że niestety! już nie żyją. Pokój jego i ich popiołom!

O! pokój popiołom tych wszystkich, z którymi pół wieku temu trzy lata w Krzemieńcu przeżyłem! Przy wspomnieniu o nich pierwsze ma miejsce, obok Felińskiego, ś. p. Benigna z Peretiatkowiczów Postruska, z siostrą swoją Antoniną Raciborowską, z których tamta dla starannego wychowania swej córki

Bogumiły, a druga dla syna Michała i córki Waleryi tam mieszkały, aż do ukończenia nauk swch dzieci.

Gdzież wy, moje wieczory, tak słodko przy nich spędzone, a tak prędko znikłe z niemi na zawsze!... Dziś tylko rzewnie powtarzam z niedawnego listu mego do staruszki K. Ł.:

Ktokolwiek był sercu miły,
Mogiły tylko, mogiły!...

Pod mojem okiem miła Bogu i ludziom wzrastała Bogunia od lat trzynastu do szesnastu. Jeśli którego dnia przyjść do niej nie mogłem choćby na chwilkę, już nazajutrz rano miałem grożący od niej bilecik znany jej matce, za hołdowanie jakiejś piękności, których wówczas Krzemieniec zbiegowiskiem jaśniał.

W drugim roku zamieszkania tam mojego nająłem sobie połowę domu u Francuza Rusela, metra fechtunków przy liceum. Chodząc raz na wiosnę w piękny dzień majowy po jego ogrodzie fruktowym, bez żadnej myśli uszczknąłem polny kwiatek biały, blizki opadnięcia, przy którym był zaledwie rozwijający się pączek. To Bogunia, pomyślałem sobie — i wnet, jakby czytane składały się wyrazy:

Powoli pączku, powoli,
Rozwijaj swoje ponęty.
Obrazem jest twojej doli,
Kwiat przy tobie rozwinięty.

Cóż on zyskał, że się śpieszył
Wydobyć listki z ukrycia,
Nadzieją się nie nacieszył,
I krótką chwilę ma życia.

I ja niegdyś tak nadobny,
Nieznany sobie, ni światu,
Byłem do pączka podobny,
Podobny byłem do kwiatu.

Dzisiaj, cóż mi po tym świecie?
Co doświadczenie mi nada?
Oto wzdycham przy tym kwiecie,
Z którego listek opadał

Powoli, pączku, powoli
Rozwijaj swoje ponęty;
Obrazem jest twojej doli,
Kwiat przy tobie rozwinięty.

Wieczorem tego dnia owe wierszyki o pączku, napisałem w stambuszku Boguni, do jej czternastu lat zastosowane. Jakże im była rada! Jak mnie ucałowało dobre, anielskie dziewczę! Stosunki nasze uświęcało pokrewieństwo. Matka jej była córką Tomasza Peretiatkowicza, którego siostra Antonina była matką mojego ojca. Ojciec mój przeto był cioteczným bratem pani Postruskiej, a jej córka w trzecim stopniu ztąd moją była siostrą. Mniemano tam po niektórych domach, że mam się z nią żenić.

Gdy te wnioski doszły do mojego ojca, tak sprzeciwiał się związkom małżeńskim w pokrewieństwie, że przybył do Krzemieńca, ażeby temu przeszkodzić. Niespodzianem zjawieniem się wielką radość sprawił mnie i ciotecznym siostrom swoim, bo lubo rzadko się widywali, oddaleni od siebie o mil kilkanaście, lecz zawsze tlało w nich przywiązanie familijne.

Rozmowa na osobności ojca mojego ze mną miała charakter stanowczej powagi.

— Mówiono mi—rzecze — iż ty zamyślasz starać się o rękę Boguni. Przybyłem tu, ażeby ci przedstawić, że jeśli tak jest istotnie, to twój zamiar mocno mnie zasmuca. Proszę, ażebyś powściągał swoją skłonność ku niej, takim związkom w pokrewieństwie, choćby za dyspensą, Bóg nie błogosławi. Powtóre, nie pora jeszcze, ażebyś się zamknął przed światem w domowem z żoną pożyciu; twojej młodości zawodem ma być usługa publiczna. Bardzo proszę, ażebyś zaniechał swojego zamiaru.

Tłómaczyłem się, że nie w tej myśli, lecz jako krewny, bywam w domu ciotek i ztąd mylny rozgłoszono wniosek.

Uspokoiłem dobrego ojca, lecz on, jako troskliwy o mnie, a zawsze zwykły objawiać swoje we wszystkiem przekonanie, mógł delikatnie dać poznać pani Potruskiej, o czem mówił ze mną, jak to się niżej okaże.

Kiedy mój ojciec przed samym odjązdem swoim z Krzemieńca był ze mną u moich ciotek na herbacie, zapytał mnie:

— Kto to jest ta panna Urbańska, której proces tak szczęśliwie w tutejszym sądzie powiatowym poprowadziłeś, że ona sprawę swoją ku wielkiemu zdziwieniu jurystów wygrała?

— Więcej mnie to dziwi, że ta sprawa doszła do kochanego ojca—odrzekłem.

— Pamiętajże, iż ja wiem o każdym kroku twoim.

Ciotka Postruska spojrzała na mnie znacząco i zapytuje:

— Któraż to panna tak bardzo cię zajęła, a o której przed nami nigdy nie wspomniałeś? Nawet nie słychać tu o żadnej pannie Urbańskiej. Powiedz nam, Szymonie, jaka to sprawa?

— Oto w roku przeszłym, gdy umawiałem się z panią Sztejnową o stancyjkę w jej oficynie, widziałem u niej po raz pierwszy tę pannę. W kilka dni potem panna Urbańska, mająca pewnie lat około pięćdziesięciu, z bielmem, czyli z dość wielką narośla białą na jednej źrenicy, wchodzi do mnie dygając i prosi o radę i protekcyę w swoim interesie. Wydobywa z za gorsu dokumenty i opowiada trudność odebrania od obywatela dość możnego w tym powiecie sumy dwudziestu tysięcy złotych, na które pokazuje mi skrypt w całej formie, niegdyś jej ojcu wydany. Przy tem złożyła mi listy tego obywatela do jej ojca o pożyczenie tych pieniędzy pisane, se

pulturę, że ojciec już umarł, i dowody na to, że ona jedyną jego jest sukcesorką. W końcu westchnąwszy, dodała:

— Ubogiemu, panie, zamknięta jest droga do sprawiedliwości! Mój dłużnik na moją biedę był tu kiedyś marszałkiem. Adwokaci lizali nieraz jego półmiski i dlatego napróżno obiecuję nagrodę po wygranej sprawie, napróżno proszę i błagam o litość! Żaden z nich nie chce narazić się temu, co ich zapraszał na obiady. Po Bogu, całą mam nadzieję w panu, że mi podasz rękę. Racz zlitować się nad sierotą, która dziś prawie o żebranym chlebie cudze wyciera kąty. Bądź, panie podsędku, moim obrońcą i protektorem.

Przejrzawszy dokumenty, zapytałem:

— Czy pan marszałek wypiera się podpisu swego i zaprzecza tej należności?

— Nie, panie! jeszcze szatanowi nie zaprzedał duszy; ale zwodzi i naraża mnie na koszty daremne. O mil kilka do niego już rok trzeci jak dojeżdżam raz poraz najętemi końmi, zadłużam się na to. Gdy pierwszy raz byłam, obiecał płacić procent. Ale gdzietam! Ani grosza dotąd nie dał. A po tej pierwszej mojej wizycie ile razy przyjadę, lokaj w ganku mówi, że pan jego chory i nie dopuszcza do pokojów.

Powiedziałem jej:

— Sprawa pani dobra; ale uprzedzam, że podejmuję się tylko napisać wniesienie do sądu, a stawać tam u kratek nie mogę, bo zajęcia moje nie dozwalają mi ubocznemi trudnić się interesami. Niech którykolwiek z adwokatów, uproszony przez panią, odczyta głośno przed sądem to, co ja na jutro wygotuję.

Jakoż nazajutrz oddałem jej dokumenty i już napisane meritum. W tydzień potem była u mnie i opowiedziała swoje ciężkie przejścia.

— Żaden—rzekła mi—z adwokatów nie chciał tknąć moich papierów. Mówię im, że idzie tylko

o przeczytanie przed sądem gotowej już rzeczy. Oni szydzą ze mnie starej a biednej kobiety. A więc nabrałam ducha, staję przed sędzią i na całą izbę, gdzie kilku było obywateli, głośno zawołałam:—Kiedy niewinnego Zbawiciela naszego, Żydzi uwzięli się zgubić, to krzyczeli: „Ukrzyżuj go, ukrzyżuj!“ Ja podobnej zapalczywości przeciw sobie doznaję tu od panów adwokatów, ażeby wniesienie, jakie ja przynoszę w mojej sprawie, ktokolwiek tu głośno przeczytał. — Otóż sędzia polecił jednemu z młodszych spełnić to moje żądanie. Cichość nastała; a skoro przeczytano pańskie pismo, adwokaci spojrzeli tylko po sobie; od pozwanego nikt ani się odezwał, a jak panu wiadomo, już na nim była jedna kondemnata. Sędzia zadzwonił na ustęp; po chwili znów dzwonek nas wezwał. I oto, z łaski twojej, panie, jedyny mój dobrodzieju, otrzymałam dekret, przyznający mi kapitał i zaległe procenty. Niech Bóg wszechmogący nagrodzi panu tę litość jego nademną dobrą kiedyś żoną!

Później już nie widziałem panny Urbańskiej.

Tu ciotka Postruska zerwała się z krzesła i po razy kilka całując mnie, powiedziała:

— Ja zawsze to powtarzam, że w tobie poczciwa jest dusza ojca twego, kochanego Prokopa.

Po wyjeździe ojca mego z Krzemieńca postanowiłem rzadziej bywać u ciotek. Wszystkie prawie domy, a było ich trzydzieści kilka zamieszkałych dla wychowania dzieci, były mi znajome. W chwilach wolnych od koniecznej pracy nawiedzałem je po kolei; u jednej tylko wdowy po Tadeuszu Czackim, pani starościny, nie byłem ani razu, chociaż znajomość z nią ułatwioną mieć mogłem przez szefa Drzewieckiego, który blizkim jej i moim był sąsiadem.

Raz generał Rzyszczewski zaprosił mnie na bal Tam wśród tańców, siedząc obok dobrze mi znanego doktora Zidelmejera, który mieszkał w oficynie

domu pani Czackiej, odezwałem się o niej, kiedy w parze przechodziła obok nas w polonezie:

— Pani starościna pięknie jeszcze wygląda.

A doktór dodaje:

— A dobra, jak anioł! Czemu pan u niej nie bywasz? Pan Borkowski codziennie tam gościł.

— Nie szukam jej znajomości — rzekłem — bo powiedziano mi, że pogardza szlachtą; a ja dumnych, o ile można, unikam.

— Mylne uprzedzenie! A potem, pozwól pan, aże ym mu powiedział, że jeśli unikać mamy dumnych, to wypada przyznać, że najdumniejszy jest ten, co dumnych unika.

I odszedł jakby obrażony.

Na jego miejscu usiadł pan Romuald Stecki. Przed nim powtórzyłem rozmowę moją z doktorem. Stecki zrobił mi odkrycie tajemnicy dotąd mi nieznanej:

— Przebacz, panie! Objawiłeś nietrafnie to, co mniemasz o tej damie; pomiędzy nią bowiem a tym doktorem są tajne, uświęcone przed ołtarzem stosunki, których dowodem jest mały synek doktora. Czacka, oceniając wysoko nazwisko pierwszego męża swego, zastrzegła przy tym powtórnym związku, ażeby do śmierci zwać się mogła Czacką. Co do jej osobistych zalet, doktór słuszne oddawał jej pochwały; warto, ażebyś pan ją i jej siostrę, mieszkającą razem, generałową Wielhorską poznał.

Jakoż nazajutrz prezentował mnie Romuald Stecki u pani starościny. Było to wieczorem; zastaliśmy kilka osób znanych mi i nieznanych, między któremi była pani Wielhorska i jej córka, Marya, która, lubo już była na wydaniu, zwano ją pieszczotliwie Misią, a była bladą jak glina. Z trojga zaś dzieci, pozostałych po Tadeuszu Czackim, starszy syn jego, Józef, którego poznałem w Żytomierzu, umarł w 1814 r., to jest w rok po śmierci ojca swego i powszechnie go żałowano. Drugi, Wiktor, nie miał

usposobień ojca swego ani z darów umysłowych, ani z charakteru i dziwnem odznaczał się upodobaniem. Ożenił się on później z księżniczką Sapieżanką, córką Mikołaja, o czem niżej nadmienię. Jedyna córka Tadeusza Czackiego była już wydaną za księcia Eugeniusza Lubomirskiego, obywatela Białorusi, posiadacza kilkunastu tysięcy dusz, jak wówczas oceniano majątki. Poznałem go w rok potem, gdy z żoną przybył do Krzemieńca.

Mówiąc o pani starościnie Czackiej, wspomnę tu o smutnej katastrofie miłości w jej domu doznanej. Opowiadał mi o niej ksiądz Aloizy Osiński, profesor literatury polskiej i łacińskiej.

Raz, wychodząc z sali komisyi edukacyjnej, usłyszałem na korytarzu muzykę z pokojów w tychże murach, gdzie ten ksiądz mieszkał. Wchodzę tam i zastaję prałata nad pulpitem, grającego znaną mi aryę Rodego, którą lubiłem i ja niegdyś grywać na skrzypcach. Na kanapie siedział zadumany człowiek, jeszcze dość młody, z obfitym na głowie włosem czarnym, w nieładzie spadającym na kołnierz surduta. Ten brunet rzucił na mnie ponure wejrzenie, a przeraził mnie i oczyma i trupią bladością wychudłej twarzy. Ksiądz złożył skrzypce, powitał mnie i przemówił:

— Panu nieznany jest pewnie gość mój, którego zastałeś?

— Nie mam tej przyjemności—rzekłem.

— Przeto proszę, ażebyś pan u mnie go poznał. Jest to pan Szostakowski, były profesor fizyk w liceum. Pan już wyszedłeś z komisyi. Któraż to godzina?

I z tem zapytaniem obraca się do swego gościa, który, jak i mnie się zdawało, że miał zegarek, bo widoczna była taśma czarna, sięgająca do kieszeni u kamizelki. Pan Szostakowski wyjmuje z tej kieszeni w miejsce spodziewanego zegarka przy ta-

śmie fontazik białej niegdyś wstążeczki, dziś mocno zbrukanej, pocałował go, przyłożył do serca, schował do kieszeni i nic nie mówiąc, bez pożegnania wyszedł z pokoju.

Ksiądz Osiński, widząc moje zdziwienie, mówi do mnie·

— Człowiek nieszczęśliwy! Szalona miłość wydarła nam tę perłę naszego liceum. Oprócz tej zalety, że biegłym był w swoim oddziale umiejętności, przyznać mu należało dar płynnej wymowy, co ku pojęciu wykładu nauki wielki ma wpływ na uczniów. Ale cóż, panie, pomoże choćby mądrość Salomona przeciw potędze bogini, która zgubiła Troję. Pan Szostakowski, przysłany nam z uniwersytetu wileńskiego, okazał się godnym szacunku. Bywał niekiedy, jak inni profesorowie, na wieczorach u pani starościny Czackiej, kiedy jej córka jeszcze była nie wyszła za księcia Lubomirskiego. Po wszystkich domach dobrze widziany profesor, doznawał i u pani Czackiej grzecznego przyjęcia. Córka jej, pięknie ukształcona, lubiła z nim rozmawiać, a on biedak, niepomny na uznane granice, jakiemi towarzystwo ludzkie na pewne rozdziela się warstwy, z ciągle utkwionemi oczyma w pannę rozmiłował się w niej do tego stopnia, że z często powtarzanych tam odwiedzin jego i z widocznych nadskakiwań pani Czacka, domyślając się tajnych jego uczuć, poleciła służącym, ażeby mu oznajmiono, że ona nie przyjmuje wizyty. Zrozpaczony, wiedząc, gdzie jest pokój panny, podchodzi w biały dzień pod otwarte jej okno i tem oknem wskakuje. Rzecz prosta, że biedaka wyprowadzono, ale już w tym stanie pomieszania, jak go pan u mnie zastałeś.

Zapomniałem był, o czem mi kiedyś mówiono, że w miejsce zegarka nosi fontaż wstążeczki od trzewika tej panny, znaleziony tam na ziemi w czasie jego ułudy. Żal mi go serdecznie.

Gdy minęło trzy dni od ostatniego wieczoru mojej u ciotek bytności, Bogunia przysyła karteczkę, nakazującą stawienie się pod utratą łaski. Odpisałem na tejże karteczce:

— Przyjść nie mogę, gdyż mam pilne zatrudnienia.

Po upływie dwóch dni potem odbieram od jej matki bilecik z usilnem żądaniem, ażebym ich odwiedził. Służący z tem pismem zapytany, jak się tam mają—mówi:

— Oj bieda! Już dzień po dzień dwa razy był doktór. Czegoś nam Bogunia chora i nie wstaje wcale z łóżka.

Natychmiast poszedłem.

Ciotka Postruska powitała mnie jak zwykle; bierze mnie za rękę, otwiera drzwi do sypialnego pokoju i mówi:

— Odwiedź przedewszystkiem biedną Bogunię, ona jest chora.

I nie wchodząc, wpuszcza mnie samego do niej. Dobre dziecię rzuca mi się na szyje i rzewnie płakać zaczyna.

— Co ci jest? moja Boguniu!

— Co mi jest! Jeszcze się pytasz! Ja teraz płaczę z radości, że cię widzę, kiedy tobie wystarcza czasu bywać u Szczeniawskiej, u Grbianczyny i Bóg wie u kogo, a o nas już zapomniałeś!

— Kiedyś powiem ci — rzekłem — dlaczego tak często jak dawniej nie mogę was odwiedzać.

— To ty chcesz, ażebym ja umarła?

I znów zanosi się z płaczu.

— Uchowaj Boże, ażebym ja chciał tego! Ty żyć będziesz, a najdalej za lat dwa pokochasz kogoś, wyjdziesz za mąż i będziesz szczęśliwą.

— Ja w usta nic nie biorę prócz lekarstwa, dwie noce nie spałam, a ty sobie żartujesz ze mnie!

— Uspokój się, dobra, kochana Boguniu! Znów będę u was bywać. Ale trzeba, ażebyś ty pamiętała, że jesteśmy krewnymi.

— A cóż to szkodzi? Tem lepiej dla mnie, bo mogę i przy mamie z tobą się całować. Dziś nawet, kiedy mama niespokojna mnie pieści, tuli do siebie i pyta:—Moje dziecię! Co ci jest takiego? Zkąd ta gorączka?— to ja na to:—Alboż ja wiem, mamo? Zdaje mi się tylko, że będę zdrowa, gdy zobaczę Szymona. Bo cóż ja mam taić przed mamą? I mama napisała, prosząc, ażebyś przyszedł. Jakiś ty dobry, żeś posłuchał mamy! Ot, widzisz! Doktór już niepotrzebny! Odejdź na moment do mamy, ja prędko się ubiorę i pocieszę ją. Tylko ty nie odchodź, bo znów zachoruję. Ale ty nie dbasz o mnie! Masz tyle tu znajomych, gdzie ci weselej, niż u nas! Jednak proszę i zaklinam, nie odchodź, ja tam zaraz przyjdę.

Zda się, że marmur stopniałby przy tak gorącej niewinnego dziewczęcia miłości! O! święć się wieku anielskich uczuć! Lecz ileż tu analogii pomiędzy urokami tej epoki a przejściami wiosny! Maj ożywia się łagodnym szmerem strumieni po gajach, miłosną słowików melodyą, a w godzinę chmurzy się niebo i grom po gromie uderza.

Bogunia nie była wzorową dla malarza pięknością, ale w ujmującem spojrzeniu błękitnych oczu, przy wdzięku uśmiechniętych ust malutkich, tyle jawnej było dobroci, tyle powabu, że czarować mogła. Czarowała też młodzież licealną.

W każdą niedzielę i w dni świąteczne wzywana tam bywała danserka, pani Volanż, która raz na tydzień dawała lekcye tańców dzieciom moich ciotek. Zwiększało się towarzystwo przybyciem dwóch lub trzech matek z córkami na herbatę. Bywali niekiedy uczniowie z trzeciego lub drugiego kursu. Ciotka Raciborska zasiadała do fortepianu i po herbacie zaczy-

nały się pląsy francuskiego z piruetami, kontredansa lub hucznego mazura. Ja bywałem widzem tylko tych zabaw i pilnym dostrzegaczem każdego kroku Boguni. Uśmiechałem się na widok zalecanek młodzieńca rodem z Galicyi, krewnego ojca. Przystojny, ukształcony blondynek, lat siedemnastu, mógł się podobać i ze wszelkiej przyzwoitości, jakby skończonego dla świata kawalera i z okazywanej łagodności charakteru.

Bogunia, jakby od niechcenia zawsze z nim stawała do pary, a na każde jego odezwanie się miluchny uśmiech ją zdobił. Ale bywał tam na tych tańcujących herbatach niekiedy i obcy jej zupełnie, piękny brunet, lat takich, jak ten blondyn, a i ten nad innymi widoczne u niej miewał pierwszeństwo. Schwyciłem te drobne grzeszki, właściwe jej lat kobietom, i miałem je tylko w pamięci, nic o nich nie mówiąc przed moją małą grzesznicą. Zostawiam to nadal.

Tymczasem Rudzki, pisarz komisyi edukacyjnej, nie pomnę już dla jakiego interesu naszej jurysdykcyi, wysłany był do takiejże komisyi wileńskiej. Wrócił, niedługo bawiąc, a nazajutrz, gdy przed sesyą zastał mnie samego w naszej sali, opowiadał mi zdarzenia ze swej podróży, a szczególniej powtórzył powiastkę w powrocie usłyszaną z ust starca na popasie w Brykowie, niedaleko od Krzemieńca, i w końcu dodał:

— Proszę cię, pomyśl nad tem i z tej gawędy starca zrób baladę. Mnie mocno zajęły te trzy krzyże kamienne. Coś tu może być podobnego do prawdy. Ciekawy też jestem, czy się w czemkolwiek zejdziecie z młodym poetą trzeciego kursu, Janem Ordyńcem, którego wczoraj wieczorem spotkawszy, dałem i jemu ten przedmiot do poezyi romantycznej, w której Mickiewicz tak powszechnie smakować nauczył. Gdy i ty z Ordyńcem wystąpisz, zobaczymy, czy Francuz słusznie mówi, że: *les beaux esprits se rencontrent.*

Gdym po sesyi wrócił, zastałem u siebie kochanego Mikołaja Węża. Mówię mu o legendzie brykowskiej, a ponieważ łatwo mu było składać większe wierszyki, jak to wyżej wspomniałem, przeto robię z nim układ, ażebyśmy oba wzięli ten przedmiot do poezyi pod jakąbądź formą, z tem, że za dwa tygodnie mamy sobie nawzajem posyłać przez pocztę co napiszemy.

Ja, mając w pamięci niedzielne tańce u moich ciotek i uprzejmość Boguni takąż samą dla blondyna, jak następnie dla bruneta, już w oznaczonym terminie gotową baladę pod tytułem: „Trzy krzyże pod Brykowem“ wysłałem Wężowi na pocztę konstantynowską do Rosołowic.

On w zbyt pochlebnych wyrazach odpisał mi, że gdy moją baladę przeczytał, siedząc nad niedokończoną swoją elegią, pióro wypadło mu z ręki i kończyć nie myśli.

Słowem, unosi się.

Taką już ośmielony pochwałą, puściłem moją ramotę w świat, dając ją Rudzkiemu; ten pokazał ją generałowi Ludwikowi Kropińskiemu, wówczas członkowi komisyi naszej, który zaprosiwszy nas kilku na obiad, niepospolicie pogłaskał moją miłość własną z tego powodu, że dwie tylko balady polskie mocno mu się podobały: Mickiewicza „Powrót Taty“ i moje „Trzy krzyże.“ Potrzeba zaś wiedzieć, że mnie był znany tylko odgłos o sławie Mickiewicza, a poezyi jego jeszcze zupełnie nie znałem, i aż w późnej jesieni tegoż roku przysłano mi z Wilna pierwszej edycyi dwa jej tomiki.

Po obiedzie Kropiński, odczytując głośno moją baladę, radził, ażebym zmienił jeden tylko rażący go wyraz. U mnie płocha Marysia mówi:

Kto z was pierwszy tu dobieży,
Temu się „cała“ oddaję.

Generał zapytał mnie:

— Dlaczego napisałeś „cała?“

— Bo — odrzekłem — ona wyżej mówi, że na dwóch kochanków rozdzielić się nie może.

— Tak, rozumiem, ależ trzeba pamiętać, że ten wyraz „cała“ może być dla kogoś dwuznacznym. Czy nie lepiej będzie napisać „sama“ się oddaję?

Podziękowałem mu za tę życzliwą uwagę i stosownie do niej zmieniłem mój wyraz.

Wieczorem dnia tegoż byłem u moich ciotek i tę całą baladę napisałem w sztambuchu Boguni. Przeczytawszy ją tam głośno całemu towarzystwu, szepnąłem Boguni:

— W tych wierszykach masz przestrogę dla siebie, bom dostrzegł, co ty dokazujesz co niedziela z młodzieżą licealną.

— Cóż ty mogłeś dostrzedz?

— Zapytaj swego sumienia, ono ci odpowie.

Rumieniec jej na twarz wystąpił.

— Podejrzliwy jesteś! Ale i za to dziękuję ci; widać, że choć tu przynajmniej mną się zajmujesz! Sam osądź, jak wielka różnica pomiędzy nami! Ja przez nikogo szpiegować nie chcę, co ty dokazujesz po różnych domach w mieście, ślepo ci wierzę, a ty z urojonych pozorów tak mnie prześladujesz!

— Mylisz się, Boguniu. Jest wprawdzie różnica pomiędzy nami, ale ta jedynie, że ty, jak prawie każda w twym wieku panienka, niejednemu chcesz się podobać, a ja od jednej chciałbym na zawsze być kochanym.

— Otóż śmiało przysięgłabym przed Bogiem, że taką mieć mnie będziesz do śmierci!

Serdeczne ucałowanie było pieczęcią zgody.

Tak stanowczo rozmawialiśmy z sobą, gdy ta moja krewna w latach piętnastu, w r. 1822, rozwiniętem i bardzo miłem już była dziewczęciem.

Lecz cofam się do r. 1821, w którym pod koniec marca zdarzył mi się sen szczególniejszy. Było

to z soboty na niedzielę. Śniło mi się, że mi dwa przednie zęby wypadły. Budzę się wśród nocy i myślę: głupia ciemnota wierzy w ten przesąd, że to ma oznaczać śmierć któregoś z krewnych. Zasnąłem znów i powtarza się sen o tych zębach, jakobym szedł na mszę niedzielną do kościoła licealnego, przy którego schodkach kamiennych spotkałem Rudzkiego. Pozdrowiwszy się nawzajem, mówię mu o wypadłych we śnie u mnie dwóch zębach, a on odpowiedział:

— A pokaż je!

Zaśmiałem się i mimowolnie, śmiejąc się, pokazałem zęby, a on mi rzecze:

— A widzisz, przecie, że masz wszystkie.

Po takim powtórnym śnie obudziłem się o zwykłej porze; po kawie, usłyszawszy dzwony, idę na mszę. Przed kościołem na schodkach spotykam Rudzkiego; po zwykłych powitaniach, mówię mu, że we śnie marzyło się, jakobym utracił dwa przednie zęby, a Rudzki na to:

— A pokaż!

Zaśmiałem się tak, że on dostrzega przednie moje zęby i mówi:

— A widzisz, że są wszystkie!

I ta rozmowa nasza co do słowa śniła mi się. Żartowaliśmy sobie z wiary w senne marzenia.

Po mszy, wychodząc z kościoła, idę z obojgiem państwem Rudzkimi i ich córką do nich. Za nami wchodzi pocztylion z poczty i oddaje Rudzkiemu pakiety z adresem do komisyi, jakie on zwykle odbierał, a zarazem oddaje mu listy prywatne. Po odczytaniu głośno urzędowych czyta list któregoś z przyjaciół, pełne wesołości i dowcipu. Odpieczętował list drugi i cicho go czyta.

Biorę kapelusz i laskę, a on woła:

— Gdzież odchodzisz?

— Trzeba korzystać z pięknej pogody; pójdę do botanicznego ogrodu.

— I ja z tobą, ale do naszej sali. Uważaleś dwa ważne pisma urzędowe, które wymagają rychłe odpowiedzi. Wspólnie przejrzymy poprzednie w tych przedmiotach ekspedycye i ty jedne, a ja drugie zrezolwujemy, aby starosta Raciborowski gotowe jutro zastał i podpisał dla wysłania na pocztę.

Zgodziłem się na to. Gdyśmy szli do naszej juryzdykcyi, niedaleko był od nas drugi dom Rudzkiego, o piętrze, murowany. On, spojrzawszy na ten dom, przemówił:

— Patrz-no, jak dziwaczy arystokracya! Pani Potocka, najmując u mnie ten dom, zapłaciła z góry umówioną całoroczną należność dwieście dukatów I nie mieszkając, jak dwa miesiące, przeniosła się do zajezdnego żydowskiego domu, na szerokiej ulicy, a to jedynie dla tego, że w moim domu umarła jej ośmioletnia córeczka. Zwracałem jej pieniądze, potrącając tylko, co mi za dwa miesiące należy, przyjąć nie chciała i dom mój pustką dziś stoi.

— Ja tego — rzekłem — dziwactwem nie nazwę; skoro jako bogata, ma środki po temu, to dobrze czyni, że unika bolesnego w tym domu przypomnienia tak ciężkiej straty.

On stanął i patrząc mi w oczy.

— Co? — zapytał: — czy ty w jej położeniu, na jakąbądź najcięższą stratę nie miałbyś potrzebnej w życiu naszem wytrwałości?

— Dlaczego mnie o to badasz? Czy masz objawić mi coś smutnego?

— Nie! lecz miałem cię za filozofa na wszelki nieprzewidziany wypadek.

Wchodzimy do murów komisyi. On zajrzał do kancelaryi, wziął klucz do sali i poleca jednemu z kancelistów, aby przyniósł do sali szklankę wody Opanował mnie niepokój i mówię mu w sali:

— Przeczuwam, że coś okropnego masz mi objawić. Mów już, proszę, bo niepewność mnie męczy. Zostawiłem siostrę chorą.

— Upewniam cię, że siostra twoja żyje.

— A więc ktoś inny umarł?

— A gdyby tak być miało? Pamiętaj na konieczny w naturze porządek, że starsi muszą w tem młodszych uprzedzić.

— Boże! — zawołałam — rodzice moi!

— Nie, nie, ojciec twoj żyje.

— A więc matka!

— Tak — rzecze, zbliżając się do stojącej tam szklanki z wodą — straciłeś ją.

Gdy ja zalewam się łzami, biegając po sali, on mi prawi:

— Słuchaj! miałem i ja dobrych rodziców, miałem jedyną siostrę, która była za pułkownikiem Łubą. Pomarli rodzice i siostra; zostałem od lat piętnastu sam jeden z rodziny, jak po żniwach zostawiony zeschły badyl na ścierni, do którego i bydlę się nie zbliży. Płakałem, jak ty dziś płaczesz. Jakiż na to środek? Spróbuj tego: wyobraź sobie, że twoja matka lat temu piętnaście umarła, a bez łez będziesz mówił o tem, jak ja tobie prawię o mojem zupełnem sieroctwie.

Pożegnałem go w nieutulonym płaczu, prosząc, aby przez parę tygodni odbierał ekspedycye do mnie adresowane, nim wrócę od mego ojca, a sam spieszę do siebie. Tam polecam lokajowi nająć brykę furmańską, którą pojadę mil kilkanaście, aby natychmiast była gotową do wyjazdu.

Z boleścią synowskiego serca idę pożegnać ciotki moje. Zaledwie ich próg przestąpiłem, Postruska rzuca spojrzenie na twarz moją, podnosi ręce i zawoła:

— Boże wielki! Jakieś nieszczęście!

Tu łzy mi się puściły.

— Tak! Matki już nie mam!

Dobra Bogunia matki mej nie znała, ale żalem moim przejęta, załamuje ręce i płacze.

Po południu wyjechałem z Krzemieńca. Wieczorem około godziny dziewiątej stanąłem na noc w Jampolu. W pierwszej izbie żydzi osztachetowali sypialnię dla siebie; pod temi sztachetami na łóżku zastałem kogoś już śpiącego. O dwa kroki od niego stało pod ścianą drugie łóżko; na niem lokaj mój rozesłał pościel. Spłakany, zmęczony bryką furmańską przez cztery mile, nie chciałem herbaty, którą mój stary Antoni już przygotował. Gdy rozebrany położyłem się, a on świecę zabrał, drugi lokaj przechodzi z alkierza przez tę izbę do sieni. Wówczas odezwał się mój bliziutki sąsiad:

— Pamiętaj, Michale, aby koniom dano obrok do-dnia, bo bardzo rano wyjedziemy.

Zostaliśmy sam-na-sam i po ciemku. Poczuwając się do winy względem sąsiada, odezwałem się:

— Przepraszam pana, żem go przebudził!

— Ja nie pan.

Sądząc, że jakiś oficyalista przez skromność nie przyjmuje tytułu pan, mówię:

— Ktokolwiek, panie, jesteś, zawsze go przepraszam.

— Jabo nie pan.

— A więc przepraszam panią.

— Ja nie pani, ale panna.

Pomyślałem sobie:

— Zbieg dziwny łez i śmiechu. Dzień zacząłem tragicznie, a kończę go na komedyi.

Potrzebaż jej się przyznawać do tego panieństwa? Niegrzeczny byłem; stłumiwszy śmiech w sobie, zamilkłem, a odwrócony do ściany, niebawem usnąłem. Gdybym wówczas był zdrów na zbolałem sercu, o! pewniebym ją zabawiał jakąbądź rozmową.

Co do snu mojego o wypadłych mi dwóch zębach żartujemy sobie z uprzedzeń i przesądów prostoty, a podobno dotąd najsławniejsi z nauki nie dociekli zasady sprawdzania się niekiedy snów naszych

wedle przepowiedni gminnych. U kochanego ojca mego dowiedziałem się, że w dniu jednym i tejże godziny skończyła życie matka moja i żona cioteczne-go brata mego, Ignacego Budzyńskiego, z domu Ilińska, o milę od nas, we wsi Michałówce, którą jak wyżej jest wzmianka, w roku 1810, prowadziłem do ślubu, i którą jak siostrę kochałem, nie przewidując wcale, aby syn jej, Michał, miał być później zięciem moim.

Wracam do urzędu mego w komisyi edukacyjnej. Miewałem tam niekiedy sceny dość patetyczne. Jedna z takich mianowicie utkwiła mi w pamięci. Oto jeszcze za życia Czackiego, który z nadzwyczajną gorliwością umiał skutecznie przemawiać do obywateli trzech zachodnich gubernij o pomnożenie przez ich ofiary funduszów na publiczne wychowanie, doktór Lernet, w Dubnie mieszkający, pomny, że dobry byt swój winien był Wołynianom, z kapitałów, zebranych w powołaniu swojem, ofiarował dwakroć pięćdziesiąt tysięcy złotych, od których procent szósty przeznaczył na utrzymanie czterech ubogich uczniów przy gimnazyum, później liceum Krzemienieckiem, z warunkiem, że owe procenta wystarczać miały nietylko na ukończenie ich nauk w uniwersytecie, ale i na ostateczne ich ukształcenie w wyższym stopniu za granicą, a potem, po ich powrocie, na uposażenie każdego z nich po trzy tysiące rubli srebrnych. Majętny obywatel powiatu Dubieńskiego, marszałek Żegocki, znany osobiście Tadeuszowi Czackiemu, złożył przed nim świadectwo sądu powiatowego, jako jego majątek żadnym długiem nie jest obarczony i żądał, aby ofiara Lerneta była mu powierzoną. Umawiając się o to, przyjął warunek, że odtąd majątek jego, na którym suma powyższa ma być ubezpieczoną, ulegać będzie prawom dóbr pojezuickich, to jest, że obarczać go innemi nie może, ani sprzedawać bez wiedzy władzy edukacyjnej.

Cała ta czynność przed właściwemi aktami są-

du powiatowego była przez pana Żegockiego przyznaną. Za życia Czackiego ewiktor najakuratnie z corocznych uiszczał się procentów; lecz później zaczęły się formować zaległości; nakoniec, gdy pc Borkowskim objąłem urząd, już zaległość procentów wynosiła pięćdziesiąt tysięcy złotych, a na majątku p. Żegockiego okazała się znaczna już suma aktykowanych długów prywatnych. Komisya edukacyjna za pośrednictwem rządu gubernialnego upominała się o uzyskanie zaległych procentów a prywatni wierzyciele, porządkiem ówczesnych praw polskich, pozwali dłużnika do rozbioru. Nim przystąpiono do tej ostateczności, sąd właściwy, widząc położony warunek przy ubezpieczeniu ofiary Lerneta, odniósł się w tej sprawie do komisyi edukacyjnej. Zjechali się do Krzemieńca pan Żegocki i jego kredytorowie i naprzód udali się z nim do mnie. Okazałem zdziwienie, iż sąd powiatowy przyjmował aktykowanie prywatnych długów na majątku, mającym tytuł dóbr pojezuickich; w końcu zbyłem wierzycieli zasmuconych tą uwagą, że decyzya w tej sprawie nie odemnie, lecz od sądu komisyi zależy. Wyszli wszyscy skłopotani, a pozostał pan Żegocki. Skoro za tamtymi drzwi się zamknęły, dłużnik, bez względu na swój włos siwy, na poważny swój ubiór w kontuszu ze wstęgą i gwiazdą Św. Stanisława, klęka przedemną i pocichu mówi:

— Panie! Ja szelma jestem! Ale mam troje dzieci, dwóch synów i córkę. Zlituj się, panie, nad niemi! Ratuj mnie! Nie dopuszczaj do rozszarpania moich funduszów przez rozbiór. Wszak to w mocy pana stanąć niezachwianie przy tem, że te dobra, jakby po-jezuickie, pod rozbiór oddane być nie mogą! Prawda, żem łotrowstwo popełnił, zaciągając na mój majątek liczne długi prywatne! Ale dzieci moje, dzieci ratuj, panie!

Mówiąc to, łzy ocierał. Zaledwie ukląkł, pod-

noszę go, a po skończonych jego błaganiach, rzekłem:

— Panie marszałku! gdybyś pan nie był nawet u mnie, wiadomo mu z ubezpieczenia ofiary Lerneta, że przedstawienie tej sprawy do sądu komisyi zależne odemnie, musi nastąpić koniecznie w myśl pana, bo taki jest warunek, przez niego sądownie przyznany; ale jakie będzie postanowienie komisyi, tego przewidzieć nie mogę.

Po wyjściu Żegockiego udałem się natychmiast do prezesa Michała Sobańskiego, zkąd weszliśmy razem do naszej sali. Tam po rozmaitych debatach w towarzystwie szefa, Józefa Drzewieckiego, Feliksa Czackiego i Romualda Steckiego, członków komisyi, stanęło na kwestyi podanej przez prezesa:

„Jaki jest cel komisyi? Oto mamy dbać o to mianowicie, aby fundusz edukacyjny nie poniósł najmniejszego uszczerbku. Dosyć już było krzyków przeciw komisyi; w tej sprawie pokażemy, że gdzie są środki dogodzenia obu stronom, to jest funduszowi edukacyjnemu i stronie opornej, komisya, o ile może, czyni powolność dla obywateli. Chociaż majątek pana Żegockiego, jak przedstawia plenipotent funduszów edukacyjnych, ulega prawom dóbr po-jezuickich, przecież, aby jego wierzyciele nie ponieśli krzywdy wynikłej z ich łatwowierności, dozwólmy spełnić rozbiór, ale z tym warunkiem, aby kollokatorowie, nie odnosząc się jeden do drugiego, składali corocznie w terminie właściwym należny od ofiary Lerneta procent pod karą konfiskaty całego majątku. A co do zaległości procentów, wynoszącej pięćdziesiąt tysięcy złotych, aby kredytor największą mający sumę na majątku Żegockiego tę zaległość ubezpieczył na własnych w ziemi funduszach z obowiązkiem opłacania procentu".

Taka decyzya komisyi tegoż dnia ogłoszoną została. Kredytorowie z wdzięcznością to postanowienie przyjęli; a jeden z nich, największą mający

sumę na tym majątku, ksiądz kanonik (zda się) Wykiński, oświadczył zapisać przed aktami bezpieczeństwo dla sumy zaległych procentów na własnej wiosce wprzódy, nim sąd rozbiorowy przystąpi do oblikwidacyi długów pana Żegockiego; a za to owe 50 tysięcy zł. mają być w oblikwidacyi zaliczone jako jego należność.

Biedak Żegocki, bądź dla wstydu, bądź przewidując dekret przeciw sobie, ani się pokazał w komisyi.

Dziś nie wiem, co się stało z ofiarą Lerneta po zamknięciu liceum krzemienieckiego i po przeniesieniu wszelkich jego funduszów na uniwersytet kijowski. To tylko wiem z pewnością, że wiele było zapisów obywatelskich z takiem zastrzeżeniem, że od sumy ofiarowanej na liceum mają się opłacać procenty do czasu trwania tego instytutu w Krzemieńcu. Po zniesieniu zaś owego liceum, gdy na zasadzie tego zastrzeżenia obywatele odmawiali procentów i ta okoliczność przedstawioną została cesarzowi Mikołajowi, cesarz najmiłościwiej rozkazał powiedzieć im, że dziś mają więcej niż liceum, bo uniwersytet Ś-go Włodzimierza w Kijowie; i polecono, aby bez względu na warunki, władza miejscowa, z mocy zapisów, wyzyskała natychmiast od wszystkich obywateli ich ofiary na liceum w sumach kapitalnych razem z procentami.

Z pomiędzy członków komisyi edukacyjnej, z których wszyscy bez wyjątku odznaczali się szlachetnością charakteru i poświęceniem dla dobra społeczeństwa, najwięcej mnie zaszczycali otwartą a szczerą życzliwością: zacny Romuald Stecki, później prezes wołyńskiego sądu głównego departamentu cywilnego, i starosta czerwonogrodzki, Ludwik Raciborowski. Starzec ten, osiemdziesięciokilkoletni, niegdyś za czasów Rzeczypospolitej zasiadający w asesoryi koronnej w Warszawie, miał nabitą głowę tą epoką, a przytem żywą pamięć szczegółów przeszłości. Opowiadanie jego

było rozwlekłe, lecz we mnie miał zawsze chętnego słuchacza; może ztąd przychylność jego zjednałem. Często mnie zapraszał na *sam-na-sam obiadek*, jak nazywał, a przecież była to dwugodzinna zwykle wytworna uczta, gdzieśmy we dwóch tylko przy ciągłej jego gawędce wesoło biesiadowali. Ku temu przybór stołowy, odpowiedni milionowej jego na Podolu posiadłości, odznaczał się i bogactwem i kosztownemi przysmakami, gdzie obok cukrów i konfitur stało kilka butelek wybornego wina w rozmaitych gatunkach, z których po każdej potrawie z innej butelki, za naleganiem gospodarza i jego przykładem, wychylać dobrej miary kieliszek musiałem. Dodawszy do tego likiery przedobiedne i po kawie, nie wiem, jak ja wyglądałem, lecz starosta wstawał od stołu tak czerwony, że mógłby zwać się afiszem na burgońskie wino. Nawiedzał on i mnie niekiedy. Ztąd wynikłe zdarzenie stało się pamiętnem.

Mój cioteczny brat, Ignacy Budzyński, dowiedziawszy się o pięknej wymowie licealnego kaznodziei, kapucyna księdza Prokopa, pisał raz do mnie, abym go zawiadomił, kiedy z pewnością słyszeć może jego kazanie. A ponieważ za daleko mieszkał od poczty, przeto swój list wyprawił do Krzemieńca przez umyślnego. Wkrótce miało być święto, nie pomnę jakie, w którym to dniu ksiądz Prokop miał wejść na ambonę. Doniosłem o tym terminie Ignacemu, wzywając go na przeddzień owego święta. Akuratnie przybył.

Nazajutrz rano, gdy około dziewiątej godziny siedzimy przy herbacie, dostrzegam przez okno, że po schodach mojego ganku dąży poważny starosta, wstępując do mnie w drodze do kościoła.

— Oto idzie — mówię bratu — antyk z XVIII wieku; rad jestem, że ty go poznasz; bo w młodości swojej ocierając się o dwór Stanisława-Augusta, ma o czem mówić.

Po przywitaniu gościa, prezentuję mu Ignacego.

Starzec, lubo już po herbacie, nie odmówił szklanki; a wnet zacząwszy prawić o herbacie i o kawie, o zmienności upodobań wyższego niegdyś towarzystwa, gdzie i o czekoladzie nie zapomnial, wpada potoczyście w artykuł obyczajów, znanych niegdyś sobie pierwszych domów w stolicy. Jedno z drugiego szybkim wypływa porządkiem, aż się oparł w końcu o zajmujące intrygi miłosne, w czem król jegomość dawał przykład i wzór ku naśladowaniu. Popijał zwolna herbatą dawno już ostygłą swoje opowiadanie, a my w milczeniu, radzi słuchamy tej żyjącej kroniki. Wtem zgiełk jakiś doszedł do uszu. Spojrzałem w okno i widzę wracających gromadnie uczniów z kościoła. Szepnąłem więc Ignacemu:

— *La peine et les depenses perdues?* Już po kazaniu!

Ignacy schwycił się za głowę.

— Co to panu? — pyta starosta — czy nie mocny ból głowy? Na to bardzo skuteczna jest herbata zielona.

— Dość mi już na czarnej — odpowie mu.

Pożegnaliśmy odchodzącego starostę, a Ignacy wyjechał z żalem, że przez jego gawędę utracił kazanie, na które po jesiennej złej drodze pędził mil kilkanaście.

Kazania księdza Prokopa były istotnie warte trudów podróży. Organ jego mowy odznaczał się tak dziwną łagodnością i słodyczą, iż gdy z Pisma Ś go tekst wyjęty rozwijał w nauce, zdało się, że sam Bóg obrał go na głoszenie słów Swoich. Każdy wyraz z ust jego wpływał do duszy słuchacza. Liceum winne było wyszukanie go trafne na kaznodzieję Tadeuszowi Czackiemu. Wielce szanowany przezemnie ksiądz Prokop moim był spowiednikiem.

Co do wytwornych w Krzemieńcu obiadów, bywałem niekiedy w towarzystwie całego kompletu komisyi u jej prezesa, Michała Sobańskiego, a niekiedy

u jej członów: księcia Maksymiliana Jabłonowskiego i Feliksa Czackiego.

Raz na uczcie u prezesa poznałem hr. Wacława Rzewuskiego, sławnego oryentalistę, w stroju muzułmańskim. Głośny emir Beduinów, zastanawiał się w ciągu obiadu nad ilością potraw u stołów europejskich i opowiadając nam goszczenie swoje w Arabii, przywodził, że w gorącym klimacie tamtejszych pustyń jeden migdał na dzień dostatecznym jest pokarmem dla człowieka. Nikt nie śmiał temu zaprzeczyć, ale przychodziło na myśl, czy to nie migdał palmy kokosowej, dochodzący wielkości głowy człowieka?

Rozprawiał w sposób zajmujący o szlachetnym charakterze Arabów, o ich rycerskich cnotach i o świętem dla nich prawie gościnności. Lecz mówiono mi, że dniem wprzódy, gdy był na wieczerzy u pani starościny Czackiej, siostra jej, pani generałowa Wielhorska, mocno go zmieszała. Rzucono tam kwestyę, czem trudnią się Beduini, których on był emirem.

On na to:

— Tych Beduinów jest powołanie rycerskie, zawsze na dzielnych koniach napadają na karawany kupieckie lub na pielgrzymów, dążących do Mekki. Utrzymują się z drogo im opłacanej karty bezpieczeństwa, albo z rabunku i mordów, życie czynne w nieustannych walkach!

Tu pani Wielhorska z oburzeniem przerywa:

— Czyliż to zasługuje na tytuł dawnych rycerzy, których powołaniem było prostować wszelkie zboczenia społeczeństwa i bronić niewinności? Przebacz, panie hrabio! Wydziwić się nie mogę, żeś pan przyjął dostojność emira nad nimi! Wszakże z pomiędzy krajów europejskich w najwyżej ucywilizowanym podobnych rozbójników zwykle skazują na szubienicę.

Zmieszany hrabia, odpowiedział znanem przysłowiem:

— Co kraj, to obyczaj.

Później, mieszkając jeszcze w Krzemieńcu, w podróży do mego ojca, gdym przejeżdżał przez Krzywin i wstąpił do księcia Maksymiliana Jabłonowskiego, zastałem tam hrabiego Wacława Rzewuskiego. Było to już po ukazie Aleksandra I, wzbraniającym wszelkich obcych dla Rosyi ubiorów, wtenczas, gdy kontusz hrabiego Piotra Moszyńskiego w czasie rewii pod Wozniesieńskiem dał powód do potępienia zarazem i togi tureckiej emira. Ujrzałem go też u księcia w granatowej czamarze z pętlicami, skromnie ubranego, bez brody, a o żółtawych tylko wąsach, przy jakich widzieć go zdarzyło mi się r. 1810 po raz pierwszy w Żytomierzu, w bogatym węgierskim mundurze pułku huzarskiego, którego, służąc w Austryi, był rotmistrzem.

W Krzywinie, gdy nam po wieczerzy podano fajki, on się odezwał:

— Pozwól, książę, ażebym przynajmniej po wschodniemu usiadł swobodnie!

Książę uśmiechnięty chętnie na to zezwolił. Owóż przy stoliku, gdzieśmy byli we trzech, on usiadł na dywanie, podłożywszy nogi na krzyż złożone pod siebie. Po raz ostatni widziałem go wówczas. Zginął w powstaniu podolskiem roku 1831.

Był to człowiek uczony. Historya tegoczesna wspomina o nim, że badał języki wschodnie i wspierał dzieło: „Kopalnie wschodnie.“ Żyje on jeszcze w pieśniach rusińskich znanego w naszej literaturze poety, Tomasza Padury, który z nim podróżował po Wschodzie.

Z urzędu mego przy komisyi edukacyjnej było obowiązkiem bronić funduszu, na wychowanie publiczne przeznaczonego, od wszelkiej nieprawej napaści. Za czasów Rzeczypospolitej każdy starosta grodowy był dożywotnim posiadaczem i tego urzędu i dóbr, do jego starostwa należących. Po śmierci strażnika

koronnego, Janusza księcia Sanguszki, który mieszka w Zasławiu, a był starostą krzemienieckim, cesarz Aleksander I nadał to starostwo wiecznemi czasy dla gimnazyum, później liceum wołyńskiego. Dobra te graniczą z ziemią wiszniowiecką.

Spór o granice, rozpoczęty pod panowaniem Stanisława-Augusta, był nierozwiązany po rok 1822-gi. Znaczny obszar lasu był w tak zwanej „dyferencyi," przez obie strony nieużywany. Przed rozbiorem Polski starosta, książę Sanguszko, wyjednywał u tronu zjazdy komisyi z dostojnych dygnitarzy złożone, które nigdy ostatecznie owego sporu rozwiązać nie chciały, a owa „dyferencya," przez obie strony była nietkniętą. Na przedstawienie prefekta liceum, Antoniego Jarkowskiego, który po śmierci Felińskiego zastępował miejsce dyrektora i ztąd miał pod swoim zarządem dobra starostwa niegdyś krzemienieckiego, zarząd imperatorskiego wileńskiego uniwersytetu odniósł się do Karola hr. Mniszcha, dziedzica dóbr wiszniowieckich, z propozycyą kompromisu w tej sprawie. I obie strony obrały sędzią polubownym, zrzekając się wszelkiej apelacyi, Jana Wyleżyńskiego, wizytatora szkół trzech zachodnich gubernij. Dokumenty, obejmujące ten proces, w osobnej skrzynce złożone, a od kilkudziesięciu lat nietknięte, w mojem były archiwum.

Pan Antoni Jarkowski powiedział mi, że powyższa sprawa o granice ma być rozwiązana ostatecznie przez kompromis bezapelacyjny, którego przeprowadzenie na korzyść liceum zależeć będzie od dokładnego wyjaśnienia interesu i że on, wiedząc, jak liczne w tej sprawie zapadały dawniej dekreta, od których starosta krzemieniecki apelował do wyższej władzy, z czego niemała wyniknie praca ku zebraniu literalnych za liceum dowodów, wezwał listem swoim magistra prawa, niedawno przybyłego z uniwersytetu, pana Padurę, który bawił na wsi, o mil kilka

od Krzemieńca, ażeby wspólnym ze mną przeglądem dokumentów przyniósł mi ulgę w tej pracy.

Ja, dowiedziawszy się, że ów magister prawa jest bratem znanego mi poety, Tomasza Padury, bardzo chętnie zgodziłem się na to. Lecz po wyjściu prefekta, powodowany ciekawością, wnet udałem się do naszej sali, gdzie skrzynka z papierami do tej sprawy nie przejrzana dotąd spoczywała.

Przyniesiono ją do mnie.

Dwa dni przesiedziałem z piórem w ręku, robiąc notatki z dekretów niegdyś komisyj granicznych i z mapy starostwa krzemienieckiego. Z duktów, reduktów i decyzyj, zupełnie przeciwnych prawdzie, powziąłem przekonanie, że ojciec dzisiejszego dziedzica dóbr wiszniowieckich, Michał Wandalin Mniszech, marszałek wielki koronny, pan możny i wyższego niż strażnik Sanguszko w kraju znaczenia, silniejsze niż on miał wpływy na komisye sądzące tę sprawę. Ale w dniu trzecim tej nad dokumentami zabawki całe wyjaśnienie zboczeń dawnych w tej sprawie sędziów w dwóch zawarłem arkuszach. Gdy już rzecz całą skończyłem, zjawił się u mnie młody magister prawa pan Padura. Rad byłem tej znajomości; grzeczny, pięknie ukształcony, a bez pedanteryi, bardzo mi się podobał. Nie chciałem go nudzić czytaniem mojego w tej sprawie pisma, tylko mu podziękowałem za oświadczoną gotowość ulżenia w pracy, którą już bez niego dokonałem. Zabawiwszy krótko, pożegnał mnie i już go później nie widziałem, ani wiem, czy żyje.

Wyleżyński był wówczas w Krzemieńcu. Odniosłem mu moje wyjaśnienie. On zawierzył mojej prawości i nie czytając dokumentów, których treść rzetelną ze stron obu najwierniej w piśmie mojem przywiodłem, a to z dekretów komisyj granicznych, ogłosił swój ostateczny wyrok na mojem wyjaśnieniu oparty i liceum sprawę wygrało bez mojego na grunt zjazdu.

W parę miesięcy potem pan Jarkowski z polecenia uniwersytetu złożył mi podziękowanie za dzielną obronę.

Z tego niegdyś starostwa krzemienieckiego miałem jeszcze dolegliwszy kłopot. Znani mi byli trzej bracia Malinowscy: Kajetan ożeniony z Mikuszewską, Józef[1] o którym wyżej wspomniałem, ożeniony z wdową księżną Ponińską, i Jakób, ożeniony z wojewodzianką Szwiejkowską. Wszyscy trzej po rodzicach nie więcej mieli jak jednę wieś Seweryny, którą później nabył mój krewny, Marceli Budzyński. Lecz po bezdzietnych dwóch bogatych stryjach znaczny otrzymali w kapitałach i w ziemi spadek. Najstarszy z nich, Kajetan, wziął w udziale schedę po stryju, Łukaszu Malinowskim, który oprócz własnego, dziedzicznego majątku, jako wójt krzemieniecki, posiadał niegdyś blizko tego miasta wieś Folwarki, jego urzędowi przedwiecznie nadaną.

Przybywa do mnie pan Kajetan i żąda, ażebym, jako im życzliwy, wskazał pewne środki do odebrania od liceum wioski, należącej niegdyś do jego stryja. Zdziwiłem się tej propozycyi, a mając w świeżej pamięci przejrzane papiery starostwa krzemienieckiego, przedstawiam mu naprzód: że wójtostwo, za konsensem króla, ustąpione zostało przez Łukasza Malinowskiego księciu Sanguszce, staroście krzemienieckiemu, i że ten konsens w orygnale z podpisem Stanisława Augusta mam w swojem archiwum. Powtóre: że gdyby nawet nie było tego ustępstwa, to ze śmiercią wójta wieś nadana temu urzędowi wraca do skarbu państwa, ażeby ją król nowym przywilejem następnemu nadał wójtowi. Ten przeto urzędnik był dożywotnim tylko posiadaczem wsi Folwarków, nie zaś dziedzicem, a przeto sukcesor jego, syn lub synowiec, nie ma prawa upominać się o tę wioskę.

Nic moje uwagi nie pomogły. Kajetan Malinowski, niezachwiany w mylnem uprzedzeniu, podał

z uroszczeniem swojem prośbę do komisyi edukacyjnej i przegrał sprawę. Komisya bowiem, mając przed sobą konsens króla na powyższe ustępstwo i nadanie cesarza Aleksandra I z wyrażeniem, że wszelkie około Krzemieńca wioski, z ich wyszczególniem, jakie były w dożywotniem posiadaniu Janusza księcia Sanguszki, a gdzie i wieś Folwarki jest zamieszczona, na wieczne czasy mają należeć do liceum, uroszczenia Kajetana Malinowskiego uznała za niesłuszne.

Biedny pan Kajetan na punkcie wójtostwa krzemienieckiego dostał jakby pomieszania zmysłów. Spotykając znajomych i nieznajomych, opowiadał o niegodziwości komisyi edukacyjnej, która mu wydarła wieś Folwarki. Cierpiałem z powodu jego zaślepienia.

Wspomnieć tu wypada, że w czasie pobytu mego w Krzemieńcu zjechała tam ze Lwowa na wezwanie dostojnych panów śpiewaczka europejskiej sławy, pani Catalani. Sprowadzono orkiestrę z Międzyrzecza, pod dyrekcyą starego Kamińskiego, który niegdyś dawał mi lekcye gry na skrzypcach. Śpiew tej Włoszki dziwił i odurzał. Siła jej głosu tłumiła niekiedy całą orkiestrę, a trele nie różniły się od instrumentalnych. Płaciliśmy po dwa dukaty za wejście.

Salę ogromnych rozmiarów w murach liceum, szczelnie była zajętą przez dwa wieczory, najłaskawiej nam odstąpiono. Z tem wszystkiem urok przez tę artystkę rzucony przeminął, jak dawny sen o jakiejś melodyi, gdy tymczasem proste, nieuczone nucenie mojej matki przy robocie domowej, ów śpiew jej pobożny: „Przed oczy Twoje, Panie!“ od lat dziecinnych dotąd brzmi w uszach jej syna!

Ta wizyta śpiewaczki była na początku wiosny 1820 roku. Kareta zajechała wprost przed mury licealne. Wyszło kilku arystokratów na jej powitanie. Jeden z nich, książę, miał narzucony na siebie płaszcz

migdałowy, cały podszyty drogim aksamitem. Torując więc przejście tej damie od stopni karety do schodów kamiennych, rzucił w błoto swój płaszcz jaśnie oświecony pod jej nogi. Dostojny towarzysz jego podbiegł, ażeby z nim łącznie podać jej rękę, gdy wysiadała z pojazdu. Chlubni mitrami na samym wstępie zmienili się na służalców Włoszki.

Nazajutrz po pierwszym jej śpiewie ulicę Ogrodową, gdzie był dom dla niej przeznaczony, uczczono ku wiekuistej pamiątce napisem wielkiemi literami: „Ulica Katalani."

To odurzenie arystokracyi podało pióro Stanisławowi Worcelowi, który posłał artykuł szyderczy do wychodzącego pisma peryodycznego pod tytułem: *Wiadomości brukowe.* Doniesienie jego jest z wysepki „Rispa," co podzieliwszy na dwie zgłoski i czytając odwrotnie, znaczy „Paris." W tym artykule namacalnie dotknął niektórych czołem bijących przed artystką. Ztąd jeden hrabia, nazwany tam jej nieodstępnym szambelanem, domyśliwszy się autora, wyzwał go na pojedynek. Wyzwany szukał we mnie sekundanta, ale ktoś z poważnych wiekiem skutecznie przedstawił obrażonemu wyrazy pacierza: „i odpuść nam nasze winy..."

Nawiedzali corocznie Krzemieniec muzycy rozmaitej narodowości, znani ze swej sławy, w przejeździe na kontrakty do Kijowa. Z pomiędzy nich najwięcej zyskał poklasków pamiętny mi Karol Lipiński. Po pierwszym jego koncercie złożyłem mu wizytę. Odwdzięczył mi się za tę grzeczność prześliczną grą aryi z waryacyami z tematu krajowego. Żałowałem, żem był sam jeden, że nie było z kim podzielać mego zachwytu.

O! Muzyka dla mnie jest uroczą poezyą duszy! Zda się, że niebo jest jej ojczyzną; że ona zstępuje do nas, jako przedsmak pośmiertnych, czystych rozkoszy — kto na nie zasłuży. Osiadły na wsi starzec, dziś nie mam sposobności zachwycać się grą Rom-

bergów i Lipińskich. Ale, przy osłabionych wiekiem nerwach, jakże często czuję łzy w oczach, gdy miła wnuka moja, kochana Marynia Czarnołócka, przemówi językiem Ogińskiego przy fortepianie! Wówczas, pod ciężarem niedoli własnej jęczę z nim w jego rzewnych polonezach i wzdycham do nadziemskiego życia aniołów!

Gdyby kto z pozytywnych, ceniący samą tylko rzeczywistość, czytał to moje uniesienie dla muzyki; pewnie z szyderczym uśmiechem wyrzekłby stanowczo: — Oto jest zdziecinniały starzec, osłabiony na ciele i duchu! — Niech i tak będzie! Ja przeto niemniej dziękuję Bogu za te chwile słodkiej dla mnie rzęwności!

A potem, czyliż w latach tylko zgrzybiałych starców łzy się dobywają na jakieś tkliwsze przemówienie do duszy? Bywa czasem jej usposobienie do silniejszego przejęcia się wyrazami uczucia, które łzę błogą wzbudzają. Ku chwale mojej przywiodę zdarzenie podobne, najmniej spodziewane. Gdym jeszcze mieszkał w Krzemieńcu, pewna młoda osoba, pięknie ukształcona, objawiła mi pochlebne zdanie o mojej balladzie p. t. *Trzy krzyże* i deklamując z niej ustęp:

— Nikt nie śmiał płakać nad niemi,
Kościół się wyrzekł opieki;
Nie poświęcono tej ziemi
Co ich złączyła na wieki! —

okazała współczucie nad grobem trojga nieszczęśliwych łzami, które w jej pięknych oczach widziałem.

O tej balladzie, która w swoim czasie nad swoją wartość odgłos otrzymała, powiem tu jeszcze słów kilka. Mieszkał w Krzemieńcu Józio książę Czetwertyński, znany pod tak spieszczonem imieniem, lubo już siwym okryty był włosem. Był to brat starszy poważanego w obywatelstwie księcia Dymitra, prezesa niegdyś sądu głównego wołyńskiego w cywilnym departamencie. Stary Józio głośnym był z sa-

mego ułożenia dziwakiem. Z lat dziecinnych kawaler maltański, mundur swój codziennie światu produkował. Śmiesznie nadstawiał się generalskiemi na ramionach bulonami, jakby dowodem wysokiej zasługi. Raz wystąpił na dzielnym koniu w zielonym wice-mundurze, z błyszczącemi bulonami, w czapeczce u brzegów złotem haftowanej, i pompatycznie przejeżdżał rynek. Żołnierz, stojący na głównej straży, dał znak całemu odwachowi do prezentowania broni, jak przed generałem.

Ta omyłka śmiech obudziła, a wojskowi polecili żołnierzom, aby odtąd nie zważać na bulony księcia. Znany mi on był z samego tylko widzenia w towarzystwach i chociaż tam zamieszkał z żoną dla wychowania córki, przecież nie szukając jego znajomości, nie byłem nigdy w ich domu. Ale raz, ku zdziwieniu memu, widzę z okna, że książę Józio spuszczonym koczem podjeżdża pod mój ganek. Wchodzi i wita, jakby najlepiej mi znany.

Po pierwszych wyrazach zwykłej grzeczności szepleniącą mową, gdy proszony usiadł, zaczął od tego:

— Pan piszesz ballady. Czytałem, czytałem, bardzo pięknie pan to skomponował! Otóż ja chcę podać panu materyał do wierszy z dawnego czasu. Moje to własne a bardzo zajmujące zdarzenie. Mam dziś lat 56, a wówczas miałem lat kilka. Ojciec mój, kasztelan bracławski, przyjmował króla w Bracławiu. Otóż kazał guwernerowi, aby on nam trzem: mnie, Dymitrowi i Ludwikowi, skomponował mowy na powitanie króla, a to po francusku, po łacinie i po niemiecku. Robiono próby kilka razy i my recytowaliśmy bez omyłki. Ależ to nie żart, panie, mówić do króla! A odemnie, jako najstarszego, miało się zaczynać po francusku.

— To pewnie — rzekłem — było roku 1787, w podróży Stanisława-Augusta do Kaniowa dla wi-

dzenia się z Cesarzową Katarzyną II-gą. Książę wówczas miałeś lat dziewięć.

— A cóż to jest? Czy pan tam byłeś?

— Być nie mogłem, bom jeszcze nie żył; ale sam rachunek to pokazuje, skoro książę dziś liczysz sobie lat 56.

— Tak, tak! Musi być tak. Uważajże pan. Kareta z królem zajeżdża pod nasz dom w Bracławiu. Już biskup z kropidłem w ręku przy święconej wodzie, mój ojciec kasztelan i nas trzech przy mnóstwie urzędników i obywateli stoimy na galeryi. Ja miałem na sobie pąsowy mundur maltański, białą kitajką podszyty. Król po stopniach pojazdu zaledwie stanął przed nami; ja o krok podchodzę i głośno zacząłem:—*Sire!*—a ojciec chwyta mnie za ogon munduru i mówi:—Milcz, durniu! Tu biskup ma pierwszeństwo! — Co pan powiesz na to? czy to rzecz nie piękna do poezyi? Ach Boże, co się ze mną działo! Chciałbym wówczas pod ziemię się schować! Stoję okropnie zmieszany; biskup powitał króla kropidłem, a my na pokojach witali. Już mina moja nie była tęga, bo gdym ja mówił do króla, to słowa: milcz durniu! brzmiały ciągle w uszach. Zrób pan z tego balladę! Bardzo proszę, skomponuj pan, to prześliczna rzecz będzie!

— Przebacz, książę — odezwałem się — ten przedmiot jest nad moje siły. Szkoda, że Franciszek Zabłocki dawno już nie żyje; ten autor coś byłby napisał o tem dla sceny krajowej.

Ciemny jak w rogu, uwierzył temu książę Józio, nie wiedząc, że Zabłocki pisał tylko komedye.

Jeszcze o mojej balladzie. Podobała się ona staremu Mikołajowi Glücksbergowi, znanemu mi jeszcze w Warszawie, który ku znacznej swojej korzyści sprowadził do Krzemieńca liczny zbiór książek i własną założył drukarnię. Widząc się ze mną, prosił, abym mu pozwolił wydrukować tę moją ramotę,

a za to ma udzielić dla mnie kilkanaście jej egzemplarzy.

Łatwo mu było otrzymać zezwolenie cenzury, zależnej od zastępcy dyrektora liceum, p. Antoniego Jarkowskiego. Uiścił się wkrótce z przyrzeczenia, dając mi kilkanaście obiecanych egzemplarzy, a trzysta ich, czy więcej, powiózł do Kijowa na styczniowe kontrakty. Wszelka, choć miernej wartości nowość, zwłaszcza w przedmiocie własnych okolic, zajmuje samą ciekawością. Chwalił mi się z wdzięcznością Glücksberg, że mu rozchwytano tę broszurkę z kilku kartek złożoną w cenie 50 kopiejek. Z liczby danych mi egzemplarzy, po udzieleniu krewnym i przyjaciołom, pozostało przy mnie pięć tylko, i te w marcu 1823 roku wywiozłem z Krzemieńca do wsi Czeczetówki, wziętej w dzierżawę, gdzie po trzech latach samotnego życia, lat cztery jeszcze już ożeniony, szczęśliwie z dobrą przeżyłem żoną. O moim związku małżeńskim pod właściwą datą zapiszę; a tu wracam do owych pięciu egzemplarzy mojej ballady. Tułały się one w zapomnieniu gdzieś pomiędzy moemi książkami.

Żona znała te wiersze, będąc jeszcze panną, bo były o nich dość chlubne wspomnienia w pismach peryodycznych, przez jej ojca utrzymywanych. Raz zawitał do nas księgarz warszawski. Przeglądam jego katalog i wybieram dwa dzieła do nabycia. Przy badaniu o ostatnią cenę przypomniałem sobie moją ramotę i pytam, czy zechce przyjąć na rachunek jakiejś należności kilka egzemplarzy ballady, przez pana S. K. napisanej.

— A jaki jej tytuł?

— *Trzy krzyże pod Brykowem.*

— A któż to u mnie kupi? Nikt i trzech groszy nie da!

Uśmiechnąłem się na tę zniewagę, ale poczciwa żona mocno ją uczuła. Cała zarumieniona, pyta go:

— Czyliż panowie nie wozicie z sobą przy większych dziełach i tak małych broszurek? Skoro się zbywają, to przecież coś warte.

On na to:

— Nie dlatego ta ballada nieprzydatną jest dla mnie, że składa ją kilka tylko kartek, ale, że nikt jej nie kupi; bo po wszystkich dworach, począwszy od ekonomów i pisarzów, aż do paniczów i panien, wszyscy umieją ją na pamięć.

Z tryumfem spojrzała na mnie dobra moja żona i sutem za to księgarza uczciła śniadaniem.

Pojęcie wysokiego znaczenia umysłowego poety nie może być dostępne dla dziecka w latach kilku, lecz samo rymowanie jakiejbądź myśli, może je zajmować. Od lat dziecinnych dobieranie rymów najulubieńszą było mi zabawą.

Występowałem malcem będąc z kilku wierszykami na imieniny matki lub ojca, zwykle obwodząc takie powinszowanie wieńcem z listków i kwiatków własnej inwencyi, rysowanych na ćwiartce; było to w swoim czasie pociechą całego domu i podziwieniem sąsiadek. Ztąd później w szkołach łatwo mi już, obeznanemu z mechanizmem wiersza, dosięgać było pierwszeństwa nad kolegami w zadawanych nam elokubracyach. Ale gdym wyszedł z pod oka księży Pijarów i osiadł przy żytomierskiej palestrze i gdy ojciec silnie zaczął przemawiać o konieczności sposobienia się do urzędów sądowniczych, mając jedynie na celu zasługę w obywatelstwie, już nie było czasu myśleć o skarbieniu wielostronnej wiedzy, aby podsycić umysł do zawodu poety. Kilka wierszyków z serdecznego w młodości natchnienia stanowią tylko świadectwo, żem umiał rymować. Przypominam sobie, jak stał się dokuczliwym dla mnie nadany mi w okolicy tytuł dorywczego poety.

W ciągu dość długiej bezżenności mojej trwała uciążliwa moda panieńskich sztambuchów. Czy warto lub nie warto, uznanoby prawie za impertynencye

wymówienie się od przyznania rymem ujmujących przymiotów damie, która ze sztambuchem w ręku, z najsłodszem przymileniem w twarzy, ledwie nie mówi: — pochwal mnie! — Raz w Krzemieńcu zastałem u ciotki nieznaną mi pannę C. G., która kiedyś czytała w sztambuszku Boguni mój wiersz do pączka. Tym razem przywiozła swój złocisty sztambuch, aby schwycić rymowaną grzeczność. Prosi o pamiątkę zrobionej ze mną znajomości, a Bogunia wtyka pióro do ręki. Rad nierad skleiłem tych kilka wierszy:

— Gdy minął wiek omamień i przygasło czucie,
Wypędzony z Parnasu, kląkłem przy statucie.
U mnie statut jest bóstwo, jest żądzy podnieta,
Pozwy są kupidynem, strzałami dekreta.
W imię Ojca i Syna i Świętego Duchal
Po cóż pozwy, dekreta weszły do sztambuchal
Przebacz, pani, i przyjmij wyznanie najszczersze:
Łatwiej robisz przyjaciół, niżeli ja wiersze.

Z pomiędzy mnóstwa grzeczności wymuszonych, jakie rozsiałem po sztambuchach bez najmniejszego wpływu serca, ten jeden wierszyk dla panny C. G. pozostał mi w pamięci. Nie zaliczam do ich ogółu trzech strofek do I. B., wyżej przywiedzionych, które się z duszy wylały.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

DOTYCHCZAS WYSZŁY:

Tom.

1. Juliusz Słowacki. **Powieści poetyckie,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*
2, 3 i 4. Bolesławita. **Tułacze,** opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Pługa.*
5. Gustaw Le Bon. **Psychologia rozwoju narodów,** z przedmową *Juliana Ochorowicza.*
6. Eliza Orzeszkowa. **Trzy nowelle,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
7. Iwan Turgeniew. **Z zapisek myśliwego,** w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy.*
8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. **Dzieje Księztwa Warszawskiego,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*
11. Wiktor Gomulicki. **Cudna Mieszczka,** obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
12. Jan Kochanowski. **Psałterz Dawidów,** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego.*
13. Jan Zacharyasiewicz. **Zakopane skarby,** powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
14 i 15. Bolesławita. **Czarna Perełka,** powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
16. Julian Mohort i Klemens Junosza. **Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
17. Teodor Jeske-Choiński. **Stłumione iskry,** powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego.*
18. Juliusz Słowacki. **Poemata,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*
19. Władysław Smoleński. **Szkoły historyczne w Polsce** (główne kierunki poglądów na przeszłość) studyum, z przedmową *Aleksandra Rembowskiego.*
20. Maryan Gawalewicz. **Szkice i obrazki,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*
21. Piotr Chmielowski. **Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi** (1815—1825), z przedmową *Bronisława Chlebowskiego.*
22 i 23. Franciszek Wężyk. **Władysław Łokietek,** powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta.*
24. Roman Plenkiewicz. **Kształcenie młodzieży** (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochorowicza.*
25. Zygmunt Krasiński. **Irydyon,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

Tom.

26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. **Pojata, córka Lezdejki,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

30. Julian Ochorowicz. **Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu,** z przedmową *Ignacego Matuszewskiego,* z ilustr.

31. Klemens Junosza. **Na zgliszczach,** powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

32 i 33. Anna Potocka. **Pamiętniki,** tłomaczyła J. A., z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

34. H. Lachambre i A. Machuron. **Wyprawa Andrée'go balonem do bieguna,** w przekładzie M. O., z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustracyami.

35 i 36. Berta baronowa Suttner. **Precz z orężem!** historya prawdziwa, obrobił Włodzimierz Trąmpczyński, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

37. Fryderyk hr. Skarbek. **Pamiętniki Seglasa,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

38 i 39. Fridtjof Nansen. **Podróż do bieguna północnego,** w przekładzie i z przedmową *St. Janiszewskiego,* z ilustr.

40, 41, 42. Wiktor Hugo. **Rok dziewięćdziesiąty trzeci,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

43. Klementyna z Tańskich Hofmanowa. **Dziennik Franciszki Krasińskiej,** z przedmową *T. Jeske-Choińskiego.*

44. Wiktor Biernacki. **Nowe dziedziny widma,** z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustracyami.

45 i 46. Hr. A. K. Tołstoj. **Książę Srebrny,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

47. Juliusz Słowacki. **Beniowski,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

48 i 49. Teodor Tomasz Jeż. **Szandor Kowacz,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

50. Adam Krechowiecki. **Stella.—Tarłówna,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

51. G. Krahmer. **Syberya i znaczenie wielkiej kolei Syberyjskiej,** w tłómacz. i z przedmową *Włodz. Trąmpczyńskiego.*

52, 53, 54, 58. **Dzieje Narodu Polskiego,** z przedmową *Władysława Smoleńskiego,* z mapą dawnej Polski.

55. Adolf Dygasiński. **Wilk, psy i ludzie. — W puszczy,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

56, 57. Marek Twain. **Przygody Huck'a,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

59. **Pamiętniki Franciszka Karpińskiego,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

60, 61. J. I. Kraszewski. **Barani Kożuszek,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

62. Marya Rodziewiczówna. **Straszny Dziadunio,** z przedmową *Adama Pługa.*

63, 64, 65. L. Gallet. **Kapitan Czart. Przygody Cyrana de Bergerac,** przekład Gomulickiego, z przedm. *Święcickiego* z ilust.

Tom.

66, 67. Oskar Mysing. **Berezyna,** w przekładzie i z przedmową *Włodzimierza Trąmpczyńskiego.*

68. Konstanty Rengarten. **Pieszo do Chin,** w przekładzie Henryka Wernica, z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

69. C. F. Gordon Cumming. **Życie w Chinach,** w przekładzie d-ra Wik. Wolskiego, z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

70. Michał Bałucki. **Przeklęte pieniądze,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

71, 72. Ferdynand Hoesick. **Miłość w życiu Zyg. Krasińskiego,** z przedmową *Piotra Chmielowskiego.*

73. 74. Kajetan Kraszewski. **Bartochowski,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

75. 76. 77. 78. 79. 80. Cervantes. **Don Kiszot,** w przekładzie W. Zakrzewskiego, z przedmową *J. A. Święcickiego,* z ilustracyami G. Dorégo.

81. Edmund Biernacki. **Istota i granice wiedzy lekarskiej,** z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

82, 83. Anna Neumanowa. **Obrazy z życia na Wschodzie,** z przedmową *J. A. Święcickiego,* z ilustracyami.

84. Stanisław Grudziński. **Połpanek,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

85, 86. Teod. Tom. Jeż. **Nad rzekami Babylonu.** Powieść.

87. Teodor Jeske-Choiński. **Historyczna powieść polska.** Studyum krytyczno-literackie.

88. Włodzimierz Zagórski. **Wybór poezyi,** z przedmową *Wiktora Gomulickiego.*

89, 91, 110. **Pamiętniki Szymona Konopackiego,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

90. Maciej Wierzbiński. **Nowelle,** z przedmową *T. Jeske-Choińskiego.*

I. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej,** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego,* z ilustracyami.

92. S. M. Roguski. **Wilcze gardła,** z przedmową *J. A. Święcickiego.*

93, 94. **Pamiętniki Sierżanta Bourgogne'a,** w przekładzie i z przedmową *Walerego Przyborowskiego.*

95. Ks. A. Brykczyński. **Listy z Włoch o sztuce kościelnej,** z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustracyami.

96, 97. Oskar Mysing. **Wróg Napoleona,** w przekładzie Topora.

98, 99, 100. Maurycy Jokay. **Serce kamienne,** z przedmową.

101. Roman Zawiliński. **Słowacy ich życie i literatura,** z przedmową *J. A. Święcickiego,* z ilustracyami.

102. Sylweryusz Kondratowicz. **Całą siłą,** z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

II. Piotr Chmielowski. **Historya Literatury Polskiej,** z przedmową *Bronisława Chlebowskiego,* z ilustracyami.

Tom.

103. Gustaw Doliński. **Jak u nas chowano dzieci?** (Zarys dziejów pedagogii polskiej), z przedmową *Juliana Ochorowicza.*

104. Sewer. **Wśród pokus,** powieść z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego.*

105. A. Seidel. **Transwaal i Boerowie,** z przedmową *Juliana Ochorowicza,* z ilustracyami i mapką.

106, 107, 108. T. T. Jeż. **Ci i tamci.** Powieść z czasów kampanii węgierskiej.

109. Julian Mohort. **Przelotne wrażenia z podróży do Rzymu,** z ilustracyami.

MOJA DRUGA MŁODOŚĆ

z niewydanych pamiętników

SZYMONA KONOPACKIEGO

b. Prezesa Izby Cywilnej Wołyńskiej i Marszałka powiatu Zasławskiego

(1816–1826).

1017

Tom II.

WARSZAWA.
DRUKARNIA
A. T. Jezierskiego
47. Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 Октября 1899 года.

Bywając w rozmaitych domach, w Krzemieńcu zamieszkałych, nawiedzałem też i państwa Malczewskich, Podolanów z Tarnorudy, rodziców Piusa i już wydanej za bogatego Sobańskiego córki, z którą łącznie wychowywała się najstaranniej ich siostrzenica, panna Chrząszczewska, bardzo miła i pełna talentów blondynka. Bywałem tam czasami zapraszany na partyę wista, w którym wcale nie mając upodobania, dogadzałem tylko w tem obojgu staruszkom, gdy czwartej brakowało osoby, a za to panna Chrząszczewska wynagradzała mi cudnym przy fortepianie śpiewem tkliwej pieśni Kropińskiego: *Moja-to, moja Emina!* z jego powieści, p. t. *Julia i Adolf.* Zachwycała mnie każda piękna muzyka, a więc nie mogłem utaić, ile ten śpiew jej był dla mnie przejmujący i miły, ale Bóg świadkiem, żem nigdy serca jej nie badał. Nie mogłem przewidzieć, że moje grywanie tam w wista zdołało stanowić przeszkodę komuś w grze ważniejszej, bo o los życia. Znałem z widzenia tylko policmajstra krzemienieckiego, pułkownika liczącego się w armii, Laryusa. Wdowiec to był w latach trzydziestu kilku, pięknie ukształcony, przystojny, słusznego wzrostu, wszędzie po domaah obywatelskich dobrze widziany. Ten pułkownik raz przychodzi do mnie. Po grzecznej prezentacyi, gdyśmy sam-na-sam zasiedli, toczyła się z początku rozmowa w przedmiotach obojętnych, o jakich w ludnem mieście nietrudno. Nakoniec z wielką nieśmia-

ością, z wyraźną obawą obrażenia, podaje mi pułkownik kwestyę: czy ja bywając u państwa Malczewskich zamierzam starać się o ich siostrzenicę? Gdy mu powiedziałem, że wcale tej myśli nie mam, on wówczas wyznał, że ta panna mocno go zajęła i że jeśli to być może, on ośmiela się prosić mnie, abym nie okazywał jej jakichbądź grzeczności, gdyż ona z takich pozorów może wnosić, iż mam na celu zjednać sobie jej serce.

Dałem zacnemu pułkownikowi słowo, że odtąd zaprzestanę bywać u państwa Malczewskich. Uspokojony w tym względzie, pożegnał mnie.

W parę tygodni potem wszedłem do kościoła na niedzielną mszę licealną. Po mnie weszła pani Malczewska z siostrzenicą. Tamta usiadła w ławce przedemną, a ta obok mnie. Powitaliśmy się jako znajomi uchyleniem głowy.

Wkrótce dzwonek oznajmił wyjście ze mszą księdza. Panna Chrząszczewska uklękła i szepnęła:

— *Monsieur Konopacki! Priez pour moi!*

Żal mnie przejął nad biednem dziewczęciem! Pewnie ją starają się nakłonić do niemiłego dla niej związku!

Pułkownik przecież nie otrzymał jej ręki, a czy wyszła za mąż i za kogo po wyjeździe moim z Krzemieńca, nie miałem żadnej o tem wiadomości.

Już blizko trzech lat ślęczałem nad dokumentami pojezuickiemi. Najmilsza ich osłoda, Bogunia, już ma lat 16. Dochodzą wieści o tem mniemaniu po niektórych domach, że wkrótce ma nastąpić nasz związek. Matka jej, zawsze dla mnie najżyczliwsza, wyraźną objawia radość z serdecznych pomiędzy nami stosunków. Lube dziewczę, może z samego nawyknienia, przywiązało się do mnie; jakże nie kwilić na gniazdeczko? Wszystko temu sprzyja, tembardziej, że kochany brat mój Franciszek, przypominając listem swoim, że w następnym 1823 roku w marcu ukończy się czteroletnia Carówki wspólna dzierżawa, a ztąd

może wypadnie o innej pomyśleć zawczasu, donosi zarazem, że jego gospodarstwu tak się poszczęściło, iż fundusze nasze, w tę posesyę włożone, już są dziś zdwojone, nie licząc w to mnóstwa remanentów w koniach i rogaciznie. A więc postanawiam cichutko naprzód wysłać prośbę o uwolnienie mnie od urzędu dla domowych interesów moich; upatrzyć przez przyjaciół osobną dla siebie dzierżawę i wymodlić u ojca mego zezwolenie na związek małżeński w pokrewieństwie trzeciego stopnia. Punkt najpierwszy tego postanowienia natychmiast spełniłem: prośba już wysłaną została.

Niezwłocznie napisałem do przyjaciela ze szkół, Józefa Bobrowskiego, że się uwalniam od urzędu i proszę go, aby wynalazł dla mnie dzierżawę niewielką.

Dobry Józef, rad, że mnie wyrwie z więzów krzemienieckich, zaleca mi wieś Czeczetówkę w powiecie Winnickim, gubernii Podolskiej, gdzie sam był z matką swoją trzyletnim posesorem, gdy toczył proces wygrany z ojczymem, i że ta wioska z innemi kilku wsiami jest dziedzictwem małoletniego Nepomucena Giżyckiego, zostającem pod opieką jego stryja, generała Bartłomieja, gubernatora wołyńskiego. Wszystko się składa ku mojemu dobru: mam mieć do czynienia z generałem, który bardzo jest życzliwym dla mojego ojca, a dla mnie łaskawy wzgląd okazał w liście do namiestnika Zajączką, gdym lat temu kilka wyjeżdżał do Warszawy. Niebawem gubernator Gizycki, w podróży po Wołyniu dla rewizyi powiatowych juryzdykcyj, przybywa do Krzemieńca. Wyczekałem dzień jeden. Nakoniec, w obywatelskim mundurze, przy szpadzie idę do niego, aby mu złożyć uszanowanie. Wiedząc o tem, że należę do komisyi edukacyjnej, której on nie cierpiał ztąd, że tam zasiadał niechętny mu Filip hrabia Plater, przyjął mnie z wyraźną obojętnością. Ale skoro mu powiedziałem, że się uwalniam z urzędu i że mam go pro-

sić o wypuszczenie mi w dzierżawę jednej z wiosek jego synowca, wnet z ożywioną twarzą uścisnął mi rękę, pochwalił mój zamiar i przyrzekł uwiadomić mnie listem w miesiącu listopadzie tegoż 1822 roku, kiedy mam przybyć do Żytomierza dla układów o tę dzierżawę.

Lecz w rządzie imperatorskiego wileńskiego uniwersytetu doznaję niespodzianych trudności. Ówczesny rektor uniwersytetu przywatnym listem najgrzeczniej usiłuje skłonić mnie, abym nadal w urzędzie pozostał. Łechcąc moją miłość własną, przedstawia, że na zmianie prokuratora fundusze edukacyjne mogą ponieść stratę. Objawiłem nakoniec życzliwemu dla mnie pisarzowi komisyi moją z Wilnem urzędową i prywatną korespondencyę, aby za jego wpływem komisya dopomogła mi przedstawieniem kogo innego na mojem miejscu. Rudzki na to:

— Ująłeś uniwersytet dwiema mianowicie czynnościami swemi, najprzód: żeś tercyałowe posyłał im raporta, czego Borkowski, nie robił; powtórze: żeś wygrał ważną sprawę graniczną dla liceum z Mniszchem, ale co do komisyi, wątpię, aby żądaniu twemu dopomogła.

Powtórną wysłałem prośbę z tem, że tylko do pierwszych dni stycznia następnego 1823 r. mogę zajmować mój obowiązek; i znów od pana Sulistrowskiego, zastępcy rektora uniwersytetu, odebrałem list prywatny, podobny do pierwszego.

Nareszcie, pod koniec listopada, pan pułkownik policmajster oddał mi list od gubernatora Giżyckiego, pod jego adresem przysłany, a wzywający mnie do Żytomierza. Byłem u ciotek, aby je pożegnać; tam powiedziałem, gdzie i po co wyjeżdżam. Boguni łzy się puściły, wyszła do nas, aby swobodniej popłakać. Matka jej z przybranym gniewem powstaje na mnie:

— Źle postąpiłeś, Szymonie! Nikt nie uwierzy, abyś sam uwalniał się od swego urzędu, powiedzą,

że się pozbyli ciebie jako niezdatnego. A nakoniec czemubyś nie miał zatrzymać się rok jeszcze, aż ja wyjadę na wieś z Bogunią?

— Co do mniemania ludzkiego o zdatności lub niezdatności mojej—rzekłem—rzecz to dla mnie obojętna, lubo od takiego zarzutu łatwo mógłbym się usprawiedliwić listami z Wilna odebranemi, gdzie usiłują mnie nadal przy tym urzędzie zatrzymać, a co do terminu twojego, ciotko, wyjazdu z Krzemieńca, on dla mnie stał się już niepodobnym po odebranym od gubernatora liście.

W podróży do Żytomierza byłem w Szulajkach u czcigodnego ojca, który nie zganił podanej przezemnie prośby o uwolnienie od kłopotliwego urzędu.

— Dość — rzecze mi — pracy ciągłej przez trzy lata, aby powzięto mniemanie, żeś zdatny do urzędów w sądownictwie, a rad jestem, że masz zapewnioną dzierżawę u Giżyckiego, z którym ja mam dawne a najżyczliwsze stosunki.

Przybywam do Żytomierza, zastaję kochanego brata mego, Franciszka, listem moim uprzedzonego, aby i on na ten termin zjechał. Byliśmy obadwa u gubernatora. Ten oznajmił stanowczo, że samej Czeczelówki nie może wypuścić w posesyę, lecz razem z większą od niej wsią Kustowce, o milę od tamtej odległą, i że za obie żąda 35 tysięcy złotych corocznie przez trzy lata opłaty. Dał nam do przejrzenia inwentarze tego majątku z tem, że dogodniej byłoby mu nie z dwoma nami, lecz ze mną jednym mieć do czynienia o te dwie wsie razem.

Z przejrzenia danych nam papierów okazało się, że Kustowce mają po 500 morgów w każdą zmianę, a do robocizny 120 chat włościańskich. W Czeczelówce zaś, za którą Bobrowski płacił rocznie 10 tysięcy złotych, jest w łanach po morgów 200, a chat włościańskich 48. Ztąd rachunek prosty, że za Kustowce wypada płacić 25 tysięcy złotych. W Czeczelówce gotowej intraty z arendy karczemnej

i czynszów osiadłej tam szlachty jest dwa tysiące złotych, a w Kustowcach nie pomnę wiele, lecz w kwocie odpowiedniej dusz włościańskich. Mój brat, dobrze uprzedzony o podolskiej ziemi, a pewny siebie w zawodzie gospodarskim, bez wahania oświadcza, że weźmie odemnie Kustowce. Lecz, gdyśmy powtórnie byli u gubernatora, on przedstawił nam nową okoliczność: oto w tych obu folwarkach było w stertach i w ziarnie około dwóch tysięcy korcy pszenicy i żyta, których sprzedażą on już zajmować się nie może. Wymaga przeto, abym za to zboże, w ilości, jaka będzie z naocznego przeświadczenia się na gruncie, zapłacił mu po cenie praktykowanej w d. 24-ym marca na rynku miasteczka Cudowa za świadectwem tamtejszego kluczwójta i abym się uiścił za to zboże dnia 24-go sierpnia bieżącego wówczas 1823 roku. Bez żadnych targów musieliśmy i ten uciążliwy przyjąć warunek, znaleźliśmy bowiem żywy temperament generała Giżyckiego, który łatwoby się rozgniewał i mógłby wszelki układ zerwać. Dodał na remanent kilkadziesiąt roboczych wołów i krów kilkanaście, znajdujących się w tych obu folwarkach i natychmiast spisałem z nim kontrakt trzyletni o Kustowce i Czeczelówkę z obowiązkiem opłacania corocznie po 35 tysięcy złotych w dniu 15 stycznia. Bobrowski uprzedził mnie, że w Czeczelówce domek mieszkalny w zupełnej jest ruinie, że wypadnie nowy koniecznie wybudować. Potrzebując w jakiejś części wpływu opiekuna majątku do kosztów na tę budowę, nie wspominałem na razie gubernatorowi o tej konieczności, zostawiając na później pomówienie z nim o tem, ale już mi się roił plan domku wygodnego, gdziebym żył szczęśliwie z Bogunią. Lecz nadzieje nasze, zda się najlepiej oparte, jakże są często podobne do zarysu chmurek! Lada wiatr je zmienia!

Wróciwszy do Krzemieńca, nie zastałem jeszcze odpowiedzi z Wilna na powtórne pismo moje urzę-

dowe. Komisya zaś, przez łaskawą dla mnie delikatność, nie przedstawiała nikogo do zajęcia miejsca po mnie, aż otrzymam żądane uwolnienie. A więc rad nie rad, postanowiłem pozostać w takiem zawieszeniu po pierwsze dni marca następnego 1823 r.

Prezes, Michał Sobański, dziedzic ogromnego na Podolu majątku, znany był powszechnie jako wzorowy gospodarz, a przytem, lubo życie jego było dość odpowiednie dostatkom, przecież co do własnych jego upodobań i nawyknienia nadzwyczajną okazywał oszczędność. Pomnę, że w tym roku, gdy ze wsi przybył na termin sądów komisyi i zaprosił nas z całym kompletem na obiad, po którym przy czarnej kawie podano nam fajki, ktoś z obecnych, dostrzegłszy, że jemu jej nie dano, zapytał:

— Czy pan prezes już nie pali fajki?

— Tak, panie! Zaniechałem jej, bom zrobił sobie uwagę, że czas, najdroższy skarb człowieka, powinien mu przynosić procent od każdej życia chwili, a fajka zwodzi nas. Gdy mam cybuch w ustach, siedząc na wsi, zda się, żem zajęty, a tymczasem, gdy moje chwile z dymem ulatują, wśród marzeń bez żadnej korzyści, zapominam o raportach ekonomów, które należy pilnie przejrzeć i porównać z poprzedniemi. Otóż dałem sobie słowo zaniechać używania fajki, która wiedzie do zamiłowania próżniactwa.

W kilka dni potem, gdyśmy byli na sesyi i zwykłym trybem przedstawiałem należne procenty od pewnej sumy przysądzonej, pan prezes zaprzeczył mi, że owe procenty nie wynoszą tyle. Ja, podając mu arkusz białego papieru i ołówek, proszę go, aby sprawdził mój rachunek, a przekona się, żem się nie omylił. On kładzie ołówek na stole i z powagą rzecze:

— Wiadomo nam, że pan masz się poświęcić gospodarstwu wiejskiemu, proszę więc przyjąć na pamiątkę odemnie, starca, tę na całe życie przestrogę:

że kiedy obejść się możemy ćwiartką, nie psujmy całego arkusza. Może pan nazwiesz to fraszką, ja przecież przez lat kilkadziesiąt trzymałem się tego prawidła i to dało mi właśnie majątek, jaki dziś posiadam.

Te wyrazy prezesa Sobańskiego powtórzyłem 1826 roku, gdym już był ożeniony, przed nawiedzającym mnie w Czeczelówce tej wioski dziedzicem, młodym wówczas Nepomucenem Giżyckim, i on je z korzyścią swoją umiał w praktyce zastosować, jak się to okaże z wyznania jego pod rokiem 1854.

Odebrałem nakoniec od zastępcy rektora uniwersytetu wileńskiego, pana Życkiego, pismo o uwolnieniu mnie z urzędu, z zastrzeżeniem pozostania w nim, aż kto inny będzie mianowany i potwierdzenie otrzyma. A po upływie trzech miesięcy mojego oczekiwania, podałem dnia 28-go lutego 1823 r. do komisyi edukacyjnej oświadczenie, że dla słabości zdrowia i dla domowych moich interesów nie mogę dłużej pozostać w Krzemieńcu i przyłączając świadectwo doktora medycy, Karola Kaczkowskiego, o stanie zdrowia mego, dnia 26-go lutego wydane, prosiłem komisyi, aby raczyła polecić, komu jej zdawać się będzie, odebranie odemnie całego archiwum. Jakoż pod dniem 5-go marca 1823 roku za Nr. 31,491, nastąpiło postanowienie komisyi, aby jej sekretarz, Ignacy Kozaczyński, wszystkie papiery do spraw przygotowane, do mego urzędu należące, z pismami i księgami, do funduszu edukacyjnego ściągającemi się, przyjął odemnie i w tem urzędowem do mnie piśmie, podpisanem przez jednego z komisarzy, generała Ludwika Kropińskiego, komisya te raczyła w końcu domieścić wyrazy:

„O tem wszystkiem, dając wiedzieć wielmożnemu Konopackiemu, komisya mu oświadcza, iż jak ślady użytecznych prac jego zostaną w protokułach i przy dziełach komisyi, tak miło jest osobom tę magistraturę składającym oddać należną sprawiedliwość

obywatelskiej gorliwości i usilności wielmożnego Konopackiego, z jąką około pomnożenia funduszów, dobru pokoleń oddanych pracował i wszędzie mu swój tłómaczyć szacunek."

To urzędowe pismo komisyi sądowo-edukacyjnej pomiędzy drogiemi pamiątkami lat moich, dotąd mam u siebie.

Tak szczęśliwie rozszedłszy się z komisyą edukacyjną, poświęciłem jeszcze trzy dni na pożegnanie domów w Krzemieńcu zamieszkałych a łaskawych dla mnie, jako też między niemi i najdroższych sercu.

Wskutek mego odjazdu z Krzemieńca ucierpiała na zdrowiu dobra Bogunia, o czem dowiedziałem się w lat kilkanaścia od przyjaciela mego, dra Karola Kaczkowskiego, który był wzywany do zaradzenia złemu; przed nim nie taiła przyczyny łez swoich, bo jej wiadome były moje z nim dobre stosunki. Te przecież łzy jej nie ciążą mi na sumieniu, nie z mojej bowiem winy ta serdeczna przychylność jej ku mnie doznała zawodu.

Czcigodny a dobry ojciec przysłał podwody wiejskie dla zabrania o mil kilkanaście moich sprzętów pokojowych i ruchomości; dobry, kochany brat mój, Franciszek, przysłał mi czwórkę naszych biegunów z nowym dla mnie kupionym faetonem, który wedle ówczesnej mody pysznił się pudłem na wysoko wzniesionych resorach i wyzłacaną jego ozdobą. Dnia 8-go marca 1823 roku, puściłem się w podróż do Szulajek. Dni kilka zabawiwszy z ojcem i siostrami, odjechałem do Czeczelówki dla objęcia dzierżawy. W podróży całodziennej, bo nie więcej jak o mil sześć od ojca, nie roiłem sobie materyalnych korzyści z gospodarstwa, byle pod koniec roku, sprzedawszy zboże, złożyć opiekunowi majątku należną za rok następny opłatę i byle reszta darów Bożych wystarczyła na skromne, o ile można, utrzymanie się. Główną myślą moją, o czem odjeżdżając Boguni mó-

wiłem, był, zdawało się, niezawodny z nią związek i ciche, spokojne pożycie niezależne w domku, jaki mam wystawić. Plan tej budowy miałem już porządnie zrysowany w Krzemieńcu, wedle własnej symetryi przez profesora mechaniki i architektury pana Miechowicza.

Przybywam do Czeczelówki, zastaję smutną pozycyę stepową. W całej wiosce, odosobnionej od sadyby folwarcznej, kilka tylko starych wierzb dostrzegać się daje, a przy folwarku nawet wróbel niema gałązki, na którejby spoczął. W dali od włościan, lichy, wiekiem nachylony „dworek na gościńcu,“ o sto kroków od drogi publicznej, bez żadnego ogrodzenia. Przy wjeździe na dziedziniec stoi tylko na straży św. Jan Nepomucen.

Wszedłem do mojej siedziby. Pierwsza izba dość dla mnie jednego obszerna, ale ściana jej przyczółkowa taki wzięła rozbrat z linią pionową, że lada silniejsze grzmoty grożą jej upadkiem. Alkierzyk obok odznacza się ścielą dotąd niewidzialną, bo z płotu wyrobioną, a pośrodku wspartą dąbczakiem w naturalnem jego odzieniu. Wszystko to jednak świeżo było pobielone i wyglądało jakby trup do grobu przybrany, bo też grobowa czuć się tam dawała stęchlizna.

Brat mój, Franciszek, wcześniej przybyły do swej dzierżawy wsi Kustowice, odwiedził natychmiast o milę odległą Czeczelówkę. Polecił ekonomowi, aby się wyniósł z owego dworku do oficyny, gdzie była obok piekarni i kuchni stancya dla klucznicy, tej zaś doradził się mieścić z gospodynią w piekarni. Lecz ja przenocowałem tylko w dworku, a nazajutrz prawa do niego z piecem piekarskim w izbie przez sień, zwróciłem ekonomowi, a w oficynie z pełną rezygnacyą zająłem jego stancyjkę. Tegoż dnia pojechałem do Kustowic, aby powitać brata na nowej jego siedzibie. Tam zastałem oficyalistę gubernatora Giżyckiego, który, jako stryj i opiekun majątku dziedzi-

ca, zesłał umocowanego listem swoim do podania nam we władanie wsi obu, zakupionego przez nas zboża, tak w ziarnie, jako też w snopie po zrobionej próbie omłotu i remanentu w krowach i roboczych wołach z opisaniem ich lat.

Ów oficyalista, Mikołaj Giżycki, odstawny porucznik wojsk rosyjskich, daleki, jak nam mówił, krewny gubernatora, spełnił dane mu polecenie tak w Kustowcach, jako też w Czeczelówce, co zajęło nam czasu dni kilka. Co do ilości zboża w snopie, zawierzyliśmy regestrom ekonomicznym, a ziarno przy powyższym oficyaliście było przemierzone. Ten pan porucznik przywiózł nam też świadectwo kluczwójta cudnowskiego, jako tam w dniu 24-go marca bieżącego 1823 r. żyto płaciło się po złotych cztery, a pszenica po rublu. Co do ceny jarego zboża, tej dziś nie pomnę.

Objąwszy to wszystko w nasze posiadanie, postanowiliśmy żyto i jarzynę, jako będące w ziarnie, choćby z niewielką stratą natychmiast sprzedać. A chociaż w tym roku dnia 24-go sierpnia byliśmy obowiązani kontraktem całą należność za zboże wypłacić, przecież w nadziei wyższej ceny, pszenicę w stertach zatrzymaliśmy do następnego 1824 roku. Nie pomnę, ile straty ponieśliśmy na sprzedaży jarego zboża, ale żyto, którego dość znaczna była ilość korcy, z trudnością sprzedaliśmy po trzy złote. W d. 24-go sierpnia wypłaciłem panu gubernatorowi za wszelkie sprzedane i niesprzedane zboże całkowitą należytość wedle poświadczonej ceny w Cudnowie. Ale pamiętam, że na pszenicy, której największa była ilość, znaczną, a mianowicie w Kustowcach ponieśliśmy stratę. Sprzedałem ją z moją dostawą o półtrzeciej mili do Berdyczowa po złotych cztery, to jest ze stratą na korcu po złotych dwa groszy dwadzieścia, lubo pszenica była bardzo piękna, a po tejże cenie i mój brtat z Kustowic ją sprzedał.

W pierwszym roku posesyi, natychmiast po jej

objęciu, byłem w kwietniu u gubernatora Giżyckiego w Mołoczkach. Przedstawiłem mu konieczną potrzebę nowego w Czeczelówce domu. Z początku wymawiał się tem jedynie, że jako opiekun majątku, nie może łożyć kosztów na to, lecz po uwagach moich, że ten majątek w innej gubernii, o mil kilka odległy od innych dóbr jego synowca, pewnie będzie i później wypuszczony w dzierżawę, a porządne pomieszkanie może stanowić zachętę dla posesora, zapytał, jaki to ma być domek. Pokazałem mu planik, przez Miechowicza zrysowany. Widocznie mu się pododał i z profilu i z wewnętrznej symetryi, gdzie pod tymże dachem była obok izby kredensowej i kuchnia angielska. Ale wyczytawszy wyraz „kuchnia,“ potrząsł głową.

— Nie!—rzecze—tak nie będzie!

Umoczył pióro, przemazał tamten wyraz i napisał: „Panny służącej pokój.“ Uśmiechnąłem się i mówię mu:

— Pan generał zapomniał, że nie mam jeszcze żony.

— Owszem, pamiętam, ale pan wprowadzisz tam żonę i dlatego proszę nie robić tam kuchni.

Po krótkich targach przeznaczył na pobudowanie domu sześćset rubli, z dodaniem z lasu kustowickiego potrzebnego na to drzewa i kamienia z tej wsi na podmurowanie.

W młodzieńczych latach żartowałem sobie z umiejętności zarządzania wiejskiem gospodarstwem. Zdawało się nic łatwiejszego, jak obrać za wzór do ślepego naśladowania naszych na wsi Hrychów; uprawiać ziemię i zasiewać w jednej z nimi porze i czekać łaski Pana Boga. Na dwóch dzierżawach, łącznie z moim bratem, jak wyżej opisałem, na pożarze skończony rok 1818 w Romanówce i jeden rok następny w Carówce, brat mój, nie odnosząc się w niczem do mnie, umiał, jakby stary gospodarz, we wszystkiem dać sobie radę; zostawiał mnie przy książ-

kach i pendzlu, ciesząc się w swej dobroci, że przy nim mogę używać swobody wiejskiego życia. Tu w niektórych zdarzeniach już własny rozum, czyli wiedzę, odpowiednią memu położeniu, mieć potrzeba.

Po moim powrocie z Mołoczek wchodzi ekonom, zdaje sprawę z poleconych mu czynności, a w końcu zapytuje:

— Co też pan każe robić z wakansami?

Udaję, żem nie dosłyszał.

— Czego pan żądasz?

On powtórzył, a ja, stojąc w oknie, gdy się biedzę, że nie rozumiem, o co idzie, dostrzegłszy zbliżający się powóz, rzekłem:

— Przyjdź pan z tem później, bo jakiś gość jedzie.

Był to gość zawsze najpożądańszy, mój wierny przyjaciel, Józef Bobrowski. Po serdecznem powitaniu, mówię mu:

— Bóg cię zesłał w chwili mego kłopotu!

Powtórzyłem, o co mnie pytał ekonom i badam, co znaczą wakanse. Uśmieliśmy się obadwa z mojej nieświadomości, a on pierwszy nauczył mnie, iż to są pozostałe pola po zmarłych włościanach, lub nie wzięte w dalszy najem przez szlachtę czynszowników, a przeto należące do dworu pod tytułem wakansów.

Pochwaliłem się przed nim planem domku, zatwierdzonym przez opiekuna. Obrachowaliśmy wszystkie koszta tej budowy i okazało się z podsumowania, co już sam w Mołoczkach przewidywałem, że pewnie drugie sześćset rubli z własnej kieszeni dołożę. Doradził Józef, aby pańszczyzna była użyta tylko do wywiezienia drzewa z lasu kustowickiego i do transportu z tejże wsi kamienia na podmurowanie, a co się tycze całej budowy, oprócz malarki i stolarskiej roboty drzwi i okien, abym wezwał mieszkających w Berdyczowie Piliponów, a o wiele zyskać mogę na czasie; ruscy bowiem cieśle, śpiewając, tak

szybko pracują, że w tym roku jeszcze stanąć może domek przed zimą z dokończoną mularką, byle ruscy przybili podłogę i przygotowali ściel do wyrzucenia jej wapnem.

Jak powiedział, tak się stało. Zgodzeni Piliponie obowiązali się za sto pięćdziesiąt rubli zbudować wedle planu domek o czterech pokojach, o składzie, kredensie i kuchni, z korytarzem do opału, a począwszy robotę dnia 1-go maja, w końcu lipca już ją zupełnie skończyli.

Kochany Józef Bobrowski, w dniach tej pierwszej u mnie bytności, poznał mnie z najbliższą o trzy wiorsty moją sąsiadą w Wiszence, panią Pieńkowską, wdową po Pieńkowskim, miecznik zwinogrodzkim, który był niegdyś deputatem na trybunał lubelski. Miecznikowa miała lat około czterdziestu, zamożna, a pełna dobroci osoba. Józef i matka jego w zażyłej byli znajomości z tym domem w ciągu trzyletniej jego dzierżawy wsi Czeczelówki. Jedyny syn miecznikowej, Kamil, był już ożeniony z marszałkówną z Charzyna, córką chorążego, i mieszkał o milę od matki w dymisowanej mu połowie wsi Ostrożka, gdzie jest parafialny nasz kościół. Jedyną pociechą mojej sąsiady był trzyletni wnuk jej, Ludwiś, syn Kamila, który więcej dzieci nie miał.

Cieszyłem się na szparko postępującą robotę cieśli ruskich, codziennie ich nawiedzając. W czerwcu, już na podmurowaniu, stanął zrąb całej budowy. Gdy jedni ścianki wewnętrzne zakładali, a drugich podłoga zajmowała, wszedłem raz do wnętrza mojej przyszłej siedziby i opodal od robotników, w sypialnym pokoju, gdzie podłoga do połowy już była przybita, zastałem mnóstwo latających nad nią pszczół. Pokazałem je naczelnemu majstrowi. On zajrzał pod podłogę w części przybitą i nic nie mówiąc, przywodzi jednego z czeladników i zakładając przejście sznurem, pozdrawiają wróżbą szczęścia. Majster wyrokuje, że ten rój pod podłogą zapowiada, że mieszkając

ru, ożenię się i Bóg pobłogosławi mój związek takim rojem dziatek i bogactwa. Dziękując im za wróżbę, wykupiłem się od sznura kwitem do karczmy na garniec wódki. Któżby gminnym przesądom dawał ślepą wiarę? Przecież po upływie lat czterech ten sam pokoik podzielałem z nieznaną mi wówczas, a przeznaczoną od Boga dobrą Klemunią i tam właśnie Bóg nam dał trzech synów: Wiktora, Prokopa i Józefa, z których dziś, wedle przepowiedni, wieńczy moją starość rój kochanych wnuków. Otóż powiedzianoby: zdziecinniały starzec! Wyznaję z pokorą, żem ciemny, że nie pojmuję, jaki może być stosunek pomiędzy owemi pszczołami a moją przyszłością. Podobnych tajemnic nie zgłębiam, a piszę tylko, jak było.

W tymże czerwcu 1823 roku bolesna dotknęła mnie strata przyjaciela. Wypadek okropny, najmniej spodziewany! Częste odbierałem listy z Krzemieńca pełne życzliwości, więc wzięła mnie chętka podziękować osobiście za pamięć, tembardziej, że Franciszek Rudzki odezwą swoją zaklął mnie, abym przybył do Krzemieńca na 21 dzień św. Aloizego, ku uczczeniu egzekwiami drogiej nam pamięci Felińskiego. Postanowiłem jechać tam na Staszówkę dla odwiedzenia moich krewnych Bukarostwa, a ztamtąd na Rosołowce, aby uściskać kochanego Mikołaja Węża. Pomnę, że przybywszy w sobotę do Staszówki, chciałem koniecznie wyjechać w niedzielę na Konstantynów do Rosołowiec. Lecz na usilne Seweryna Bukara naleganie pozostałem u nich na biedę jeszcze dzień jeden. Tak, na biedę! bo i tu okropny cios mnie dotknął! Był to, jak mówią, feralny dla mnie miesiąc. W Staszówce, z niedzieli na poniedziałek, nocowałem w osobnym pokoju opodal od innych. Tam w okna bez okiennic bił mocno księżyc w samej pełni. Nieprędko zasnąłem. Snuła mi się po myśli jakaś ponurość, którą dostrzegłem w twarzy i spojrzeniach

Bukarówny. Zdawało się, że ją ciężki obarczał smutek. Gdy zacząłem drzemać, posłyszałem jakoby lekki szelest jedwabiu tuż przy mnie. Nie otwierając oczu, wpół śpiący pytam:

— Kto tu jest?

— To ja, nieszczęśliwa!

Głos jej mocno mnie zdziwił. Usiadła na krześle przy moich poduszkach w jednej tylko atłasowej salopie. Pomyślałem zrazu, czy nie ma ona pomieszanych zmysłów.

— Przebacz, żem ci sen przerwała. Ale gdzież się dziś udam, jeśli nie do ciebie? Ty poczciwe masz serce; ty nie odmówisz rady tak potrzebnej dla mnie! Dopóki żyła matka moja, w niej miałam osłodę cierpień, którym świat uwierzyć nie może.

— Cóż ci jest? powiedz kochana siostro? (tak ją zwykle mianowałem; była bowiem córką stryjecznej siostry mojej matki).

— O! Niełatwo i ty uwierzysz, boś ty jego przyjaciel. Ale kogoż on nie omamił pozorami światowej grzeczności! Ty nie możesz wyobrazić sobie cierpień kobiety niekochanej przez męża, a który dla niej tylko zimną objawia obojętność. A ja to znoszę od lat tylu! Wiadomo ci, że po szumnem życiu jego ojca mało mu po nim zostało. A znaczny wziął po mnie posag, za który ten majątek nabył. Gdybyż przynajmniej za te krocie wdzięczność niekiedy okazał, choćby udając przychylność! Ale on stroni odemnie; a byle dziewczę z piękną, świeżą twarzyczką, wnet układa słodkie oczy do niej i to nawet w mojej obecności; cóż może być na boku?!

— Pozwól, kochana siostro, abym ci przypomniał, że już upłynęło lat dwadzieścia kilka od związku waszego i że mąż twój ma przeszło lat pięćdziesiąt. Ztąd owa zalotność, o którą go posądzasz, nietylko byłaby płochością nieodpowiednią jego wiekowi, ale uwłaczałaby powadze ojca dorosłych już synów waszych. Ale przypuśćmy, żeś dosłyszała ja-

kieś jego niby pochlebne, ujmujące słówko do młodych płci twojej osób, jakie tu bywają. I cóż ztąd? Te pochlebstwa względem kobiet nie pochodzą z serca, lecz z nawyknienia od lat jego młodzieńczych, jako chleb powszedni salonom wyższego towarzystwa, do którego on wychowaniem swojem należy. Czyli to ściągać ma tak silną urazę? Pomnij, że jesteś matką dwóch słusznych synów! Pomnij, że dziesięcioletnia córka czeka po tobie wzoru pobłażania nawet nie takim, lecz istotnym winom, i wzoru dobroci, tych drogich dla nas, a wam kobietom koniecznych przymiotów. Zaklinam cię na miłość, jaką masz dla dzieci swoich, wygładź z pamięci owe urojone żale do czcigodnego Seweryna, który niedarmo powszechnego doznaje szacunku.

— Otóż to właśnie mojem jest nieszczęściem! Ten powszechny dla niego szacunek zasłania wam oczy i ztąd widzieć nie możecie, jakim on jest dla mnie. Matka tylko moja rzetelnie go znała! Co do dzieci moich, napróżno mi o nich wspominasz! On potrafił i u nich wyjednać sobie przewagę nademną. Ja dzieciom naszym jakby niepotrzebna! Ja tu nic nie znaczę! On mniema się wyższym, jak gdyby mezalians zrobił, żeniąc się ze mną. Lgnie całą duszą do gości, jacy się zdarzą, a od swojej żony jak najdalej stroni. O! na miłość Boga, daj radę, jak dożyć w tak okropnych mękach!

— Ty, siostro, jesteś chorą, a na taką chorobę religia tylko zaradzi. Chciej mi wierzyć, lubo znacznie młodszy jestem od ciebie, że wzniesienie się duchem ponad te ziemskie, często urojone ciernie, uśmierzy owe niewczesne żale i wróci spokojność. Modlitwa ze skruchą i poddaniem się woli Boga, moją najszczerszą jest dla ciebie radą. Do Boga siostro, do Boga idźmy o wsparcie w niedołężnościach naszych!

— Tak! Dobrze mówisz. Pójdę do Boga!—

ponuro wyrzekła i odeszła, zdawało się, że na modlitwę.

Przetrwałem resztę nocy bezsennie. Zaledwie dnieć zaczęło, słyszę ruch po całym domu, jakby alarm. Dostrzegam przez okno biegnącego lokaja. Wzywam go pukaniem w szybę i pytam wchodzącego:

— Co to się stało?

— Ach, wielkie nieszczęście! Pani chorążyna chciała się utopić. Bóg dał, że ogrodnik, idąc z chaty brzegiem stawu, dostrzegł ją już tonącą, rzucił się w wodę i wyratował. Wniesiono bezprzytomną, okryto ją w łóżku; mówi tak, że zrozumieć nie można.

Ubrałem się prędko, aby wnet wyjechać. Gdy podano mi kawę, wszedł do mnie Seweryn, mocno zmartwiony.

— Czy wiesz o strasznym wypadku? Żona moja chciała utopić się w stawie. Teraz w widocznem jest obłąkaniu; odwraca się odemnie, a powtarza te słowa: „Nie dali mi wznieść się swobodnie do Boga.“ Posłałem po doktora, o którym mówią mi, że przybył do Jemiec, ztąd blizko. Od kilku dni ciągle była smutna. Teraz w nadzwyczajnej jest gorączce!

Rzecz prosta, że nie ważyłem się martwić jeszcze więcej Seweryna wiadomością o jej żalach przedemną. Przeciwnie, pocieszałem go uwagą, że nie mogła mieć powodów moralnych do obrzydzenia życia, lecz zarazem nadmieniłem, aby ją jakby dziecię utulił w pieszczotach, nie wspominając o szaleństwie samobójstwa. Byłem też spokojnym o jej przyszłość. Zdawało się, że doktór uspokoi ową gorączkę, a względy męża i zimna rozwaga pogodzą ją z życiem. Omyliłem się w mojem mniemaniu, jak to później opiszę. Nie wszedłem do jej pokoju w obawie, aby nie powtarzała przy świadkach swej skargi na męża. Pożegnałem zacnego Seweryna, bolejąc nad jego położeniem.

Tu noc była taka! Lecz jak okropny dzień po

niej!... Z Ilaszówki jadę do Rosołowiec. Dwie mile ujechawszy, stanąłem w Konstantynowie przy domu, gdzie od kilku tygodni była na kuracyi znajoma marszałkowa Madejska ze Skibiniec, matka Kazimierzowej Budzyńskiej.

W pierwszym u niej pokoju zastałem przy niej starszą jej córkę z mężem, Janem Madejskim, i doktora Zejdlera. Po przywitaniu Jan wziął mnie do drugiego pokoju i mówi:

— Ty jesteś tu niecierpliwie oczekiwany. Prezes komisyi do rozwiązania interesów z wierzycielami pani hetmanowej Rzewuskiej, gubernialny marszałek Ledóchowski, pragnie, abyś był przy tej komisyi prokuratorem masy.

— Za nic w świecie żadnego nie przyjmę obowiązku! Czy nie dość wymęczyłem się przez trzy lata nad dokumentami pojezuickiemi?

— Ależ słuchaj! piękne warunki! Rocznie cztery tysiące rubli srebrnych!

— Choćby dawano tyle dukatów—rzekłem—nie zamienię spokoju mojej cichej niezależnej dzierżawy na kłopot prokuratoryi!

Wtem z otwartych drzwi pierwszego pokoju dochodzą te wyrazy Zejdlera:

— Dziś gwałtownie wezwany, wchodzę do pana Węża i uderza mnie naprzód rozlana krew na podłodze.

Na te wyrazy wyrywam się od Jana i pytam doktora:

— Co pan mówisz o Wężu?

— Oto—rzekł—pan jesteś tam potrzebny! List wczoraj zapieczętowany pod adresem pana leży przy nim na stole. Może ten list wykryje powód okropnego wypadku.

— Gdzież jest Wąż, proszę?

— On tu jest o sto kroków, lecz zaczekaj pan; z ostrożnością pójdę go uprzedzić, bo niespodziane wejście pana może stan jego pogorszyć.

— Czy tak mocno chory?

— Krótko mówiąc, chory tylko na febrę, ale dziś... przebił się nożycami. Niech to pana nie trwoży. On żyje i może Bóg da, że żyć będzie. Zatrzymaj się pan, za chwilę wrócę z dworku przy Dominikanach, gdzie on kwateruje.

Wyszedł, a ja za nim; stanąłem przerażony na przedsieniu w progu domostwa. W kilka minut widzę Zejdlera już wracającego. Dał mi znak chustką, abym szedł do chorego. Wchodzę; kochany Mikołaj w trupiej bladości, wyciąga rękę z pod kołdry do uścisku, i dał mi widzieć krwią swoją splamiony bandaż aż pod szyję. Nie mogłem się powstrzymać od zrobienia mu wyrzutu:

— Co ty zrobiłeś, mój drogi! Ach jakże cierpię, żem tu wczoraj nie przybył, jak chciałem!

— Tak, szkoda, bo byłbyś świadkiem tego, co zrobiłem bez ciebie. Nie warto mówić o tem. Raczej ten oto list przeczytaj, co do ciebie wczoraj napisałem. Wstawiam się za wujem moim, Ledóchowskim, który cię bardzo szacuje. On przezemnie wzywa cię na prokuratora masy w komisyi pani Rzewuskiej. Wiem od Bobrowskiego, jak polubiłeś swój cichy przytułek w Czeczelówce. Nie ważyłbym się wyrywać cię ztamtąd znów do prawniczych trudów, spełniam tylko polecenie wuja.

Wtem, gdy ów list biorę ze stołu, myśląc, że może w nim znajdę jakąbądź wzmiankę o powodach zamierzonego samobójstwa, obecny tam pan Marceli Peretiatkowicz, brat cioteczny chorego, odwodzi mnie nieznacznie na stronę i cichą robi uwagę, że doktór zabronił Mikołajowi wysilać się na długą rozmowę. Wyszliśmy do drugiego pokoju. W liście nie znalazłem spodziewanej wzmianki. A więc badam pana Marcelego, czy nie było moralnych jakichbądź powodów tak opłakanych czynności.

— Żadnych—rzecze—nie miał ani moralnych, ani materyalnych przyczyn do samobójstwa. Wia-

domo panu, jak zgodnie żył z dwiema swemi siostrami, które przy nim mieszkają w Rosołowcach, a z których młodsza, wedle jego życzenia, już jest po zaręczynach z Rohozińskim. One życie swoje oddałyby za niego. Nie wiem, jak zniosą wiadomość o tem, co się dziś stało. Gdy w Rosołowcach zachorował w końcu maja na febrę, a domowe środki nie pomagały, troskliwe siostry wezwały Zejdlera. Po trzech jego wizytach, gdy żadnej w upartej chorobie nie było zmiany, doktór inną napisał receptę. Mikołaj, przeczytawszy ją, odezwał się:

— Proszę mi nie dawać białego proszku z chiny, bo to lekarstwo działa niebezpiecznie na mózg.

— A pan zkąd wiesz o tem?

— Z bardzo smutnego doświadczenia na moim ojcu, który po tym proszku dostał pomieszania zmysłów i w takim stanie życie zakończył; wiem też o takich skutkach z dzienników medycznych, które trzymam.

Doktór, dotknięty tem powiedział:

— Bieda to nasza, że panowie profani w rzeczy medycznej chcecie nam prawidła przepisywać. Jeśli pan mi nie ufasz, sprowadź innego doktora.

To powiedziawszy, chciał odjechać bez rady dalszej. Siostry Mikołaja opadły prośbami obrażonego Zejdlera, Mikołaj też przepraszał go, a doktór przebłagany położył warunek, aby chory przyjechał na czas jakiś do Konstantynowa, zkąd on z powodu przybyłych tam na maj pacyentów nie może tak często wydalać się. Otóż wnet zamieszkaliśmy w tym dworku sekretarza komisyi. W kilka dni potem doktór na stronie powiedział mi, że słabość Mikołaja może sprowadzić malignę. Że na ten wypadek trzeba nieznacznie sprzątnąć ze stolika przy łóżku leżące przybory do toalety: brzytwy, scyzoryk i nożyczki. Spełniłem to polecenie. Wezwałem z Rosołowiec ulubionego mu starca ekonoma i z nim koleją dniem i nocą czuwaliśmy nad chorym. Tej nocy ja spałem,

a ekonom czuwał. Skoro dnieć zaczęło, zmieniłem ekonoma, który spać odszedł na przeciwną stronę domu. Rano, o godzinie siódmej, gdy na minutkę zostawiwszy lokaja, wyszedłem z konieczności, chory udał przed lokajem pilną potrzebę rumianku i wysłał go po to do apteki. Lokaj drugiemi wybiegłszy drzwiami, nie spotkał się ze mną. Wracam i zastaję Mikołaja nie w łóżku, lecz w drugim pokoju zawieszonego nad ścianą, opartego rękoma, i ciekącą krew z niego. Chwytam go w połowie. Co to robisz?—wołam.

— Nic! Nie trafiłem odrazu tak głęboko, jak trzeba, i powtórnie o ścianę naciskałem ostrzem tych nożyc do piersi, ale widać jeszcze nie doszły do serca.

— Narobiłem na cały dom hałasu. Obudzono ekonoma, posłałem po doktora. Okazało się, że jakby z rozmysłem wyprawił lokaja do apteki, a wiedząc, że w drugim pokoju jest kantorek sekretarza ze spuszczoną, lecz nie na klucz zamkniętą ladą, po wyjściu lokaja natychmiast wyskoczył z łóżka do owego kantorka, podniósł ladę, porwał długie od papieru nożyce i niemi chciał sobie życie odebrać. Zdaje się, że ponieważ nie miał powodu do obrzydzenia go sobie, przeto czyn jego wyniknął z maligny. Bo jakże inaczej wnosić? Nie wiem, czy panu wiadomo, że rad zaręczynom jednej z sióstr swoich, wyszukał sobie Anglika, który mu dawał lekcye swojego języka, że po ślubie siostry zamierzał z tym Anglikiem jechać w podróż po Europie i oprzeć się o Londyn. Wszelkie po temu było przygotowanie. Nie ciężyły mu żadne majątkowe interesy. Rohoziński, przyszły szwagier jego, miał w jego nieobecności czuwać w Rosołowcach nad gospodarstwem, które, rzekłszy naprawdę, przy poczciwym starym ekonomie wcale Mikołaja nie zajmowało: on ciągle nad książkami albo z piórem w ręku samą tylko bawił się literaturą. Ja wnoszę, iż po spełnieniu dzisiejszego szaleństwa, po

ujściu krwi jego, minęła maligna, a oprzytomniawszy, jakby się wstydził chwilowego obłąkania, przedemną i przed panem, mówił przy powitaniu o czynie swoim, jakby ze zdrowego namysłu popełnionym.

Weszliśmy do chorego. Zdawał się uśpiony, ale było to lekkie drzemanie. Wkrótce ocknął się i zapytał:

— Powiedz mi, proszę, czy nie odmówisz Ledóchowskiemu?

— Zostawmy to na później; skoro wyzdrowiejesz, pomówimy o tem.

Uśmiechnął się na to. Usiadłem przy nim, i wpatrując się w jego czarne oczy, świecące jeszcze ogniem życia, przy martwej prawie twarzy, mówię:

— Nie pojmuję cię, kochany Mikołaju!

— Tak, widzę to! Wzrokiem litości patrzysz na mnie, boś zapomniał, co napisałem w księdze twoich pamiątek:

„Szczęśliwy ten, co z duszą od zgryzot swobodną,
Spogląda na cień grobu, jak na noc pogodną,
Jak na noc, co przychodzi po słonecznym skwarze,
Przynosząc ziemi pokój i spoczynek w darze."

Tu pan Marceli zostawił nas samych; wtenczas ważyłem się powiedzieć mu:

— Zgadzam się z tobą, że szczęśliwy, kto z kolei przeznaczenia ludzkiego, rozstając się ze światem, unosi w duszy spokój niezachwiany. Ale czy bez wyrzutu sumienia może kto uprzedzać ową kolej, aby nie spełnić czary życia i nie podzielać z nami jej goryczy, gdy jest pewnym, że wyrwawszy się samowolnie z grona życzliwych, serdeczny żal w nich obudzi? Zostawmy na boku przepisy religii, a przyznasz, kochany Mikołaju, że takie lekceważenie stosunków rodzinnych i społecznych, gdyby nie wynikło z chwilowej niemocy umysłu, to spełnione przy

zdrowej samowiedzy, tchnęłoby egoizmem, przeciwnym szlachetności twego charakteru.

— Nie łaj mnie, nie łaj! Proszę! Kato wprzód uprosił sobie opiekę nad synem, a ja pewny jestem, że mój przyszły szwagier zastąpi mnie względem drugiej z sióstr moich. Ale nie sądź, abym się równał z tym Rzymianinem. Chlubię się, żem Polak, i wedle rodu mego użyłem przywileju wolności rozrządzenia przynajmniej życiem mojem. Mówisz mi o stosunkach rodzinnych i społecznych. Uśmierzy się niezadługo żal po mnie, a co do całej ludzkości, czyliż dąb przez to wiekować nie będzie, że burza zerwała mu i uniosła listek?

W ciągu dziennej spiekoty chory odrzucił kołdrę, która piekła mu nogi. Oganiałem dokuczliwe muchy. On odezwał się:

— Dozwól im na krótko cieszyć się mojem ciałem; wszakże niebawem one ustąpią miejsca robakom!...

Zostawiwszy pana Marcelego Peretiatkowicza, który ciągle nad nim czuwał, wyszedłem na chwilę do miasta, aby rozporządzić mojemi końmi, śród ulicy stojącemi. Byłem u doktora; ten mnie upewnia, że jeśli w dniu trzecim po wypadku nie objawi się pogorszenie, niebezpieczeństwo szczęśliwie przeminąć może. Postanawiam zatrzymać się do owej daty. W dniu trzecim żadnej nie było zmiany, w twarzy nawet i w mowie chorego zdawało się dostrzegać pewne uspokojenie. Zejdler upewniał, że wracając z Krzemieńca, zastanę Mikołaja zdrowszym. W niedzielę wracam i już go nie było!.. Później przybył do mnie Władysław Wilczopolski, podzielający ze mną żal za przyjacielem. Podał myśl składki na pomnik i ten śród cmentarza konstantynowskiego stanął na grobie Mikołaja. Moje z nim liczne korespondencye zwróciły mi siostry jego z Rosołowiec.

Tak smutnie zakończyły się dzieje drogich dla mnie stosunków z Mikołajem Wężem! Chciało prze-

znaczenie, abym po długiej drodze dni moich spotykał te jakoby kwiaty przynęcające do życia, lecz jedynie dla opłakania ich znikomości.

Zbliżał się termin wyborów wołyńskich, to jest dzień 20 lipca 1823 r.

Ojciec pisał do mnie, że niedomagając na zdrowiu, zamierza pozostać w domu, lecz poleca, abym z bratem Franciszkiem uczestniczył na elekcyach, że wypada, abyśmy godnych ufności publicznej wspierali tak w Łuckim, jako też w Nowogródwołyńskim powiecie, a nadto, że dobrze jest choć raz w trzy lata przypomnieć się dalej mieszkającym krewnym i znajomym i przez stosunki z nimi nowe zabierać znajomości w obywatelstwie.

Owóż, śród lipca, poleciwszy opiece Boga żniwa nasze pod zarządem niezłych ekonomów, puściliśmy się oba do Żytomierza. Jadąc na wybory, nie myśleliśmy o żadnym dla siebie urzędzie, ani ja, ani brat mój, który już był trzyletnim w komisyi legitymacyjnej deputatem. Ale kto przyszłość swoją zgadnie?...

W Żytomierzu, przed rozpoczęciem wyborów, rano około dziesiątej godziny, umundurowani szliśmy do katedry dwunastu powiatami, pod naczelnictwem swoich marszałków, odznaczających się plumarzem u stosowanych kapeluszy. Kościół był nabity świetnem zgromadzeniem gubernialnem. Jeszcze gdzieniegdzie błyszczały ostatnie gwiazdy Orła Białego, a więcej św. Stanisława. Ja tylko jeden na całą gubernię miałem przy mundurze krzyż tego orderu nowej klasyfikacyi, zrobionej przez Aleksandra I. Po nabożeństwie, śród którego kapłan z ambony w pięknem kazaniu napominał do sumiennego obioru na urzędy, cała gubernia wykonała na to uroczystą w tymże kościele przysięgę.

Marszałek gubernialny, Wincenty Ledóchowski, kończył wówczas trzyletnie swoje urzędowanie. Kontuszem i zacnością charakteru przypominał ziomkom

historycznego przodka swego z czasów Augusta II, imieniem Stanisława, podkomorzego krzemienieckiego, marszałka konfederacyi tarnogrodzkiej. Lubiony był powszechnie, wyjąwszy gubernatora, Bartłomieja generała Giżyckiego, który w czasie Ledóchowskiego nieobecności, zajął dom gubernialnego marszałka pod jakiś kwaterunek. Z tej okoliczności nastąpiły natarczywe pomiędzy nimi korespondencye, a z nich dośmiertna niechęć. Ledóchowski nie zjechał na wybory; marszałek żytomierski, Kanty Głębocki, miejsce gubernialnego zwykłym porządkiem zastępował.

Gdyśmy wyruszyli z kościoła po owej przysiędze, schodzi ze mną Dominik Stecki, młodszy brat Romualda, bierze pod rękę i mówi:

— Wiem, w jak ścisłych byłeś stosunkach ze ś. p. Mikołajem Wężem. Podzielam z panem żal po nim. Ale bądź, panie, otwartym ze mną! Proszono mnie, ażebym pana wypytał, czy istotnie zamierzasz starać się o rękę starszej siostry nieboszczyka. To niektórych mniemanie mogło być ztąd powzięte, żeś niekiedy odwiedzał dom Mikołaja, jako twojego przyjaciela. Nie mam potrzeby taić przed panem, że o tę wiadomość prosił mnie Wiktor Grocholski, który tam, jeżeli mu nie przeszkodzisz, zamyśla uderzyć.

— Proszę—odrzekłem—ażebyś pan raczył upewnić znanego mi Wiktora Grocholskiego, że lubo żyłem w stosunkach wiadomych z Mikołajem Wężem i niekiedy bywałem w Rosołowcach, lecz nigdym nie dawał pozoru starania się o jego siostrę i dziś nie mam tej myśli. Niech pan Wiktor szczęśliwie oświadcza tam swój zamiar, ja mu nietylko przeszkadzać nie będę, lecz pomnąc na jej sieroctwo, cieszyć się będę tym związkiem.

Gdy tę tajną rozmowę z Dominikiem Steckim skończyłem, odszukał mnie w natłoku brat mój cioteczny, poczciwy Kazimierz Budzyński:

— Słuchaj! Ja tylko dla ciebie tu przybyłem.

Ty pomagałeś mi do ożenienia się, a teraz kolej na mnie.

— Co?—zawołałem—chcesz mnie żenić na wyborach?

— Jeśli — rzekł — nie żenić, to tu wpływać ku załatwieniu z kimś tego związku. Oto musisz wejść w urzędowanie. Wyrozumiałem nasz powiat Zwiahelski. Niema jawnego pretendenta na podkomorzego, o jednym tylko Wojciechu Domaradzkim niektórzy mówią, że może go podadzą na to lub na chorążostwo. Wczoraj wysiadłszy z powozu, zaledwiem upatrzył dla siebie kwaterę, już do kilku przemówiłem za tobą, a mam zapewnienie, że ci najdzielniej wpływać będą na resztę powiatu.

— Co ci się marzy, kochany Kazimierzu!—zawołałem. — Jakże pogodzisz dostojność tego urzędu ze stanem dzierżawy?

— Właśnie mam na celu tym urzędem podnieść twe znaczenie. Ty nie będziesz bezczynnym, jak ja na tym urzędzie przez trzy lata byłem. Obeznany z prawem, boś był podsędkiem, a potem w sądowo-edukacyjnej komisyi, gdzie mnóstwo porobiłeś znajomości, będziesz nieraz wzywany na zjazdy graniczne w sprawach dotąd niepokończonych. Nakoniec, dosyć już tych sielanek romansowych; potrzeba ci pomyśleć o żonie. Pewnie śmiać się będziesz; przecież powiem rzetelną prawdę, że jeśli znajdziesz z odpowiedniem wychowaniem pannę, któraby kochając nie zważała na urząd, to rodzice każdej, dając jakiś posag, wolą młodego zięcia podkomorzym, niż tylko podsędkiem tytułować. Śmiej się jak chcesz, a świata nie zmienisz.

— Ależ mnie nie obiorą, bo ja nie żyję z powiatem.

— Zostaw to mnie! Ty u mnie jesteś już panem podkomorzym.

— Pamiętaj, kochany Kazimierzu, że w twojej dla mnie życzliwości doznasz pewnie przykrego za-

wodu. Jeśli mnie postawią z kimkolwiek na wota, niezawodnie przemagające negatywy wcale mnie nie zmartwią, bo do nich najsłuszniej będę przygotowany, ale tobie zrobią wielką przykrość.

— Bądź o to spokojny! Za pomocą przyjaciół tak się ułoży, iż nawet bez wotowania powiat nada ci ten urząd.

Na tych wyborach schodził z trzyletniego urzędowania Eligi Piotrowski, jako prezes izby cywilnej, którą to juryzdykcyę wówczas zwano sądem głównym departamentu cywilnego. A lubo w pierwszym sądzono sprawy, w których szło o honor i życie, jednak obywatele spokojni o swoją uczciwość, a dbający o posiadane majątki, więcej przywiązywali wagi przy obiorze urzędników do drugiego departamentu, gdzie stanowiono bezpieczeństwo ich mienia. Prezes Piotrowski odznaczał się nietylko wzorową sprawiedliwością, lecz nadto był tak czynnym urzędnikiem, iż wszystkie dekrety w sprawach ważniejszych sam zawsze pisywał; takie o nim mniemanie było powszechne, bo znano jego styl. Dziwiło to niektórych, jak na to czas mu wystarczał. Któż bowiem nie wiedział, że u niego codziennie zbierało się towarzystwo do zielonych stolików, gdzie i on do północy rozrywał się milczącym wistem, a odchodził prawie zawsze przegrany. I chociaż część nocy schodziła mu na robrach, przecież nazajutrz dekrety w sprawach wczoraj wprowadzanych wyraźnie znanym jego stylem pisane, czytywano głośno na sesyi.

Tajemnicę tę wyjaśnił mi niezadługo jeden z adwokatów, nie ujmując bynajmniej prezesowi dobrej, zasłużonej sławy. Oto kiedy koleją strona powodowa i pozwana sprawę przedstawiały, prezes pilnie słuchając, spisywał na ćwiartce o ile można treściwie ważniejsze motywy stron obu, notował odnośne prawa i na tejże sesyi, po skończonych wniesieniach i replikach, na owej ćwiartce decyzyę swoją napisał. Na ustępie powiedział ją deputatom, którzy widząc

w niej sumienną sprawiedliwość, oświadczali zgodę. Mówi przytem kolegom, że napisanie całego z wywodem dekretu bierze na siebie i swoją ćwiartkę chowa do kieszeni. Wychodząc z izby sądowej, zwykle zaprasza kilka osób z obecnych na obiad, między któremi bywa obrany przez niego adwokat, nie należący do sprawy świeżo wprowadzonej. Po skończonym obiedzie, gdy pani prezesowa zabawia gości, gospodarz wymyka się z adwokatem do osobnego pokoju, powierza mu swoje notatki na ćwiartce i poleca wygotowanie dekretu w zwykłej formalności na jutrzejszy poranek, z tem, ażeby raczył go przynieść do jego domu. Nazajutrz pan prezes, odczytując już gotowy dekret, przemazuje w niektórych miejscach wyrażenia adwokackie, a kładzie natomiast własne, do jakich już przywykł, odznaczające znany styl jego. Manualista, przy panu prezesie mieszkający, pośpiesza z kopią dekretu i przed południem, za otwarciem sądu, publiczność słucha wyroku i uznaje w nim pracę prezesa.

Później opowiedziałem to zacnemu przyjacielowi mojemu, Romualdowi Steckiemu, który, gdy się uwolnił od zasiadania w krzemienieckiej komisyi edukacyjnej, został obrany w r. 1832 już na lat sześć wedle nowego rozporządzenia prezesem tejże izby cywilnej. Biedził się on przedemną trudnością prędkiego przygotowania dekretów, a po mojem opowiadaniu załatwił sobie tę trudność, naśladując prezesa Eligiego Piotrowskiego.

Zacny Romuald Stecki, pamiętny także z surowej sprawiedliwości, nie mógł dla domowych interesów i nadwątlonego zdrowia dotrwać lat sześciu w tem urzędowaniu i gdy po trzech latach się uwolnił, na jego miejsce zasiadł z kandydacyi 1835 r. (gdy nie obierano urzędników do juryzdykcyj sądowych), dawniejszy deputat tejże izby, pan Rotermund, ożeniony z wdową po generale Błędowskim, z domu Działyńską.

Zapomniałem wyżej dodać, że zaledwie przybyliśmy z bratem moim na te w r. 1823 wybory do Żytomierza, natychmiast wieczorem udałem do państwa Piotrowskich. Ją samą znałem jeszcze panną. Nie zdarzyła mi się sposobność widzieć jej mężatką, bo przez trzy lata, zajęty funduszem edukacyjnym, rzadko i z jej mężem widywać się mogłem.

Raz jadąc z Krzemieńca w 1820 r., wstąpiłem do nich w przejeździe przez miasteczko Połonne, które trzymali za kontraktem dzierżawnym, lecz jej wówczas, nie było w domu. Eligi, już wówczas ojciec dwuletniej córki Teodozyi, chlubił się przedemną błogiem z dobrą żoną pożyciem. Wśród rozmowy o tem zapytał mnie:

— Powiedz mi, jakbyś ty postąpił, gdyby żona twoja zażądała mieć swoją osobną kasę?

— U mnie — rzekłem — jeśli Bóg zechce, ażebym kiedy miał żonę, nie przyszłoby jej na myśl takie żądanie, bo zapobiegłbym jego potrzebie. Naprzód miałbym pod moim kluczem regestr przychodów i rozchodów, jaki dziś utrzymuję, i pod tymże kluczem w kantorku byłyby nasze pieniądze. Uprzedziłbym żonę, że ile razy na rozchody domowe lub dla niej samej zdarzy się potrzeba wydać mniej lub więcej, ma prawo wziąć klucz odemnie dla odliczenia sobie kwoty pieniężnej, ale z koniecznym warunkiem, ażeby pod tą datą zapisała w regestr rozchodu każdy grosz, wzięty z kantorka. Tym sposobem ścisły zachowa się porządek i nie pojąłbym inaczej jedności i zgody w małżeństwie.

— Prawisz romanse! Kiedyś i u ciebie takie prawidło spotka trudności w praktyce. Młode kobiety są pospolicie nieoględne, nierachunkowe; skoro widzą gotówkę, wnet u nich wymarzy się potrzeba, o jakiej wprzód ani pomyślały. Ja żądaniu żony jak mogę delikatnie odmawiam, ale i twojego prawidła nie pochwalam. Zanim wyjdzie złotówka z pod mojego klucza, chcę wprzód wiedzieć o istotnej potrze-

bie i o konieczności wszelkiego rozchodu chcę sam tylko stanowić.

Nie przyszło zapytać go później, czy zawsze trwał w tych zasadach absolutyzmu. Przecież, jak mniemania sąsiadów świadczyły, pożycie ich w zgodzie przetrwało do grobowej deski.

Gdy w roku 1830 o milę od nich trzymałem przez lat dziewięć za kontraktem dzierżawnym wieś Ożarówkę, a oni po śmierci jej rodziców, Chojeckich, i po dziale ze starszą jej siostrą Ksawerową Czeczelową mieszkali w Motowidłówce, często nawiedzaliśmy się wzajemnie, a przy dowodach niezachwianej od lat młodzieńczych pomiędzy mną a Eligim przyjaźni, szacowały się też pomiędzy sobą i żony nasze. O domu Piotrowskich, godnym najwyższego poważania, jeszcze wspomnę nieraz.

Wracam do naszych wyborów lipcowych 1823 r. Nazajutrz po wykonanej w kościele przysiędze na sumienne obieranie urzędników, powiaty z całej gubernii zgromadziły się w domu magistratu i w dodanej na ten zjazd tuż za nim sali, tarcicami wedle długości domu obwiedzionej, a ze ściółką ułożoną z gałęzi sosnowych, gdzie tu i owdzie powiaty grupami, pod naczelnictwem kończących swój urząd marszałków, stanowiły gwarne obrady, każdy przy osobnym stole ze skrzynką na nim, czyli tak zwaną bałantyrówką, o dwóch szufladach, do których wpadały tajne wota w gałkach podawanych przez marszałka za pośrednictwem rury blaszanej, afirmatywy na prawo pod literą *A*, a negatywy pod literą *N*.

Nasz Zwiahelski, czyli Nowogrodwołyński z ostatniego trzylecia marszałek, stary Mikulicz, został uproszony do przyjęcia nadal tegoż urzędu. Następnie powiat podał kandydatów na urzędy sądu ziemskiego, czyli, jak dziś, powiatowego, i przez tajne wota obrano sędziego, dwóch podsędków i pisarza. Tu marszałek zapytał, kogo zechcą obywatele przedsta-

wić na kandydatów do wyższych urzędów, to jest na podkomorzego i chorążego?

Nie pomnę, kto z życzliwych Kazimierzowi głos zabrał:

— Do tych dwóch urzędów zapraszamy panów: Szymona Konopackiego, który niegdyś był w sądzie naszym podsędkiem, i Wojciecha Domaradzkiego, który chociaż nie był w żadnym dotąd urzędzie, przecież godnym jest naszej ufności.

Odezwano się gromadnie:

— Zgoda, zgoda!

Tu przemówił były chorąży, sędziwy Kazimierz Wasilewski z Żytyniec:

— Panowie! Żniwa pilnie wzywają nas do domów, a przeto czy nie byłoby dogodniej, ażebyśmy, oszczędzając czasu, obeszli się bez wotowania, a uprosili zgodnie ogłoszonych kandydatów o umówienie się ich pomiędzy sobą, który z nich ma przyjąć urząd podkomorzego, a który ma być chorążym?

— Prosimy, prosimy!—zgodnie zawołano.

Pozostało obranie deputata do komisyi szlacheckiej i komornika, jakiego za czasów Rzeczypospolitej sam podkomorzy stanowił w pomoc swemu urzędowi. Ale marszałek z powodu właściwej już pory posiłku, zawiesił sesyę do dnia następnego i cały powiat zaprosił na obiad.

Gdy z bratem moim, ś. p. Franciszkiem, weszliśmy do naszego marszałka, widocznie nas tylko tam oczekiwano. Stół już był nakryty i sala pełna była obywateli. Gospodarz po przywitaniach bierze mnie i Domaradzkiego za ręce, wprowadza do drugiego pokoju i prosi, ażebyśmy tam przed obiadem, który już gotów, tu natychmiast stanowczo rozdzielili się dwoma urzędami, jakie nam powiat powierzył.

Powiedziawszy to, zamknął drzwi za sobą.

Domaradzki, poczciwy staruszek, odezwał się do mnie:

— Panie dobrodzieju! Racz mieć wzgląd na moje lata! Zostaw dla mnie bezczynne podkomorstwo, jak je powszechnie nazywają, a bądź naszym chorążym.

— Poddaję—rzekłem—pod rozwagę szanownego pana moje położenie; z prawa, służącego mojemu ojcu, wotuję wprawdzie w powiatach Nowogrodwołyńskim i Łuckim, lecz mieszkam w gubernii Podolskiej, o kilkanaście mil od Zwiahla. Chorąży ma jedyny obowiązek niekiedy zastąpić marszałka. Gdybym przyjął ten urząd, musianoby w każdej potrzebie wysyłać po mnie sztafetę. Ztąd zdarzyć się mogąca zwłoka w spełnieniu tego urzędu administracyjnego ściągnęłaby na mnie odpowiedzialność i cierpiałbym niewinnie.

— Prawda!—rzecze—przyznaję, że pan słuszną zrobiłeś uwagę. A kiedy już inaczej być nie może, to ja, bliżej Zwiahla mieszkający, przyjmuję chorążostwo.

Uściskaliśmy się na potwierdzenie tej zgody i wchodzimy do sali. Wszyscy ciekawie zwrócili na nas oczy.

Ja wchodząc, przemówiłem:

— Mam zaszczyt prezentować powiatowi z łaskawej ufności obywateli chorążego naszego powiatu, szanownego pana Wojciecha Domaradzkiego.

Na to marszałek, zbliżając się do mnie:

— A pana witamy naszym podkomorzym!

Nastąpiły powinszowania, uściski i w końcu odezwano się po całej sali.

— Wiwat, wiwat, zgoda! Obyśmy we wszystskiem i zawsze byli tak zgodni!

U stołu wypadało mi usiąść przy starym niby jowialiście, niegdyś długo naszym marszałku, Omiecińskim, któremu przez wzgląd na jego kontusz i sę-

dziwość, zwykle przebaczano częste usterki przeciw przyzwoitości.

Ten osiwiały starzec odezwał się do mnie:

— Wiem, dobrze wiem, dlaczego pan przyjąłeś dzisiejszy urząd; oto, że Zosię chcesz wystrychnąć na podkomorzynę.

— Proszę wierzyć — odpowiedziałem — że nie znam żadnej Zosi.

Siedzący obok mnie Kazimierz Budzyński z drugiej strony, rad powodzeniu wpływów swoich w powiecie, szepnął półgłosem, tak przecież, ażeby go Omieciński usłyszał:

— W miejsce jakiejś nieznanej ci Zosi, czemu marszałek nie wspomina o własnej córce swojej, którą ma na wydaniu?

Na to rubaszny starzec odezwał się głośno:

— Panowie dobrodzieje! Raczcie osądzić tę sprawę. Doradzają tu, ażebym swatał naszemu dzisiejszemu panu podkomorzemu moją córkę. Gdyby on jej zażądał, nic nie mam przeciw temu; lecz on nigdy nie był u mnie i córki mojej nie widział. A przecież wiadomo, że kiedy na jarmarku ktoś kupuje krowę, to ją wprzód obejrzeć musi.

Okryto powszechnym śmiechem to niby dowcipne porównanie.

Dowiedziałem się później, że ową Zosią była panna starannie wychowana, przystojna i dość posażna, Zofia Przyłuska, o którą syn marszałka, Wincenty Omieciński, konkurował, jak przedemną sam to wyznał, gdy w rok po wyborach byłem u jego ojca w Jurkowszczyznie około Zwiahla. Tam nocując w jednym pokoju z Wincentym, gdyśmy już zabierali się do łóżek, on po zwierzeniu mi się z zamiarów matrymonialnych, bierze w rękę moją szpilkę brylantową ze stolika, którą odpiąłem od koszuli, i rzecze:

— Dajesz mi słowo, że nie przeszkodzisz memu staraniu się o Zosię?

— Ależ najuroczyściej przyrzekam ci, że nawet nie będę u pani Gadomskiej, jej babki, gdzie, jak mówisz, ta panna przebywa; nie znam tej panny i znać nie pragnę.

— Otóż na pamiątkę tych słów twoich pomieniajmy się na szpilki: ja wezmę twoją, a ty przyjm odemnie tę z dwoma brylancikami i ametystem.

Nastąpiła zamiana. Szpilkę od niego mam dotąd. On przecież nie ożenił się z tą panną.

Zofia Przyłuska dostała się bratu memu, ś. p. Franciszkowi w r. 1830,'o czem pod tą datą nadmienię, a Wincenty Omieciński wszedł w związek małżeński z Kamilą Porczyńską, córką marszałka Witalisa Porczyńskiego, siostrą cioteczną mojej żony, gdy ja byłem już żonaty od lat kilku. Z Omiecińskimi braćmi, Jakubem i Wincentym, w poufałej byłem znajomości z powodu, że z nimi jednocześnie pobierałem nauki u Pijarów międzyrzeckich.

Dalej w Żytomierzu, po obiorze gubernialnych urzędników, na prezesa kryminalnego departamentu obrano Ludwika Steckiego z Międzyrzecza, syna Józefa, a wnuka chorążego koronnego, który-to Ludwik był moim u Pijarów kolegą; na prezesa cywilnego departamentu Józefa Baczyńskiego, tudzież deputatów do obu departamentów, a na gubernialnego marszałka Piotra hr. Moszyńskiego; przywiedziono nakoniec w katedralnym kościele nas powiatowych, już utwierdzonych urzędników, do przysięgi z wymożonym podpisem od każdego zosobna, że nie będziemy należeć do masonów, ani do żadnych innych tajnych towarzystw. W tej porze żniwa nagliły do powrotu do domu; wypadało jednak zboczyć do kochanego ojca, aby dać mu szczegółową o wyborach wiadomość.

Gdyśmy przybyli do Szulajek, ojciec badał mnie naprzód o urzędników gubernialnych, następnie o powiatowych zwiahelskich. Wymieniłem komplet sądu ziemskiego, wspomniałem i o chorążym i o marszał-

ku, a gdy zapytał: — Któż jest podkomorzym? — ja, pewny nagany, z wielką nieśmiałością powiedziałem:

— Bez wotowania ten urząd mnie się dostał.

Zmarszczył na to czoło.

— A na cóż ci — rzecze — ta zwykle śpiąca jaśniewielmożność, o jaką dbają niektórzy dla koperty tylko? Któż tam był pierwszy do wystawienia na próżniactwo młodych lat twoich?

— Kazimierz — mówię — on, pomimo uwag moich, nalegał o to na mnie i potrafił cały powiat skłonić.

— Źle zrobił! Wolałbym cię widzieć sędzią, bo to urząd czynny nietylko na czele kompletu, lecz i na kondescensyach w swoim i w obcych powiatach, a mianowicie na zdarzających się tak częstych dziś rozbiorach. Poczciwy Kazimierz przez szczerą przychylność za tobą się wstawiał, ale nie wedle mojej myśli. No, stało się! Niech we wszystkiem dzieje się wola Pana Boga! My ślepi, nie wiemy, co nam jest potrzebnem!

Niebawem kochany ojciec zmienił przekonanie o mojem podkomorstwie, a nawet dziękował Kazimierzowi Budzyńskiemu, że na wyborach tak skutecznie wpływał za mną. Memu ojcu szło jedynie o to, abym był czynnym. Jakoż nie dano mi próżnować. Wprawdzie, mało już było niepokończonych spraw granicznych; lecz, wedle praw polskich za cesarza Aleksandra I, łaskawie wówczas z językiem naszym nam zostawionych, podkomorzy, równie jak urzędnicy sądu ziemskiego, mógł w każdym powiecie swojej gubernii spełniać obowiązek urzędu bądź z polecenia sądu głównego, bądź z wezwania stron wiodących proces o granicę albo o podtopienie młynów, a podobne w gubernii interesy jeszcze się objawiały.

W domu zastałem w sierpniu wielki postęp około budowy mojego mieszkania. Żniwom ciągła pogoda sprzyjała. W toku już była sterta jęczmienia

i rychliku. Piękna pszenica i żyto w kopach, i zasiew oziminy już w większej połowie dopełniony. Ceny tylko wszelkiego zboża okropnie się zniżyły. Dobry mój ekonom, Baranowski, zapowiedział mi, że tylko do pierwszych dni września może pozostać u mnie; interesy familijne powołują go pod Kamieniec. Od lat kilku, przed mojem jeszcze przybyciem, zarządzając gospodarstwem w Czeczelówce, znał dobrze włościan i miejscowość; wiedział, gdzie jakiej uprawy grunta wymagają. Wkrótce zjawił się pretendent na to miejsce. W minie pokornej jawi się pan Sałacki, uzacniony kontuszem i jedwabnym pasem słuckim. Ten strój przemówił za nim. Nie zważając na lada jakie świadectwa, przyjąłem go na ekonoma, a jaki charakter pod poważnem ubraniem ukrywać się może, niżej opiszę.

W jesieni tegoż 1823 roku odwiedziłem mego ojca. Nazajutrz ojciec mi rzecze:

— Pojedź do Romanowa i złóż uszanowanie życzliwemu ci senatorowi. Bardzo troskliwie badał mnie o ciebie i nacieszyć się nie mógł twoim urzędem.

Spełniając wolę ojca, jadę tam na obiad. Zaledwiem powitał senatora, on po uściskach zawoła:

— Mój Boże! tak młody i już poważny podkomorzy! Czy ty wiesz, kochanku, co ciebie czeka? Oto jak za czasów polskich często się zdarzało, że z tego urzędu najstarszego w powiecie postępowali na kasztelanów, tak też ty będziesz niezawodnie senatorem.

Zdziwiony, rzekłem:

— Pan senator żartuje, wiadomo bowiem, że na tak wysoką dostojność braknie mi koniecznych kwalifikacyj.

— Wiem, co przez to rozumiesz: zdaje ci się, że na to konieczny jest odpowiedni majątek. Mylisz się! Trzeba ci wiedzieć, że w Petersburgu niektórzy z moich kolegów nie mają ani kapitałów,

ani piędzi ziemi i wcale nie karetami, lecz piechotą udają się do senatu, a żyją tylko z niewielkiej przywiązanej do tego urzędu pensyi trzech tysięcy rubli srebrnych. Dlaczegoż i dla ciebie nie byłoby to dostatecznem?

Przerwałem innym przedmiotem tę niedorzeczną o mojej przyszłości rozmowę, nie domyślając się, zkąd mnie spotyka tak chlubna wróżba. W ciągu obiadu, usadowiwszy mnie przy sobie, wspominał z wielką pochwałą o szlachetności, jaką przed nim okazałem roku 1814 w stolicy, gardząc uboczną korzyścią, jaką on mi obiecywał z urzędu na komorze granicznej. Słowem, ciągle głaskał moją miłość własną.

Lecz nazajutrz rano przybył do mego ojca kontuszowy, o siwych już włosach, dawnej daty sędzia, pan Żebrowski, generalny plenipotent senatora Ilińskiego. Po przywitaniach, gdy mnie ujrzał, zwraca się ku mnie z uniżonością i rzecze:

— Jakże dziękuję Bogu, żem tu jeszcze zastał pana podkomorzego dobrodzieja!

Po przekąsce śniadaniowej zasiada przy mnie i zaczyna od zwykłych grzeczności, że senator Iliński łasce mego urzędu poleca swój ważny interes i następnie opowiada sprawę graniczną swego pryncypała w Ostrogsczyznie z dziedzicem miasta Ostroga, księciem Karolem Jabłonowskim.

— Obowiązkiem jest moim wyjaśnić wprzódy przyjście do tego majątku senatora. Należy wiedzieć, że gdy książę Janusz Sanguszko, marszałek nadworny litewski, syn Pawła i Maryi Lubomirskiej, nielegalnie mianujący się ordynatem ostrogskim, albowiem ojciec jego i on sam byli tylko administratorami dóbr ordynackich, tę ordynacyę po śmierci ojca, jakby majątek dziedziczny roku 1753 rozprzedał, co lubo w kraju wielkiego narobiło halasu, przecież w lat kilkanaście później sejm pod laską Czaplica, uznając ów cały majątek ordynacki, jakoby ze spadku po matce dziedziczny Janusza Sanguszki, przez konstytucyę 1766 roku. sprzedaż dóbr licznych do

ordynacyi należących, z roczną intratą kilkanaście milionów czyniącą, zatwierdził, mieniąc mylnie ordynacyę księcia Janusza Ostrogskiego, kasztelana krakowskiego, jakoby nie była przez sejm uznaną. At! o tem dużo wypadałoby mówić. Owoż roku 1753 do układów z nabywcami i do spisywania z nimi tranzakcyj w Kolbuszowie o sprzedaż dóbr pomienionych, był zaproszony przez księcia marszałka Sanguszkę późniejszy kanclerz wielki koronny, a wówczas starosta grodecki w Czerwonorusi, Hyacynt Małachowski, brat starszy poczciwego Stanisława, marszałka czteroletniego sejmu, i pan Hyacynt za trudy swoje otrzymał w darze od księcia Janusza Sanguszki miasteczko Międzyrzecz-Ostrogski, przedmieścia Ostroga i wsie okoliczne do tego klucza należące, co dziś nazywamy Ostrogsczyzną. W lat czterdzieści potem, to jest po sejmie grodzieńskim 1793 roku, gdy król pruski zagarnął Gdańsk i Toruń, a Rosyi dostała się znaczna część Wołynia aż po rzekę Turyę w powiecie Włodzimierskim, pan kanclerz, nie wiadomo dlaczego, nie chciał być pod panowaniem Rosyi, bo istotnie jej sprzyjał; owoż tedy sprzedał pozornie darowaną mu Ostrogsczyznę siostrzeńcowi swemu, z Małachowskiej urodzonemu Tadeuszowi Czackiemu. Tranzakcya o tę sprzedaż w całej formie przed aktami przyznaną była, a Czacki dał kieszonkowe jako wujowi zapewnienie, że to kupno, jako pozorne, nie ma w niczem uwłaczać prawu dziedzictwa pana kanclerza. W rok po sejmie grodzieńskim, to jest 1794 roku, Tadeusz Czacki bawił w Krakowie, gdy generał Kościuszko, obwołany przez patryotów naczelnikiem narodu, poruszył lud do powstania w zamiarze ocalenia zajętego kraju. Tymczasem owoczesny w części Wołynia rząd rosyjski, powziąwszy wiadomość o uczestnictwie Czackiego w działaniach Kościuszki, wnet mu skonfiskował Ostrogsczyznę, jako przyznane przed aktami jego dziedzictwo. Po

kilku miesiącach szczęśliwego mocowania się z przemagającą siłą wojsk rosyjskich, gdy dnia 10 października tegoż 1794 roku generał Adam książę Poniński, nie spełnił polecena Kościuszki i nie przybył z oczekiwanym sukcesem pod Maciejowice, rosyjskie wojska pod komendą generała Ferzena, o wielekroć liczniejsze, otoczyły naszych i wówczas ciężko ranny naczelnik Kościuszko, spadły z konia, wzięty był w niewolę. Cesarzowa Katarzyna II, w nagrodę otrzymanego zwycięztwa, darowała Ferzenowi skonfiskowaną Ostrogsczyznę. Zruszczony Niemiec niedługo cieszył się ową darowizną. Przybył dla obejrzenia pięknego majątku i wnet w jego Bielmarzu powitał go pozew od dziedzica Ostroga o oddanie browaru, jakoby należącego do miasta, a nie do przedmieścia Bielmarza.

Zapytałem pana sędziego Żebrowskiego, czy ma wedle prawa otrzymany dekret sądu ziemskiego, odsyłający tę sprawę do sądow podkomorskich? On na to podaje mi wyjęty z zanadrza ów dokument. Zdziwiłem się, spojrzawszy na datę ziemskiego dekretu.

— Cóż to jest? — zapytałem. — Zda się, że proces zacięty, a widzę, że braknie tylko dwa miesiące do preskrypcyi, czyli do dziesięcioletniej dawności?

— Och! nie wina to opieszałości naszej! Przez .e lat dziewięć i miesięcy kilka nie doczekaliśmy się w gubernii podkomorzego, któryby raczył podjąć trud przejrzenia naszych dokumentów, których wprawdzie pełna od wieku XVII zebrała się do tego interesu skrzynka, bo od czasu działu książąt Aleksandra i Janusza Ostrogskich, podkomorzowie po wszystkich powiatach wymawiali się, jakoby ważnem od rządu zesłanem zajęciem, co istotnie bywa niekiedy, ale jak przedemną później szepnięto, ci panowie, nie znający prawa, ani zwykłej rutyny czynności podkomorskich,

nie poczuwali się zdolnymi do spełnienia urzędu. Dwa lata temu udawałem się do zaleconego mi z wiadomości prawa podkomorzego powiatu rowieńskiego, pana G. Opowiedziałem mu rzecz całą, jak ją panu przedstawiłem. Ale ten otwarcie tak powiedział:— „Jak uważam z opowiadania pana, nad tak dawnemi papierami praca będzie wielka, a idzie o rzecz niemałą. Jednak przyjmuję osądzenie tego procesu, ale z waruneczkiem, aby pan senator Iliński raczył mieć na to uwagę, że komunikacya dokumentów, dukta i redukta nie mogą się zakończyć na jednym zjeździe moim do Ostroga. Po kilkakroć dom mój wypadnie na to opuścić i ślęczyć nad dokumentami. Przecież wszystko to dopełnię, jeśli pan przywieziesz mi za to od senatora z góry dwa tysiące dukatów". — Tę nadzwyczajną propozycyę gdy przedstawiłem p. senatorowi, aż zatrząsł się z oburzenia i gniewu, i kazał mi zaniechać tak chciwego urzędnika. Wczoraj zaś wieczorem, skoro się dowiedział o mojem do Romanowa przybyciu, przywołał do siebie i rzekł w najlepszym humorze: — „Jedź, kochanku, jutro rano do mego przyjaciela, starosty Konopackiego; syn jego Szymon, teraźniejszy podkomorzy, a człowiek szlachetny, którego tam jeszcze zastać możesz, bo dziś był u mnie na obiedzie, osądzi nam darmo naszą z Ostrogiem graniczną sprawę". — Przy tem był obecny pan Jan Sleszyński, zastawnik wsi senatorskiej Hremiacza pod Ostrogiem, niegdyś w powiecie Ostrogskim jego plenipotent, potem tamtejszego sądu podsędek. Tego senator uprosił o attentowanie owego procesu na zjazdach podkomorskich i natychmiast polecił, aby z domowego archiwum wydano panu podsędkowi wszystkie do tego interesu papiery, jakie do jednej skrzynki wprzód jeszcze zebrałem. Racz, panie podkomorzy dobrodzieju, uczynić zadość tej ufności, jaką senator w nim pokłada, i nie odmówić nam zjazdów swoich do Ostroga aż do zakończenia granicznego tam procesu.

Przyrzekłem panu sędziemu Żebrowskiemu spełnić ten obowiązek urzędu, a wielką miałem przyjemność gdym dostrzegł w twarzy mego ojca widoczną radość ztąd, że przecież podkomorstwo moje nie będzie śpiące. Wydałem dnia tegoż innodescye do senatora Ilińskiego i do dziedzica miasta Ostroga, nieznanego mi jeszcze księcia Karola Jabłonowskiego, z naznaczeniem blizkiego terminu, w którym na zjazd przybędę.

Na tym pierwszym zjeździe poznałem się z podkomorzym powiatu Ostrogskiego, panem Faustynem Szczepkowskim, który ze strony księcia wezwany, miał ze mną sądzić tę sprawę. Plenipotentem zaś owej strony był pan Paczowski, biegły prawnik, który później miał powierzone sobie interesy książąt Sanguszków.

Na tym terminie, zgodnie z panem podkomorzym Szczepkowskim, postanowiliśmy, aby obie strony wzajemną dopełniły komunikacyę dokumentów i do wiosny następnego 1824 roku, z oznaczeniem terminu, zawiesiliśmy dalszy postęp sprawy. Książę Jabłonowski na tym pierwszym zjeździe nauczył szukać znajomości ze mną; było to w zajezdnym domu w Ostrogu. Potem, powtórnie będąc u mnie, zaprosił mnie na obiad, gdziem poznał syna jego, imieniem, jak ojciec, Karol. Młody książę był ożeniony z Potocką z Korca, córką Jana i Maryi z Czartoryskich małżonków Potockich. W domu księcia Jabłonowskiego, przy jego synowej, bawiła wówczas jej siostra, panna hrabianka Potocka, piękna wówczas blondynka, z którą później ożenił się prezes Jan Mołodecki, dziedzic Warkowicz.

Zapomniałem tu nadmienić, że chorąży Wincenty Postruski, wracając z wyborów 1823 roku, znacznie zboczył z drogi, aby mnie odwiedzić w Czeczelówce, i że z sąsiadem swoim, panem Gojżewskim, ożenionym z Czeczelówną, bawili u mnie przez dwa

dni. Na wspomnienie tej jego przychylności familijnej i serdecznych, lubo zakazanych przez mego ojca stosunków z jego córką, ocknęła się chętka jechać o mil pięć dalej z Ostroga do Krzywicz, gdzie ciotka moja z Bogunią już zamieszkała, opuściwszy na zawsze Krzemieniec. W Krzywiczach, gdziem był powitany z jednakiem, jak dawniej, przez dobrą Bogunię uczuciem, dotknęło mnie wyraźne zobojętnienie jej matki. Było to po świeżo spadłej sukcesyi na jej męża po stryju bezdzietnym, panu skarbniku Postruskim, który, mając dwóch synowców, dla młodszego, Antoniego, ojca dwóch synów, przeznaczył wieś swoją dziedziczną, a dla starszego Wincentego, ojca jedynej Boguni, wydzielił kapitał sto tysięcy złotych na zastawie intratnej wioski pana Jełowickiego. Tę sukcesyę uważałem za powód okazywanej mi obojętności mej ciotki, tembardziej, że często nadmieniała o tym na nich spadku i z wielką chlubą wydobyte z pudełka okazywała przedemną rozmaite klejnociki w oprawie antyków, niegdyś stroje przedwiecznych babek i prababek, po tymże stryju spadłe, a w jakich Bogunia brylować będzie. Westchnąłem cichutko na tę próżność matki, a z goryczą w duszy na widoczną jej zimnotę ku mnie, dzień tylko jeden bawiłem w Krzywiczach. Badała, czy już więcej nie będę czynnym w Ostrogu, powiedziałem, że na zjazd następny, a który jeszcze nie będzie ostatecznym, naznaczyliśmy pewny dzień maja następnego 1824-go roku.

W osobnym pokoju, żegnając rzewnie płaczącą Bogunię, szepnąłem jej:

— Ty dziś bogatsza, już nie dla mnie jesteś! Bądź szczęśliwą z godnym ciebie! Już mnie tu nigdy nie ujrzysz!

Zalewając się łzami, uwiesiło się dobre dziewczę u mej szyi, a pomimo silnego lgnienia sercem ku niej, wyrwałem się z jej objęcia.

W domu zastałem wszystko w pożądanym stanie. Ugodzeni stolarze i mularze pilnie we dworku pracowali. Ekonom Sałacki wiódł gospodarstwo ze znajomością swego powołania. Wiernie z każdego przychodu zdał rachunek.

Wyliczył mi pieniądze, wzięte za zboże sprzedane przezemnie, a za jakie kupiec przy jego zabraniu dopłacił. Oddał mi nawet cokolwiek wziął za plewę sprzedaną bezemnie. Jakże mu nie ufać? Zastałem list z poczty berdyczowskiej odebrany od Seweryna Bukara, który żąda, abym mu pożyczył na rok jeden tysiąc rubli. Posłałem Sałackiego z temi pieniędzmi o mil osiem do Ilaszowki i on szczęśliwie tam je odwiózł, jak list Bukara poświadczył. Jakże Sałackiemu nie ufać? Ale okazało się, że on skarbił sobie to zaufanie moje, aby mnie zdradzić. Niżej nadmienię o tym wypadku i o smutnym losie tego ekonoma.

Byłem z ojcem moim w Wygnance u Kazimierzostwa Budzyńskich. Zastaliśmy tam kilka obcych osób. Przy obiedzie lokaj nasz tajemnie podał mi list jakiś. Spojrzawszy nań ukradkiem, poznałem z adresu rękę Seweryna Bukara, który był szwagrem gospodarza. Bukar wzywa mnie do siebie, donosząc, że żona jego nagle życie zakończyła. Nie mogłem przed ojcem obok u stołu siedzącym utaić przyczyny widocznego zmieszania się mego, i gdy polecam lokajowi, aby wnet konie były gotowe, ojciec mi szepnął, że i on do Ilaszowki pojedzie. Skorośmy od stołu powstali, Kazimierz dostrzegł wymknienie się nasze na ganek, przed którym czekał na nas powóz. Mój ojciec objawił przed nim wiadomość o śmierci jego siostry. On ślepo dowierzał urojonym jej żalom do męża i ztąd nastały nieporozumienia pomiędzy szwagrami, które potem zatarł należny dla zacnego Seweryna szacunek, tem łatwiej, że istotnie owe żale wyrodziły się z niedocieczonej

melancholii, trapiącej ciągle Sewerynową. Zastaliśmy ją na katafalku mocno zmienioną: była obrzękłą i z twarzą sczernioną. Ojciec mój po krótkiej nad trupem modlitwie, ciszej powiedział mi:

— Ona się otruła!

Zapytał obecnej w tym pokoju jedenastoletniej córki jej, Klotyldy, która później w lat kilka wyszła była za Władysława Bernatowicza, czy matka jej temi dniami wyjeżdżała gdziekolwiek z domu?

Klocia na to:

— Byłyśmy w Konstantynowie dla kupienia coś przeciw szczurom i mama kupiła jakąś grudkę.

Wyjmuje ową grudkę z komody i pokazuje memu ojcu. Poznaliśmy arszenik. Domysł mego ojca był trafny: nieboszczka popełniła samobójstwo, a to wskutek czarnej melancholii.

O! ten rok 1823 stał mi się pamiętnym z rozmaitych dotkliwych, a nawet osobistych przygód! W ciągu lata otrzymałem przysłane polecenie, czyli ukaz sądu głównego, abym z pozwu pana deputata Polanowskiego w powiecie Żytomierskim osądził zaległą oddawna sprawę jego o podtopienie młynów w Leszczanach przez sąsiadkę, wdowę panią Morzkowską, mieszkającą we wsi Iwankowie. Zjeżdżałem już dwa razy do pani Morzkowskiej, na której żądanie, lubo nie byłem jej znany, sąd główny mnie na to mianował. Pan Polanowski za pierwszym moim zjazdem, odebrawszy obwieszczenie, tłómaczył się słabością zdrowia i żądał limity. Gdym poraz drugi zjechał na termin z limity, on odebrawszy obwieszczenie, odpisał mi, że stawić się nie może dlatego, że uproszony z jego strony podkomorzy zajęty jest teraz spełnieniem dzieła kaziennego. Odłożyłem przeto zjazd mój do terminu, jaki pan Polanowski w piśmie swojem mieć żądał, to jest do dnia 31 października tegoż 1823 roku. Później odkryto przedemną, że pan deputat wykręcał się od mojego sądu jedynie dla-

tego, że pogardzał ludźmi takimi, którzy czytują książki, a na domiar nieufności ktoś mu powiedział, że jestem poetą.

Nim nastąpił ów trzeci zjazd o to nieszczęsne podtopienie młyna, za drugą bytnością moją w Iwankowie zastałem u pani Morzkowskiej córkę jej, księżnę Karolową Jabłonowską, która od lat kilku nie żyła z mężem, opuściwszy go w Ostrogu. Teraz wstąpiła do matki w podróży do Petersburga z ośmioletnim synem swoim, który miał brać tam wychowanie. Ta można pani, dziedziczka dóbr po ojcu wartości czterech milionów, jeszcze w panieństwie głośną się stała ze swobodnego życia. Piękny kamerdyner tajnym był jej przyjacielem, dowód żyjący tych stosunów był w domu pani Morzkowskiej w panience imieniem Oktawii, która przy obiadach u szarego końca stołu swej babki siadała, gdzie, nieświadomy wypadków tam domowych, nie odróżniałem jej od innych tam siedzących, przyzwoicie ubranych panienek, stanowiących pensyę ubogich, dla których poznałem tam utrzymywanego pedagoga. O niespodzianym, a dziwnie zrządzonym losie tej Oktawii, później mówić będę.

Pani Morzkowska, wdowa, z domu Hańska, której brat bogaty, Wacław Hański, był niegdyś naszym marszałkiem gubernialnym, miała siostrę za Marcinem Bukarem. Po śmierci obojga Bukarostwa pozostały dwie ich córki: starsza Kunegunda za Janem Wyleżyńskim, młodsza Marya, w stanie panieńskim, o której wyżej pod rokiem 1817 i 1818 pisałem. Gdy następnie Wyleżyńska umarła, ciotka jej, pani Morzkowska, z pomiędzy licznego potomstwa Wyleżyńskich, zabrała do siebie dwie najmłodsze ich córeczki, a panna Marya Bukarówna, wyjechawszy z Kotelanki, z domu owdowiałego szwagra swego Wyleżyńskiego, zamieszkała w swej wiosce Androszówce, o milę od mojej dzierżawy.—Księżna Jabłonowska przy mnie pożegnała matkę i puściła się

w podróż do Petersburga z synkiem i guwernerem i zabrała z sobą tajną córkę swoją, Oktawię.

Nazajutrz, gdyśmy pozostali sami i gdy już urzędownie oznajmiłem stronom na piśmie prorogacyę czynności moich do dnia 31-go października, pani Morzkowska, chcąc zostawić mi pamiątkę swej ufności, be za jej wpływem sąd główny mnie polecił osądzenie jej sprawy, ofiarowała mi ręką swoją wyrobiony z jedwabnych kordonków worek, czyli kapszuch z grzecznem przemówieniem. Gdy jej za bardzo piękny upominek podziękowałem, ona mnie pyta, czemu się nie żenię? Pomny na to, że jako ciotka panny Bukarówny, pewnie jest świadoma mojego niegdyś starania się o rękę tej panny, rzekłem:

— Bo nie mam szczęścia podobać się.

Na to ona:

— A któżto wasanu powiedział, żeś się nie podobał?

Na ten wyraz wasanu, pierwszy raz w życiu do mnie wymówiony, uśmiechnąłem się i rzekłem:

— Smutne doświadczenie nauczyło mnie tej prawdy.

— Proszę mnie starej wierzyć, że się pan mylisz.

Na tem skończywszy naszą w tym przedmiocie rozmowę, pożegnałem ją.

W drodze do domu zajęła mnie cokolwiek myśl nad wyrazem „wasan.“ Czy on miał oznaczać życzliwość pani Morzkowskiej, a upewnienie jej, żem się podobał, jakby zachętą, abym wrócił po latach pięciu do jej siostrzenicy?

To wszystko ważąc w myśli mojej, gdym zaczął rozpamiętywać łudzące mnie niegdyś, jakby serdeczne sprzyjanie tej panny, ciekawość mnie wzięła zajrzeć teraz w jej oczy, czy też ona okaże najlżejszym pozorem pamięć o zerwanych z nią stosun-

kach? Po dwóch dniach rozwagi jadę do Androszówki, nie jako konkurent do panny, lecz jako przybyły w jej okolicę sąsiad oddawna znajomy. Lubo ona już miała niezawodnie lat dwadzieścia kilka, pewny przecież byłem, że mieć musi przy sobie jakąś poważną wiekiem towarzyszkę. Jakoż zastałem przy niej jakąś w latach sędziwych Francuzkę, którą ona zdawała się wysoce poważać. Przy powitalnym wstępie powiedziałem z pełną uniżenia grzecznością, że jako jej znajomy, a dziś najbliższy sąsiad, przybywam złożyć jej uszanowanie. Milcząca powstawszy, trochę jakby zmieszana, z zimnem jednak okiem uchyliła głowę. Podsycałem, o ile mogłem, urywaną co chwilę rozmowę, co wszystko ona wiernie tłómaczyła swej towarzysce na własny jej język. Zmęczyła mnie okropnie ta wizyta. Po herbacie odjechałem.

— Jak to?—marzyłem, wracając do domu—ona, co tak często widywała ojca mego u swoich rodziców, której wiadoma była ich dla niego przyjaźń; ona, co tak dobrze znała się z mojemi siostrami, nie zapytała nawet, czy ojciec i siostry moje żyją? O! widzę to po jej obojętnem przyjęciu, że nie ja, lecz jej ciotka, pani chorążyna podlaska w Iwankowie, myliła się, ja z serca tej panny już na zawsze wyrugowany! Tak być musi!—rzekłem sobie—Bóg nie chce, abym miał żonę!

Tymczasem po dniach kilku, ni ztąd ni zowąd, najmniej spodziewany, a któregom nigdy nie widział, przybywa do mnie pan Bykowski, marszałek powiatu Winnickiego, w którym ja mieszkam jako dzierżawca. Zdziwiła mnie ta jego grzeczność w szukaniu znajomości ze mną. Śród tej krótkiej wizyty wychwalał budowę mojego domku, podobała mu się wewnętrzna symetrya i w końcu dodał:

— W tym domu pan nie sam zamieszkasz, widzę po znacznych kosztach budowy i liczbie pokojów, że słusznie głoszą, iż pan niebawem masz się

połączyć z Wołynianką, sąsiadką pana, panną Bukarówną.

— Często — rzekłem — ludzie mylą się z pozorów. Znam dobrze tę zacną pannę i mam z nią niejakie powinowactwo; jej bowiem stryj Seweryn Bukar, którego wysoce poważam, był ożeniony z moją cioteczną siostrą, a o innych z nią stosunkach ani myślę.

— Czy pan podkomorzy daje na to słowo?

— Jeśli—rzekłem—pan marszałek uznaje to za rzecz przydatną komukolwiek, daję słowo uczciwe, że nie zamierzam starać się o rękę panny Maryi Bukarówny.

Jakby po to tylko był u mnie; niedługo zabawił. Nie chciał nawet czekać na herbatę, tłómacząc się odległością swego domu o mil kilka. W rok potem wyjaśniła się zagadkowa wizyta marszałka winnickiego. Brat jego stryjeczny, Konstanty Bykowski, były chorąży kowelski, ożenił się z tą panną. Po tym związku spadła na niego znaczna po wuju sukcesya, dla której oboje wyjechali do Mazowsza na zamieszkanie. On tam, w Królestwie Polskiem, bezdzietnie umarł, a wdowa po nim czy dotąd żyje, niewiem.

W jesieni 1823 roku, gdy ja myślę o moim przyszłym, t. j. trzecim zjeździe do Iwankowa, przybywa goniec z Wygnanki. Kazimierz Budzyński listem zaprasza mnie na dzień 28-go października, w którym ma bardzo uroczyste obchodzić marszałka naszego, Tadeusza Mikulicza, i moje imieniny. Uprzedza mnie, że już ojca mego z siostrami naszemi i cały powiat zaprosił. Odpisałem, że lubo na 31-go października muszę być z urzędu w Iwankowie, przecież na d. 28-go z wielką przyjemnością stawię się u niego z warunkiem, aby mnie nazajutrz nie zatrzymywał.

Zjazd w Wygnance na te imieniny dubeltowe, samych prawie mężczyzn, był nadzwyczaj liczny.

Pomiędzy innymi gośćmi przywiózł z sobą brat stryjeczny gospodarza, podkomorzy żytomierski Ignacy Budzyński, dwóch oficerów pułku huzarów achterskich, mających kwaterę w Lubarze. Byli oni rodem Szwedzi, nazywali się Godeniusy. Starszy z nich Aleksander skoro podpił, pochopny był do pojedynku, a kogo wyzwał, niechybnie zabijał. Służył wprzódy w gwardyi i za podobne winy zdegradowano go do polowego pułku. Przecież oba ci bracia, pięknie ukształceni, bywali chętnie przyjmowani po domach obywatelskich. Poznałem ich u mojego ojca i ów awanturnik, byle trzeźwy, wcale niestraszny, okazywał mi sympatyę.

Ale u Kazimierza Budzyńskiego, byle towarzystwo, nie obeszło się, wedle ówczesnego obyczaju, bez nadmiaru w pijatyce. Już po śniadaniu podchmielony starszy Godenius, objawił dziwną urazę do mnie. Przy obiedzie, siedząc obok Ignacego Budzyńskiego ku końcowi stołu, ozwał się po francusku, jak zwykle z nami rozmawiał:

— Czy uważasz, jak Szymon pyszni się swoim krzyżem św. Stanisława? Usiadł tak wysoko pomiędzy kobietami, jakby nami pogardzał!

Ja zaś nie z własnej woli to miejsce zająłem. Jedna z matron, którą prowadziłem do stołu, usilnie żądała, abym siedział przy niej i gospodarz w tem miejscu, jako solenizanta, przytrzymał mnie, wskazując na Mikulicza, który podobnież jako fetowany, był w przeciwnej stronie pomiędzy damami.

Po obiedzie, przy którym po innych winach wychylono dość liczne toasty szampanem za zdrowie solenizantów, Józef Bobrowski, unikając kielicha, wziął od miejscowego lokaja dwie talie kart i rzecze mi do ucha:

— Wymknijmy się ztąd do bilardowej sali, mam już dwóch zamówionych i w kieszeni karty, zagramy sobie tam cichaczem w wista.

Było to w starym jeszcze domu wygnanieckim.

Przeszliśmy przez sień po drugiej stronie przez dwa bawialne pokoje, gdzie pełno było dam i poważnych wiekiem gości, i wszedłszy do sali, po zamknięciu drzwi, zasiedliśmy do wista. Wśród pierwszego robra gospodarz dostrzega, że mu braknie Dąbrowskiego, który powszechnie kochany, umiał wesołością swoją ożywiać towarzystwo i gwoli uprzejmości gospodarza zachęcał do toastów. Po długich poszukiwaniach wpada do sali, ostro powstaje na nas, że we czterech opuściliśmy wesołe zgromadzenie, porywa ze stolika talię kart, nie widząc, że druga u nas jest w ręku i mówi:

— Radzi nieradzi, musicie pójść ze mną, bo zabieram karty.

Skoro wyszedł, zamknęliśmy drzwi na klucz, będący przy zamku i drugie, wiodące do ogrodu. Wkrótce Kazimierz wraca, zastawszy drzwi zamknięte jedne i drugie, mówi do nas z ogrodu, patrząc przez szyby drzwi parapetowych:

— Poczekajcież! Przyślę ja po was egzekucyę wojenną!

Przyjmujemy to za żart, jakim był rzeczywiście i dalej grę naszą wiedziemy. Niebawem zjawia się nam za oszklonemi drzmiami starszy Godenius, patrzy wprost na mnie, jako na siedzącego naprzeciw tych drzwi i mówi po francusku, aby mu otworzyć. Postanowiliśmy w opornem milczeniu dokończyć robra. Zniecierpliwiony Godenius naszem milczeniem, gdy i deszcz zaczął mu dokuczać, przemawia już ostrzej i po rosyjsku, że on nigdy za drzwiami cesarza nie stał tak długo, gdy i to nie pomaga, uderza silnie nogą o drzwi; nie poddały się one, tylko zabrzęczały szyby wówczas, gdy i my skończyliśmy robra. Trzej koledzy moi powstając, zdają na mnie obrachunek wygranych i przegranych. Gdy ja pozostaję przy stoliku, Godenius, mając drzwi otwarte, wpada z gwałtownością wprost na mnie i wrzasnął po francusku:

— Jak śmiałeś pan trzymać mnie za drzwiami na deszczu! Panie! tę sprawę rozstrzygnie pomiędzy nami kulka!

— Dobrze, dobrze!—powiedziałem mu.—Odłóżmy to do jutra, a tymczasem proszę tak nie krzyczeć, aby tu obok w drugim pokoju nie posłyszały damy i mój ojciec, o co nam idzie.

Wracamy z nim przez pokoje bawialne na drugą stronę, nikt nie wie, prócz nas wistowych, co zaszło pomiędzy mną a tym oficerem.

Brat jego młodszy, Ludwik, dostrzegłszy, iż długo a darmo szukam mojej fajki, chce mi ofiarować swoją, od czego się wypraszam. Na to podchodzi starszy, chwyta za ramię brata i z furyą rzecze:

— Co robisz, to mój wróg.

Grzeczny Ludwik, zdziwiony spojrzał badawczo po kolei na nas, a gdy obadwa odeszli, starszy młodszemu szeptał coś do ucha. Tymczasem deszcz leje jak z cebra, a wesoła pijatyka ciągnie się i po wieczerzy, aż do poduszki zakończył ją poncz. Ja, zamówiwszy sobie na sekundanta Józefa Bobrowskiego, wyszedłem przed innymi do oficyny, gdziem spał nocy poprzedniej. Gdy w drugim od wejścia pokoju, już rozebrany, leżę w moim łóżku i z zimną krwią rozmyślam nad koniecznością śmierci, jaka mnie czeka, słyszę, że w pierwszym zabrzęczały ostrogi. Weszli dwaj bracia huzarzy. Starszy pyta lokaja, ścielącego łóżka na ziemi wysoko sianem wysłanej:

— Dla kogo to ścielesz?

— Dla pana Budzyńskiego z Wyszczyhus i dla panów, którzyście z nim przyjechali.

Ten starszy wchodzi w płaszczu i czapce do drugiego pokoju, gdzie także była świeca, a spojrzawszy na mnie leżącego w łóżku, cofnął się i z oburzeniem mówi po rosyjsku do brata:

— On wylega się na łóżku, a nam, jak psom, każą spać na ziemi! Chodźmy do domu!

I poszli, nie zważając na ulewny deszcz. Lo-

kaj wybiegł, aby oznajmić to gospodarzowi. Ten rozporządza wysłanie kocza za huzarami, z tem, że jeśliby nie chcieli wracać, aby furman odwiózł ich do Lubaru, o milę od Wygnanki. Nazajutrz furman wrócił z tą wiadomością, że przez całą noc jechał w próżni noga za nogą w ślad za oficerami, darmo ciągle ich prosząc, aby wsiedli do powozu, że jeden z nich przeklinał bardzo rozgniewany, a obadwa przemokli od deszczu, zabłoceni prawie do kolan, szli piechotą aż do samego Lubaru.

Rano, po powrocie furmana, musiałem wyspowiadać się cichutko przed samym Kazimierzem z całego zajścia pomiędzy mną a starszym Godeniusem. Kazimierz wiedział, że niema żartów z tym awanturnikiem. Głośny był świeży w Lubarze wypadek. Poróżnił się o jakąś fraszkę z kolegą swoim, pięknym i dobrze wychowanym porucznikiem, Berczowskim, i z wielkim żalem wszystkich oficerów, w pojedynku na pistolety, głowę mu rozstrzaskał. W raportach Berczowski zabił się sam.

Nie ma środka, muszę w Wygnance oczekiwać na przybycie sekundanta, który od porucznika Godeniusa ma mnie wyzwać do rozprawy. Uprosiłem posłańca do Iwankowa. Napisałem dwa obwieszczenia: do pani Morzkowskiej i do p. Polanowskiego, że dla ważnej sprawy rządowej przymuszony jestem odłożyć na później zjazd mój do Iwankowa. A ponieważ zbliżająca się zima utrudni liwelacyę wody, przeto limituję zjazd mój do dnia 1-go maja następnego 1824 r. Mało dbając o następstwa tej prorogacyi, przed odjeżdżającym ojcem i siostrami do domu udałem, jakobym istotnie miał pilny komis rządowy do spełnienia.

Wyczekawszy dwa dni w Wygnance, postanowiłem zrobić odezwę do pana Godeniusa. Trudno mi znosić dłużej niepewność życia lub śmierci. Ignacy Budzyński trzeciego dnia po tych imieninach zabierał się jechać do domu, jak zwykle na Lubar.

Uprosiłem go, aby tam przez swego lokaja odesłał mój list do Aleksandra Godeniusa. Napisałem go po francusku.

Przeciwny byłem i jestem pojedynkom; lecz, aby one dziś nie były koniecznemi, potrzebaby zmienić naturę ludzką, potrzeba siły moralnej dla powściągnienia namiętnych uniesień. Zbawiciel wskazał środki na to: żyjąc wedle Jego nauki, nie byłoby ani krzywdzących, ani krzywdzonych. Chlubni cywilizacyą, jakżeśmy odskoczyli od świętych prawideł, chrześcianom podanych. Oto niewinnie napadnięty, ulegać muszę mylnym o honorze mniemaniom. Po groźbie kulki pijanego awanturnika, gdybym zniósł obojętnie tę groźbę i odjechał, gdzie wzywał mnie obowiązek, wytykanoby mnie palcam, wymownem na mnie spojrzeniem mianowanoby mnie podłym, niktby mi ręki nie podał! Mój Boże! A ileż obok tego zdrożności, ile podłych, nikczemnych czynów po świecie! Milczymy na to, lub jeśli potępiamy je, to w cichem kółku swoich, a publicznie cześć oddajemy bałwanom możności lub wysokiego rodu. Cóż czynić! Żyć musimy ze światem jaki jest. A więc czekam na odpowiedź z tą pewnością, że śmierci nie ujdę. Udaję wesołego, a żal mi łez kochanego ojca i rodzeństwa po mnie! Życzliwi powiedzą: skończył jak człowiek honorowy!

Gdy tak w duchu rozmyślałem nad niepewną życia godziną, tegoż dnia w miejscu spodziewanych sekundantów huzara wraca Ignacy Budzyński z rozjaśnioną twarzą i opowiada, że przybywszy do Lubaru, stanął w miasteczku i wszedł do sklepu dla jakiegoś sprawunku do domu, tam niespodzianie zastał starszego Godeniusa, kupującego tytoń. Skoro ujrzał Ignacego, rzucił mu się w objęcia i zawołał:

— Ach! po co mnie tam zawiozłeś! Jakże wielkie zrobiłem tam głupstwo! Powiedz mi najprzód, czy ojciec Szymona wie o tem. Powiedz, proszę! Ja

tego starca bardzo szanuję i nie chciałbym go zmartwić.

— Bądź o to spokojny—rzekł mu Ignacy—nikt nie wie o tem, co zaszło, prócz mnie i Kazimierza. Ale oto masz list od Szymona, potrzeba, abyś mu coś odpisał, on nazajutrz po tych imieninach powinien był z obowiązku swego urzędowania koniecznie odjechać, przecież wstrzymał się dotąd dla waszego nieporozumienia.

Przeczytał list, machnął ręką i rzecze:

— Tak, tak! głupstwo, jak pijany, zrobiłem. Brat mój zaraz nazajutrz upewniał mnie z powziętych wiadomości na razie, żem na Szymona najniewinniej napadł. Ja mu przez umyślnego posłańca odpiszę, jakieście upoili, tak przebaczcie szaleństwu pijanego!

Trzy dni jeszcze napróżno czekałem na obiecanego z Lubaru posłańca. Widocznie wstydził się Godenius swojej czynności, bo potem ani razu już nie był u mojego ojca, przed którym przecież to zajście było utajone.

W lat trzy, czy cztery potem zeszliśmy się na pogrzebie ciotki mojej, matki Ignacego Budzyńskiego w Lubarze; szliśmy obok siebie za trumną, słowa do siebie nie przemówiwszy, jakby nieznani sobie. Lecz na stypie, gdy wszedł do refektarza Dominikanów, gdzie śród licznego zgromadzenia i mnie już zastał, zbliża się po przywitalnym ukłonie wszystkich do stolika okrytego przekąską, nalewa sobie wódki i odzywa się do mnie:

— *A vous Simon!*

Przyjąłem od niego kieliszek. Były to ostatnie jego słowa do mnie. Ten szaleniec, co sprzątnął nie jednego, a sam nigdy nie był ranny, gdy w Lubarze ciężko zachorował na tyfoidalną gorączkę, w chwili oprzytomnienia stanowczo zapytał doktora w obecności brata i kilku oficerów:

— Powiedz otwarcie, czy mam zrobić krótki

testament, bo widzę, że wy wszyscy, chociaż uczeni, ale głupcy, nie umiecie zaradzić mojej chorobie.

Pułkowy doktór na to:

— Testament wcale nie zaszkodzi.

— Rozumiem cię—rzekł chory.

Kazał podać sobie do łóżka toaletę. Wytrząsnął z szufladki ostatnie cztery dukaty i mówi do kolegów tam obecnych:

— Czynię ostateczne rozporządzenie mojego majątku żołnierskiego: przeznaczam go na cztery butelki szampana, które tu z wami po raz ostatni wypiję. O moje ciało nie troszczę się, wy go pewnie psom nie oddacie!

A do lokaja rzekł:

— Pośpieszaj prędko z tem winem, abyś jeszcze mnie zastał

Doktór szepnął troskliwemu bratu chorego, że i bez wina musiałby życie skończyć, niechże przynajmniej wesoło nas opuszcza. Lokaj wrócił prędko od winiarza z czterema butelkami szampana, które koleją szklankami, począwszy od chorego, wkrótce były wypróżnione i po takiej egzekucyi testamentu, w nocy Aleksander Godenius wyzionął ducha. On zawsze uważał życie człowieka za igraszkę Boga i grał też niem po swojemu, najmniejszej do niego nie przywiązując wagi, a przyszłość zagrobową mianował zwykle urojeniem ludzkiem.

Tymczasem pan Papusza (tak nazwany) Polanowski, skoro odebrał z Wygnanki moje obwieszczenie, wnet mu przychodzi myśl zmienić urzędnika do sądzenia starej sprawy o podtopienie jego młynów. Wysyła prośbę do Wielkiego Księcia Konstantego, który, mieszkając w Warszawie, jako wódz wojska polskiego, razem zarządzał z mocą generał-gubernatora Litwą i trzema zachodniemi guberniami naszemi. W tej prośbie oskarża mnie najprzód, jakby ciężkiego winowajcę, że w Iwankowie na dwóch moich zjazdach podkomorskich ważyłem się jadać obiady i wie-

czerze u pani Morzkowskiej, kiedy prawo wyraźnie stanowi, aby każdy urzędnik nie z prywatnej odezwy, lecz z polecenia wyższej władzy spełniający swój obowiązek, miał z sobą kucharza na zjeździe. Powtóre, że sprawę oddawna zaległą, odraczałem podwakroć, zwlekając jej osądzenie; nakoniec, żem sąd mój limitował z wyraźną jego szkodą aż do wiosny następnego 1824 roku i w konkluzyi prosi o rozporządzenie, aby rozwiązanie tego procesu poddano innemu podkomorzemu.

Na taką skargę nie żądano mojego tłómaczenia się, a byłbym rzetelną przedstawił prawdę, że na moje odezwy w oznaczonych terminach pan Polanowski sam żądał po dwakroć limity i że następnie słotna pora jesieni, równie jak i zima, utrudniały liwikacyę wody i dlatego zjazd mój do maja odłożyłem. A nadzwyczaj ucieszyło mnie urzędowe zawiadomienie, żem już swobodny od sądzenia sprawy pana Polanowskiego.

Roku 1834 w lutym przeniosłem się z oficyny do zbudowanego przezemnie domku w Czeczelówce. Dokupiłem cokolwiek koniecznych sprzętów, aby zdarzonemu gościowi było na czem usiąść: stanęły porządne sofki ceratą pokryte, stanęły krzesła, stoliki, komoda, szafki w dwóch pierwszych, nadzwyczaj wesołych pokojach, dość obszernych. Mój sypialny trzeci miał drzwi parapetowe ze schodkami do ogrodu, czyli do projektu na ogród, gdzie miały być kwiaty śród gazonu, na które już udzieliła nasionek siostra moja młodsza i dobra sąsiadka, Pieńkowska.

Jedyną ozdobą mojej sypialni był portret dobrej Boguni, pastelami przez Klembowskiego w Krzemieńcu zrobiony.

Raz w tym pokoju siedząc w ciszy nad książką, marzyłem o kilku latach ubiegłych, i koleją sięgałem do wspomnień o pierwszych w życiu przez Józefę Bierzyńską ocknionych dla niej uczuciach.

— Nie! — rzekłem w duchu — ona, co dla ma-

jątku Turkula, którego, wedle słów jej, nie cierpiała, przecież wzgardziła moją niezachwianą przez lat pięć miłością, nie poprzestałaby na tym, choć wesołym, lecz ubogim domku. Maryanna Bukarówna, która przez dwa lata łudziła mnie i słodkiemi wyrazy i niekiedy wymownem powleczeniem jakby mdlejącego spojrzenia, a przecież zwlekała stanowczą odpowiedź na usilne moje nalegania, ta niezawodnie, pomna zawsze na stosunki z bogatszemi domami, nie byłaby rada mieszkać tu ze mną. Bogunia jedna, zdaje się, los wszelki chętnieby ze mną dzieliła, gdyby nie zmienność jej matki.

Gdy patrząc na miły mi portret, tak samotny marzę, wraca z Berdyczowa mój posłaniec po spodziewane z poczty listy od Karola Czarnockiego z Litwy i od Rudzkiego z Krzemieńca, a najmniej spodziewany odbieram list z Krzywicz od ciotki Postruskiej. Ona, wiedząc odemnie, że w maju mam być w Ostrogu na zjeździe podkomorskim, tym listem wzywa, prosi i w najtkliwszy sposób zaklina na wszelką dla mnie świętość, abym w maju z Ostroga był u nich; kończy zaś najmocniej działającą na mnie otwartością, że jej córka wierną jest zawsze w uczuciach swoich dla mnie. Bogunia w przypisku dodaje, abym nie zapomniał, jak byliśmy z sobą w Krzemieńcu i na te stosunki zaklina, abym w maju był koniecznie w Krzywiczach, a najczulej przez nich będę powitany. Odpisałem na pocztę rówieńską, że chciałbym lecieć do nich natychmiast, lecz ważne wstrzymują mnie powody. Skoro one przeminą, z największą pośpieszę do nich radością, jeśli dla nieprzewidzianych przeszkód nie pierwej, to niezawodnie w oznaczonym przez nich terminie, w maju.

Po takim ciotki mojej liście wypadałoby natychmiast jechać do Krzywicz; lecz było to w końcu lutego, a ja w dniu 4 marca chciałem w domku moim uczcić Kazimierza Budzyńskiego, jako w dniu jego imienin. Już na moją odezwę otrzymałem był przy-

rzeczoną u mnie bytność ich obojga, również jak na moją prośbę obiecał zjechać kochany ojciec z mojemi siostrami. Uprzedziłem też kilka innych osób, znających Kazimierza, o tej solenizacyi. Taki powód wstrzymał podróż moją do Krzywicz.

W dalszym ciągu marca, na wezwanie ojca, jeździłem w jego interesach do Zwiahla i do Żytomierza. Na tę odezwę przybywszy do Szulajek, nie zastałem ojca w domu, był w Romanowie u senatora Ilińskiego. Gdy wieczorem wrócił z tej wizyty, po przywitaniu, rozmawiając ze mną i zdejmując swój pas złocisty i nieodstępną przy pasie karabelę, zdarzenie w tym dniu doznane, a w pamięci mojej utkwione, opowiadał w tych słowach:

— Poznałem też tam za pośrednictwem senatora jego ulubionego gościa, obywatela powiatu Ostrogskiego, pana podkomorzego Łukasza Łaźnińskiego, który jest krewnym zasłużonego generała niegdyś polskiego, dziedzica wsi Brodecka. Pan podkomorzy z senatorem *okrutnie* się kochają nawzajem; ile razy senator zwiedza swoje dobra ostrogskie, zawsze odwiedza tamtego, który, aby uczcić dostojnego gościa, zwykle sprasza w tym dniu na obiad okolicznych obywateli, jak mi opowiadał przy nim sam senator. Człowiek ten, w latach czterdziestu kilku, wesołego temperamentu, wszystkim się podoba, a mnie szczególniej, ztąd, że o gospodarstwie tak ze mną rozmawiał, jakby czytał z książki: zna tę rzecz gruntownie. Senator i z tego względu bardzo go wychwalał, przywodząc, że w jego wsi Korostowie z każdej chaty po dwa pługi i po trzysta bron wiejskich na łan dworski wychodzi, że ta zamożność włościan wynika z ciągłego nad nimi czuwania, że tam żaden nie może wyprowadzać chudoby swojej na jarmarki bez wiedzy swego pana, że każdy włościanin zarówno ma w każdą zmianę po sześć morgów i cztery morgi sianożęci, a w dodatku siódmy mórg ornej na to, aby włościanie i dworskie opłacali podatki, że umiał

przekonać włościan, iż nie warto utrzymywać gęsi, które więcej na zasianych polach czynią szkody, niż można mieć z nich korzyści. Słowem, gospodarz, od którego ja stary mógłbym się wiele nauczyć. Z wielką przyjemnością długo z nim rozmawiałem o ekonomice, nim oznajmiono, że gotowy obiad.

Zauważyłem, że przez wzgląd na tego gościa, obiad był z większą niż zwykle wystawą. W ciągu tej uczty w dalszej sali brzmiała rogowa muzyka i w małych kieliszkach stare nam wino podano. Ale pan podkomorzy Łaźniński, który przed obiadem tak mi się podobał, u stołu siedząc obok, wyrwał się do mnie ni w pięć ni w dziewięć i zapytał:

— Czy to syn pana, Szymon, poeta?

Mocno mnie uraził tem zapytaniem. Odpowiedziałem mu też:

— Mam ja wprawdzie syna Szymona, ale uchowaj Boże! nie poetę, czyli nie próżniaka! Mój Szymon nietylko jest porządnym na dzierżawie gospodarzem, ale nadto zyskał sobie ufność powiatu i z wielką pociechą moją czynnym jest podkomorzym, nie jak wielu innych, z których urosła pogłoska, że ten urząd jest śpiącym.

Może on to wziął za przymówkę i do siebie, jako były podkomorzy; mnie wprawdzie nie wiadomo, jak on ten urząd spełniał, ale trudno mi było zamilczeć, kiedy on nazwał cię poetą.

Ucałowałem z uśmiechem rękę ojca, myśląc sobie: Moje kilka wierszy znanych światu, nie zasługują na tytuł poety, a ojciec słusznie mówi, że wierszokleta bez daru wyższego natchnienia jest nieużytecznym próżniakiem. Ale któżby wówczas przewidział, że pan Łaźniński, który tak niewinnie obraził mego ojca, po jego śmierci będzie moim teściem?

Gdy wróciłem z Żytomierza, cały kwiecień 1824 przeszedł na sprawie z ekonomem moim, Sałackim, ku dośledzeniu popełnionej kradzieży w pieniądzach

i na wyszukaniu ekonoma, któremu mógłbym powierzyć dom i gospodarstwo. Zdarzyła się bowiem taka okoliczność: Wyjeżdżając w podróż, gdym już był na wsiadanem do powozu, odezwałem się do Sałackiego w obecności poczciwego lokaja mego, Rudnickiego, który ze mną jechał: Pamiętaj, panie Sałacki, nocowywać nie w oficynie, ale w domu, do którego klucz ci oddałem; tam bowiem w komodzie są pieniądze. Nie wymieniłem mu ich ilości, aby wnosił, że znaczna może być suma, dla której ko nieczności ą. będzie czuwać. Istotnie zaś nie więcej tam było jak trzysta rubli srebrnych, które umieściłem w sześciu szufladkach, z wielkiej toalety wyjętych. Wróciwszy do domu, dostrzegłem w drugim pokoju przy komodzie na podłodze drobne wióry drzewa; rzucam okiem na komodę i widzę ją cokolwiek uszkodzoną nad zamkiem. Klucz od niej zwykle chowałem pod zamek w stoliku, tuż obok stojącym. Biorę ów klucz, otwieram komodę, zaglądam do szufladek i znachodzę pięć zupełnie próżnych, a w szóstej nie więcej jak 25 całkowitych rubli, tak silnie wciśniętych, że złodziej z pośpiechu nie mógł ich wytrząsnąć. Przywołałem Sałackiego i stojąc nad otwartą komodą, zapytuję go:

— Gdzie są moje pieniądze?

On klęka, składa krzyżyk z dwóch palców i rzecze:

— Panie! o niczem nie wiem, do niczego nie należałem! Niech mnie ten krzyż ubije, jeśli kłamię!

— Czy sypiałeś w domu, jak poleciłem?

— Nie, panie; prawda, że pan tu sypiać kazałeś dla pilnowania pieniędzy, lecz na biedę jedno z dzieci mocno było chore i dlatego po nocach nie odstępowałem go w oficynie, ale klucz od domu był zawsze przy mnie; codziennie rano dom opatrywałem i wszystkie drzwi zastawałem zamknięte, wszystkie okna całe.

— Tembardziej—rzekłem—posądzam cię o kradzież...

Kazałem przywołać dwóch parobków z toku, aby w oficynie czuwali nad nim. Sałacki udawał bardzo pobożnego, często jeździł do parafialnego w Ostróżku kościoła—o milę odemnie. Listem moim wezwałem znanego mi proboszcza. Gdy przybył, opowiedziałem wypadek i uprosiłem, aby religijnie skłonił winowajcę do wyznania prawdy, a gdy zwróci pieniądze, odprawię go tylko bez świadectwa, a przed policyą, mając wzgląd na żonę jego i drobne dzieci, zamilczę. Daremnie proboszcz się trudził, Sałacki i przed nim powtarzał: „o niczem nie wiem, do niczego nie należałem."

Po herbacie ksiądz wracając, wstąpił w Wiszence do pani Pieńkowskiej, i opowiedział zdarzoną u mnie kradzież. Nazajutrz rano miecznikowa listem mnie zawiadamia, że Sałacki, będąc niegdyś u niej tokowym pisarzem, został posądzony o kradzież jej pięciuset rubli, lecz, że dostatecznych nie przedstawiono dowodów, przeto odprawiła go tylko, nie dawszy świadectwa. W końcu listu prosi, aby dla przykładu i zastraszenia innych ekonomów wytoczyć temu złoczyńcy kryminalny proces. Przywołałem Sałackiego, czytam przed nim list mojej sąsiadki, i zaklinam na miłość jego dla dzieci, aby wyznał winę i oddał pieniądze, a swobodny w świat pójdzie. Ale niezachwiany powtarza tylko:

— Panie! o niczem nie wiem, do niczego nie należałem.

Na to wchodzi mój lokaj i zapytuje:

— A któż odbił blat od stolika, gdzie były zamknięte klucze od komody? Dziś zamiatając pokój, chciałem ten stolik przenieść na drugie miejsce, aby lepiej z pod niego zamieść i blat oderwany pozostał w moich rękach.

Wówczas domyśliłem się, zkąd były na podłodze drobne wióry drzewa. On wprzódy próbował

nożem albo dłutem, czy nie odchyli zamku u komody, a potem mógł przypomnieć sobie, że nieraz przy nim chowałem pęk moich kluczów w stoliku, odbił jego blat, otworzył kluczem komodę, i zabrawszy z niej pieniądze, porządnie ją zamknął, a pęk moich kluczów napowrót wrzucił do odbitego stolika. Lokaj blat jego podniósł i okazał świeże jego odbicie. Gdy wyszedł, ja rzekłem Sałackiemu:

— Szczerze ci radzę, przyznaj się, a wyratujesz od ostatecznej nędzy siebie, żonę i dzieci.

On słodko uśmiechnięty, mówi mi:

— Pan wierzysz Rudnickiemu, a to on skradł pańskie pieniądze.

— Niedorzecznie go obwiniasz, wszakże on był ze mną w podróży.

— Tak, ale tam, gdzie pan nocował wracając, mógł konno w nocy tu przyjechać dla tej kradzieży.

— Błąkasz się widocznie! Klucz od domu u ciebie; drzwi i okna nietknięte; jakże mógł dobrać się do wnętrza domu, gdyby nawet ważył się na tę nocną wycieczkę?

— To prawda, ale ja o niczem nie wiem, do niczego nie należałem.

Odszedł pod wartą do oficyny. A ja natychmiast wysłałem zawiadomienie do winnickiego niższego sądu o zdarzonym wypadku, z tem, że winowajca jest u mnie pod strażą i że proszę o śledztwo. Tymczasem nastręczono mi ekonoma z dobremi świadectwami, który później okazał się godnym mojej ufności.

Po upływie tygodnia przybył winnicki sprawnik, w asystencyi dwóch innych urzędników, co wszystko razem zwie się *wremiennoje otdielenie*. Sprawnik już nie młody, pełen doświadczenia człowiek, przez trzy dni męczył się nad Sałackim, aby go skłonić do zeznania winy. Lecz ten przyznając, że wiedział ode-

mnie o pieniądzach w komodzie, że dla tych pieniędzy poleciłem mu, aby nocowywał nie w oficynie, lecz w domu, a kończył zawsze, iż co do kradzieży: „o niczem nie wiem i do niczego nie należałem."

Stawieni wartownicy, którzy napaliwszy w „grubach" spali na korytarzu, świadczyli, że późno wieczorem, w przeddzień mojego przybycia, Sałacki wchodził do domu i tam mocno stukał. Rzecz widoczna, że wówczas odbijał blat od stolika. Ale tłómaczył się, że chodził do domu, aby nakręcić zegar ścienny. Zapisano tem śledzwem kilka arkuszy papieru, wynagrodziłem fatygę i sześciomilową z Winnicy podróż urzędników, a Sałackiego poprowadzono do turmy winnickiej. Żona zaś jego z dziećmi przeszła o dwie wiorsty do szlacheckiej wioski Krzyżanówki, gdzie miała znajomych. Zdawało się, żem się już pozbył kłopotu, wyrzekłszy się na zawsze skradzionych mi pieniędzy. Lecz nie koniec na tem, że je utraciłem, Sałacki jeszcze mnie kłopotał, o czem niżej wspomnę.

W tem miejscu przywiodę okropną katastrofę sprawnika winnickiego, który zjeżdżał do mnie w powyższej sprawie. Był to urzędnik nie z wyborów, lecz, jak zwykle, od Korony, a przy śledztwie u mnie zdawał się niezłym człowiekiem. Wkrótce potem zdarzyła mi się potrzeba pomówić z nim, już nie pomnę w jakim interesie. Przybywam do Winnicy i pytam starego żyda, do któregom zawsze zajeżdżał, czy zastanę w domu pana sprawnika?

— Już go pan nie zastaniesz.

— Może dziś wróci?

— Nie, panie. Ztamtąd, gdzie on pojechał, człowiek już nigdy nie wraca. Posłuchaj pan strasznej o nim historyi:

Tu na przedmieściu mieszkał stary odstawny pułkownik Rosyanin, przy którym w małym dworku był tylko lokaj, furman i baba kucharka. Mówiono w mieście, że on miał u siebie wielkie pieniądze.

Otóż lat temu kilka przybiegł lokaj jego do pana sprawnika i z płaczem i wielkim lamentem opowiedział mu, że w nocy ktoś wybił okno do izby pułkownika, wdarł się tam i zabił go, pewnie dla skradzenia pieniędzy, bo kantorek zastano otwarty.

Sprawnik natychmiast zjechał tam, aby zrobić śledztwo.

Potem mówiono w mieście, że pułkownika pochowano, że w kantorku ani grosza nie było i że policya stara się wyśledzić zbójcę. Lokaj i furman, otrzymawszy od sprawnika świadectwo, że o nic nie są podejrzani, rozeszli się w świat. Pierwszy z nich nie wiadomo gdzie się podział, a furman, Mazur, oparł się aż o Kraków. Tam, służąc lat trzy, czy cztery, gdy w tym roku mocno zachorował, i gdy na jego żądanie wezwano księdza, on blizki śmierci wyznał prawdę przed księdzem, że łącznie z lokajem zabił pana swego pułkownika w Winnicy, że sprawnik tamtejszy przekonawszy się o ich zbrodni, gdy rewidował skrwawioną ich bieliznę, którą zmieniwszy, wrzucili między brudy, powiedział im:

— Mam was w ręku; oddajcie mi zabrane pieniądze, a ja was uwolnię.

— Otóż daliśmy mu dwa tysiące rubli, a resztą rozdzieliwszy się, wyszliśmy ztamtąd, ale już na zawsze rozłączeni.

To wyznawszy furman przed księdzem, prosił go, aby o tem wszystkiem napisał do Kamieńca, bo on nie umarłby spokojnie, gdyby tam nie wiedziano, że sprawnik winnicki jest takim, jak i oni, złoczyńcą. Ksiądz przyrzekł umierającemu, że przed władzą krakowską tę zbrodnię urzędnika podolskiego objawi. Jakoż doszło to zeznanie furmana do Kamieńca, zkąd przyjaciel naszego sprawnika spiesznie mu o tem doniósł. A sprawnik, nie czekając sądu na siebie, zażył jakąś truciznę i już w mogiłce spoczywa.

Mówią — żyd prawił dalej — że furman wyznał grzech swój dlatego, że sumienie go gryzło, a gdzież

było to sumienie, kiedy zabijał? Bądź co bądź, bardzo dobrze u was chrześcian, że czlowiek choć umierając, szepnie prawdę księdzu.

Mocno mnie przejęło to rzetelne opowiadanie starego żyda, co tegoż dnia powtórzył przedemną jeden z obywateli tego powiatu. Rzecz nie była dla mnie obojętną ztąd jedynie, że tak ohydnem przestępstwem splamionego samobójcę uprzejmie przez dni kilka przyjmowałem u siebie, jakby uczciwego urzędnika.

Z Ostroga w maju 1824 roku wyjechałem pełen otuchy do Krzywicz. Powyższy list ciotki Postruskiej dawałem do odczytania siostrom moim, a po naradzie z niemi, otrzymałem ich upewnienie, że skoro wrócę z Krzywicz z zaręczynowym pierścieniem na palcu, dobre siostry potrafią wybłagać u naszego ojca zezwolenie na związek, mimo pokrewieństwa mego z Bogunią w trzecim stopniu.

W Krzywiczach zastałem oboje wujostwo Postruskich. Powitano mnie tam najserdeczniej. Nazajutrz rano, gdym się dowiedział, że Bogunia wyszła do ogrodu, udaje się za nią i zastaję z książką w ręku samotną w altance.

Szczęśliwi oboje, że znów jesteśmy z sobą, jak przez trzy lata w Krzemieńcu, zapominamy o reszcie świata. Z początku mało słów było: wszystkośmy sobie powiedzieli w pocałunkach i wymownem dla nas spojrzeniu. Nakoniec, gdy ona tuli się ku mnie, przemówiłem:

— Słuchaj, luba! Stosunki nasze tak pozostać nie mogą. List matki twojej ośmielił mnie przybyć tu w zamiarze oświadczenia się rodzicom o twoją rękę...

— Ach, uchowaj Boże! — zawoła. — Nie mów jeszcze o tem ani słowa. Kiedyś może przyjdzie ta godzina szczęścia mego. Ja, wierna tobie, ktokolwiekby się trafiał, wszystkim odmawiać będę, a po kilku latach, gdy się spostrzegą, że mogę zostać starą pan-

ną, wówczas na związek nasz zezwolą. Pewna zaś jestem co do ciebie, że gdybyś już dostrzegł u mnie i siwe włosy, zarówno jak dziś kochałbyś mnie zawsze. Dziś, na miłość Boga, milcz jeszcze! bo gdybyś się odezwał, to już cię nigdy nie ujrzę!

— Pocóż mnie matka twoja najczulszym listem wzywa z tem upewnieniem, że ty, droga moja, nie zmieniłaś uczuć swoich dla mnie?

— Dziwi cię to? Bo ty, mój luby, nie wiesz, co po twoim ostatnim odjeździe tu działo się ze mną. Ja podobnie jak w Krzemieńcu twój odjazd odchorowałam, ale mocniej jeszcze, bom w pamięci powtarzała sobie twoje przy pożegnaniu wyrazy, że już cię nigdy nie ujrzę. Nie sypiałam po nocach, ciągle łzami się zalewając. Aż gdy znacznie chudnąć zaczęłam, mama w obawie o moje życie, napisała do ciebie list, jakiego ja żądałam, a odpowiedź twoja, choć nie zaraz mogłeś przyjechać, radość mi przyniosła. Ale na krótko! Ciocia Raciborowska słyszała rozmowę moich rodziców i przygotowała mnie z litości nademną do tego, że gdy ty przyjedziesz i zechcesz oświadczyć się przed rodzicami, to mama najgrzeczniej zbędzie się ciebie.

Mówiąc to, płakać zaczęła. Przedstawiam jej, że taka obłuda w liście byłaby niezgodną z uczciwym charakterem jej matki, i nakoniec, że my nie możemy pozostawić w takiem zawieszeniu losów naszych. Ona na to:

— Nie potępiaj tak ostro mamy. Pamiętasz bytność ojca twego w Krzemieńcu. Coś tam podobno zaszło między nim a mamą; ciocia mówi, że twój ojciec dał do zrozumienia, że był nie rad dostrzeżonej pomiędzy nami skłonności, o której w domu dowiedziawszy się, umyślnie przyjechał, aby zapobiedz związkowi w tak blizkiem pokrewieństwie. Może mama, choć tobie sprzyja, szanuje przecież wolę twego ojca.

O, co do tej przeszkody — rzekłem — bądź

zupełnie spokojną. Ja pewny jestem, że mój kochany ojciec nie odmówi nam swego błogosławieństwa.

Wtem dostrzegam wchodzącego wuja do ogrodu i mówię jej:

— Oto twój ojciec przechadza się po lipowej alei; pójdę i powiem, po co tu przybyłem.

— Na miłość Boga nie idź, bo zgubisz mnie! On cię odeśle do mamy, a ja nigdy już cię nie ujrzę!...

Chwyta mnie ramieniem swojem za szyję i całując, oblewa twarz moją łzami.

— Boguniu!—wołam—pomnij na to, że oni cię kochają! Czyliż zechcą sprzeciwiać się tak silnej skłonności naszej? Puść mnie, moja luba, niech pójdę po szczęście nasze. Przeczuwam, że ojciec twój nie odmówi mi.

Przemocą wyrwałem się z jej objęcia, zostawiając nieutuloną w płaczu. Idę w aleję do jej ojca. Pozdrawiam go, całując, zwykłem dzień dobry. Chodzę z nim ze dwie minuty, strachem oniemiały. Gdy on łaskawie przemówił dziękując, żem ich nawiedził, ośmielony jego grzecznością, przemówiłem drżący cały:

— Szanowny wuju! Ważę się odkryć przed tobą głębię serca mego. W ręku twoich jedyne jest szczęście moje. Dozwól, aby mi wolno było starać się o rękę twej córki.

Uśmiechnął się i rzecze:

— Starać się jeszcze? Po co to udajesz, kiedy mnie dobrze wiadomo, jak wy wzajemnie sobie sprzyjacie.

Na te jego słowa rzuciłem mu się do kolan, całując je.

On mnie podnosi i rzecze:

— Wierz mi, kochany Szymonie, że nietylko przeciwny nie jestem waszemu związkowi, ale nawet radbym jak najprędzej widzieć was połączonymi. Lecz wiadomo ci, boś na to patrzył, jak żona mo-

ja wylana jest przez całe życie dla tej naszej jedynaczki. Miała ztąd prawo zastrzedz sobie swobodne rozrządzenie jej losem bez mojego wpływu Udaj się do niej. Wszak przez trzy lata ona sprzyjała stosunkom twoim z Bogunią, a przeto nie wątpię, że i związkowi z nią przeciwną nie będzie.

Ucałowalem go znów w kolana.

Biegnę do altanki, aby to Boguni oznajmić. Już jej tam nie było. Ogrodnik powiedział mi, że ją wezwano do pokoju. Wówczas dostrzegłem jej matkę przy otwartem oknie w jej pokoju, a przeto widzieć mogła, jak wyszedłszy z alei, byłem u kolan jej męża, i że dlatego mogła wezwać córkę.

Otrzymawszy tak łaskawe zezwolenie wuja, idę śmiało do niej.

Wchodzę i zastaję samą ciotkę, szparko chodzącą po pokoju w silnem widocznie poruszeniu; twarz jej i spojrzenie tchnęły jakoby gniewem. Zwyczajnie zawsze do godziny południowej sypiała, po wieczerzy bowiem, gdy w parę godzin wszyscy do łóżek się rozchodzą, ona wówczas długie rozpoczynała modły, które trwały przez noc całą do godziny drugiej po północy. Teraz widząc ją w nadzwyczajnej porze już w codziennem ubraniu, po zwykłem dzień dobry przy ucałowaniu jej ręki i po dotknięciu jej usty mojego czoła, w kilku słowach okazałem zdziwienie, coby ją przed ósmą godziną obudzić mogło.

— Wielki ból głowy, jaki dotąd cierpię, zwykły sen mi przerwał. Czy ty w Ostrogu sprawę graniczną już osądziłeś?

— Sprawy tego rodzaju, zwłaszcza zadawnione, jak ostrogska, mają określone prawem stopniowanie, ztąd zdarzają się limity opóźniające dekret. Dla tej przyczyny nieraz jeszcze w Ostrogu być muszę. Ale sprawa najważniejsza w życiu mojem, tu bez żadnej limity dziś ma się rozstrzygnąć!

— Rozumiem cię, kochany Szymonie! Ta właśnie sprawa i sen mi odjęła i sprowadziła ból głowy!

— Przebacz, kochana ciociu!—zawołam, rzucając się do jej kolan. — Ja i córka twoja poddajemy się z ufnością pod twoją wolę, którą chcemy uznawać za świętą!

— Ach Boże! Z jakąż boleścią przymuszona jestem odkryć przed tobą, kochany Szymonie, że cię pozory omyliły! Wszak słyszałeś, co nieraz mawiałam, że jedynem byłoby szczęściem dla mnie, gdybym cię nazwała zięciem. Ale to nigdy być nie może! Nie! Ty nie znajdziesz tu szczęścia, jakie cieszyłoby mnie i czcigodnego ojca twego!

— Ciociu najdroższa! Dozwól tylko na nasz związek, a ujrzycie nas szczęśliwymi!

— Ależ powtarzam ci, że ja z duszy pragnę tego związku! Cóż na to poradzić, kiedy Bogunia wcale go sobie nie życzy.

Uśmiechnąłem się na to i rzekłem:

— Jeśli z jej ust takie nastąpi rozwiązanie mojego losu, odejdę, siebie tylko obwiniając, żem nie umiał zjednać jej serca!

— Ty omyliłeś się na pozorach! Ona ciebie nie kocha!

— Chciałbym, aby, patrząc mi w oczy, to powiedziała.

— Nie wierzysz? A więc słuchaj!

Otwiera drzwi do drugiego pokoju, gdzie widzę jej córkę siedzącą na kanapie z granatowym prawie rumieńcem, ze spuszczoną głową.

— Boguniu!—matka woła.—Nie zwódź Szymona! Powiedz prawdę! Mów, co tylekroć przedemną powtarzałaś: Jak ty kochasz Szymona?

Córka płakać zaczyna i milczy.

— Bardzo proszę zaniechać tych patetyczności, gdzie idzie o los całego życia! Podnieś głowę, spojrzyj mu w oczy i wydobądź z duszy prawdę! Mów, jak tv go kochasz?

Ciągle łkając, podnosi twarz spłakaną; spojrzała

na mnie tuż przy niej i w przerywanych wyrazach, przytłumionym głosem wymówiła:

— Ja kocham bardzo Szymona... jak... brata... ale na męża...

Tu stanęła.

— Mów dalej!—matka woła.

— ... nie mogę.

— Czy uważasz? — matka mi rzecze: — *Ale na męża nie mogę.*

To powtórzywszy, zamyka drzwi do pokoju, gdzie sama córka pozostała. Odchodząc i ja razem z matką, wyrzekłem tylko do płaczącej ostatnie: *Bądź zdrowa!* Za drzwiami silniejszy płacz i ciężkie łkanie słyszeć się dały.

Tak bolesna, tak niespodziana po liście matki scena, przywiodła mnie do gwałtownych żalów, do rozpaczy i do oburzenia. Zda się, żem utracił przytomność na chwilę. W osłupieniu, już nie pomnę jakie z ust moich wyrazy do ciotki wymknąć mi się mogły. Wyszedłem od niej ciężko przygnębiony. Wstyd mi było przed samym sobą, żem dowierzając jej odezwie, naraził się na taką wzgardę. Wbiegam do pokoju, gdziem nocował, i z naciskiem rozkazuję zdziwionemu lokajowi memu:

— Pakuj natychmiast i wnet niech powóz zachodzi!

W kilka minut, z nikim się już nie widząc, bez pożegnania wsiadam do powozu. Wtem zjawia się na ganku wuj Postruski, podchodzi do powozu i wzywa głosem przychylności:

— Proszę cię, kochany Szymonie, wysiądź na chwilę, chcę z tobą pomówić.

Odchodzimy na bok. On, ściskając mnie i całując, mówi:

— Szczerze wchodzę w twoje i biednej Boguni cierpienia. Ale cóż począć? Z uporem mojej żony bardzo trudna sprawa! Nabożna aż do zbytku; modli się po całych nocach, lecz choćby i sam papież

tu wpływał, nie zmieni swego postanowienia. Ciężko to, ciężko! Ale przywykłem już dla spokoju domowego powtarzać sobie przysłowie Francuzów: *Ce que femme veut, Dieu le veut.* Słuchaj-no, ja tobie winienem wzięte dawniej u ciebie dziesięć dukatów. Mam je gotowe oto w ręku, aby ci to oddać z podzięką. Ale dziś chciałbym, abyś miał odemnie pamiątkę szczerej życzliwości mojej. Ty grywasz na skrzypcach, a ten wyborny instrument mam u siebie bez żadnego użytku, bo na nim grać nie umiem. Wypadkiem dostał się do mnie za piętnaście dukatów; ma na płużku blaszkę srebrną z cyfrą I. L. Ignacego Lencza, znanego tobie Włocha, znakomitego muzyka, który w Krzemieńcu dawał lekcye śpiewu Boguni. Przyjm te skrzypce, proszę, w miejsce należnych ci pieniędzy! W tej zamianie idzie mi o to mianowicie, abyś ty, grywając na nich, wspomniał kiedykolwiek o mnie, twoim przyjacielu!

Serdecznie wujowi podziękowałem. Służący jego przyniósł pudełko ze skrzypcami i włożył je do mego kocza. A po rzewnem pożegnaniu dobrego wuja odjechałem na zawsze z Krzywicz.

Owe wyborne włoskie skrzypce z cyfrą Lencza, po latach kilkunastu, gdym zajęty malarstwem dawniej, a później większem gospodarstwem, muzykę zupełniem zaniedbał, z wielką przyjemnością darowałem wnukowi wuja Postruskiego, młodszemu synowi jego córki, Lucyanowi Boguszowi, który znakomity na nich okazywał talent. Wuj Postruski znał też gruntownie muzykę i pięknie grywał na klarynecie.

Gdym wyjechał z Krzywicz, ciągle snuł mi się po myśli dawniejszy stosunek mój z Bogunią i dziś opłakane losy. Raz potępiałem obłudne przez list wzywanie matki, abym do wiernej dla mnie powrócił, to znów mając na uwadze tę jej o zdrowie córki obawę, o której to kochane dziewczę opowiadało przedemną, przebaczyłem ciotce nieszczerość jej ode-

zwy do mnie, bo dla niej mniejszą było winą zwodzić mnie, niż obojętnie patrzeć na niknące zdrowie jedynego dziecka. Rzewne łzy jej córki, gdy w przerywanych wyrazach zaprzeczała objawianym przed chwilą uczuciom dla mnie, dostatecznie świadczyły, że je wymawiała z widocznym przymusem za groźną wolą matki, która znów wydała mi się mniej winną ztąd, że jeszcze w Krzemieńcu, powodowana uwagą mego ojca na blizkie pokrewieństwo, mogła upewnić go, że na związek nasz nigdy nie zezwoli. Inaczej pogodzić nie mogłem tyloletniego pobłażania naszym serdecznym stosunkom, z niepokonaną teraz trudnością. Tak w tej-to podróży do domu ciągle marząc bolejący, ułożyłem wierszyk pod tytułem *Pożegnanie po doznanej przeszkodzie do związku z powodu pokrewieństwa.* Wpisałem to do tomu pierwszego moich ramot na karcie 42. Ale tam opuszczone są może zbyt rażące strofki, a które potem z małą zmianą przeniosłem do mojej ballady p. t. *Staś obłąkany w Zieleńcach*, w tymże tomie na karcie 70. To całe pożegnanie, w podróży z Krzywicz ułożone, z temi to strofkami później odjętemi, przez pośrednictwo już nie pomnę jakie, dostało się wkrótce do pożegnanej Boguni. W Krzywiczach bywał życzliwy dla mnie Stanisław hrabia Worcel, wówczas jeszcze młody. Tam czytał owe wierszyki i przepisał je sobie, a następnie, będąc raz przy mnie w Stołpowie u państwa Jankowskich, blizko Szulajek, ku wielkiemu zdziwieniu mojemu deklamował je z pamięci wieczorem przed piękną wówczas panią Jankowską, z domu Zagórską, w takiej co do słowa całości, jak były oryginalnie ułożone i jak je tu zamieszczam:

Pożegnanie po doznanej przeszkodzie do związku
z powodu pokrewieństwa.

Ostatni cię raz widziałem!
Żal ostatnie tłumił słowa!

Czemuż, czemu nie skonałem,
Mówiąc ostatnie: bądź zdrowa!

Westchnęłaś wówczas tajemnie,
Tuląc własne niepokoje,
I ze łzami wlałaś we mnie
Ostatnie spojrzenie twoje!

Jak przebija farbę żywą
Więziona róża pod zdrojem,
Tak wydałaś duszę tkliwą
W ostatniem spojrzeniu twojem!

Czemuż wspomnienie tej chwili
Dręczy mnie smutkiem i trwogą?
Jeśli przeczucie nie myli,
Ach, czy nie kochasz ty kogo?

Ale wierna, czy niestała,
Mnie żyjącemu lub w grobie
Tyś mi szczęście poznać dała,
Ja nie zapomnę o tobie!

Czy Nieba będą łaskawsze,
Czy losom dręczyć dozwolą,
Wspomnę sobie, jak ty zawsze
Dzieliłaś się moją dolą.

To wspomnienie i dziś nęci,
Bo mam w duszy przeszłość jawną,
Bo mi się marzy w pamięci,
Jak mię kochałaś niedawno!

Wieczór się szarzy, my sami;
Goreją wspólne zapały!
Cisną się piersi piersiami!
W ustach się dusze spotkały!...

Potem się nam przyszłość marzy,
Głowy się zlekka przykłonią,
Ona wzdycha... i po twarzy
Mięciuchną mię pieści dłonią!

Ach! kto przeżył taką chwilę,
Nie wart był życia zaczynać!
Na toż mnie kochałaś tyle,
Aby cię tylko wspominać?

Ty młodszych lat mych ozdobo,
Przerwałaś mi życia drogę;
Kochałem inne przed tobą,
Po tobie kochać nie mogę!

Tam dwa potoki na niwie,
Trzyletnim związkiem spojone,
Płynęły niegdyś szczęśliwie
Jedną wodą w jedną stronę.

Czy im wadzi kamyk mały,
Czy burza liściem przywali;
Tu porwały, tam mruczały,
I płyną dalej i dalej...

Wtem czwarta wiosna nastała.
O! groźne niebios wyroki!
Bije piorun, rwie się skała,
Pada i dzieli potoki!

Ostatni cię raz widziałem!
Żal ostatnie tłumił słowa;
Czemuż, czemu nie skonałem,
Mówiąc ostatnie:—bądź zdrowa!

Wróciłem do domu, jakby umarły dla świata. Jadąc, jak zawsze, przez Szulajki, opowiedziałem moje pożegnanie Krzywicz przed siostrami, które utaiły przed naszym ojcem zamiar, z jakim tam jechałem.

Co do zjazdów moich w Ostrogu, te w tym 1824 roku jeszcze podwakroć powtarzały się, zawsze bez uczestnictwa podkomorzego ostrogskiego. On z pełną ufnością niby polegał na mnie co do spełnienia prawnych formalności, a zawieszał czynny swój wpływ aż do ostatecznej w roku następnym 1825 decyzyi. Pomnę, że w ciągu tych samotnych zjazdów moich, doznawałem zawsze wiele grzeczności od księcia Karola Jabłonowskiego. Był to człowiek pełen nauki i odznaczał się przez czystą piękną wymowę tak w polskim, jak we francuskim języku. Pożyczał mi z biblioteki swojej rozmaite zajmujące dzieła i często zapraszał mnie na obiady. Raz przed południem byłem z nim i z jego synem

w jego sypialnym pokoju, gdzie okno śród pogody było do ogrodu otwarte, on dostrzegł na jarzębinie kilka ptaszków, schwycił stojącą przy łóżku dubeltówkę i wystrzelił. Syn jego wskoczył przez okno do ogrodu i przyniósł dwie jemiołuchy. Książę odesłał je do kuchni, a w końcu obiadu jadłem po raz pierwszy ten zachwalony przez gospodarza specyał. Istotnie jemiołucha odróżnia się wybornym, delikatnym smakiem od innego ptactwa; przypomina cokolwiek wątrobę szczupaka.

Raz wracając z Ostroga do domu zwykłym traktem na Połonne, wstąpiłem o południowej porze do Hamerni, tak nazwanej części miasteczka, gdzie mieszkał pan Tadeusz Walewski. Nie pamiętam, czy ten motyl przez ciąg całego życia już był ożeniony z Anną Karwicką z Mizocza, godną lepszego losu, to pomnę tylko, żem zastał tam znanego mi w Krzemieńcu bogatego Izydora Sobańskiego z Podola, który był ożeniony z córką senatora, Seweryna Potockiego, której miniaturę cudnie piękną on mi niegdyś pokazywał w Krzemieńcu. W Hamerni byłem na obiedzie. Gdy we trzech siedzimy u stołu, Waleski zapytuje mnie, co z dzieł nowych a ciekawszych czytałem temi czasy?

— Mam —rzekłem—w żywej pamięci trzy francuskie tomiki, pozwolone do odczytania przez księcia Jabłonowskiego, pod tytułem „Pamiętników Francuza, księcia krwi królewskiej," którego nazwiska dziś nie pamiętam [1]), dość, że autor ów był krewnym Burbonów, a umierając, darował swój rękopis przyjacielowi, ten zaś w kłopotach później majątkowych sprzedał te pamiętniki księgarzowi. Owo dzieło, drukowane w Paryżu, rozeszło się po świecie. Szczególniej ono zajmuje nas Polaków, bo tam się wyjaśniają najrzeczywiściej miłosne intrygi tego z Francyi książę-

[1]) Książę de Lauzan.

cia z księżną Czartoryską, generałową ziem podolskich i jej miłostki z innymi dostojnikami krajów sąsiednich. Z czego widzimy — rzekłem — iż powodzeniu tego księcia francuskiego winna życie księżniczka Zofia Czartoryska. później ordynatowa Zamoyska. Napróżno potem książę Adam, syn generała ziem podolskich, broniąc sławy swej matki, jeździł do Paryża dla wykupienia reszty egzemplarzy, bo wkrótce wyszła z pod prasy druga edycya tych Pamiętników. W końcu, zapomniawszy gdzie jestem, robię tę nierozważną uwagę: Tak to niepewne jest pochodzenie znakomitszych rodzin naszego kraju!

Walewski dotknięty, wnet odezwał się, jakby za uderzeniem o stół nożyce:

— Zachciałeś pan czystych, anielskich obyczajów! Nigdzie ich nie było i nie będzie. To, co się zdarzyło w Warszawie, bywało i bywa po wsiach, z tą tylko różnicą, że u Czartoryskich i im podobnych jakiś książę wysokiego rodu tajnych łask ostatecznych doznawał, a u pani podczaszyny lub skarbnikowej byle gach.

Ukąsiłem się w język. Spostrzegłem się wówczas, żem był w domu syna księżniczki Lubomirskiej, która w panieństwie miała światu wiadome stosunki z młodym a czarującym pułkownikiem wojsk rosyjskich, konsystujących w Połonnem przed samym rozbiorem kraju, czego był dowód żyjący, a wkrótce umarły, przybyły na świat w trzy miesiące po jej ślubie z brygadyerem wojsk polskich, Adamem Walewskim, który, jako ubogi, lubo krewny wojewody sieradzkiego Walewskiego z Tuczyna, tym tylko wypadkiem księżniczki był ośmielony sięgnąć po jej rękę i posag, wynoszący ośmnaście milionów złotych. Matkę pana Tadeusza Walewskiego, po rozwodzie z jego ojcem, poślubioną generałowi rosyjskiemu Wittowi, u Wyleżyńskich poznałem roku 1818; na twarzy lat podeszłych były jeszcze ślady pięknych rysów.

Pomiędzy granicznemi z urzędu zjazdami, w chwi-

lach wolnych samotnego życia w Czeczelówce, notowałem sobie rozmaite zdarzenia domowe i okoliczne, które później stały sie materyałem do mego pisma pod tytułem: *Popiery znalezione.* Później, w lat nie pomnę ile, już w Ławrynowie wysłałem to pod prasę warszawską, zda się do dziennika pod redakcyą hr. Rzewuskiego. Umieściłem też tę ramotę w tomie III moich rękopisów prozą.

Przerzucając raz w Czeczelówce dawnej daty rozmaite ze mną korespondencye z czasów urzędowania mego w krzemienieckiej komisyi edukacyjnej, znalazłem, czegom nie szukał, list Francuza Burbelana, domowego nauczyciela przy dzieciach Seweryna Bukara. Ten Francuz, nauczywszy się języka naszego wedle prawideł gramatycznych, polubił go i pisywał niekiedy do mnie po polsku. W jednym z tych listów skłaniał i zachęcał, abym tłumaczył z prozy poetycznej na wiersz polski znakomite dzieło Fenelona znane światu p. t. *Les aventures de Telemaque, fils d'Ulisses.* Będąc potem w Wiszence u zacnej sąsiady mojej, miecznikowej Pieńkowskiej, dostrzegłem w otwartej z książkami szafce to dzieło Fenelona edycyi dawnej pod rokiem 1719, z rycinami. Gdym ją prosił o pozwolenie tej książki, ona rzekła:

— Panu wiadomo, że języka francuskiego nie znam, a syn mój Kamil miał tę książkę raz tylko w swych ręku, gdy na niej napisał imię swoje i nazwisko. On nie lubi bawić się literaturą. Proszę więc pana, abyś tę książkę raczył przyjąć odemnie na pamiątkę.

Podziękowałem ucałowaniem rączki pani miecznikowej i tę książkę mam dotąd u siebie. To dzieło już było mi znane, nie miałem go tylko u siebie. Teraz je w darze schwyciwszy, miewałem codzienną rozrywkę w samotnej codnia ciszy, rymować po polsku przygody Telemaka. Sporo postępowała zabawka moja. Dwie pieśni ukończywszy, posłałem je pod cenzurę uniwersalnej głowy przyjaciela

mego, Franciszka Rudzkiego. Ten po odebraniu mojej posyłki, w kilka dni wyjeżdżając z Krzemieńca na czas krótki do Warszawy, wziął z sobą owe dwie pieśni mojego tłumaczenia i w Warszawie dał je do czytania znanemu sobie, Michałowi Wyszkowskiemu, klasycznemu poecie, członkowi towarzystwa przyjaciół nauk, a mieszkającemu tam ciągle jako radca stanu w ministerstwie spraw wewnętrznych. Następnie dał je pannie Tańskiej i własnoręczne ich zdanie, otrzymane na piśmie, z pochlebną zachętą do ciągu dalszej pracy, przysłał mi, wróciwszy do Krzemieńca. Ten sąd literatów warszawskich o mojem tłómaczeniu wierszem Telemaka mam gdzieś pomiędzy listami Rudzkiego. W samotni mojej najmilej czas mi schodził w ciągłem towarzystwie Fenelona, a nawet później nie zrażał mnie ostry wyrok Adama Mickiewicza, potępiający tłumaczenie Felińskiego „Ziemiaństwa“ z Delila. I gdy miotano pioruny na klasycyzm, ja ciągle, unosząc się nad Telemakiem, dokończyłem sześć jego pieśni w Czeczelówce. Wprawdzie pozostało ich jeszcze trzy razy tyle nietkniętych piórem mojem. Wstrzymałem się z dalszem tłumaczeniem, nie przez uwagę, że za duchem czasu gust powszechny skierował się i u nas ku romantyczności, ale jedynie dlatego, że prawie wyłącznie mitologia w następnych pieśniach jest mi niesmakowną ich treścią. Tłumaczenie moje sześciu pieśni Telemaka umieściłem w tomie II pism moich wierszem, a nigdzie nie dawałem ich do druku.

W tymże 1824 r. smutną z Szulajek od sióstr odebrałem wiadomość, że ojciec nasz silnie zachorował. Wyjechałem tam natychmiast. Nie zastałem chorego w domu, leżał w Romanowie, u doktora Dżakomelego. Udałem się do Romanowa. Zastałem ojca w wielkiem osłabieniu, mocno zmienionego. Przyczyną tej niemocy było rozdrażnienie nerwów.

Ojciec mój był u senatora Ilińskiego w tym dniu,

kiedy miały odbyć się obłóczyny panny młodej, pięknej a posażnej, wstępującej do zakonu Wizytek, dla których senator fundował w Romanowie wspaniały kościół i mury klasztorne. Ostra klauzura nie dawała przystępu mężczyznom do mieszkania Wizytek, ani do ich kościoła. Od tego prawidła wyłączał się fundator i miał prawo mieć z sobą towarzysza; tym przy wspomnianych obłóczynach był mój ojciec. Dziewica jeśniejąca urokami dla świata, wyrzeka się wszelkiej ułudy, wszelkich z ludźmi stosunków. Obfity dla ambony przedmiot ku zdeptaniu wielkości ziemskich, a podniesieniu zasługi owej aspirantki w kwiecie wieku, Bogu tylko oddanej.

W ciągu ceremonii piękną dziewicę, leżącą u stóp ołtarza, jako już umarłą dla znikomych przynęt, okryto śmiertelnym całunem, a gdy zakonnice w chórze zebrane modlą się jakby za jej duszę, ukryta w dali orkiestra daje się słyszeć tak rzewną a przytłumioną melodyą, że aż do łez porusza. Ojciec mój, tym całym aktem tak silnie się przejął i osłabł w kościele, że z trudnością doszedł do karety, która go zawiozła do doktora. Środki, przez Dżakomelego użyte, dały mu po kilku dniach tyle siły, że mógł wrócić do domu mocno zmieniony i odtąd już z ciągłym na twarzy smutkiem.

W tych to czasach powziąłem był wiadomość z listu Rudzkiego, że pan Nowosilcow ma zjechać do Krzemieńca dla zwiedzenia liceum i dla rewizyi dzieł komisyi edukacyjnej.

Zarząd uniwersytetu z wiedzą kuratora swego, Adama Czartoryskiego, na podaną przezemnie prośbę, uwalniając mnie od urzędu przy komisyi edukacyjnej, nadmienił w piśmie swojem, że skoro odbierze od wchodzącego na ten urząd pana Ignacego Kozaczyńskiego wiadomość o przyjęciu odemnie całego archiwum funduszów edukacyjnych, przyśle mi świadectwo o mojej zasłudze. Wprawdzie mało dbałem o to, rad, że się wyrywam z pod ciężkiego jarzma

po trzyletniej pracy, ale ocknął mnie Nowosilcow. Przeglądając dzieła komisyi, mógł w czemkolwiek upatrzyć jakiś pozór do pretensyi ku zakłóceniu mojej spokojności. A przeto w czerwcu r. 1824 wysłałem prośbę do zarządu imperatorskiego wileńskiego uniwersytetu, której kopię mam jeszcze u siebie, z przypomnieniem owej obietnicy. Jakoż odebrałem, lecz nie prędzej aż dnia 24 marca 1825 r. datowane z Wilna, z podpisem pana Pelikana, jako zastępcy rektora uniwersytetu, świadectwo z uznaniem znakomitych zasług moich ku pomnożeniu funduszów wychowania publicznego, oblatowane później w ziemstwie nowogródwołyńskiem. Mam je u siebie.

W ciągu tegoż 1824 r. przybyli do mego ojca z powiatu Łuckiego oboje chorążostwo Teleżyńscy, z jednym synem, z córkami, z zięciem a bratem moim i z wnuczką, wówczas ośmioletnią Kasyldką, dzisiejszą Leonową Konopacką. Wówczas Kasyldka została w Sewerynach u Marcelinostwa Budzyńskich, ażeby łącznie z ich trzema córkami pobierała wychowanie. Te nawiedziny familijne, trwające przez dwa tygodnie u mego ojca, gdzie i ja kilka dni bawiłem z przyjemnością, stały mi się pamiętne ztąd mianowicie, że po odjeździe tych miłych gości, miałem z kochanym ojcem ważną dla mnie rozmowę.

Mój ojciec dostrzegał, że z pomiędzy trzech panien Teleżyńskich, Olimpii, Pauliny i Sabiny, najczęściej z tą ostatnią rozmawiałem. A ponieważ z twarzy była bardzo ujmującą, kochany ojciec, troskliwy o moją przyszłość, zrobił mi sam na sam uwagę:

— Pamiętaj, synu, moje słowa: Sabinka bardzo miłe dziewczę, ale gdybyś miał z nią się ożenić, mogłaby słusznie dać ci uczuć, że ty mało mając, nie powinieneś był z taką łączyć się osobą, która nic nie ma; bo miłość na śniadanie, miłość na obiad i wieczerzę okropnie dokuczy bez chleba. Związek małżeński jest święty, i dlatego trzeba przed zawarciem go pomnieć, że obok słodyczy zgodnych uczuć

są konieczne warunki, stanowiące ich trwałość, to jest, chcąc sobie zapewnić spokój domowy, potrzeba mieć niezawodne środki utrzymania się w przyzwoitości, do czego się przywykło, a potem środki na wychowanie dzieci. Mówię to dlatego, ażebyś, uchowaj Boże, nie uległ słabości rozmiłowania się w pannie Sabinie. Ona dostać się powinna bogatszemu, niż jesteś ty. Proszę cię i zaklinam pod ważnością mego błogosławieństwa, ażebyś nie zamyślał oświadczać się o jej rękę. Ja nie mam drugiej Hołuzyi, ażeby ją dać pod prawo zastawy, jakem dał Antoniemu, a na małej dzierżawie dla ciebie samego wystarcza, a dla dwojga, byłby niedostatek i ztąd nieszczęście. Ot, w sąsiedztwie jest zacny dom podkomorstwa Piotrowskich, którzy nam serdecznie sprzyjają. Życzyłbym sobie dla twojego dobra, ażebyś starał się o rękę ich córki, panny Aleksandry. Nie jest ona pięknością. Ależ trzeba ci wiedzieć, że w żonie ten przymiot prędko powszednieje. Zato słyszę wielkie pochwały o jej łagodności, dobroci i pięknego wychowania, a przytem będzie tam i posag jakiś.

Ucałowałem rękę czcigodnego ojca i rzekłem:

— Stosownie do tych drogich dla mnie uwag, upewniam kochanego ojca, że o rękę panny Sabiny starać się nie będę. Lecz co do panny Aleksandry Piotrowskiej, sam przyznaję te wszystkie zalety, o jakich powszechnie słychać, i bywając w Bratałowie u jej rodziców, widzę to, że ona słodyczą swego charakteru i ukształceniem umysłowem zdolna jest kogoś uszczęśliwić; ale co począć z tem, że nie mogę wzbudzić w sobie ku niej skłonności?

— Jeśli tak jest—przerwał mi ojciec—żałuję, że o ile ona nie tobie się dostanie, o tyle nie życzę sobie wcale, ażebyś bez względu na los całego życia gwałt sobie zadawał?

Wyszedłem od ojca do pokoju sióstr i przed niemi powtórzyłem całą z nim rozmowę.

W tym dniu przybyła tam na poobiedną herbatę sąsiadka, pani Kondracka, przed którą siostry moje na osobności, pod wielkim sekretem, opowiedziały wszystkie stanowcze słowa moje o pannie Sabinie i o pannie Aleksandrze. Potem, ta wyborna do sekretu sąsiadka, uznała za rzecz najpilniejszą pojechać do Bratałowa, ażeby także pod sekretem szepnąć to przed poważną panią podkomorzyną. Następnie, zdawało mi się, że bracia tej panny, prezes Eligi i chorąży Konstanty, zaczęli ostygać w stosunkach ze mną. Ale później i przez resztę ich życia inne powziąłem o nich przekonanie, okazywali bowiem liczne dowody niezachwianej, a drogiej dla mnie przyjaźni.

W czasie bytności mojej w Ostrogu drogi ojciec powtórnie zapadł na zdrowiu. Gdy z tej podróży wracałem do domu, wstąpiłem, jak zawsze, do Szulajek i zastałem ojca wprawdzie z wyrazem w twarzy przecierpianej choroby, ale w stanie wyzdrawiania; już bowiem zaczął przechadzać się po pokoju. Często nawiedzał go doktór Dżakomeli.

Nazajutrz po mojem przybyciu potrzebna była wiadomość, czy mój ojciec ma powtórzyć wyżyte lekarstwo. W miejsce zapytania listownie, pojechałem do Romanowa, ażeby naradzić się z doktorem. Nie zastałem go w domu, był u senatora. Zajeżdżam do pałacu. Przechodząc dolne apartamenta i przez zieloną mozaikową salę, zastaję tam malarza za sztalugą i paletą w ręce; kopiował jedno z arcydzieł artystów. Powitałem go ukłonem i z wielką przyjemnością czyniłem ciche porównanie kończącej się kopii z oryginałem i najrzetelniej przyznałem jej zupełną trafność. Na górze już doktora nie było, wyszedł był przed chwilą. Senator bardzo troskliwie zapytywał o zdrowie mego ojca. Wspomniałem mu o niezłym malarzu na dole, a on przyznając mu wielkie zdolności, dodał:

— Gdybyś, kochanku, widział portrety jego

pendzla, zdziwiłbyś się nadzwyczajnej trafności. Ten młodzieniec w Rzymie lub Florencyi mógłby na wielkiego wyjść artystę.

Wnet przychodzi mi myśl portretowania mego ojca i mówię o tem senatorowi.

— O, wezwij go, kochanku, wezwij go po to; bo też tak poczciwych ludzi powinna w portrecie pozostać pamiątka.

Wracając z góry, zamówiłem malarza do tego portretu. Oświadczył mi, że dziś nawet może pojechać. Jednak bez zezwolenia mego ojca nie śmiałem brać go z sobą.

Odszukany doktór polecił powtórzenie ordynowanego lekarstwa, z którem wróciwszy do Szulajek, nadmieniłem ojcu o poznanym tam malarzu, panu Marcinkowskim, i powtórzyłem rozmowę z senatorem co do portretu ojca.

Na to ojciec rzecze:

— A na cóż komu przyda się twarz schorzałego starca?

Musiałem skłamać, ażeby się powiodło otrzymanie portretu. Wiedząc, jak ojciec poważa senatora i jak wierzy w jego życzliwość, powiedziałem, że senator pragnie mieć dla siebie kopię portretu.

— Kiedy on chce tego, to poślij, synu, po malarza.

Niewyprzęgany faeton, którym jeździłem, potoczył się natychmiast o małą milkę do Romanowa. Malarz tegoż dnia zaczął portret mego ojca przebranego w błękitny kontusz i atlasowy biały żupan ze złotolitym pasem i z karabelą przy boku, jak zwykł był jeździć na bale lub z etykietalną wizytą, a nazajutrz, z nadzwyczajnem podobieństwem, tylko z posępną, jak była, twarzą, portret był skończony. Wielką to sprawiło radość całej naszej rodzinie. To oryginalne malowidło dostało się starszemu bratu memu, Antoniemu, do Hołuzyi; lecz pierwej wezwany inny malarz zdjął jego kopie: dla mnie jedną, dru-

gą dla brata Franciszka, a trzecią dla siostr naszych.

U ś. p. brata Antoniego, widziałem w 1857 r. ten portret w poszanowaniu. Spodziewam się, że i dzieci jego umieją cenić tę drogą pamiątkę.

W Gizowszczyznie ś. p. brat mój, Franciszek, poczciwą, synowską mu cześć oddawał, chlubiąc się przed światem wizerunkiem ojca. O potomku zamilczeć wolę, bo też dziś, gdy to piszę, litość wzbudza tylko! ..

U mnie ten portret jest jakby paladyum domowe, na które nie śmiałbym spojrzeć, gdybym, uchowaj Boże, był na sumieniu nieczysty. Te drogie dla mnie rysy przypominają wysoką szlachetność ducha, który je ożywiał, i są stróżami prawości.

W Czeczelówce, wśród chwil swobodnych, zabawiałem się niekiedy i sam malarstwem olejnem. Nie przyznaję sobie wcale daru z natury do sztuk pięknych. W malarstwie wyżej się nie wzniosłem, jak do kopiowania i to nie przez wrodzoną do pendzla zdolność, tylko jedynie przez wytrwałą cierpliwość Trochę postępu w muzyce, trochę w malarstwie, podobnie jak w chwili natchnienia jakabądź próbka w poezyi, co każde zosobna nazywają Francuzi *un demi-talent*, stają się najmilszą dla samotnika na wsi rozrywką i więcej mu ważą nad jakieś huczne towarzystwo, tak on przy wspomnianych półdarach umie sam sobie wystarczyć. Gdym jeszcze samotnie mieszkał w Czeczelówce, nie pomnę zkąd mi się był dostał obrazek N. Panny z dzieciątkiem Jezus na ręku, w maleńkim formacie, wielkości dłoni. Był to sztych na stali wybornego rylca. Postanowiłem zdjąć jego kopię w rozmiarze ćwiartki wielkiego arkusza. Miałem potemu świeżo sprowadzone ze Lwowa olejne farby w pęcherzykach, z całym przyborem najlepszych pendzli. Ażeby nadać malowidłu memu pozór dawności starożytnej, użyłem na to tła tak ciemnego, że przezroczyste farby, jakkolwiek nakładane, tła nie przemagały.

Skończyłem tę kopię i porównywam ze sztychem, gdy nadjechał do mnie brat mój cioteczny, Ignacy Budzyński.

Ujrzawszy to malowidło na sztaludze jeszcze, zaczął najusilniej prosić, ażebym je ofiarował do jego kaplicy domowej w Wyszczykusach. Dodał później piękne, szerokie ramy pozłacane i w kaplicy przy ołtarzu moją ofiarę zawiesił.

Matka jego, Budzyńska, mojej rodzona siostra, żyła jeszcze wówczas. Gdy raz wezwany do niej z Romanowa doktór Dżakomeli tam nocował, a nazajutrz, jako w niedzielę, była msza św. w kaplicy, mój obrazek zwrócił uwagę Włocha. Po nabożeństwie zaczął przypatrywać się zblizka i zapytuje Ignacego, zkąd ma to stare malowidło? Ten, podtrzymując go w błędzie, powiedział, że jest to drogi zabytek po jego pradziadzie, któremu za czasów Rzeczypospolitej dostał się ten obraz, dany na pamiątkę od nuncyusza w Warszawie.

Doktór na to:

— Widocznie jest to dawne malowidło włoskie.

Wówczas Ignacy zdejmuje z haka ów obraz, odwraca go i daje Włochowi czytać taki na płótnie napis: „Malował Szymon Konopacki r. 1824.“

Zdziwił się, żem go tak oszukał udaniem owej dawności, a pewnie było cokolwiek i wstydu, że on, zawołany znawca malarstwa i mający u siebie kilka wzorowych malowideł, wziął kopię za jakiś oryginał włoski.

Później, w lat kilkanaście, pragnąłem zobaczyć tę moją robotę. Ignacy powiedział mi, że gdy w Wyszczykusach już nie było kaplicy, on na usilne nalegania szwagra swego, Aleksandra Ilińskiego, oddał moją Matkę Boską do jego kaplicy w Załużu. Następnie, po śmierci tych obu szwagrów, starałem się o zwrot mego obrazu przez syna Ignacego, a mojego zięcia, Michała Budzyńskiego, ale naprożno!

Wieś Załuże, już z pewnością nie wiem, czy od sukcesorów Aleksandra Ilińskiego przeszła w obce ręce, czy który z nich posiada ją jeszcze, dość na tem, że tam kaplicy już niema i mój obraz N. Panny zaginął bez wieści.

Zapomniałem zamieścić tu wspomnienie, że w styczniu 1824 roku Kazimierz Budzyński żażądał odemnie, ażebym mu towarzyszył w podróży do Kijowa na kontrakty. Była to wygodna podróż karetą na kołach, bo śnieg zapomniał o zimie. Kazimierz nie miał najmniejszego interesu do załatwienia. Jechał tam jedynie dla zbiegowiska z trzech naszych gubernij i że lubił zgiełk światowy ze wszelką jego rozmaitością ponęt, przywiązujących do życia.

W Kijowie, skoro powzięliśmy wiadomość o przybyciu na kontrakty państwa Józefostwa Malinowskich, udaliśmy się z wizytą wieczorną. Ona sama jeszcze z twarzą świadczącą o wdziękach przygasłych, z pewnym i wówczas powabem, którą świętoszek nazwałby grzeszną zalotnością, umiała ująć każdego grzecznością i właściwem przymileniem. Byłem powitany uprzejmie. Rok minął od ostatniego widzenia się naszego w Krzemieńcu, a piękna kobieta nie raczyła zapomnieć mnie jeszcze.

Wśród towarzystwa kilku osób, gdym usiadł przy niej i zacząłem pytać o niektóre domy w Krzemieńcu zamieszkałe, ona mi przerywa:

— Ale, ale! Wróć mi pan dwa dukaty, które z łaski jego straciłam!

— Gdzie? za co?

— Tu, na kontraktach. Oto, zachwalałeś pan przedemną powieść Kropińskiego, p. t. *Julia i Adolf*. Polegałam na zdaniu pana i kupiłam teraz te dwa tomy nudnych, jak lukrecya, listów romansowych. Przedmowa zachęca, bo śmiało zapowiada, że jest to jakby polska *Nowa Heloiza*. Ale czy pan uwierzy, że zabrakło cierpliwości, ażeby do końca doczytać, tak nieznośna, tak usypiająca jest w tem monotonia.

Zdaje się, że nie mogłabym nigdy pokochać tak ciągle jęczącego Adolfa. Nieustanne ach! i ach! To dzieło podobne jest do obiadu, na którym nie podano ani żadnej zupy, ani kawałka mięsa posilnego, tylku cukierki po cukierkach, aż do końca. Nad czemże tu płakać? chyba z zawodu po takiej przedmowie. Wydziwić się nie mogę; żeś pan łzy wylewał! Czem tam pani Wielhorska tak mocno się przejęła, że słuchając czytania tej powieści, zemdlała biedaczka!

— Wytłómaczę przed panią — rzekłem jej — wzruszenie, doznane przezemnie. Oto gdy w towarzystwie dwóch innych, znanych może pani, Stanisława Worcella i Konstantego Piotrowskiego, byłem u autora w Krzemieńcu, on po krótkiem opowiedzeniu treści swego dzieła, czytał nam niektóre wybrane tylko listy, bardziej efektowne, a miły, przytłumiony potemu organ jego mowy, wiele zapewne wpływał ku wzbudzeniu silnego wrażenia, i żaden z nas trzech nie mógł mu się oprzeć. Też same powody działały na panią Wielhorską, gdy na wieczorze u jej siostry, starościny Czackiej, słyszała autora czytającego niektóre ustępy z tej powieści mocniej wzruszające. Mnie się widzi, że Kropiński zaszkodził sobie przedmową. Lubo on w niej nie powiedział, że powieść jego będzie zachwycać jak *Nowa Heloiza*, lecz tylko, że chce przekonać ziomków, iż język nasz da się użyć do wyrażenia najsilniejszych uczuć, jak je maluje w swoim filozof genewski, ale dość było na tem, aby czytelnik, tak uprzedzony przedmową, przygotował się do cudu nad cudami w literaturze. Na poparcie mego zdania przywiodę pani los jakiejbądź panny zbyt głośnej z piękności. Zdarza się, że ktoś o niej zanadto uprzedzony, szuka, aby ją ujrzeć, już gotów ugiąć przed nią kolano. Ujrzał... i drugim powiedział: — A cóż tu w niej nadzwyczajnego? Każdy bowiem, zbyt uprzedzony, w przedmiocie jakiejbądź

chwały, umie w swej wyobraźni utworzyć sobie ideał wyższy nad rzeczywistość, jaka być może, i dlatego istotna nawet piękność, po uprzedzeniu o niej, już nie zdoła uderzyć i zająć.

Dotąd, zda się, nie wspomniałem nigdzie o mojej dokuczliwej głuchocie, a przecież od roku 1816 po rok 1837, to jest przez lat 21, trwała uporczywie. Powód tego utrapienia był taki: W roku 1815, będąc z Ignacym Budzyńskim w Przewałówce, u stryjecznego brata jego, Marcelina, w piękny dzień letni; poszliśmy oba z fajkami do ogrodu na przechadzkę. Tam, gdzie staw przytykał do ogrodu, były w jednem miejscu położonę u brzegu dwie forszty dość szerokie, oparte na belkach, a sięgające aż do głębi stawu, gdzie półbeczki z ogórkami zatapiano. Ignacemu przyszła myśl korzystać z tych forszt, przejść po nich dalej i usiąść, aby nogi moczyć. Łatwo nam było tę myśl spełnić, bośmy byli w trzewikach; zdjąwszy je i pończochy, spuszczamy nogi w wodę i gawędzimy, fajki po fajkach nakładając. Nazajutrz, uczułem strzykanie w uszach, a wkrótce poformowały się w nich wrzody. Poczciwa żona Ignacego, litując się nad mojem cierpieniem, w tymże 1815 roku przysłała mi czapkę własnej roboty, porządnie watowaną, abym, chroniąc uszy od zaziębienia, bez niej nigdzie nie wychodził. Dziękując za jej troskliwość o moje zdrowie, dodałem w liście wierszyki, których dziś treść tylko pamiętam; była to ogólna pochwała czapek w rozmaitych życia potrzebach, pomiędzy któremi i to przywiodłem:

Że gdy żona gderliwa, mąż jej niewesoły,
Wciska czapkę na uszy, zmyka do stodoły.

Ale owa gderliwość bynajmniej do niej się nie stosowała. Znana była zacność jej charakteru, przy łagodnej powolności temperamentu.

Moja watowana czapka służyła mi w podróży

do Warszawy pod koniec 1815 roku. Tam w roku następnym odezwały się znów boleśne strzykania w uszach, może dlatego, że bez względu na zimno, stosując się do mody, w miejsce czapki, nosiłem kapelusz. Doradził mi warszawski doktór, Hincel, mieszkający blizko mojej kwatery na ulicy Lesznie, środek domowy ku mojemu w bólach ulżeniu, aby nad parą zgotowanego w mleku rumianku, za pomocą lejka, ogrzewać uszy, Strzykanie wprawdzie ustało; ale odtąd wzmagał się szum w uszach, do tego stopnia, że po pewnych latach, gdy obiad jadłem, wówczas choćby nawet z armat strzelano, nie posłyszałbym huku, a przytem ciągle doznawałem bólu gardła, w którem silne było zapalenie. Kurował mnie na te cierpienia z wielką pilnością przez trzy lata doktór Karol Kaczkowski w Krzemieńcu. Rozmaitych on doświadczał środków, to pigułkami oczyszczając żołądek, to ramiona moje okładając najmocniej raniącem wilczem-łykiem, od czego dotąd pozostały blizny, to robiąc mi na karku zawłokę z jedwabnego sznurka, który codziennie z wielkim bólem moim przeciągał; to stawianiem mnóstwa pijawek. Nic przecież nie pomagało: szum wielki w uszach i ból gardła nie ustawały. Gdym, wyjechawszy z Krzemieńca, zamieszkał w Czeczelówce, miał mnie w swoich ręku i cudowny dla innych Michałko Wojciechowski. Wieś Plachowa, której połowy, za sprawą biegłości w medycynie, on był dziedzicem, równie jak drugiej wsi Pisarówki, była o półtory mili odemnie, jakże nie miałem korzystać z tak blizkiego ze sławnym doktorem sąsiedztwa? Michałko nie pożałował pigułek: kazał mi ich zażywać po dwanaście cztery razy na dzień, co wynosi dziennie 48. Zapchał mi uszy jakiemiś pachnącemi pigułkami, polecił kąpiele w szczawiu dzikim.

Po wyżyciu znacznej części stoja pigułek, wypadło mi być w Krzemieńcu. Kaczkowski, dowiedziawszy się odemnie, że biorę kuracyę u Michałka,

z ciekawością zajrzał do recepty, a znalazłszy, że do pigułek wchodziła w wielkiej proporcyi jadowita roślina *cicuta virosa* i *antimonium orudum*, zawołał z oburzeniem, że to jest końskie lekarstwo, że wydziwić się nie może, iż wyżywszy już tyle, jeszczem się nie otruł, i usilnie nalegał, abym tego lekarstwa zaniechał. Uwierzyłem Kaczkowskiemu, bo też później okazało się, że żadne specyały apteczne na mój szum w uszach i ból gardła skutkować nie mogły. O tej głuchocie mojej jeszcze wspomnę nieraz w miejscach na to właściwych.

Pod koniec kwietnia tegoż 1825 roku, wieczorem, gdy mi podano wieczerzę, a deszcz trwał ulewny od rana, posłyszałem, że ktoś zajechał przed ganek. Poświecił lokaj w sieniach. Jakież było moje zdziwienie, gdym ujrzał wchodzącego do pokoju pana Kazimierza Karwickiego z Mizocza. Był on dobrze mi znany z czasów urzędowania mego w komisyi edukacyjnej, gdzie był członkiem tylko honorowym. Widywaliśmy się nieraz na tamtejszych zgromadzeniach i balach. Zapraszam go do zastawionej już wieczerzy, a gdyśmy usiedli za stołem, mówię mu, że on zapewne w podróży swojej przypadkiem zabłądził do mnie:

— O! bynajmniej! owszem bardzo szczęśliwie trafiłem do pana podkomorzego, jadąc tu umyślnie z Żytomierza. Przebacz, panie, że nie odnosząc się wprzód do niego, wyrobiłem sobie ukaz sądu głównego, abyś ty, panie podkomorzy, a nie kto inny, osądził moją sprawę graniczną ze znanym panu pieniaką, Kajetanem Witosławskim. Pan pamiętasz sprawę jego z Rakowskim w komisyi edukacyjnej o to, że bez wiedzy tej juryzdykcyi zrobił zamianę z Rakowskim: dał mu wieś piękną na Podolu za Surażczyznę, a potem chciał, aby komisya unieważniła ich tranzakcyę, od której i podatki już były opłacone. Panu wiadomo, że Surażczyzna, majątek po-jezuicki, była własnością ś. p. ojca mego, który zbył ją Kru-

kowieckiemu, a ten, wydając córkę swoją za pana Rakowskiego, dał mu Surażczyznę w posagu. Dziś pan Witosławski, ufny w protekcyę rządu, jako dla majątku po-jezuickiego, od którego znaczna jest opłata na fundusz edukacyjny, rozpoczął proces ze mną o wielką część lasu, jakoby niegdyś zagarniętego do stykających się lasów mizockich. Otóż taki jest cel mojego tu przybycia, abyś, panie. raczył nie odmówić mi zjazdu swego. Racz, podkomorzy, oznaczyć termin swego przybycia do Mizocza, gdzie mój plenipotent będzie pana oczekiwał, a odemnie pojedziesz z nim do powiatu Krzemienieckiego, do wsi Suraża.

— Od obowiązku urzędu wymawiać się nie mogę, a co do terminu przybycia mego, dam panu wiadomość urzędową z Ostroga, gdzie zjadę dla kończenia sprawy granicznej w przyszłym maju pomiędzy senatorem Ilińskim a księciem Karolem Jabłonowskim.

Karwicki dał mi przywieziony z Żytomierza ukaz sądu głównego, przenocował u mnie i nazajutrz wyjechał.

W początkach maja 1825 roku, spełniając w dalszym ciągu rozpoznanie sprawy w Ostrogu, bez uczestnictwa kolegi podkomorzego ostrogskiego, prowadzony bylem przez umocowanych tak od senatora Ilińskiego, jako też od księcia Karola Jabłonowskiego, liniami odpowiednemi ich zasadom, dla udowodnienia granicy pomiędzy miastem a przedmieściami. Duktem przecinano w połowie oranżeryę w ogrodzie księcia Jabłonowskiego. Odkopywano mi fundamenta kamienne upadłego oddawna muru, który niegdyś otaczał samo miasto, począwszy od bramy zwanej Łucką, sterczącej jeszcze w przedwiecznym architektury stylu, gdzie umocowany senatora okazywał i dokumentami miał udowodnić, co istotnie było miastem w siedemnastym wieku podczas działu pomiędzy Aleksandrem i Januszem książętami Ostrogskimi, a tem samem, że co było za tym obwodem mia-

sta, zwało się zawsze przedmieściem, które z prawa, służącego senatorowi, jego jest własnością. Wniosek ten ze strony powodowej odejmował księciu Jabłonowskiemu połowę miasta. Potem w dalszym dukcie płynęliśmy w czółnie z biegiem rzeki Wilii, wpadającej za Ostrogiem do rzeki Horynia. Strona zaś pozwana, protestując w każdym punkcie przeciw powyższemu duktowi, wskazywała linię graniczną wedle praw obu stronom służących, w miejscowościach dotąd używanych, co zwało się w prawie reduktem.

Wciągnąwszy do protokułu mojego wskazane granice tak z jednej, jak z drugiej strony, wezwałem partykularną odezwą podkomorzego ostrogskiego, aby zjechał dla łącznego ze mną sądzenia tej sprawy. Pan Faustyn Szczepkowski, zawsze wymawiając się jakiemś ważnem zajęciem, i teraz listem przeprasza, iż nie prędzej do Ostroga zjechać może, jak za pięć dni. Rad nierad, muszę czekać na jego przybycie. Tymczasem zjawił się w mieście mój znajomy, obywatel powiatu Ostrogskiego, Aleksander Iliński, szwagier mego ciotecznego brata, Ignacego Budzyńskiego, a dowiedziawszy się, że tam jestem, był u mnie z tą propozycyą, abym na te kilka dni jechał z nim do jego Załuża. Znałem godną szacunku żonę jego, z domu Szczawińską, znałem córki, już panny na wydaniu, i najstarszego syna Antoniego, który po wypadkach 1831 roku dostał się do Konstantynopola, a później, sturczywszy się, dał sobie nazwanie od imienia ojca swego Aleksandra, *Iskinder*, i pod tym tytułem znany był światu bejem, a w końcu baszą, głośnym w wojnie krymskiej. Chętnie zgodziłem się na propozycyę Ilińskiego. Wsiadam w jego powóz, a mój szedł za nami.

W trzymilowej podróży towarzysz mój, niewyczerpany w przedmiotach ciągłej rozmowy, zapytał mnie:

— Czemu się nie żenisz, kochany Szymonie?

— Na to — rzekłem — treściwą dam ci odpowiedź: Tam, gdzie sobie życzyłem, znalazły się trudności, a gdzie może otrzymałbym łatwość, tam nie mogę.

— Powiedz mi jaśniej, dlaczego nie możesz?

— Oto masz jaśniej: moje mało, co posiadam, wystarcza dla mnie jednego, a dla dwojga z przybytkiem, za wolą Boga, już to moje mało, byłoby niedostatkiem.

— Rozumiem! to jest chcesz, i to słusznie, aby twoja żona miała jakiś posażek. Słuchaj, Szymonie! Ja ciebie ożenię. Wprowadzę cię w dom starożytny, gdzie wiem z pewnością, że ich jeszcze nie znasz, a przecież tam wspominano mi o tobie. Jest tam dwoje tylko dzieci: syn w liceum krzemienieckiem i córka na wydaniu; dadzą ci posagu dwakroć sto tysięcy.

— Choćby rubli srebrnych, nie złotych, to mnie tam nie ożenisz, bo ja się nie sprzedam. Córka zamożnych rodziców, jeśli łatwą jest do wzięcia dla mnie, pewnie już przekwitła w panieństwie, albo szpetna, ślepa lub kulawa.

— Źle o mnie sądzisz! Jabym cię do takiej nie prowadził. Ona żadnych podobnych przywar nie ma. Co do wieku, nie więcej ma pewnie jak lat osiemnaście. Nie jest ona pięknością, przecież umiała podobać się dwom dość majętnym młodzieńcom, których staraniom odmówił jej ojciec, a jako człowiek rozsądny, lubo z imienia swego trochę dumny, tobie nie odmówi. Ja biorę to na siebie. Ztąd niedaleko, dom ci nieznany podkomorstwa Łazińskich w Korostowy.

Podziękowałem za jego życzliwość i dodałem:

— Zostaw mnie w pokoju; już mnie zmordowały starania. W tym roku skończę lat 35, czas już sercu odpocząć, i widzę to, że przeznaczeniem mojem jest zostać bezżennym.

— Kawaler w latach twoich już się nie stara

o żonę, lecz go przyjaciele żenią. Zdajże to na mnie, a ja nie dopuszczę, abyś tam przysiadywał faldów. Powiozę cię tam, poznasz rodziców i pannę i w dniu jednym skończyć się może: *tak* lub *nie* i basta.

— Zgadzam się na ich poznanie, bo mój ojciec wspominał mi chlubnie o panu Łaznińskim, którego poznał w Romanowie. Mogę więc pojechać z tobą do Korostowy, ale nie teraz. Wrócić mam do Ostroga, gdzie pomówię z panem Faustynem Szczepkowskim, jako moim kolegą, o dekrecie w sprawie granicznej, czy on zechce go pisać, czy mnie to zostawi, jak dotąd, w tej sprawie sam wszystko załatwialem. Slowem, przed ogłoszeniem tego dekretu nie pojadę z tobą do państwa Łaźnińskich.

— Na to zgoda! Ja ich tymczasem uprzedzę o twojej tam ze mną zamierzonej wizycie i pewnie radzi cię powitają. Mam jeszcze interes, dla którego wrócę z tobą do Ostroga. Po konferencyi twojej ze Szczepkowskim powiesz mi, jaki naznaczycie termin czytania waszego dekretu; wówczas będę w Ostrogu i razem pojedziemy do Korostowy.

Uśmiechałem się zawsze na to jego dziewosłębstwo, najmniej podobne do powodzenia. Pozwalałem mu jednak stawiać te zamki na lodzie.

Po dniach oznaczonych wyżej wracam z nim do Ostroga. Tu zastałem już pana Szczepkowskiego, który natychmiast przyszedł do mnie. Aleksander Iliński wyszedł na miasto, a pan Szczepkowski, przeczytawszy cały protokul moich czynności bez niego z duktem i reduktem, gdy spojrzał na otwartą skrzynkę starych dokumentów, ze strony powodowej złożonych, odezwał się w te słowa:

— Jest tu nad czem posiedzieć. Jeśli mamy we dwóch czynić przegląd tych papierów, wypadałoby tu nam pozostać czas jakiś, co nie byłoby nam obu dogodnie. Zdaje się, że najlepiej będzie, gdy pan, co już tyle zrobiłeś, raczysz i dalej trudu nie

odmówić. Ja z całą ufnością polegam na rzetelności wywodu, jaki z tych dokumentów i obrony strony pozwanej uczynić raczysz. Zabierz pan tę skrzynkę do siebie na wieś, a teraz proszę tylko oznaczyć termin, na który dekret w tej sprawie pan wygotować możesz. Zjedziemy się wówczas w Ostrogu dla ostatecznej konferencyi.

Pomyślawszy trochę nad mnóstwem dokumentów, które w edukcie przed wyrokiem potrzeba przejrzeć i zacytować, a zarazem mając w pamięci zjazd mój z ukazu w powiecie Krzemienieckim do spełnienia wprzódy, nim nastąpi czytanie dekretu w Ostrogu, powiedziałem panu Szczepkowskiemu, że prędzej nie mogę wygotować dekretu na zasadzie tak licznych papierów, jak na dzień 26 listopada bieżącego 1825 roku. Zgodził się na to mój kolega i przyrzekł już koniecznie na ten dzień przybyć do Ostroga. Skoro mnie pożegnał, zasiadłem pisać na pocztę dubieńską do Mizocza, pod adresem pana Kazimierza Karwickiego, urzędowe obwieszczenie, że z mocy ukazu sądu głównego naznaczam zjazd mój podkomorski do Suraża na dzień 16 listopada. Wnosiłem bowiem za rzecz pewną, że nim nastąpi czytanie dekretu w Ostrogu, dziesięć dni będą dostateczne do osądzenia sprawy Witosławskiego z Karwickim. Aleksander Iliński wrócił do mnie z miasta, gdy już pieczętowałem ekspedycyę do Mizocza.

Bada, do kogo to wysyłam, a dowiedziawszy się o adresie i że naznaczyłem zjazd mój do Suraża w sprawie Karwickiego na dzień 16 listopada, rzecze do mnie:

— Musisz zawsze na Ostróg jechać. Powiedz że mi, kiedy będziesz czytał dekret w sprawie o granice Ostroga, czy przed zjazdem do Suraża, czy później?

— Opowiem ci cały plan mój. Widzisz tę skrzynkę papierów, zabiorę ją do Czeczelówki. Będzie to miła dla samotnika zabawka; pieścić się nią

będę do poźniej jesieni. Uprzedziłem Szczepkowskiego, że nie prędzej tu zjadę z gotowym dekretem dla czytania go stronom, aż 26 listopada. Ale sprawa Karwickiego sądzić się ma nie z prywatnego wezwania, lecz z ukazu, dlatego daję jej pierwszeństwo. Tu przybędę dnia 14 listopada, nazajutrz będę w Mizoczu, a dnia 16 w Surażu. Tam przez dni kilka powinienem się załatwić i na 26 listopada stawić się w Ostrogu, gdzie i mój kolega zjedzie.

Aleksander Iliński na to:

— Proszę cię o rzecz jedną tylko: ponieważ masz tu być dnia 14 listopada w podróży do Mizocza, racz, popasając tu w tym dniu, choćby godzinkę zatrzymać się, nim mój kozak z Załuża przywiezie ci list odemnie. Ja ci wówczas coś pewnego doniosę w wiadomym ci interesie.

Zaśmiałem się znów z tego dziewosłębstwa.

Wracając z Ostroga na Szulajki, zastałem ojca znacznie na twarzy zmienionego. Chodził wprawdzie po pokoju, ale w widocznem był osłabieniu i brał lekarstwa z przepisu zwykłego swego doktora, Dżakomelego z Romanowa. Zabawiłem dni kilka, po których wypadało zajrzeć do domu.

W dniu pierwszym czerwca odbieram list od sióstr, które donoszą, że kochany ojciec wzywa mnie do siebie, że jest mocniej chory, że już mniej przechadza się, więcej w łóżku leży. Natychmiast zawiadomiłem brata mego, ś. p. Franciszka, o stanie zdrowia naszego ojca, wzywając go także do Szulajek. Gdyśmy tam razem przybyli, doktór Dżakomeli spotkał nas w pierwszym pokoju i nie taił, że uznaje potrzebę konsylium. Trwogą mnie przejął. Ojciec w łóżku rad nas powitał, rozmawiał z przytomnością, badał o urodzaje w naszych dzierżawach. Zdawało się, że przez te dni kilka mojej niebytności, zmiany na złe nie było. Doktór nam objawił, że uporczywym powodem choroby stało się długie i dotąd trwające zamknięcie żołądka, pomimo wszelkich

używanych środków, lecz chory żadnego nie doznawał ztąd bólu, nogi mu tylko zaczęły brzęknąć. Wnet napisałem do Michała Trypolskiego, prosząc go, aby udał się do sąsiada swego, znakomitego doktora Frebinga, i aby raczył wezwać go do mego ojca dla narady z ordynaryuszem Dżakomelim. Nazajutrz Trypolski przybył z tym doktorem. Po naradzie silniejszych użyto środków i te bynajmniej nie skutkowały

Gdym wszedł do pokoju ojca, on się do mnie odezwał:

— Weź te klucze, otwórz kantorek, z małej szufladki wyjm kwity kaznaczejstwa. Na każdym z nich jest ręką moją zrobiona notatka, kiedy i za co opłacone były w zastępstwie juryzdatora podatki. Ty w roku 1818 w Romanowie robiłeś ostatnie z dawniej opłacanych podatków rachunki. Teraz potrzeba zliczyć z tych kwitów, ile wogóle od owej daty należy mi się od senatora.

Zasiadłem nad temi kwitami w pokoju ojca. W Szulajkach i Raciach, dwóch wioskach pod zastawą naszą od roku 1791 będących, liczyło się dusz skarbowych 394. Ztąd i podatki dworskie, nie z obszaru ziemi, lecz z ilości dusz opłacane, z dodaniem ordynackiego, znaczną stanowiły należność od dziedzica.

Wszedł na to Dżakomeli i zapytuje; co piszę? Powiedziałem mu, że z polecenia ojca zliczam należność do odebrania od senatora, z podatków wynikłą. Było to dnia 4 czerwca 1825 roku. Tę datę przy podsumowaniu rachunku położyłem. Ojciec mój kazał mi ten rachunek razem z kwitami do tejże włożyć szufladki. Nie mogłem przewidzieć, że ów rachunek wejdzie do dokumentów w procesie, opartym o senat w przedmiocie opłacanych za dziedzica podatków.

Mój ojciec zwykle sam nakręcał swój ulubiony zegar bijący, który w jego pokoju stał na mozajko-

wej kolumnie. Dnia tegoż, to jest 4 czerwca, czuł się jeszcze tak silnym, że wieczorem, po godzinie dziewiątej, zastałem go stojącego przy kolumnie, gdy zegar nakręcał.

Nazajutrz w twarzy doktora Dżakomelego, który sposobił jeszcze jakieś lekarstwo z przywiezionych ingredyencyj aptecznych, dostrzegłem smutek, jakby objawienie utraconej nadziei.

O rannej porze wchodzimy z bratem do naszego ojca. Na dzień dobry ucałowaliśmy go w rękę, on nas w głowy pocałował. Z zupełną przytomnością o rzeczach obojętnych rozmawiał z nami i po chwili przerywa mowę, raptownie odwraca twarz do ściany i przyciszonym głosem ale dosyć wyraźnie mówi:

— Boże! Bądź miłościwy mnie...

I w jego wargach dostrzegliśmy tylko ruch, świadczący myśl już niedomówionych wyrazów! Już go nie było! Gdy my oba w rozpaczy z załamanemi rękoma przywołujemy głośno z trzeciego pokoju doktora i siostry, z drugiego obok wpada stary lokaj, Krzysztof, wierny sługa mego ojca od swych lat młodzieńczych i nad głową już martwą krzyknął podwakroć:

— Panie starosto!

Ale daremnie. Już znaku życia nie było! Ciężki żal pozbawił mnie prawie przytomności! Doktorowie wzięli mnie w opiekę. Wzmógł się mój szum w uszach, coś jakby szleństwo napadało mnie chwilami. Nie dopuszczano mnie już do pokoju, gdzie leżał mój ojciec, nie dozwolono jechać na pogrzeb do Cudnowa. Ciągle stał mi przed oczyma ten obraz lekkiej śmierci prawego człowieka, a wiara w miłosierdzie Boga, któremu nieśmiertelną duszę swoją ostatnim wyrazem poleca, na całe życie utkwiła w mojej pamięci. Tak mój czcigodny ojciec skończył pielgrzymkę na ziemi dnia 5-go czerwca 1825 roku, a przyszedł był na świat dnia 4 go lipca 1757

roku, przeżył lat 68 bez jednego miesiąca... i bez wyrzutu sumienia!

Jak szczęście jest nietrwale, tak czas wszelką żałość wolnemi stopniami uśmierza i w miarę głębokości rany serdecznej, na resztę życia bliznę nam zostawia.

Po dniach kilku bawienia mego w Szulajkach, wśród łez i cierpień moich, odbieram ze Zwiahla nadesłany do mnie ukaz rządu gubernialnego, abym o mil 20 jechał do miasta Owrucza spełnić tam jakąś komisyę śledczą. Zarzucano niekiedy podkomorzym bezczynność, tak niewłaściwe ich urzędowi zajęcie. Nie czułem się na siłach do tej podróży. Wiadomo już było, że gubernator Giżycki już się uwolnił od tego urzędu, że miejsce jego zajął Litwin, Andrzejkowicz. Napisałem list do generała Giżyckiego, w Mołoczkach mieszkającego, z doniesieniem o świeżej ciężkiej stracie mego ojca i z prośbą, aby raczył pismem swojem wstawić się do p. Andrzejkowicza o uwolnienie przez wzgląd na słabość zdrowia mego od poleconej mi komisyi owruckiej. Mam dotąd pomiędzy staremi korespondencyami odpowiedź generała Giżyckiego, świadczącą o szczerem współczuciu na śmierć mego ojca. Zawsze też oba wzajemnie się szacowali. Co do wpływu jego za mną, dał mi pojąć, że on nie będzie dostatecznym, że formalność wymaga, aby przy prośbie było złożono świadectwo powiatowego doktora, wskazał nawet, mnie wieśniakowi, jaki papier jest konieczny. Wkrótce dowiedziałem się, że doktór powiatowy zjechał ze Zwiahla na wieś o milę od Szulajek. Powiedziano mi nazwisko jego niemieckie z tem, że jest wychrztą. Na moją odezwę natychmiast przybył i z charakteru, lubo wykwintnie ubrany, z błyszczącemi pierścieniami na palcach i z batystową chustką w ręce, okazał się istnym żydem. Gdy bowiem opowiedziawszy mu stan mego zdrowia, proszę o wydanie świadectwa, on bierze mnie za puls i zamyśla się. Wtem jedna

z sióstr moich, wstawiając się za mną, odezwała się:

— Czy podobna, aby on tak cierpiący jechał na komisyę do Owrucza?

A doktór na to:

— Nawet dla zdrowego niemiła tak daleka przejażdżka, bo to i podróż coś kosztuje, i domowe zajęcie potrzeba opuścić. Wszystko to zważywszy, co pan dasz mi za świadectwo?

Zdziwiony tak bezczelnem postanowieniem kwestyi, zapytałem się go:

— Ile pan cenisz swój podpis?

— Ja zawsze otwarty, dasz mi, panie podkomorzy, 300 rubli asygnacyjnych.

Było to wedle owoczesnego kursu 84 ruble srebrne.

— Nie godzi się — rzekłem — wszakże gdybym w Żytomierzu, ztąd o mil kilka, udał się do *wraczebnej uprawy*, nie tyle będzie kosztowało.

— Wolno panu tak postąpić, a mnie wolno teraz donieść rządowi gubernialnemu, żem opatrzył pana i znalazłem go w stanie jechać do Owrucza.

Słowem, po długich targach, dałem temu łotrowi za świadectwo połowę tego, co żądał, to jest 150 rubli asygnacyjnych. Miałem później dwa razy jeszcze do czynienia z tym podłym człowiekiem, o czem pod właściwą datą nadmienię. Jeszcze nie miałem papieru na prośbę do pana generała Andrzejkowicza, gdym się dowiedział, że on przybył z wizytą dp Romanowa. Wnet się tam udałem. Senator, ujrzawszy mnie, ubolewał nad śmiercią mego ojca, prezentował mnie panu gubernatorowi, któremu ja, nie tracąc czasu, przedstawiam ustnie moje żądanie, aby, przyjąwszy odemnie złożone mu świadectwo doktora, uwolnić mnie raczył od komisyi owruckiej, do której mnie rząd gubernialny powołał On, przeczytawszy świadectwo, uśmiechnął się i rzecze:

— Bardzo pánu winszuję!

Po tym żarcie skończyło się na tem, że p. gubernator przyjął świadectwo doktora za ważne, zanotował w pugilaresie moje żądanie i upewnił, że będę swobodny od komisyi.

W trzy dni potem był u nas w Szulajkach senator Iliński ze współżałością, czyli, jak to mawiano, z kondolencyą nad stratą ojca naszego. Tę jego wizytę pamiętam ztąd, że gdy senator płaczącym osierociałym siostrom moim przedstawiał w duchu religijnym, jak nam należy zgodzić się z wolą Boga, który postanowił, aby starsi opuszczali młodszych i szli po nagrodę za poczciwe życie; siostra młodsza, zalewając się łzami, odezwała się:

— Czemuż prezes Dąbrowski żyje jeszcze, a on był starszym od naszego ojca!

— Moja kochana! Za cóż ty prezesowi Dąbrowskiemu życzysz śmierci? Pozwól mu jeszcze pożyć czas jakiś? Prędzej, czy później, każdy z nas przejść musi przez ten próg z doczesnego życia do wieczności w chwili oznaczonej przez samego Boga!

Brat mój Franciszek wyjechał wprzódy z Szulajek do swej dzierżawy wsi Kustowiec, ja zaś w ciągu mojej tam bytności, tak przed bratem, jako też przed siostrami ani wspomniałem, że znany im Aleksander Iliński napiera się być moim swatem i że chce ożenić mnie z panną Łaźnińską, bo najprzód nie była po temu pora, aby to przyszło mi na myśl, a powtóre, gdybym to był i przypomniał sobie, pewniebym zamilczał, jako rzecz błahą, niepodobną do ziszczenia.

Wróciwszy do domu, zastałem urzędową odezwę, czyli *powiestkę*, do sądu ziemskiego (powiatowego) po polsku, jak wówczas, pisano, abym przyjechał do Winnicy dla słuchania dekretu podolskiego sądu głównego kryminalnego departamentu w sprawie mojej z Sałackim. Przybywam do Winnicy. Czytają mi w sądzie dekret, który zaczyna się od nagany opinii sądu powiatowego. Ta bowiem poleciła Sała-

ckiemu wykonać przysięgę na to, że moich pieniędzy z komody nie ukradł. Sąd zaś główny, unieważniając tę opinię, uznał wedle prawa, abym raczej ja wykonał przysięgę na ilość skradzionych mi pieniędzy pod niedbałym nadzorem ekonoma Sałackiego. Co gdy dopełnię, wówczas Sałacki obowiązany będzie wypłacić zaprzysiężoną ilość pieniędzy, lub pójść na odrobek dla mnie z tem, iż na ten cel ma być wolnym od turmy, jeśli kto, jako za człowieka podejrzanego, złoży w sądzie porękę. Po wysłuchaniu dekretu już nie dbałem o moje 275 rubli i byłem gotów wyrzec się całej sprawy, aby ten oczywisty winowajca został bezkarnym, lecz przypomniałem sobie, że gdy nie wykonam nakazanej przysięgi, może ktoś mnie posądzić, że niewinnie osadziłem w więzieniu ekonoma. A więc w tymże sądzie powiatowym, ukląkszy przed krucyfiksem i na położonej przedemną Ewangelii położywszy dwa palce prawej ręki, wedle roty, czytanej mi z dekretu sądu głównego, wykonałem przysięgę na to, że z pod nadzoru byłego u mnie ekonoma Sałackiego poniosłem szkodę w skradzionych mi 275 rublach.

Wkrótce potem, gdy Sałacki wypuszczony został z turmy na porękę szlachty, osiadłej we wsi Krzyżanówce o dwie wiorsty odemnie, przyszedł w towarzystwie dwóch ze szlachty i wzywał mojej litości, powtarzając zawsze, iż co do mojej szkody on nic nie wie i do niczego nie należał, a przytem żądał, abym przynajmniej wydał mu klacz jego ze źrebięciem, które urzędnicy na śledztwie zostawili u mnie na satysfakcyę w części za skradzione pieniądze. Oddałem mu nietylko klacz jego ze źrebięciem, ale i wszystkie rzeczy jego, mnie przez tych urzędników zostawione.

Następnie doszła do mnie wiadomość, że Sałacki odgraża się na mnie za rzucone na niego podejrzenie i że on znajdzie środek do zemsty i w ciągłym byłem niepokoju z tak blizkiego z nim sąsiedztwa.

Postanowiłem pozbyć się go z Krzyżanówki przez podanie prośby do wielkiego księcia Konstantego jako wielkorządcy gubernij zachodnich. Po rosyjsku umiałem tylko podpisać się, a wolno nam było do takich potentatów mówić i pisać w jezyku francuskim. Zasiadam więc do tej prośby w formie listu. Już miałem na czysto tę ekspedycyę przepisać, aby ją na pocztę wyprawić do Warszawy, gdy nadjechał do mnie kochany Józef Bobrowski, który po skończonej dzierżawie trzyletniej w Markuszach wyniósł się był na inną posesyę wsi Ziatkowiec o mil kilkanaście odemnie. Opowiedziałem przed nim mój kłopot. Bobrowski, przeczytawszy mój list do Wielkiego Księcia, wskazał mi pewniejszy na Sałackiego środek.

— On—rzecze mi—ma złość do ciebie ztąd, że jako już podejrzanego, nikt przyjąć nie zechce do jakiegobądź obowiązku. Otóż ja go pogłaszczę, będzie u mnie leśniczym przy pięknym lesie dębowym w Ziatkowcach; licha zje, jeżeli potrafi tam co ukraść.

Sałacki na moje wezwanie wnet przyszedł, a gdy mu powiedziałem, jakie otrzymuje miejsce u Bobrowskiego, upadł mu do nóg, przyrzekając wierność nieposzlakowaną. Odszedł z tem, że dam mu wiedzieć, kiedy ma się udać do Ziatkowiec. Formalność wymagała, aby Bobrowski dał porękę za człowieka podejrzanego. Napisał ją po polsku, jak wówczas wolno było, a do owej poręki załączyłem prośbę, aby sąd niżny, wedle wskazanej mu przezemnie marszruty, dał polecenie konwojowi od wsi do wsi aż do Ziatkowiec. Sałacki o tem rozporządzeniu nie wiedział, niecierpliwie czekał kiedy go wezwą na chleb leśniczego. Skoro z Winnicy nadesłano mi list odkryty od władz wiejskich o konwój, posyłam ów palet sądowy do Krzyżanówki, Sałacki, przeczytawszy to pismo, gdzie go sąd niżny objawia podejrzanym, wnet udał chorego, tłómacząc się, iż siły jego nie

starczą na tak daleką podróż. Kilka razy posyłałem to urzędowe pismo, ale on byle dojrzał posłańca mego, wnet się kładł na piecu, jako chory. Jakie były późniejsze jego zamiary, pod właściwą datą napiszę.

Po wyjeździe przyjaciela mego, Bobrowskiego, często wieczorami, szara godzina, nim podadzą świecę, i głucha samotność przywodziła mi na myśl osierocony nasz dom rodzinny, brak czcigodnego przewodnika, który ku dobru naszemu umiał nam nadać kierunek i ztąd mnie żal i ciężki obarczał smutek. Zwlekałem z otworzeniem skrzynki z papierami do sprawy o granice przedmieścia Ostroga, dość jeszcze na to zostawało czasu. Los nieszczęśliwy sióstr moich stawał mi często przed oczyma. Obie starsze odemnie, a więc na swój stan panieński wcale już niemłode. Pomnę z młodzieńczych lat moich, że były niegdyś przystojne, a młodsza z nich, lubo z twarzy nadzwyczaj do mnie podobna, przecież powszechnie uznawana za ładną, nie jednemu umiała się podobać. Woli tylko Boga nie było. Dziś mogły przez rozum wmówić w siebie wyrzeczenie się związku małżeńskiego, z tem wszystkiem u mnie panny w tych latach litością przejmują, zwłaszcza, jeśli tak nie z winy trudności w wyborze, jak siostry moje; podobne panny stają się dla młodego świata jakby zawadą i ztąd je mianują nieprzydatnym, wzgardzonym sprzętem pokoju, który wyszedł z mody. Starsza, Anastazya, miła, rozsądna, która się odznaczała anielską łagodnością, była zaręczoną z człowiekiem, którego mój ojciec wysoce szacował, a który dla mnie od lat młodzieńczych drogim był przyjacielem. Dla tej też przyczyny zamilczam niezwalczony powód zerwania ich związku, bo ów powód, zasmucający starość mego ojca, ciążył na tym przyjacielu moim. Odtąd, wątłego złożenia biedna moja siostra, w ciągłem osłabieniu, apteką tylko podtrzymuje życie. Krótko bawiłem w domu; troskliwość o siostry napędzała mnie

do nich. Gdym przybył do Szulajek, zastałem starszą, podobnie jak od lat kilku, cierpiącą na zdrowiu. Młodsza przy żywym temperamencie, jak najczęściej brunetki, lubo mocno uczuła stratę ojca, przecież tak odrazu pojęła swoje położenie, że jakby przeznaczona do męzkich w domu zajęć, oddała się szczegółom gospodarstwa, i wszystko tam po dawnemu, przy starym, zasłużonym ekonomie porządnie było prowadzone. Łaskawi sąsiedzi nawiedzali osierocone Szulajki. Uznałem przeto za słuszną sercu i miłą konieczność odwdzięczyć się im tę o moich siostrach pamięć. A najprzód postanowiłem być w Drennikach u Teofila Czarkowskiego, któremu przyrzekłem moje odwiedziny. Gdym się tam pokazał, oboje serdecznie powitali mnie, jakby krewnego. Zastałem u nich rotmistra Stanisława Dunina, który już był mi znany w Skibińcach u swojej ciotki marszałkowej Madejskiej, w czasie ślubowin z jej córką Pelagią Madejską Kazimierza Budzyńskiego. Po herbacie Teofil Czarkowski dał mi do zrozumienia, że na osobności ma pomówić ze mną. Wyszliśmy do ogrodu, gdzie on tak zaczął:

— Racz powiedzieć otwarcie, kochany Szymonie, czy ty nie wzgardzisz moją w tobie ufnością i czy zechcesz na moje wstawienie się być życzliwym dla mojego ciotecznego brata, Stanisława Dunina?

— Dlaczegóż—zapytałem—powątpiewasz o moim dla ciebie szacunku? W niczem zapewne twojej ufności nie zawiodę.

— Mam ci przedstawić nie własny, lecz Dunina interes, w którym on potrzebuje twojej protekcyi. Krótko powiem: oto idzie o rękę twojej młodszej siostry, którą on w czasie dni kilku w Skibińcach poznał i upodobał sobie. Czy ty zechcesz wstawić się za nim do panny Katarzyny?

— Odpowiem ci najszczerzej, że gdybym był panną młodszą nawet niż ta siostra moja, to zacn-

mu Duninowi nie odmówiłbym ręki. A więc cieszyć się będę, jeśli on u siostry otrzyma wzajemność. Przyznasz jednak, że objawienie tego zamiaru z ust jego własnych jest tam konieczne. On, oswojony z kartaczami w wojnach z Turcyą i Francyą, pewnie ma dość na to odwagi. Niech najprzód z tobą będzie w Szulajkach, a następnie sam razy kilka, aby się bliżej poznali. Co do mnie, przyrzekam najuroczyściej, że uwagą moją za nim starannie wpływać będę.

Uściskał mnie Teofil i dodał:

— Wypada jednak, abym cię uprzedził, że wcale nie jest bogatym. Całem jego mieniem jest dziś kilkanaście tysięcy złotych na procencie u mego brata, Tomasza. Może i lata jego, około czterdziestu, nie będą ujmujące dla panny. Sprawdzenie ich bez metryki jest łatwe. Miał lat piętnaście, gdy mój ojczym, a jego opiekun, oddał go do pułku huzarów. Tam po latach piętnastu ciężkiej służby w ciągłych wojnach, wziął dymisyę w randze rotmistrza, okryty za waleczność krzyżami, a blizko lat dziesięć, jak tę dymisyę otrzymał.

— Co do funduszów Dunina, mówiono mi o nich w Skibińcach, gdziem go poznał na ślubowinach Kazimierstwa, równie jak o tem, że jego siostry wydane zostały jedna z nich za marszałka Otrębskiego w gubernii Kijowskiej, a druga za Kulikowskiego. Jak skromne mienie Stanisława, tak i lata jego nie stanowią żadnej przeszkody, bo są najzupełniej odpowiednie, a siostrze mojej nie roiła się nigdy nadzieja związku z majętnym. Ale ponieważ takie zrobiłeś przedemną zeznanie, przeto i odemnie należy cię objaśnić, że postanowienie rodziców naszych objawionem przed aktami sądu głównego wołyńskiego w 1817 roku, siostry nasze do równego z nami, ich braćmi, przypuszczone są działu. Jest na to zastawa na dwóch wsiach Szulajkach i Rajcach i wioska dziedziczna z dalekich przodków w powiecie Łuckim, Hołuzya,

wypuszczona przez ś. p. ojca naszego prawem zastawy bratu memu, Antoniemu. Mamy zamiar wedle rozporządzenia rodziców naszych rozdzielić na pięć równych części tę pozostałość po nich, która żadnym długiem nie jest obarczoną.

— Wiadoma nam, sąsiadom, uczciwość wasza, ztąd pewni jesteśmy, że krzywdy sióstr waszych nie zechcecie. Na tobie zaś polegam, że zamiar Stanisława raczysz wesprzeć pomocą swoją.

— Wierz mi, kochany Teofilu, że o ile zdołam, przedstawiać będę mojej siostrze najżyczliwsze za Duninem uwagi.

Po uściskach, gdyśmy weszli do pokoju, usiadłem do rozmowy w obojętnym przedmiocie przy gospodyni, a tymczasem gospodarz na boku coś szeptał Duninowi, pewnie o pogadance ze mną, bo gdym po herbacie żegnał się z nimi, Dunin, całując mnie w twarz, ścisnął podwakroć rękę i powiedział:

— Do śmierci będę panu obowiązany.

Wróciwszy z tej wizyty, zdziwiłem siostry niespodzianką, opowiadając rozmowę moją z Teofilem Czarkowskim. Młodsza ozwała się:

— Czyliż to podobna rzecz dla mnie w tak ciężkiej serca żałobie! A potem, niech-no on przyjedzie i przypatrzy się mojej twarzy! Już ja o wiele nie ta, com była lat temu kilka w Skibińcach, gdzie on mnie poznał i pewnie odjedzie z postanowieniem, by już nigdy nie wrócić.

Starsza na to:

— Prawda, żeśmy w najboleśniejszej żałobie! Ale duch ojca ucieszyłby się twoim związkiem z osobą godną szacunku, a ja ufam Szymonowi, że Dunin takim być musi. A co do twarzy twojej, wszakże i on już nie pierwszej młodości. Nakoniec, poddając to woli Pana Boga, mnie się widzi, że nie masz nad czem się wahać.

Tu, stosownie do przyrzeczenia danego Czar-

kowskiemu, wsparłem uwagi rozsądne starszej siostry, a na obudwóch wymogłem tajemnicę przed sąsiadkami aż do spełnienia się woli Boga. Uroczyście przyrzekły najtrudniejszy kobiecie sekret.

Spostrzegłem się, że czas już było zasiąść do rozpoznania przedwiecznych dokumentów, służących za dowód granicy między miastem Ostrogiem a jego przedmieściami. Mając ich suminaryusz na wierzchu w skrzynce, czytałem każdy po kolei wedle porządku daty, zaczynając od najdawniejszej, i dla pamięci jako też dla zacytowania w wywodzie dekretu, treść każdego w krótkości spisywałem. Pilnie nad tem pracując przez dni kilka, gdym doszedł do r 1801, cała budowa zaroszczeń strony powodowej, oparta dekretem na dziale w wieku siedemnastym książąt Ostrogskich, chwiać mi się zaczęła. Pod tym bowiem rokiem wypadł był ukaz senacki, uznający senatora hr. Ilińskiego dziedzicem przedmieść Ostroga w tych granicach, w jakich Ostrogszczyzna z nadania cesarzowej Katarzyny II była podaną generałowi Fersenowi, od którego syna hrabia Iliński ten majątek nabył. Gdy zaś przy wniesieniu sprawy, książę Karol Jabłonowski tłómaczył się, że posiada miasto Ostróg w tych granicach, jakie były wskazane przy podaniu przedmieść generałowi Fersenowi pod rokiem 1795, wówczas na moje odniesienie się do wołyńskiej izby skarbowej, nadesłano mi księgę podawczą, którą z kolei przeglądając, znachodzę, że urzędnik, wprowadzający roku 1795 generała Fersena w przedmieścia ostrogskie, nie oznaczył w tej księdze pewnych punktów zetknięcia się ich z samem miastem, lecz wyraził, że owe przedmieścia podaje wedle granic ówcześnie używanych. Pomnę, ile miałem trudności przy zdecyfrowaniu tej księgi, pisanej po rosyjsku, dopomógł mi w tem paroch wsi Czeczelówki. W stanowieniu mojej decyzyi miałem na uwadze, że lubo książę Jabłonowski opierał swoją obronę na podaniu dóbr darowanych generałowi Fersenowi, przecież nie

mogę absolutnie wyrokować, że dzisiejsze używanie granic jest zupełnie też same, jakie było w 1795 roku, ponieważ księga podawcza nie zawiera szczegółowego ich opisu. Ztąd stosownie do prawa, które stanowi, aby w braku dostatecznych dowodów z dokumentu, wezwani byli świadkowie, ludzie wiary godni, o których w roku 1825 łatwo było po upływie tylko lat trzydziestu, uznałem potrzebę obustronnych świadków na to, jakie były używalne granice przedmieść Ostroga przy podaniu ich generałowi Fersenowi. Zdaje się, że gdyby ów podkomorzy, co za swój zjazd żądał dwa tysiące dukatów, odebrał je był od senatora Ilińskiego, musiałby przecież mieć za prawidło ukaz senatu z roku 1801, i ztąd nie przyznałby granic z wieku XVII wedle działu pomiędzy braćmi książętami Ostrogskimi.

Dekret mój nie stanowił jeszcze wygranej sprawy ani dla strony powodowej ani dla pozwanej, wygrana zależała od przysięgłego zeznania obustronnie stawionych świadków. Przecież dotknęły mnie oszczercze języki. Doszła później wieść do mnie, że obywatel niechętny dla mnie rozgłaszał, jakobym, bywając często u księcia Karola Jabłonowskiego, rozmiłował się w pannie Potockiej, siostrze jego synowicy, która później wyszła za Jana Mołodeckiego do Warkowicz, i ztąd przychyliłem się za księciem Jabłonowskim. A obok tak fałszywej, tak uwłaczającej mnie wieści, należy wiedzieć, że senator Iliński uznawał sprawiedliwość w mojej decyzyi i rad był z mojego dekretu.

Wolny na sumieniu, pewny byłem, że kolega mój zgodnie ten wyrok podpisze. Ale jak były w tem zawiedzione moje nadzieje w terminie oznaczonym dla ogłoszenia dekretu, to jest w dniu 26 listopada 1825 roku, pod tą datą opiszę.

Już swobodny w początkach października tegoż roku, wyjechałem na dni kilka do Szulajek. Mocno mnie zajmowała sprawa Stanisława Dunina i młod-

szej mojej siostry. Witają mnie obie nadzwyczaj uradowane. Opowiedziały przedemną stopniowaną konkurencyę Dunina, i że po kilku powtórzonych najpierwej z Czarkowskim wizytach, dwa dni temu oboje Teofilowstwo gdy z nim przybyli, ona sama, jako w poufałej przyjaźni z mojemi siostrami, objawiła przed starszą z nich na osobności, w jakich zamiarach bywa tu krewny jej męża, a ośmielona upewnieniem życzliwości dla kawalera, weszła do pokoju, gdzie była reszta towarzystwa, i oświadczyła się od Dunina młodszej mojej siostrze, poczem uroczyste nastąpiło przyrzeczenie.

Czarkowscy upominali się o zaręczalny pierścień, a siostry moje, wiedząc z listu mego, że rychło do nich nadjadę, odłożyły zaręczyny do mojego przybycia.

Uradowany determinacyą mojej siostry, przedstawiłem im, że dziś najstarszą z rodziny osobą jest ciotka nasza we wsi Wyszczykusach, starsza a rodzona siostra ś. p. matki naszej, że do niej wprzód udać się wypada po błogosławieństwo, gdzie i Dunin być powinien. Gdy z nim tam pojadę, przy prezentacyi przysposobię ciotkę do łaskawych dla niego względów tą wiadomością, że Dunin jest ciotecznym bratem Kazimierzowej Budzyńskiej, a to zniewoli ją do sprzyjania mu, i nakoniec uproszę ciotkę, aby raczyła zezwolić nietylko na ceremonię zaręczyn, pod jej ważnem dla nas błogosławieństwem, ale nawet, aby ten związek ślubny w jej kaplicy bez żadnego zgiełku, po zwykłych w kościele zapowiedziach, mógł się dopełnić.

Dunin, bawiący jeszcze w Drennikach, skoro się dowiedział o mojem do sióstr przybyciu, nadjechał do nas. Jakże on serdecznie dziękował mi za skuteczne wpływy! Przedstawiłem mu konieczność poznania go z ciotką naszą, Budzyńską, w Wyszczykusach, o półtorej mili od Szulajek, na co on najchę-

tniej się zgodził z tem, że nazajutrz ma się stawić, aby tam ze mną pojechać, że w dniu, jaki nasza ciotka oznaczy, ja z siostrą przybędę do Wyszczykus, gdzie i on nadjedzie, aby przy błogosławieństwie najpoważniejszej z pomiędzy krewnych naszych odbyła się w jej domu nietylko ceremonia zaręczyn, ale i ślub w tamtejszej kaplicy.

Te wszystkie warunki Dunin najchętniej przyjął za nieodzowne.

Jakoż w tym samym tygodniu byłem z nim w Wyszczykusach, gdzie razem ze swoją matką mieszkał syn ciotki naszej, Ignacy Budzyński, podkomorzy żytomierski. Obojgu prezentowałem nieznanego im Dunina, dodając wzmiankę o blizkiem jego pokrewieństwie z Kazimierzową; opowiedziałem zamiar jego związku z młodszą siostrą moją i że oni oboje pragną błogosławieństwa ciotki naszej. Po tem wszystkiem nasz pan rotmistrz, jaśniejący radością, usłyszał od staruszki grzeczny komplement, która oznaczyła termin zaręczyn, a ślubowiny odłożone zostały do stycznia następnego 1826 r., a to dla zwykłych przygotowań w wyprawie.

Nie będę opisywał szczegółów w tych dwóch terminach, które przecież dobrze pamiętam. Wszystko to dopełniło się w domu ciotki naszej w Wyszczykusach cichutko, bez żadnej wystawy, a na dzień ślubu byli zaproszeni Kazimierzostwo Budzyńscy z Wygnanki; Kazimierz bowiem był podwójnie krewnym ciotki naszej: jako syn jej stryjecznej siostry, i jako synowiec jej ś. p. męża, a Kazimierzowa cioteczną była siostrą Dunina.

Gdy pierwszych dni listopada 1825 r., po zaręczynach siostry Katarzyny, wróciłem z nią z Wyszczykus do Szulajek, a jej narzeczony, Dunin, puścił się na Ukrainę, gdzie przy owdowiałej siostrze swojej, marszałkowej Obrębskiej, przemieszkiwał, zrobiłem naradę z siostrami względem środków na konieczne koszty choć nieparadnej wyprawy. Kupca

na zboże nie było. Mając w pamięci należność od senatora Ilińskiego, wyniosłą z podatków zastępnie za niego od r. 1818 przez ś. p. ojca naszego opłacanych, umyśliłem pewną część tej należności wyjednać na powyższy przedmiot. Zabrałem z kantorka kwity kaznaczejstwa i rachunek przy nich z polecenia ojca przezemnie zrobiony i z temi dokumentami udałem się do Romanowa.

Pomnę zdziwienie moje, gdy senator odezwał się z tem, że od r. 1818 ojciec nasz nie miał już prawa upominać się o zwrot podatków, bo on mu zapowiedział, że odtąd, jako zastawnik, bez najmniejszego zwrotu, ma je sam opłacać. Na to pokazałem mu kwity kaznaczejstwa z adnotacyami, ręką ojca zrobionemi na wierzchu każdego kwitu tej należności od senatora, i że nakoniec był świadkiem doktór Dżakomeli, gdy z polecenia mego ojca, pod jego okiem zrobiłem oto ten rachunek ogólnej ztąd należności.

— Być może—dodałem—że pan senator podobny obowiązek w r. 1818 włożył na którego z arendownych dzierżawców, albo na którego innego zastawnika, lecz co do mojego ojca, proszę przypomnieć sobie, że obrachunek podatków po rok 1818 ja tu sam robiłem w oczach pana senatora i nieodstępnie od początku do końca byłem wówczas przy moim ojcu, a przeto tak nowy, tak przeciwny kontraktowi warunek, byłby mi znany, lub gdyby później nastąpił, to mój ojciec byłby mi powiedział o nim przed swoją śmiercią, a przeciwnie, bo polecił zliczyć całą sumę wedle notatek ręką swoją robionych; pan senator zaś nie zaprzeczy pewnie znanej powszechnie prawości mojego ojca.

— Tak, tak, kochanku—rzecze mi—twój ojciec był najpoczciwszy człowiek, ale mógł zapomnieć, co mu powiedziałem.

— Przypuszczam, że mógł zapomnieć o zrobionej mu w roku 1818 takiej propozycyi, ale czy pan

senator może sumiennie zaręczyć, że mój ojciec przyjął ten warunek?

— O, mój kochanku! Nie będę obarczał mego sumienia zaręczeniem, że wasz ojciec przyjął mój warunek, bo istotnie nie pamiętam, co na to odpowiedział, ale wiem najdokładniej, że przy ostatnim obrachunku 1818 roku zastrzegłem sobie nie zwracać podatków. Zresztą ludzie nas osądzą.

Te ostatnie wyrazy senatora „ludzie nas osądzą", w obecności sekretarza jego, pana Smorczewskiego powiedziane, były tymczasowo dostateczne dla mnie.

Pożegnałem senatora, a nie mogąc z powyższej należności najmniejszej części otrzymać, znalazłem inne środki zaradzenia potrzebie siostry mojej na jej wyprawę.

Wracam z Szulajek do domu i wkrótce, zabrawszy skrzynkę z dokumentami do procesu o granicę Ostroga, mój dekret już, gotowy w tej sprawie i w drugiej ukaz głównego sądu, polecający rozwiązanie sporu o granicę pomiędzy panem Witosławskim Kajetanem, posiadaczem dóbr pojezuickich Suraża, a panem Kazimierzem Karwickim, puszczam się naprzód w podróż do Mizocza. Dnia 14 listopada 1825 roku przybywam wieczorem do Ostroga. Konie moje były mocno zmęczone nader błotnistą drogą, a potem piaskami w lesie. Wezwałem żydów furmanów, aby mnie dowieźli do Mizocza, gdzie nazajutrz rano konie moje po nocnym wypoczynku w Ostrogu mają przybyć. Gdy mi podano herbatę, wchodzi kozak z Załuża i podaje list od Aleksandra Ilińskiego. Zawzięty mój swat, lubo nieproszony, nie zapomniał, że w tym dniu miałem przejeżdżać przez Ostróg. List jego dla swej oryginalności utkwił mi w pamięci i co do słowa był taki:

„Kochany Szymonie!
Przyjeżdżaj, podjeżdżaj, zajeżdżaj i wjeżdżaj!

Już wszystko z moją żoną przygotowaliśmy dla ciebie! Słowem honoru zaręczam, że byleś się odezwał, najmniejszej nie doznasz trudności, bo też oprócz naszego wpływu, już dobrze tam byli uprzedzeni o twej godności. Ja na to jedynie przydatny w tym interesie, abym cię ośmielił jako twój przyjaciel Aleksander.

Załuże, d. 14 listopada 1825 r.

P. S. Mówiłeś mi, że czytać będziesz swój dekret w Ostrogu, wróciwszy z Suraża, to jest dnia 26 tego miesiąca. Ja na ten termin zjadę i w tymże dniu musisz koniecznie pojechać ze mną, choćby pioruny trzaskały, na zjazd tobie wiadomy."

Kłopot z upartem swatowstwem! Kozak jednak czeka na odpowiedź, wypada cośkolwiek odpisać. List mój był taki:

„Dziękuję ci, kochany Ałeksandrze, za dowody twojej dla mnie życzliwości. Jadę ztąd do Mizocza, zkąd udam się do Suraża w powiat Krzemieniecki. Dnia 25 tego miesiąca będę na noc w Ostrogu, nazajutrz czytać tam będę już gotowy dekret, na który, jeszcze nie wiem czy się zgodzi wasz podkomorzy ostrogski. A co do projektów twoich, ponieważ w tej sprawie komparycyi nawet nie było i strony nie zajrzały sobie w oczy, przeto nie wiem, czy tam zjazd mój przyda się na co. Jednak powolny twemu wezwaniu, czekać cię będę w dniu 26 listopada. To tylko zapewnić cię mogę, że dla was obojga z wysokim zostaję poważaniem.

S. K.

Ostróg, d. 14 listopada 1825 r."

Odprawiwszy kozaka z tą ekspedycyą, puszczam się sześcią bałagulskiemi końmi po ogromnym błocie traktem pocztowym ku Hulczy. Noc ciemna, a w dodatku deszcz zaczął padać i wzmagał się coraz wię-

kszy. Rad, żem się do Hulczy przywlókł, wjeżdżam do zajezdnej karczmy. Tam rozłożywszy się na nocleg, słyszę z drugiej izby częste wzdychanie i wzywanie Boga. Pytam gospodarza, kto tak jęczy? Żyd mówi, że to jest waryatka. Dosłyszała go jęcząca kobieta i zawołała z oburzeniem:

— Ochl nie wierz mu, panie! nie wierz! Jak Bóg na niebie, nie waryatka!

Wchodzi do mnie dość nędznie ubrana, do czego o wiele przyczyniło się obryzganie błotem, dyga przedemną potrzykroć i mówi:

— Prezentuję się panu ot jak jestem. Kiedyś, kiedyś bywało inaczej! Ale wiadomo, że fortuna kołem się toczy. Wypadałoby powiedzieć, jak się nazywam, ale cóż powiem? Ksiądz przed ołtarzem związał ręce stułą i odebrał mi po rodzicach nazwisko, a wzięte od ś. p. męża mego poszło z nim do grobu. Nazywam się sobie kobieta, a do tego biedna siercta. Dla człowieka, co ma serce, dość na tem. Ależ to piękne jabłka widzę na stole!

Istotnie były niepospolicie wielkie i różowe, jakich kilka w przejeździe przez Ostróg kupiłem. Jedno z nich jej dałem. Ona dyga i rzecze:

— Trzeba panu wiedzieć, że niegodziwi juryści przywiedli mnie do dzisiejszej nędzoty. Hrabia Chodkiewicz pożyczył był u ś. p. ojca mego 50 tysięcy złotych. Ktoś podszył się pod tytuł jakoby jedynego syna po moim ojcu i otrzymał kolokacyę w rozbiorze majątku pana hrabiego. Nie miałam gotówki na proces. Przyrzekałam prawnikom, że im połowę odstąpię, ale gdzie tam! Zbywali mnie śmiechem. Na domiar biedy, utraciłam w tym roku wielką tu w Hulczy moją dobrodziejkę, panią podkomorzynę Podhorecką. Całem dziś wsparciem, całą nadzieją moją, jest jej krewna, ztąd o milę, pani podkomorzyna Łaźnińska w Korostowej. Bylem się pokazała, zaraz ona sama albo jej córka, Klemunia, obdarzają mnie i podkarmią, prosząc, abym w sieniach usiadła,

bo często zabłocona, ot jak teraz, nie śmiałabym wejść tam na woskowane posadzki.

— Powiedzże mi jejmość, czy ta Klemunia nie ma jeszcze jakiego kawalera, któryby wzdychał do jej ręki?

— Słychać, słychać, że zaczęli dojeżdżać, bo ich dwoje tylko: syn i córka, a rodzice majętni. Panna dobra jak anioł. Ja znałam ją od lat jej dziecinnych, gdy się wychowywała w Hulczy u babuni podczaszyny.

— Jakże jejmość miarkujesz, gdybym tę twoją Klemunię chciał przywabić, czy oddałaby mi serce za te piękne jabłka?

— Żartuj pan zdrów! Ale jakże mam honor nazywać?

— Ja także bez nazwiska; gdzieś w drodze przepadło.

— Oho! Nietylko pan je masz, ale jeszcze któraś bardzo rada jego nazwisko przyjmie.

Tu mój Rudnicki wnosi kipiący samowar, a ona wymknęła się do sieni. Badała furmana żyda o mnie. On nie wiedział, kto jestem; powzięła tylko wiadomość, że jadę do Mizocza. Wraca do izby. Podałem jej szklankę herbaty. Dygnęła uniżenie i pijąc ją z bułką, ciągnie dalej gawędę:

— Wiem już, wiem! Furman mnie nauczył, że pan bez jabłek przywabisz Klemunię. Mówią wprawdzie, że ojciec jej trochę hardy. Ale to wcale nie przeszkodzi; bo też dziedzic Mizocza, generałowicz graf Karwicki, to nie bagatela! Toż to się ucieszy i ona i matka, skoro im szepnę, że tu była kwestya o to, czy Klemunia pójdzie za pana! Och, pójdzie, pójdzie! już ja w tem! Jutro skoro dzień udam się do Korostowej i na ucho opowiem im naszą z panem rozmowę. Opowiem wszystko: że mówiąc ze mną, palił fajkę o długim cybuchu z dużym pięknym bursztynem, ubrany w pyszny szlafrok z tureckiej materyi, w czerwonych butach safianowych, ot jakby

sułtan wygląda. Taił przedemną swoje nazwisko, a potem okazało się, że to graf z Mizocza.

— Ależ bałamucisz, kobieto! Ja nie Karwicki.

— Dajno pokój, panie grafie! Nie uchowa się szydło w worku! Prawda wyjdzie jak oliwa na wierzch! Do mnie reszta należy, aby się wszystko skończyło, jak Pan Bóg przykazał, a zato biedne kobiecisko coś w darze otrzyma.

— Kiedy tak uparta jesteś, róbże sobie, co chcesz, a ja przyrzekam, że jeśli ta Klemunia pójdzie za mnie, to przyjdź do mnie, a dam ci dziesięć dukatów.

— Upadam do nóg pana grafa. Już jak gdybym je miała w mojej dziś próżnej kieszeni.

Na to, dając jej złotówkę, rzekłem:

— Aby tymczasem kieszeń była niezupełnie próżną, daje ci to na zadatek naszej umowy.

Dygnąwszy potrzykroć, wyszła do drugiej izby. Nazajutrz rano, gdy miałem wsiadać do powozu, ona wychodzi ze swej izby, spotyka mnie w sieni i rzecze:

— Dzień dobry panu grafowi. Idę na śniadanie tam, gdzie panu wiadomo, a nie zapomnę, com wczoraj przyrzekła.

Zaśmiałem się tylko.

Opisawszy to spotkanie się w podróży z tą jakby waryatką i moją z nią rozmowę, pytam sam siebie, na co się to przyda? Czyliż jej przyrzeczenie, a może i modlitwy przez wzgląd na obiecanych dziesięć dukatów miały wpłynąć na moją przyszłość? Odczytawszy tę stronnicę, przyszedł mi na myśl czytany wczoraj distych, czyli dwuwiersz Kazimierza Brodzińskiego w opowiadaniach E. A. Odyńca przed Deotymą, umieszczony w czasopiśmie „Wiek“:

„Drobiazg nie jest błahością, drobna w kroplach rosa
Rzeźwi ziemię, i w tobie odbija niebiosa.“

Wracam do mojej urzędowej podróży. W tym dniu oczekiwany, przybywam do Mizocza. Zastałem znanego mi zblizka *krzyworęczka*, Jana Gruszeckiego, poczciwego prawnika w zwykłej jego sieraczkowej kapocie polskiej. Jako z powołania plenipotent pana Karwickiego, wezwany był z Żytomierza do interesu o granicę z panem Kajetanem Witosławskim. W czasie obiadu Karwicki wszczął rozmowę o gospodarstwie. Robiąc uwagę nad trudnością podniesienia włościan do dobrego bytu, dodał:

— W całej okolicy o mil kilka jeden tylko podkomorzy Łaźniński przez szczególniejsze zabiegi sam umie podnieść i utrzymać swoich włościan w dostatku. Wieś jego Korostowa, cała porządnie zabudowana, ma, jak mówią, chat 80, a w potrzebie dziedzica po dwa pługi z każdej wychodzi chaty. Łany swoje uprawia jak ogród, a zasiew oziminy, ztąd, że trzysta bron wiejskich wychodzi, w trzech dniach zwykle kończy. Urodzaje miewa nadzwyczaj piękne i ze zbioru jednorocznego wysyła pszenicę do Bugu na 140-tu wiejskich jednorazowo podwodach. Ale też on absolutnie z nimi postępuje. Mówiono mi, że jeżeli który z gospodarzy opuszcza się, nie dopilnuje swojej chudoby, lub w porze właściwej nie zasieje swego pola, a do karczmy uczęszcza, to w jesieni dziedzic wzywa gromadę, od nich wywiaduje się, który z najmitów po chatach jest najpilniejszy. Robi on to dla ceremonii, bez tego bowiem przez swoich on we wszystkich szczegółach wie, co się dzieje we wsi. Po naradzie ze starszymi z gromady stanowi, aby ów pilny najmita stał się gospodarzem chaty i całego dobytku po owym leniuchu i pijaku, a ten, aby przeszedł do gospodarza wskazanego mu przez dziedzica na najmitę. I kochają go wszyscy, jak ojca. Ja tu często widuję włościan z Korostowej na jarmarkach i targach. Łatwo ich odróżnić od innych ze wsi sąsiednich. Naprzód chudoba ich dobrze utrzymana, każdy z nich w porządnem odzieniu,

z czapką o szerokim siwym baranie, a którą, jakby przez uczucie swojej godności, przed nikim nie zdejmie. Tak umiał ich podnieść ich dziedzic, takim on jest wzorowym gospodarzem.

Skończywszy u stołu to opowiadanie, pan Karwicki zapytał mnie:

— Czy pan znasz podkomorzego Łaźnińskiego?

— Nie zdarzyła mi się sposobność ani go poznać, ani widzieć nawet i nigdy nie byłem w Korostowej, ale słyszałem o jego zasadach gospodarstwa od mojego ojca, który go poznał u senatora Ilińskiego w Romanowie i któremu pan Łaźniński z rozmowy o gospodarstwie bardzo się podobał.

Zapamiętał to Karwicki i Gruszecki, że dnia 15 listopada 1825 r., jeszcze nie znałem pana Łaźnińskiego i że nigdy nie byłem w Korostowej.

Przenocowawszy u pana Karwickiego w Mizoczu, wyjechałem mojemi już końmi z Ostroga, przybyłemi z Suraża, z panem Gruszeckim, dla którego bryka z kucharzem i pakunkiem potrzebnym do kuchni, szła za nami. Tam przypomniałem sobie, że sławny pieniacz, Kajetan Witosławski, będzie mógł zaskarżyć mój zjazd, jak Polanowski, że jadałem obiady i wieczerze w Iwankowie u pani Morzkowskiej. Lecz w Surażu nie zastaliśmy pana Witosławskiego. Snać postanowił mieć się zaocznie na zjeździe. Z karczmy posłałem po ekonoma. Zapytałem go, czy doszło tu moje obwieszczenie, że dziś zjadę do Suraża? Odpowiedział mi, że je odebrał i oddał panu Witosławskiemu skoro on wrócił z podróży, lecz pan jego znów odjechał, nie wiadomo gdzie i na jak długo.

Zapisałem to zeznanie ekonoma w moim protokule i jako na zjeździe z ukazu i w sprawie nieprywatnej, lecz o całość dóbr po-jezuickich, nie zważając na zaoczność strony powodowej, poleciłem przez pismo do ekonomii surażskiej, ażeby obrano sześciu włościan wiarogodnych, jacy nigdy nie byli pod są-

dem, na świadków przysięgłych, dla okazania dawnej granicy pomiędzy gruntami Suraża i Mizocza. Do miejscowego zaś parocha odniosłem się, ażeby tych włościan przywiódł w cerkwi do przysięgi na to, że o cokolwiek mój sąd podkomorski będzie ich badał, oni w tem wszystkiem najrzetelniej zeznania swoje uczynią. Podobnych sześciu świadków z Mizocza, już po wykonanej tam z mojego polecenia przysiędze, przybyło za nami do Suraża.

Kiedy dwunastu razem zebrało się świadków przysięgłych, i urzędowy geometra przybył na moje wezwanie, udaliśmy się do lasu w miejscu zetknęcia się jego z lasem mizockim. Ze strony powodowej nie było nikogo, prócz sześciu jej świadków. Sumienie przeto nakazywało mi tem pilniejszą baczność na dukt, jaki miejscowi Suraża starzy włościanie prowadzić będą.

Lecz jakież było zdziwienie moje, kiedy we wszelkich kierunkach łamiąca się linia graniczna bezspornie uznaną została i ze strony pozwanej, to jest gdy włościanie Suraża i Mizocza zgodnie zeznali, że pan Karwicki używa swojego lasu wedle odwiecznie znanej im granicy. Gdym dostrzegł w każdym punkcie tę pomiędzy świadkami obudwu stron zgodę, wnet poleciłem obecnemu geometrze, ażeby zdjął plan wskazanej przez świadków linii granicznej i aby w miejscach właściwych, mianowicie przy zmianach kierunku w lesie, posypał kopce. Ta cała robota ze zdjęciem planu przez geometrę i mojem na mapie poświadczeniem zajęła nie więcej jak dni pięć.

W dniu ostatnim mojego tam zjazdu wysłałem z Suraża na pocztę krzemieniecką do głównego sądu wołyńskiego raport o spełnieniu danego mi ukazu, z załączeniem w kopii całego protokułu mojej w Surażu czynności i podobną kopię mojego w tej sprawie dekretu wydałem panu Gruszeckiemu, jako plenipotentowi pozwanej stony.

Z Suraża już nie byłem w Mizoczu, gdzie sam

pan Gruszecki, rad z wygranej, odjechał. Udałem się na Hulczę do Ostroga.

W dniu 21-m listopada, w sobotę, zajechawszy na popas w Hulczy do zajezdnego domostwa, dostrzegłem w sieniach kilka rozmaitych powozów i konie przy żłobach, a w izbach, prócz Żydów szabasujących, nikogo. Zdziwiony, pytam gospodarza, czyje to powozy, a on mi rzecze:

— To, widzi pan, kantycesya (kondescensya) zjechała. We dworze są urzędników, są i panów, krewne nieboszczyka podczaszego Podhorodeckiego. Ona sama, podczaszyna, umarła; to już ich dożywocie nie kole w oczy, już Hulczę rozszarpią; każdemu coś się dostanie; a szkoda, szkoda tego majątki!

— Któż we dworze jest gospodarzem?

— Tam wiele ich jest! Ale podobno najważniejszy siostrzeniec nieboszczyka podczaszego, pan sędzia Trypolski, co go nazywają sowetnik z Tytiuników.

Ucieszyła mnie ta wiadomość.

Do mojego terminu czytania dekretu w Ostrogu jeszcze mam czekać dni kilka. Musiałbym z przykrością czas ten wysiadywać w Ostrogu, a tu znajdę przy Trypolskim jakąś rozrywkę pomiędzy przybyłymi na zjazd familijny, których on da mi poznać. Odjechałem natychmiast do dworu, zamówiwszy w karczmie miejsce dla moich koni i powozu.

Trypolski najchętniej mnie powitawszy, przedstawił urzędnikom ostrogskiego sądu ziemskiego, czyli, jak dziś, powiatowego, którzy zajmowali się spisaniem tak remanentów, jako też opisem całej włości huleckiej dla przysposobienia jej do działu, jaki ma nastąpić na satysfakcyę naprzód legataryuszów, testamentem podczaszego Podhoreckiego wymienionych, a w reszcie pozostałej pomiędzy jego synowców, jako po bezdzietnym stryju.

Poznałem też tam pana Witalisa Porczyńskiego z Urwenny, później marszałka powiatu Rowieńskiego,

który był ożeniony z Podhorodecką, podczaszego synowicą, a rodzonym był bratem pani podkomorzyny Łaźnińskiej.

Nazajutrz Trypolski, jako w niedzielę, a przeto w dniu wolnym od sądownictwa, zaproponował mi po obiedzie, ażebym z nim pojechał o milę do wsi Korostowy, gdzie mieszkają podkomorzostwo Łaźnińscy:

— Dam ci poznać ten dom--rzecze—jako spokrewniony ze mną.

Uśmiechnąłem się w duchu na tę propozycyę, bo przypomniałem sobie natarczywe tam swatostwo Aleksandra Ilińskiego. Nic nie mówiąc o tem Trypolskiemu, zgodziłem się na tę niespodzianą wizytę. Jadąc, marzyłem w myśli, że z listu, odebranego w Ostrogu przez kozaka z Załuża, mogę napewno wnioskować, że mój swat już powiedział państwu Łaznińskim o swoim co do mnie projekcie. Ztąd zrazu wydało mi się, że położenie moje tam będzie mi ciężyć, a przynajmniej nie będzie swobodne. Wiozą mnie tam jakoby na wystawę. Ale pomyślawszy nad tem, rzekłem sobie:—Co mi tam! Wszakże nie idzie o to, czy się tym państwu podobam, o to wcale nie dbam. Jadę poznać hardego, jak przedemną nazwała go biedna kobieta w karczmie huleckiej, a który podobał się ojcu memu z rozsądnej mowy o gospodarstwie, lubo go razem obraził, nazywając mnie poetą, a o jego córkę starać się nie myślę.

Gdy w Korostowej już dojeżdżaliśmy do mostu i bramy dziedzińcowej, Trypolski uprzedził mnie, że wysiądziemy nie przed dworem, gdzie pan Łaźniński sam mieszka, lecz przed oficyną na prawo, którą zajmuje żona jego z ich córką, a on, skoro przez okna spostrzeże przybyłych gości, pewnie wnet nadejdzie.

W oficynie, w pierwszym pokoju, bardzo skromnie umeblowanym, zastaliśmy samą tylko panią podkomorzynę. Trypolski prezentował mnie jako

krewnego swej żony. Objawiała w twarzy widoczne na zdrowiu niedomaganie, jednak z dość wyraźnemi śladami już oddawna przygasłych wdzięków, odgadywałem w niej, jak istotnie było, lat około czterdziestu.

Jadąc na tę wizytę, Trypolski opowiadał mi, że gdy ona była panną jeszcze, w Hulczy, gdzie od kolebki w pieszczotach wuja swego, podczaszego Podhorodeckiego, pobierała staranne wychowanie, i który tak ją lubił, że wydał jej skrypt na sto tysięcy złotych i tę należność potem potwierdził testamentem, to gdy jej wdzięki rozwinęły się, młodzież okoliczna szalała dla jej piękności i że młody wówczas pan Łaźniński, dość majętny z sukcesyi po swoim stryju Walentym, łowczym w. koronnym, dla jej tylko twarzyczki i pięknej figury, pobałamuciwszy ją trochę, z nią się ożenił.

Po chwili z drugiego pokoju drzwi się otworzyły i weszła ich córka. Aleksander Iliński uprzedził mnie, że ona nie jest pięknością, a ja przesadziłem moje domniemanie, że on chce tym wyrazem zamaskować przedemną jej okropną szpetność i ztąd mi się wydała, jak wiele innych panien, które nie wzbudzają nadzwyczajnego ku sobie pociągu, ani też odrazy.

Trypolski powitał ją ucałowaniem ręki, a ja zdaleka ukłonem. Za wejściem panny Łaźnińskiej, podzieliłem się z nią rolą swoją; już nie ja tylko, lecz i ona przedemną była na wystawie. Badawcze rzucałem spojrzenia na rysy jej twarzy, na jej oczy, chcąc zajrzeć do duszy, czy odpowie mojej. Lecz te badania były przelotne, jakby przez zabawę. Nie miały zasady w stałem z mej strony postanowieniu.

Pan Łaźniński ciekawie wypytywał, jakie się okazało rozwiązanie sprawy o granice między Ostrogiem a jego przedmieściami. Ta poważna rozmowa trwała czas krótki; gospodarz, zwracając się do Trypolskiego, w wesołych zawsze żarcikach z sądowych

figur podsędka i jego towarzyszów w Hulczy, zajmował nas, ożywiał i śmieszył. Ja do panny ani się zbliżyłem, ani słowa nie przemówiłem do niej.

Po herbacie odjechaliśmy z Korostowy.

— A co?—zapytał mnie Trypolski w drodze— czy kuzynka moja podobała się ci?

— Zachciałeś — rzekłem — żadna mnie już nie zbałamuci, minęły te lata!

I rozmawiając o rzeczach obojętnych, dojechaliśmy do Tulczy. Tam liczne towarzystwo, złożone z osób sądowych, legataryuszów, sukcesorów podczaszego Podhorodeckiego, przy podanych już świecach, podzieliło się na gronka. Przy każdem prawie adwokat coś głośno dowodził, przytaczając na to konstytucye koronne i statut litewski, a przy dwóch stolikach grano w maryasza. Ja tu obcy dla miejscowych interesów, zbliżywszy się do jednego z tych stolików, dostrzegam leżący na nim kalendarz. Zajrzałem do niego, ażeby się wyrachować, kiedy z powrotem mogę być w domu. Rzuciwszy okiem na dzień jutrzejszy, to jest 23 listopada, co było w poniedziałek i widząc, że będzie św. Klemensa, bez żadnej myśli odezwałem się:

— A kto z panów będzie grzeczny powinszować jutro solenizantce?

Z drugiego końca sali dosłyszał to jej wujaszek, pan Witalis Porczyński. Pospiesza ku mnie i ze słodziutkiem przymileniem rzecze:

— Pozwól pan, ażebym ja mu jutro towarzyszył na obiad do Korostowy.

A przy tem bardzo grzecznie dziękował mi za pamięć o imieniu jego siostrzenicy.

Tu przypomniałem sobie śmieszną a publiczną scenę na jednej z sesyj sejmu czteroletniego przy połączeniu izby poselskiej z senatorską, w obecności króla na tronie.

Pomiędzy posłami z województwa podolskiego, był pięknie ukształcony i pełen dowcipu Józef Wy-

leżyński, znany z późniejszego ucinku o przedajnym poecie:

Leci Molski! w ręku oda,
Dla Jezusa, dla Heroda,
A w zapasie wierszów trzysta,
Dla nowego Antychrysta.
Co tu pieniędzy!

Ale na biedę, ten poseł podolski zwykle po libacyach śniadaniowych przybywał na sesye i nigdy nie był tam trzeźwym.

Raz wśród rozpraw nad ważnym dla kraju przedmiotem, gdy po każdej mowie liczne odzywały się razem domagania posłów, ażeby im z kolei mówić dozwolono, król dostrzegł, że najzawzięciej a zawsze napróżno domagał się tego stojący we framudze okna Wyleżyński, ciągle po każdej mowie wykrzykując:—Proszę o głos!—A więc z tronu odezwał się do marszałka:

— Niech też pan podolski ma głos.

Wyleżyński, usłyszawszy to, a zaledwie stojący na nogach, uchyliwszy głowę, przemówił:

— To ja, tak sobie, najjaśniejszy panie.

Wprawdzie nie byłem pijany, ale jak ów poseł podolski, bez żadnej myśli odezwałem się o imieninach z kalendarza, a nie z serca. Z tem wszystkiem, przed wujem panny przyzwoitość nie dozwalała powiedzieć: „To ja, tak sobie, panie dobrodzieju.“ Przeciwnie, rad nierad, musiałem z wdzięcznością przyjąć propozycyę pana Witalisa Porczyńskiego.

Nazajutrz przed południem, stawiąc się na słowie, pan Porczyński, przybył po mnie do Hulczy. Wsiadłem z nim do jego powozu, a mój szedł za nami dla swobodnego kiedy mi się podoba wyjechachania z Korostowy. Z panem Porczyńskim podobnież tam przed oficyny zajechaliśmy. Pani podkomorzyna i jej córka cokolwiek świąteczniej były

ubrane niż wczoraj. To dało mi domysł, że p. Porczyński wczoraj wieczorem, wróciwszy do siebie, pewnie uprzedził bilecikiem siostrę swoją, że na dzisiejszy obiad ma się spodziewać gościa, który pamiętał o imieninach jej córki. A ja, mając w pamięci wykrzyki Józefa Wyleżyńskiego: — proszę o głos! — i położenie jego, gdy mówić pijanemu dozwolono, ciągle sobie powtarzałem, że: „Ja, tak sobie, najjaśniejszy panie."

Nadszedł do nas pan Łaźniński i, płodny w krotochwile, najuprzejmiej nas powitawszy, wnet zaczął nas zabawiać dykteryjkami pełnemi dowcipu. Potem do mnie rzecze:

— Skoro zobaczę się z senatorem Ilińskim, który czasem mój dom nawiedza, podziękuję mu za podanie nam sposobności poznania pana osobiście, bo wprzód nasłuchaliśmy się o nim ze zjazdów podkomorskich w Ostrogu, a pierwej jeszcze z danej przez pana nauki płochym panienkom w balladzie: „Trzy krzyże pod Brykowem." Ale powiedz mi pan, dlaczego ojciec pański, któregom poznał w Romanowie, oburzył się na to, żem pana nazwał poetą?

— Ojcu memu — rzekłem — najlepiej było wiadomo, żem nie miał czasu sposobić się na dostojny tytuł poety; inny bowiem przeznaczał mi zawód, chciał, ażebym całą młodość poświęcił praktycznej nauce prawa, co przygotowaćby mnie mogło do zasługi obywatelskiej. Nie było więc pory odpowiedniej do skarbienia sobie zasobów w literaturze, bez których samo rymowanie wyrazów będzie marnowaniem czasu bez korzyści dla siebie i dla drugich, ztąd mój ojciec, zda mi się, słusznie takich wierszopisów nazywał próżniakami. Wypada jeszcze dodać, że jeśli komu uda się szczęśliwie, a bez trudu napisać kilkanaście wierszyków, to jeszcze nie daje prawa do tytułu poety.

— Wspomnienie pana — przerwał mi pan Ła-

źniński — o jego pobycie w Warszawie przypomina mi, żem odebrał od krewnego z Królestwa „Kalendarz polityczny polski na rok biegący 1825," gdziem wyczytał o panu, pomiędzy kawalerami orderu ś. Stanisława, żeś był sekretarzem komisyi do uregulowania handlu i żeglugi.

Tu wszedł lokaj z oznajmieniem, że podano obiad.

Trzeba było przejść przez podwórze kroków kilkadziesiąt z oficyny do dworu po szerokich dwóch forsztach dębowych. Dzień był wprawdzie pogodny, przecież dla jesiennego chłodu damy narzuciły na siebie chustki, my, goście, we frakach, a gospodarz w swojej czamarce granatowej, puściliśmy się w to przejście. Pani podkomorzyna podała rękę swemu bratu, co, zda się, było z jej strony łaskawem zezwoleniem, ażebym, jako konkurent, prowadził jej córkę, której ojciec ciągle coś wesołego nam prawiąc, szedł za nami.

W sali zastaliśmy świeżo przybyłego starca, pana Rakowskiego. Był to człowiek ubogi, liczną rodziną otoczony; niedaleko od Korostowy mieszkając, częstym był gościem u podkomorzostwa. Jakby obowiązkiem jego było przywozić wiadomości z całej okolicy, niesłyszane jeszcze jakiebądź nowinki. Zasiadał niekiedy do maryasza z podkomorzym. Stawka stanowiła zwykle dziesięć groszy; cokolwiek zdarzyło mu się wygrać, garnął do kieszeni, a przegrane zapisywał na papierku do późniejszego skwitowania. Te notatki ginęły, a wygraną, swoim porządkiem, zabierał.

Wracam do starca Rakowskiego, który, przywitawszy gospodarstwo, przy naszem wejściu do sali, zbliżył się następnie do ich córki i całując ją w rękę, jako solenizantkę, szepnął jakieś powinszowanie i napędził jej rumieńca po uszy.

Kiedy w tejże sali zasiedliśmy do stołu, tak się rzeczy złożyły, że mnie wypadło usiąść przy pannie

Klementynie. Przez konieczną grzeczność czułem się w obowiązku przemówić do niej.

Na rzucone moje zapytanie odpowiadając, zawsze baczne rzucała oko na ojca, ale cokolwiek mówiła zagadnięta przezemnie, trafiało do mego przekonania.

Głośna gawęda podkomorzego z Rakowskim tłumiła naszą cichszą rozmowę i to ją więcej ośmielało. Wystawa stołu była niepospolita. Pyszne antyki srebrne w wazach, rądelkach i półmiskach, spadłe po bezdzietnym stryju Łaźnińskim, łowczym wiel. kor., zdawały się imponować mnie, szlachcicowi, który też same naczynia, podobnie jak mój ojciec, miałem tylko w porcelanie, ale w duszy żartowałem sobie z tej impozycyi.

W ciągu uczty wytwornej wystrzelił korek od szampana. Pan Porczyński wniósł toast za zdrowie solenizantki. Podniosłem się na to hasło z moim kieliszkiem, a pannę znów okrył rumieniec. Wniosek ztąd prosty, że nie robiono przed nią tajemnicy o dziewosłębstwie Aleksandra Ilińskiego, że i u niej uznany już jestem za konkurenta o jej rękę. Co z tego będzie? Nie zgadnę. Dotąd było: *Ja sobie tak, Najjaśniejszy panie.* Pod koniec obiadu podano w opleśniałej butelce wybornego z lat dawnych węgrzyna, w jakim ja najwięcej smakuję. Powstawszy od stołu, przeszliśmy ordynkiem w tymże porządku do paradnego salonu. Tu sprzęty pokojowe o wiele były okazalsze niż w oficynie. Wszystko świadczyło o zamożności tego domu. Tam, przy czarnej kawie, gdy panna usiadła przy matce, a p. Porczyński rozmawia z Rakowskim, gospodarz bada mnie, jak też ja, przywykły do miasta, to w Warszawie, to w Krzemieńcu, który udaje Warszawę, czas mój przepędzam na wsi?

— Pewnie gospodarstwo cięży panu?

— Przeciwnie — rzekłem — bardzo mnie zajmuje i bawi, tak dalece, że mało udzielam się sąsia-

dom, a żal mi opuszczać domu dla koniecznych zjazdów mego urzędu.

— Teraz pojmuję — przerwał mi — dlaczego ojciec pana chwalił się przedemną, żeś nie próżniak.

Krotochwilny podkomorzy w dalszej rozmowie ze mną okazał mi się nieobcym owoczesnemu piśmiennictwu. Utrzymywał gazetę i „Pamiętnik Warszawski" Bentkowskiego. Lubo namiętnie oddany gospodarstwu, umiał to pogodzić z upodobaniem w coraz nowych książkach. Pamięć miał bardzo szczęśliwą i lubił niekiedy dosłownie przywodzić ustępy z niektórych wzorów wymowy. Przytem był to człowiek bardzo towarzyski i chociaż, jak później go poznałem, zaślepiał się przydomkiem swoim *Saryusz* i herbem *Jelita*, jak ma dom ordynatów Zamojskich, z którymi on, jak drzewo genealogiczne poświadcza, w familijnych był stosunkach, przecież każdy szlachcic najuboższy, byle z umysłem wyższego ukształcenia, chętne miał w jego domu przyjęcie. Gdy śród ciągłej z nim pogadanki spostrzegłem się, że już pora odjechać, i biorę do rąk czapkę, on mnie pyta:

— Czy pan tak spieszy do Ostroga?

— Nie — rzekłem — tam będę na noc z Hulczy we środę, to jest, pojutrze, gdzie spodziewam się zastać kolegę mego, podkomorzego ostrogskiego, który nie wiem jeszcze, czy zgodzi się na moje co do sprawy zdanie. Lecz bądź-co-bądź, mój dekret już gotowy czytać tam będę we czwartek, to jest dnia 26 listopada.

Tu pani podkomorzyna odezwała się:

— Jeśli pan wracasz do Hulczy, o kilka wiorst tylko, to prosimy chwilę zatrzymać się, wnet podadzą herbatę.

Pozostaliśmy przeto na herbacie, po której, zostawiając tam starego Rakowskiego, odjechałem moim powozem do Hulczy, a p. Porczyński swoim do Urwenny.

We środę po obiedzie, to jest dnia 25 listopa-

da, pożegnawszy Michała Trypolskiego i całe w Hulczy towarzystwo, udałem się o dwie mile do Ostroga. Tam, skoro przybyłem, usłużne żydki przynieśli mi zaraz wiadomość, że pan podkomorzy Szczepkowski ma kwaterę u Kapucynów. On pewnie z równem oczekiwaniem dowiadywał się o moje przybycie, bo zaledwie rzeczy moje z powozu zniesiono, już zjawił się u mnie.

Po kilku obojętnych słowach, gdyśmy zasiedli, jakby dla narady, zapytałem go:

— Czy nie wypadnie nam jeszcze odłożyć czytania naszego wyroku, aż pan przejrzysz dokumenty dość liczne strony powodowej?

— Nie ma potrzeby odkładać. Ja wierzę, iż pan w edukcie do dekretu pewnie już napisanego, najrzetelniej wszystkie dokumenta stron przywodzisz, a przeto proszę tylko pozwolić, abym ów dekret pański wziął do siebie dla odczytania. Jutro przed południem zwrócę go panu i zdanie moje objawię.

Podziękowałem za ufność, położoną we mnie, i przedstawiłem mu już przygotowane przezemnie do strony pozwanej obwieszczenie, że jutro mamy czytać dekret, aby i on raczył je podpisać. Poczem dobyłem ze skrzynki dokumentów mój na wierzchu dekret i oddałem mu. Pan Szczepkowski, proszony przezemnie na herbatę, która już stała na samowarze, nie chciał i chwili zatrzymać się, tak mu pilno było natychmiast zasiąść do czytania na osobności danych mu kilku arkuszy mojego pisma. Tymczasem przybył z Hremiacza były podsędek, pan Jan Sleszyński, umocowany ze strony senatora hrabiego Ilińskiego, przywieziono też na moją kwaterę z Romanowa cały przybór kuchenny i kredensowy, pamiętano bowiem o wszelkich dla mnie wiktuałach i wygodach.

We czwartek, dnia 26 listopada, po rannym obiedzie przybył do dworku, gdzie ufundowałem mo-

ją juryzdykcyę, pan podkomorzy Szczepkowski. Byliśmy sam-na-sam.

On oddaje mi mój dekret i rzecze:

— Przebacz, panie, że nie mogę zgodzić się na jego w tej sprawie decyzyę, a przeto, lubo z wielką dla mnie przykrością, lecz wedle mego przekonania, odmienną moją opinię czytać będę.

Robię mu uwagę, że mój dekret nie stanowi jeszcze granicy między przedmieściami a miastem, że nie mając dokładnej informacyi z literalnych dowodów, czy strona powodowa posiada swój majątek w granicach używanych wówczas, gdy te przedmieścia obejmował generał Ferzen, a to jak przyznał senatorowi Ilińskiemu ukaz senacki roku 1801, dla braku dostatecznych dokumentów, wedle przepisu prawa, uznaję tylko potrzebę stawienia obustronnych świadków, dla przekonania się, jakie było używanie granic lat temu trzydzieści, to jest przy intromisyi pana Ferzena 1795 roku.

Na to mój kolega:

— Tak, panie, a ja z pewnej wiadomości ubocznie powziętej przekonałem się, że dziedzic miasta Ostroga, po roku 1795, nie zajął ani kawałka ziemi do przedmieść należącej i dlatego czynność strony powodowej uznałem za nienależytą.

Dziwnem się dla mnie wydało to nadanie wiary jakiejś wiadomości ubocznie powziętej, a niczem nie wspartej, Ale daremne były moje przedstawienia i logiczne rozumowanie: obadwa niezachwianie przy swoich pozostaliśmy zdaniach. W końcu powiedziałem mu tylko, że skoro on nie cofa rozpisu, to żadna z naszych opinii nie jest jeszcze ostatecznym dekretem, albowiem wedle konstytucyi 1768 roku, trybunał, a dziś wołyński sąd główny cywilnego departamentu, wyznaczy podkomorzego z jakiegobądź powiatu na zjazd w tej sprawie, a którą z naszych decyzyi uzna ten podkomorzy za słuszną i zgodną z prawem, ta stanowić będzie ostateczny dekret.

Sprawa ta obudzała powszechną w Ostrogu ciekawość. Przybyli do juryzdykcyi naszej członkowie sądu powiatowego i sądu niższego, zjechało bawiących kilku obywateli w mieście dla własnych tam interesów, pomiędzy którymi wszedł podeszlych lat Rosyanin, którego mi prezentował jeden z obywateli, jako dymisyonowanego generała. Posadzilem go tuż obok siebie. Później powiedziano mi, że on był wysłużonym urzędnikiem w wydziale prowianckim i przez długie w tym zawodzie lata uzyskał tytuł rzeczywistego radcy stanu, co odpowiada randze generała. Usiadłszy przy mnie, opowiedział mi, że niedaleko od Ostroga posiada prawem zastawy wioskę pana senatora Ilińskiego, i że umyślnie tu przybył z ciekawości, czy senator wygra połowę miasta Ostroga.

Ten gość stał mi się pamiętnym z dziwnej sceny, jaka zaszła pomiędzy nim a podsędkiem Sleszyńskim. To zdarzenie opisałem najrzetelniej w artykule pod tytułem *Adwokat*, umieszczonym w „Gazecie Polskiej“ z czasów redakcyi I. J. Kraszewskiego.

Gdy oczekiwany plenipotent księcia Karola Jabłonowskiego przybył do nas, zacząłem ogłaszać mój dekret. W ciągu czytania mego wszedł Aleksander Iliński i nie zważając na dostojność naszej juryzdykcyi, podchodzi z rubasznością ku mnie i przerywając czytanie, zapytuje, czy z nim pojadę.

— Zaczekaj! — rzekłem oburzony — wszak widzisz, co mnie zajmuje.

— Dobrze, dobrze, ja odjadę do miasta i za chwilę wrócę,

To powiedziawszy, odjechał. Dokończyłem mój dekret, następnie pan Szczepkowski odczytał swój dziwny rozpis. A gdy słuchacze nasi zaczęli nas żegnać, plenipotent księcia Karola Jabłonowskiego prosił mnie w imieniu swego pryncypała, abym mu pozwolił do dnia jutrzejszego zatrzymać u siebie mój dekret. Ponieważ zaś miałem zaraz wyjeżdżać do

Korostowy, przeto poleciłem panu podsędkowi Sleszyńskiemu, aby ów dekret przyjął nazajutrz do siebie. Gotów już byłem do podróży, oczekuję tylko na mojego swata, który gdzieś w mieście załatwia swoje interesy. Wtem lokaj mój wchodzi ze smutną wiadomością, że jeden z moich koni mocno zachorował. Przybył wezwany konował. Upewnia, że konia wykuruje, byle dziś nie zaprzęgać go, aż jutro. Nająłem Żyda furmana do mojego powozu i czekam tylko już zniecierpliwiony na Aleksandra Ilińskiego. Chodząc samotny po izbie żydowskiej, z uśmiechem zapytuję sam siebie, po co mi tak pilno do tej Korostowy? I przywiodłem sobie owe z lat młodszych najszczersze wzdychania, gdym dojeżdżał do Wołoczyńca, do Kotelanki lub do Krzywicz. Najpierwsza z nich obudziła pierwotny w moich dwudziestu latach pociąg, przez lat pięć karmiony wyraźną jej życzliwością. Nie dziw, że nie zważając na grożące przeszkody, leciałem jak komar do światła. To uczucie dla niej najpiękniejszym było kwiatem młodości mojej.

Dwie następne zręcznie mnie zwodziły. Ale dziś po co spieszę? Mamże przybrać maskę zakochanego? Uchowaj mnie Boże!... I zaśmiałem się, przypomniawszy sobie słowa Józefa Wyleżyńskiego na sejmie do króla: — „To ja sobie tak, N. Panie.— Doczekałem się nakoniec mego towarzysza. Siadam z nim do jego kocza, a mój idzie za nami. Mocno już pociemniało, godzina siódma, a z Ostroga do Korostowy jest dwie mile. Nierad sam sobie, milczę w tej podróży i w końcu udaję śpiącego. Towarzysz mój nie wie, że już poznałem się z państwem Łaznińskiemi, że już dwa razy w tym tygodniu byłem w ich domu. Milczę o tem, aby po przybyciu do nich zdziwić go, że nie potrzebuję prezentacyi. Zajeżdżamy przed oficynę, bo z jej tylko okien uderzało światło. Zastaliśmy razem oboje i ich córkę.

Pan Aleksander prezentuje mnie państwu Łaznińskim. Gospodyni z uśmiechem na to przemówiła:

— O! znamy się już, znamy z panem podkomorzym.

Swat osłupiały pyta, patrząc na mnie:

— Gdzie? Kiedy?

— Miałem — mówię mu — przyjemność być tu w niedzielę i w poniedziałek.

— Widzisz panie Aleksandrze, iż pan Konopacki grzeczniejszy jest od pana, bo pamiętać raczył o dniu imienin naszej córki — rzekła gospodyni.

Trafiliśmy już po wieczerzy. Niebawem podano ją dla nas. Pan Łaźniński, wiedząc już odemnie o treści mego dekretu, był ciekawy wiedzieć, czy pan Szczepkowski zgodnie go podpisał, i wydziwić się nie mógł jego niedorzecznemu rozpisowi. Po naszej wieczerzy gospodarz wezwał mego towarzysza do siebie na maryasza, a ja pozostałem w oficynie z damami. Bawiłem je gawędą, badany o sąsiadów moich i krewnych. Panna Klementyna ciągle była milczącą. Domyślić się jeszcze nie mogłem, że tam przy rodzicach dzieci ozwać się nie śmieją. Gdy dostrzegłem na zegarze, iż blizko już północy, zabierałem się do pożegnania ich, gospodyni zadzwoniła i wchodzącemu lokajowi poleca, aby mnie odprowadził na nocleg.

W tejże oficynie była z drugiego końca sala bilardowa, dobrze ocieplona, gdzie zastałem mego lokaja Rudnickiego, który tam na mnie oczekiwał przy mojem już zasłanem łóżku; drugie takież oczekiwało Aleksandra Ilińskiego. Najspokojniej zasnąłem. Dziś mnie to zastanawia, bo przecież było nad czem pomyśleć, chociaż ustalonego zamiaru nie miałem. Ale on mógł się nim wydawać, zwłaszcza po uprzedzeniu o nim państwa Łaznińskich przez swata, o czem on doniósł mi listem swoim, i po tej trzeciej w jednym tygodniu bytności tam mojej.

Nazajutrz, to jest dnia 27 listopada, budzę się

rano i widzę łóżko pana Aleksandra nietknięte, jak było z wieczora.

Wchodzi jego lokaj, pytam:

— Gdzie twój pan?

— Oto już idzie. Panowie całą noc grali w karty.

Jakoż wchodzi zmęczony bezsennością, gdy ja, dawno już po kawie, mam udać się do pokojów pani podkomorzyny. Powitałem go żartami ze spędzonej nocy na szulerce. Nic na to nie mówiąc, spiesznie zrzuca ubranie i kładzie się do łóżka.

Widząc, że wychodzę, przywołuje i pyta:

— A co?

— Nic.

— Jakto nic?

— A cóż ma być?

— Ja tam już skończyłem o tobie.

— Winszuję ci, tylko szkoda, że bezemnie!

— Cóż to jest? Ty żartujesz! Czy nie wiesz, czem to pachnie? Będziesz musiał dać mi satysfakcyę!

— Daję ci ją teraz: zostawiam cię, abyś spał.

Wyszedłszy, spotkałem miejscowego lokaja, który mnie upewnił, że panie jużdawnoubrane, są w bawialnym pokoju oficyny, i że on ma tam nakrywać do herbaty.

Dziwne było położenie moje. Szalony Aleksander Iliński dał mi do zrozumienia, że coś postanowiono już o mnie, gdy ja wątpię jeszcze, czy będę miał odwagę dać jakiś pozór niby starania się o związek z osobą, dla której nie mam podobnych uczuć, jakiemi tchnąłem dla innych. Jak potrafię z tego labiryntu wycofać się? Niech to Bóg raczy rozwiązać!

Zastałem obie panie w pierwszym ich pokoju. Po zwykłych grzecznościach i zapytaniu gospodyni, czy wygodny miałem nocleg, najrzetelniej powiedziałem, że bez przerwy i najspokojniej spałem noc całą, gdy mój towarzysz przepędził ją u pana podkomo-

rzego, od którego w tej chwili wróciwszy, położył się w łóżko. Wkrótce podano herbatę z wyborną bułeczką, do której, lubo już po kawie, i ja należałem.

Po niejakim czasie, matka zostawiła mnie z córką. Przyzwoitość każe bawić ją rozmową. Zacząłem od badania, czy oprócz gazet i „Pamiętnika Warszawskiego", dochodzą tu jakie nowo-wychodzące dzieła?

Na to panna Klementyna:

— Mój ojciec, chociaż bardzo zajmuje się szczegółami gospodarstwa, przecież lubi zawsze coś czytać. Ma na to w szafce pod swoim kluczem i własnych dość książek i niekiedy udzielanych mu przez sąsiadów.

— Czy przystęp do tej szafki wzbroniony jest dla pani?

— Ojciec pozwala mi czytywać niektóre. Dał mi niedawno dzieło panny Tańskiej, pod tytułem „Pamiątka po dobrej matce", które polecił mi nietylko czytać, ale choćby po razy kilka odczytywać. Dał mi potem dwa tomiki księżnej Wirtemberskiej, p. t. „Malwina, czyli domyślność serca".

— Widzę, że ojciec pani pozwala jej czytać romanse?

— O, wcale nie! Dając Malwinę, powiedział, że ten jeden romans pozwala mi czytać, zachęcony uwagami nad tem dziełem Jana Śniadeckiego w liście do jego synowicy.

— Czy pani znany jest ten list?

— Nie znam zupełnie żadnych pism tego autora.

— Pewny jestem, że ów list jego nie podobałby się pani. On doradza młodej osobie, aby nie polegała na podszeptach własnego serca, lecz z ufnością spuszczała się na radę rodziców i przyjaciół, na ich rozsądek, większym nabyty doświadczeniem. Ta rada stryjaszka trąci przedwiecznym obyczajem.

— Mnie się zdaje, że jeśli rodzice dbają o przyszłość swej córki, to nie zechcą nadużyć swej władzy do tego stopnia, aby bez względu na odrazę i wstręt do kogoś, zmuszali ją do niemiłego jej związku. Mówią, że nikt źle nie czyni bez widoków własnej korzyści. Chyba przypuścimy tyrańską nienawiść dla córki, której rodzice cieszyliby się jej łzami przez całe życie.

Nadejście podkomorzyny przerwało naszą rozmowę.

Gdy zeszliśmy się na obiad, na zapytanie podkomorzyny, jakie było w grze wczorajszej powodzenie, towarzysz mój oskarżał losy, że mu nie sprzyjały w maryaszu.

Ona rzekła na to:

— Panowie maryaszem nazywacie faraona. Wszakże zwykle kończycie na nim grę waszą, przeciągając ją do białego dnia.

Mąż jej z naciskiem odezwał się, zasiadając do stołu:

— A pani niech swoich motków pilnuje. Co babom do tego, jak my się bawimy? Ja nie podsłuchuję plotek, o jakich sąsiadki szepczą do ucha pani, proszę więc i do gry naszej nie wtrącać się.

W ciągu obiadu, zachmurzona podkomorzyna, była milczącą, a pan Aleksander Iliński nadaremnie wesołemi dykteryjkami starał się choćby cokolwiek ją ożywić. Przy tej uczcie wypiliśmy po kilka kieliszków wybornego węgrzyna, który trącił myszką, jak znawcy starość wina oznaczają. Po obiedzie gospodarz dostrzegł przez okno, że oba powozy nasze już zaszły i wnet zawołał:

— Cóż to jest! Panowie tak nagle opuszczacie nas? O! przepraszam! Nie pozwolę na to! Wszakże tobie, panie Aleksandrze, należy się rewanż.

Mój towarzysz wymówił się pilnym terminem w sprawie ważnej, jaką ma w ziemstwie ostrogskiem.

Wówczas pan Łaźniński odezwał się do mnie:

— A pan już nie masz terminu do pilnowania, cóż go przynagla?

— Przeciwnie — rzekłem — mam termin bardzo naglący. Mój furman jest Żydem, a dziś, jako w piątek, do wieczora tylko służyć mi może.

— O! na to łatwy jest środek. Proszę posłuchać życzliwej rady. Odeszlij pan Żyda z jego końmi do Ostroga i przez niego daj pan polecenie, aby furman z końmi własnemi dziś tu przyjechał. Czyliż to zła rada?

— Posłuszny tej uprzejmości pana, z wdzięcznością ją przyjmuję.

Odjechał mój swat, a ja postąpiłem, jak chciał grzeczny gospodarz, który, niekrępując się gościem, zostawił mnie z damami, a udał się „liniejką“ swoją do gumna, gdzie młócą piękną jego pszenicę. Powiedział mi tylko:

— Muszę tam wpaść niespodzianie, bo zdarza się, że korzystają z mojego zajęcia się gośćmi i okradają mnie niekiedy.

Tak zostawiony, umyśliłem bawić damy nieznaną im poezyą Adama Mickiewicza, której dwa tomiki pierwszego wydania w Wilnie miałem z sobą. Czytałem im tę część „Dziadów,“ gdzie autor pod imieniem Gustawa cudnie szaleje dla swojej Maryli. Dostrzegłem, że matka i córka całą duszą pochłaniają tę poezyę. Pierwsza z nich przerwała mi czytanie tą uwagą:

— Pan przejęty jesteś tak silnie duchem Mickiewicza, że zdaje się, jak gdybyś jego wiersze deklamował o własnej kochance.

— Ja nie mam żadnej.

— Jeśli jej dziś niema, to była, jak nam przynajmniej mówiono.

— Nie warto mówić o tej prozie. Proszę słuchać dalszych szałów poety.

To zajęcie Mickiewiczem przeciągnęło się aż do

wieczora. Podano herbatę, na którą przybył pan Łazniński, ale nie na długo; wszedł bowiem lokaj z oznajmieniem, że w sali domu czekają go ekonom i gumienny. Po herbacie jeszcze Mickiewicz wyręczał mnie zajmowaniem kobiet. Na wieczerzę zjawił się podkomorzy. Rozmawiał ze mną o przeszłości naszej prowincyi, o pogasłych magnatach Wołynia, których domy w młodości swojej nawiedzał. Opowiadał mi szczegóły o balu w Zasławiu, danym dla Wielkiego Księcia Konstantego przez księcia strażnika Sanguszkę. Było to w pierwszych latach bieżącego wieku, kiedy brat cesarski bawił na Wołyniu, a polskich dygnitarzów domy na wyścigi cześć mu składały hucznemi balami, na których wówczas bywał młody pan Łazniński. Mówił mi o wzorowem gospodarstwie u księcia Józefa Czartoryskiego, stolnika litewskiego, który tu pierwszy założył u siebie w Korcu fabrykę porcelany i sukna. Mówił o dziwactwach i dumie pani Chodkiewiczowej w Młynowie, która, pomnąc na to, że za czasów Rzeczypospolitej przy ogromnym majątku była starościną żmudzką, co było dostojeństwem senatorskiem, nie umiała położyć granic wysokiemu o sobie rozumieniu, że raz nowo przyjęty komisarz, jakiś cześnik w kontuszu przy karabeli, natychmiast odprawiony został za to jedynie, że mając potrzebę widzenia się z nią, wszedł do salonu przy jednym z dostojnych gości i ważył się przy nim powitać ją tak poufałym wyrazem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Na takich opowiadaniach podkomorzego zeszedł nam cały ów wieczór.

Gdy odszedłem na nocleg, jakieś niezwykłe roztargnienie opanowało mnie. Podczas mego rozbierania się mój Rudnicki odezwał się:

— Konie już przyszły z Ostroga. Czy pan każe jutro pakować się?

— Alboż tobie tu źle?—zapytałem go.

— Gdzietam panie! Tu taka wygoda, tak pamiętają o człowieku, jak nigdzie.

Tej nocy nie prędko zasnąłem. Najprzód wystąpiła rozwaga nad sobą, że już minęły lata młodzieńczych zachwytów, a nie dobrze pozostać samemu. W roku następnym skończy się trzyletnie moje urzędowanie, które mnie jakkolwiek zajmuje i ze światem wiąże. Smutne więc, bo samotne mam przetęsknić życie. Tu zdają się życzliwi. Może będą łaskawsi dla mnie, niż dla dwóch tutejszego powiatu młodych a dobrego imienia, dość majętnych obywateli, którzy wedle opowiadania przedemną mojego swata, bywali tu przyzwoicie przyjęci, lecz skoro objawili samemu tylko podkomorzemu chęć starania się o jego córkę, on dla przyczyn sobie wiadomych, bez badania córki, najgrzeczniej się ich pozbył.

Panna wprawdzie nie obudza we mnie uczuć tak dobrze sercu memu znanych. Mam silne wyobrażenie o szczęściu ze związku w miłości wzajemnej. Jest to raj, który Bóg w najwyższej dobroci swojej dla wiośnianych lat człowieka, jakby w nagrodę prawości, przeznaczyć raczył. Ale ten raj już nieprzystępnym jest dla mnie, już zacząłem rok trzydziesty szósty. Tu przywiodłem sobie w tak nadziemskiem szczęściu skojarzone małżeństwa, a po ścisłym rozbiorze ich pożycia pokazało się, że w lat kilka owe uniesienia miłosne zmieniły się w poufałą tylko zażyłość. A więc, kojąc żale za niecofniętą przeszłością, wyrzekłem:

— Wolę zacząć od tego, na czem tamci skończyli, a może za pomocą Boga jej rozsądek i przychylność podtrzyma na niedługą zapewne resztkę mego życia zgodność w zasadach i myśli, co stanowić będzie mój pokój domowy. Dziś o to tylko idzie, czy mam na czas dalszy odkładać oświadczenie się pannie, dla lepszego niby poznania się. Cóżbym zyskał na tem? Może ona tego zażąda, wówczas będę musiał dojeżdżać tu, aby dogodzić przysłowiu: „co

nagle, to po dyable“ i aby dać pole intrygom niechętnych. Co do mnie, tego jestem mniemania, że jak tydzień, tak rok cały nie da zgłębić charakteru panny, wszystkie one przybierają przydatne im maski. A jeśli jej ojciec, jak tamtym dwom, podobnie i mnie zechce odmówić, to lepiej zaraz, niż mam czekać na to. *Arrive ce que pourra!* a po naszemu: Dziej się wola Boża! Jutro zagadka będzie rozwiązana. Po tym namyśle zasnąłem.

Nazajutrz, to jest w sobotę, dnia 28-go listopada, wziąwszy jeszcze pod rozwagę nocne postanowienie, z westchnieniem do Boga potwierdziłem je. Po kawie w moim sypialnym pokoju wyszedłem około dziewiątej do pokojów pani podkomorzyny. Zastałem obie, jak wczoraj, już ubrane i siedzące nad jakąś robótką. Piłem z niemi herbatę. Po krótkiej, obojętnej rozmowie, matka, czując się niedomagającą, zostawiła mnie z córką. Zacząłem z nią rozmowę od tego:

— Czy nie śnił się pani Gustaw oszalały? Uważałem wczoraj, że mocne sprawił na niej wrażenie.

— Tak, istotnie mocne. Ale te gwałtowne uczucia zajmują mnie w tym sposobie, jak sztuczne ognie, jak fajerwerki. Lubimy patrzeć na nie z zajęciem, a po chwili, gdy zgasną, ciemność staje się nam okropniejszą.

— Bardzo trafne porównanie. Ono mnie ośmiela do pomówiania z panią w ważnym dla mnie przedmiocie i aby nie stracić swobodnej chwili, wzywam jej łaskawej uwagi na moją otwartość. Rodzice pani raczą dla mnie okazywać uprzejmość. Z kilku rozmów z panią mam wyobrażenie o chlubnych jej pojęciach moralnych, zupełnie zgodnych z mojemi. Doświadczenie nauczyło mnie, że to przekonanie o niej byłoby ciągle podtrzymywane, gdybym tu rok lub dwa nawet lata dojeżdżał dla lepszego niby z nią poznania się. Dlatego więc wolę, nie zwlekając, dziś objawić pani, że powziąłem dla niej szacunek i że

pragnę otrzymać jej wzajemność. Ale razem w sumiennym czuję się obowiązku, że komedyi odgrywać nie będę. Ja przyjaciel pani chcę jej przyjaźni, a wcale nie kocham się w pani.

Serdecznie zaśmiała się na tak niespodziane oświadczenie się, które ją przecie nie obraziło, bo po śmiechu tak głośnym, że i matka jej, leżąca w drugim zamkniętym pokoju, posłyszeć mogła, wnet, przybrawszy poważny ton, rzekła:

— Szacunek pana, o jakim zapewniać mnie raczysz, bardzo mi pochlebia i dostatecznym jest dla mnie. Łatwo więc pan domyślisz się, że wzajemność moja będzie najszczerszą. A co do zakochania się we mnie, powiem panu, że zwierciadło, którego muszę codziennie użyć do ubioru, oddawna mnie przygotowało do tej prawdy, którą pan, nie grając komedyi, raczyłeś objawić. Nigdy przeto nie wierzyłabym, aby powierzchowność moja miała obudzić miłość w kimkolwiek, a szczególniej w panu.

Tu z uśmiechem spojrzała mi w oczy.

— Dlaczegóż we mnie szczególniej?

— Bo dochodziły do nas wieści, że osoby, dla których pan silniejsze objawiałeś uczucia, znane nam są i w pięknych jego wierszykach odznaczały się niepospolitą pięknością.

— Porzućmy przeszłość. Wracam do rzeczy. Jeśli mój szacunek rzeczywiście dostatecznym jest dla pani, czy to ma znaczyć, iż wolno mi starać się o jej rękę?

— Co do mnie, ja także udawać nie umiem; mówię otwarcie, że najszczerzej panu sprzyjam. Lecz mój los od woli rodziców zależy.

Ucałowałem jej rękę podwakroć i przyszło mi na myśl, że nie czytała listu Śniadeckiego do synowicy i tak rozsądnie wedle jego prawideł postępuje. Zapytałem, czy teraz wolno mi wejść do pokoju jej

matki? Weszła tam i po chwili wróciwszy, odezwała się:

— Mama przeprasza, że czując się chorą, wejść tu nie może z powodu ciężkiego bólu głowy i prosi pana do siebie.

Zastałem podkomorzynę w pełnem ubraniu, jak była, z głową tylko obwiązaną i leżącą w łóżku. Oświadczyłem krótko chęć związku z jej córką. Najłaskawiej to przyjęła, lecz po stanowczą decyzyę odesłała mnie do swego męża. Wnet z oficyny odszedłem do dworu. Zastałem podkomorzego nad książką. Po grzecznych powitaniach, nie tracąc czasu, powtórzyłem słowa, powiedziane jego żonie. Podkomorzy z widoczną radością uściskał mnie i zapytał:

— A z Klementyną mówiłeś pan o tem?

— Tyle przynajmniej, że mnie ośmieliła szukać zezwolenia rodziców.

Na to rzecze mi z uśmiechem:

— Ale ja pana nie prędko od nas wypuszczę, boś zbałamucił mi córkę i gotów jesteś zaniechać ją.

— Przebaczy pan, że pomimo szczerej chęci zabawienia tu, muszę rychło wracać do domu dla własnych pilnych interesów.

Powróciłem do oczekującej mojej narzeczonej, której, jak dostrzegłem, dobrze już było wiadome sprzyjanie jej rodziców mojemu zamiarowi. Gdy do pory obiadowej bawiliśmy z sobą sam na sam, dowiedziała się odemnie, że mam pilną potrzebę jutro wyjechać, aby najrychlej widzieć się z moim jurysdatorem, generałem Giżyckim, dla zamówienia sobie na drugie trzy lata dzierżawy mojej w Czeczelówce, doszła bowiem wieść do mnie, że inni ubiegają się o tę posesyę do następnego 1826 r.

— Proszę pana!—rzecze mi—jeśli to być może, wstrzymaj się pan przez jutrzejszą niedzielę. Będzie to oktawa pierwszej naszej a tak pamiętnej dla mnie znajomości.

Chętnie uległem temu jej żądaniu, a ona wy-

szła do matki, potem do ojca, aby ich nogi ucałować.

Gdy na obiad wszedł podkomorzy, gdzie żony jego z powodu bólu głowy nie było, ozwał się do córki:

— No, Klementyno, złapałaś kawalera, ale nie na tem sztuka! Umiej go opętać, aby nie zemknął, to wtenczas przyznam, żeś tęga.

— Ja o to spokojna, bo dzięki Bogu, już nie będę brzydszą, niż jestem.

— Nie udawajno tak skromnej. Podobno każda z was, choćby najszpetniejsza, ma się za piękność.

Odezwałem się w jej obronie.

— Skoro to mniemanie o sobie jest wszystkim kobietom właściwe, widać, że Bóg chciał, aby one więcej niż my dbały o swoją powierzchowność.

— A tak, tak! Dbają też o to, aby kogoś opętać. Ale zapytaj pan księdza, a on przyzna, że to jest sprawa szatana, który nas do pokusy wiedzie i na dowód ksiądz zacytuje raj utracony z łaski pani Ewy.

Chciałem dodać, że biada nam! Winą bowiem jest naszą, jeśli całą wartość kobiety przywiązujemy do jej twarzyczki, że są inne a trwalsze zalety, stanowiące szczęście w pożyciu. Ale córka jego, siedząca naprzeciw mnie u stołu, zlekka poruszyła głową i tak znacząco spojrzała na mnie, żem pojął jej radę, aby zamilczeć. Potem, gdyśmy sami pozostali, powiedziała mi, że jej ojciec nie lubi, kiedy mu kto w czemkolwiek zaprzecza.

Bawiłem ją czytaniem niektórych ballad Mickiewicza, które ją mocno zajmowały. To czytanie przeciągnęło się aż do herbaty. Gdym ją zapytał, jakie ona ma mniemanie o poezyi w ogólności, ona na to:

— To wszystko, co tu z ust pana wyszło, dzięki jemu i Mickiewiczowi, bez porównania milsze na mnie robi wrażenie, niż najpiękniejsza muzyka. Ale

co do samego poety, to wnoszę, iż on szczęśliwy, w takiem jest zachwyceniu, tak rad własnym myślom, jak młoda matka z niemowlęciem na ręku, gdy dostrzeże pierwszy jego uśmiech.

Nadszedł podkomorzy na herbatę, a gdy się dowiedział, jaką mam książkę w ręku, prosiłem go, aby posłuchał ballady o Twardowskiej. Domyślałem się, że ta poezya spodoba mu się. Jakoż nadzwyczaj ucieszył się, że sam dyabeł czmychnał dziurką od klucza przed złą kobietą. W końcu zawołał:

— Kocham Mickiewicza, że złą kobietę przedstawił straszną dla samego nawet szatana! Oto tak trzeba ją czasem ocknąć ku poprawie. Dawniejsi poeci, jak Karpiński, Kniaźnin, a nawet dzisiejszy generał Kropiński przedstawiają w ogólności te połowice nasze jakby ród aniołów. To licha warto! Pochlebstwo wiedzie do wysokiego o sobie rozumienia i ztąd niepokój w domu, bo czasem głupia, jak stołowa noga, sądzi się głową ponad męża. O! znam podobne żoneczki!

Chciałem przemówić, że czasem niepokój domowy bywa z powodu niestałości męża, a zaniedbana w kwiecie wieku, przestaje być aniołem i mści się jak może krzywdy swojej. Ale wstrzymała mnie pamięć na uwagę córki jego, że on nie znosi, gdy mu kto w czem zaprzecza.

Ten jego absolutyzm trochę mnie zastraszył. Czyż miałbym się wyrzec we wszystkiem mojego zdania? Alem się pocieszał tą myślą, że żyć z nim nie będę.

Odszedłszy na nocleg do bilardowej sali, uderzony byłem nową dla mnie myślą, że ponieważ doznaję tu wiele grzeczności i także co do moich zamiarów łatwość, przeto może mnie mają za bogatszego niż jestem, może w ten błąd wprowadził ich mój urząd, niezgodny z arendowną posesyą. Ztąd postanowiłem jutro rano objawić panu Łaznińskiemu istotny mój fundusz

Nazajutrz rano wahałem się nad spełnieniem myśli, wczoraj wieczorem powziętej. Przyszła obawa, aby nie mniemano, iż dlatego odkrywam małe moje mienie, aby ich przygotować do koniecznej potrzeby posagu natychmiast po ślubie. A rzeczywiście ani to w głowie mojej powstało. Inne ja miałem tu marzenia. Zajmował mnie los wdowi mojej narzeczonej, bo przy wątłem zdrowiu mojem zdawało się, że niedługo pożyję, a przeto jakikolwiek posag jej przeznaczą, będzie to jej własność, której ja używać nie mam. Bądź co bądź, postanowiłem wyprowadzić z błędu pana Łaznińskiego co do funduszów moich. Wypiwszy kawę przyniesioną dla mnie, gdym się dowiedział, że podkomorzy już ją pił także, udałem się do niego i oddawszy mu zwykłe dzień dobry, mówię mu:

— Uważam sobie za obowiązek wyprowadzić pana z mylnego mniemania, do jakiego mój urząd mógł dać powód. Zwykle na tę godność obierają posiadacza w ziemi jakiegobądź majątku, ja zaś nie mam żadnego. Trzymam niewielką dzierżawę, a przytem cokolwiek mam w kapitale.

On mi na to:

— Masz pan swój kapitalik? Tem lepiej dla pana! Ja byłem pewnym, że nic nie masz. Ale ta od niego wiadomość obojętną jest dla mnie. Pan u mnie z osoby swojej tyle masz zalet, że gdybyś tylko cztery konie swoje i to jedyne ubranie na sobie, to wyżej go cenię nad pana Romualda Pr..., który jest bratem naszego marszałka, i nad pana Franciszka Cz..., którzy, jeden po drugim, uderzali do mnie o rękę mojej córki, ale nadaremnie, lubo dziedziczne posiadają wioski. Czy masz co, lub nie masz, moja córka będzie miała oznaczony posag. Ale ponieważ mówimy o tem, potrzeba, abyś pan wiedział, że związek wasz nie prędzej nastąpić może, jak za pół roku, to jest w maju lub w czerwcu. Konieczna wyprawa wymaga pewnego czasu dla przyzwoitego

jej przygotowania. Dodam jeszcze ważną dla mnie okoliczność. Gość w moim domu zawsze chętnie jest przyjęty, lecz nie na ślubowiny mej córki. Wydziwić się nie mogę, kiedy ludzie, zda się, rozsądni, a przecież przy akcie tak uroczystym wystawiają córkę swoją na widowisko publiczne. Uprzedzam, że tu, prócz koniecznych świadków, nikt zaproszony nie będzie. Po zapowiedziach ślub cichutko dopełni się w Tajkurach, w kościele parafialnym. Racz pan zastosować się do tej chimery mojej, jeśli to tak nazwiesz, i nie wzywaj od siebie nikogo z familii i przyjaciół swoich. Zostawmy huczne wesela chłopkom naszym, których jedynem jest szczęściem upoić się aż do upadłego.

Najchętniej zgodziłem się na to.

Opowiedziałem przed narzeczoną tę całą rozmowę moją z jej ojcem, a ona uściskawszy rękę moją, tak spojrzała na mnie, tak serdeczne było wylanie uczuć z jej oczu, żem się uczuł panem jej duszy.

Wieczorem, gdy byliśmy sami, Klemunia moja, już spoufalona ze mną, mówi mi:

— To jutro jakże straszne dla mnie! Nigdy nie żałowałam aż dopiero dziś, że jestem niełądną.

— Zkądże ci ta myśl przyszła?

— Boś ty bywał zajęty pięknościami, a o mnie, odjechawszy, zapomnisz!

I łzy się jej puściły.

Najuroczyściej ją upewniałem, żem nie bałamut, że najdalej za dwa tygodnie powrócę i tu świętować będę. Mocno łzami swojemi przemówiła do mojego serca. Starszy od niej o lat szesnaście, nie mogłem obiecywać sobie, aby młode dziewczę tak mną zająć się miało.

Dnia 30 listopada, w poniedziałek, t. j. w oktawę imienin Klemuni, po ciepłem śniadaniu wyjechałem z Korostowej. Dodam tu jeszcze o łzach mojej narzeczonej. Gdy już powóz mój zaszedł przed ga-

nek, ojciec jej dostrzega, iż ona, spojrzawszy w okno, chustką swe oczy oslania. A więc zaczyna z niej żartować:

— Cóż to jest? Aspanna widzę zakochałaś się! Jakże ci nie wstyd, Klementyno! Kawaler odjedzie, i kto wie, może tu nigdy nie wróci, a w takiem zdarzeniu rozgłosi po świecie dla chluby swojej, żeś za nim płakała.

— Niech pan — rzekłem — raczy nie żartować z nas obojga w sposób tak mnie krzywdzący.

Pożegnawszy podkomorstwa, ucałowałem po trzykroć rękę ich córki, i puściłem się do domu.

W przejeździe wstąpiłem do Szulajek. Radość nadzwyczajną sprawiłem dobrym siostrom moim wiadomością, że mam już przecie żenić się. Pojąć nie mogły, jakim to cudem stało się tak prędko, wiedziały bowiem, że ojciec nasz tylko poznał był w Romanowie pana Łaźnińskiego, a ja nigdy nie byłem wprzód u niego i córki jego nie znalem. Prosiłem sióstr, aby zachowały w tajemnicy przed wszystkimi sąsiadami moje za pół roku ślubowiny. U nich zastałem znaczny już postęp w przygotowaniach wyprawy dla młodszej. Tam przenocowawszy, śpieszyłem na chwilę do siebie, aby zajrzeć tylko do gospodarstwa.

Nazajutrz rano obejrzałem cokolwiek moje gospodarstwo i puściłem się o cztery mile do Mołoczek. Zastałem tylko samego generała. Żona jego wyjechała w przeddzień w odwiedziny do pani generalowej Karwickiej, przybyłej z Mizocza na czas jakiś do swego Lubaru. Juryzdator, jak zawsze, łaskaw na mnie, upewnił, że nikomu innemu, tylko mnie wypuści Czeczelówkę na drugie trzy lata, od stycznia następnego 1826 roku, chociaż brat mój, Franciszek, już nie zamierza brać nadal w dzierżawę wsi Kustowiec, które to obie wioski razem były wypuszczone.

Generał Giżycki był bezdzietny. Żona jego, z domu Ilińska, starego senatora Ilińskiego rodzona siostra, wzięła była pod swoją opiekę dwie sieroty,

jednę rodem Niemkę, a drugą pozostałą córkę po zubożałym z okolicy obywatelu. Obie one, już wówczas na wydaniu panny, najwykwitniej były wychowane i miały być wyposażone przez swoją opiekunkę z jej posagowej sumy, na majątku generała ubezpieczonej. Widywałem je nieraz u stołu, bywając tam na obiadach. Lecz ani domyślić się nie mogłem, o czem powiedziano mi z boku, że jedna z nich, Polka, była przez opiekunkę przeznaczoną dla mnie, a druga, córka Niemca, dla przyjaciela mego, Konstantego Piotrowskiego. Ta wiadomość doszła do mnie później, gdy już byłem ożeniony. Tym razem, ponieważ pani Giżycka wyjechała z domu, przeto owe panny zostawały z niegdyś guwernantką swoją, Szwajcarką, a dziś ich towarzyszką, w dolnych apartamentach pałacu, a dla nas dwóch tylko nakryto do stołu. W ciągu obiadu generał zapytał mnie, czemu się nie żenię?

Utaiłem zmówiny moje w Korostowej, zbywając go tą odpowiedzią:

— Trzeba już będzie pomyśleć o tem.

W marcu dopiero, następnego 1826 roku, pani Giżycka, dowiedziawszy się, że mam się żenić z panną Łaźnińską, zemściła się jak mogła za to, żem się nie starał o rękę jej wychowanki.

Gdy przy poobiedniej czarnej kawie podano nam fajki, generał Giżycki dostrzegł przez okno zbliżającą się karetę i zawołał:

— Otóż wraca! Chodźmy ją powitać!

Weszliśmy na galeryę. A skoro lokaj otworzył drzwiczki pojazdu, a pani Giżycka wysiadając z niego, ukazała twarz swoją, wnet mąż wyczytał z niej jakiś okropny wypadek i zmieszany zawołał:

— Co to jest! Co to jest!

Ona, wysiadłszy z karety, szepnęła mu coś do ucha. On rzucił się jakby sparzony, wbiega do sali, rwie sobie włosy, lata jakby szalony i wykrzykuje:

— Nieszczęście, nieszczęście! Teraz dopiero będzie piekło na ziemi! Ach, dlaczegóż dożyłem tej chwili!

Cesarz Aleksander I umarł w Taganrogu dnia 19 listopada 1825 r. Śmierć jego krótko była w utajeniu, i niebawem doszła wieść, że Wielki Książę, mając wejść w związek małżeński z Polką, panną Grudzińską, pasierbicą marszałka dworu w Warszawie, pana Brońca, zrzekł się był prawa do następstwa tronu po bezdzietnym cesarzu, Aleksandrze I-ym, i ztąd, że cesarzem Rosyi ma być młodszy brat jego, Mikołaj, ożeniony z królewną pruską.

W grudniu, w przyrzeczonym terminie, przybyłem do państwa Łaźnińskich, gdzie zastałem ich sąsiada, zastawnika na wsi Hremiaczu, pana podsędka, Jana Śleszyńskiego, doznającego tam szacunku i przyjaźni, a o którym wyżej wspomniałem. Co do mnie, jako po zmówinach, najuprzejmiej byłem powitany. Pan Śleszyński, winszując mi zamierzonego związku, zapytał dość głośno:

— A czemuż na palcu pana nie widzę zaręczalnego pierścienia?

Pani Łaźnińska dosłyszawszy to, odezwała się:

— Słuszną pan podsędek zrobił uwagę: wypada wedle zwyczaju uświęcić zmówiny pierścieniem.

Podkomorzy na to:

— Ja znosić nie mogę żadnych pierścionków, a przeto do tej babskiej rzeczy nie mieszam się.

Z tem wszystkiem matka panny włożyła na mój palec jakąś złotą obrączkę, za którą ucałowałem ją w rękę. Lecz abym narzeczonej dał pierścień, nie byłem na to przygotowany. Pan Łaźniński, dostrzegłszy to, zawołał, śmiejąc się:

— A widzicie państwo, jak tem dzieciństwem staroświeckiem narobiliście mu kłopotu.

Śleszyński zaradził temu: dał mi swój ślubny pierścień z napisem *Concordia*, i ten podałem mojej narzeczonej.

Wesoło mi tam przeszły święta Bożego Narodzenia, mianowicie tem pamiętne dla mnie, żem dostrzegł żywsze, serdeczniejsze zajęcie się mną mojej dobrej Klemun'. Przybył przy mnie pan szambelan Płotnicki. Starzec ten, dworak niegdyś Stanisława Augusta, poufałym był przyjacielem pana Łaźnińskiego z czasów jeszcze jego młodości. Na zasadzie tak dawnych stosunków, czynił od dwóch lat daremne zabiegi, aby jednego z synów swoich, Antoniego, ożenić z panną Łaźnińską, którego ona cierpieć nie mogła, i o ratunek od tej napaści, jeszcze za życia pani podczaszyny Podhorodeckiej, udawała się do niej. U niej bowiem, w Hulczy, podobnie jak jej matka, od lat dziecinnych początkowe biorąc wychowanie, pewną była protekcyi. Jakoż pan Antoni zaniechał częstych wprzód wizyt w Korostowej. Dodać tu wypada, żem tym razem zastał zmianę co do mieszkania pani podkomorzyny: wyniosła się z córką z oficyny do dworu, a pokoje, przez nie zajmowane, przeznaczono dla gości. W pierwszym z nich ja miałem łóżko, a tuż o ścianę w drugim pan szambelan, i przez mój niekiedy przechodził do swego, lubo miał osobne drzwi na korytarz. Zdarzyło mi się raz, zem wprzódy, niż on, spać poszedł. On później przechodząc przez mój pokój, trafił na tę chwilę, gdym zmieniał na sobie dzienną bieliznę na nocną, która istotnie była dość wysłużoną, a na co ja wcale nie zwracałem uwagi. Nazajutrz szambelan, wcześniej niż ja wszedłszy do podkomorzego, zawołał ze zgrozą:

— Co też ty robisz, panie Łukaszu! Wydajesz córkę za wierutnego golca! Nie wiesz, co się dzieje! Wszakże on niema całej koszuli na grzbiecie! Widziałem wczoraj, jaką brał na noc, dziurawa jak zepsuty przetak i cera na cerze!

Na to podkomorzy:

— Ucieszyłeś mnie tą wiadomością! On Kle-

mentynę więcej jeszcze polubi, gdy mu ona sporządzi nową na noc bieliznę.

Córka w drugim pokoju, siedząc nad swoją robótką, słyszała tę ich rozmowę, i potem z wielką radością przedemną ją wyszeptała.

W ciągu tych świąt pan Witalis Porczyński, brat pani podkomorzyny, dojeżdżał tam z parę razy. Byłem też z panem Łaźnińskim u niego w Urwenny, w starym jeszcze domu, obok którego już była napoczęta budowa o piętrze pałacyku, który w dwa lata później stał się głośnym na całą okolicę tak z miłej dla oka architektury, jako też z ozdób wewnętrznych, co wszystko z otaczającym go ogrodem angielskim piękną formowało całość z porządnie utrzymywaną, lubo niewielką wioską, gdzie chaty włościan pod linią, w kształcie dworków o murowanych kominach, miały po obu stronach ganków czyste ogródki, jaśniejące kwiatami. Ale na cóż to wszystko przyda się tam, gdzie niema szczęścia domowego?

Poznałem panią Porczyńską, młodą jeszcze osobę, z domu Podhorodecką, która wprzód była za panem Bartoszewiczem. Pan Porczyński rozmiłował się w jej nadzwyczajnej piękności i z wielkim trudem, ze znacznym kosztem rozwiódł ją i z nią się ożenił.

Na jej biedę, gdy już miała z nim córkę, ciężka ospa ją dotknęła, która taką jej twarz okryła szpetnością głębokich brózd, że ile razy spojrzała w zwierciadło, zalewała się łzami Ztąd wynikł jej niesmak w życiu i ponure na ludzi wejrzenie.

Moja dobra żona mawiała mi:

— Jak ja dziękuję Bogu, że raczył nie dać mi owej cudnej piękności, jaką mnie wujenka moja Porczyńska zachwycała. Wówczas mąż jej o nic ją nie oskarżał, a gdy w jej twarzy okropna nastąpiła zmiana, już ona stała mu się nieznośną i dlatego z Urwenny przeniósł ją na część swoją do Hulczy, gdzie samotna za dawną ułudę pokutuje.

Gdy zaręczony, świętowałem w grudniu 1825 r.

w Korostowej, będąc raz sam na sam z moją narzeczoną, przedstawiłem śmieszność, gdy ktoś, żeniąc się przy skromnym funduszu, występuje po żonę z paradnym ekwipażem. Dostrzegłszy jej tylko uśmiech na to, zapytałem, czy ona lubi podobną wystawę?

— Co do mnie—rzekła—gdybyś wozem drabiniastym zajechał po mnie, byłabym szczęśliwą byle z tobą. Ale nic przed tobą ukryć nie mogę. Przebacz matce mojej! Powtórzę ci jej słowa, wyrzeczone w sekrecie przed moim ojcem. Szepnęła mi raz: — Gdyby pan podkomorzy nie zajechał po moją córkę karetą i sześcią końmi pięknemi, bardzoby mi przykro było!

Ale proszę cię, ażebyś ty nie uważał za konieczność tego wymagania, które ona w duszy musi uznawać za niestosowne, skoro je ukrywa przed moim ojcem.

Upewniłem ją, że ten zbytek nie zrujnuje moich funduszów, a miło mi będzie spełnić wolę jej matki.

Jakoż, wracając do domu na Szulajki, zrobiłem w tym przedmiocie naradę z moim szwagrem, Stanisławem Duninem, który wnet mi nastręczył nową a piękną karetę w Stołpowie u niedawno ożenionego z Franciszką Zagórską, pana Ignacego Jankowskiego który tylko dla chwilomej parady sprowadził z Warszawy ten powóz. Nazajutrz, o dwie tylko wiorsty, byłem u dobrze mi znajomych państwa Jankowskich i ze znacznem ustępstwem nabyłem tę karetę za pięćset rubli srebrnych. Co do odpowiednich do tego koni, mało znając się na nich, a polegałem na szwagrze moim, który lat kilkanaście służył w kawaleryi. Uprosiłem go, ażeby gdzie upatrzył dla mnie bądź cały cug sześciokonny, lub też, ażeby dobierał choćby po jednym, byle jednego wzrostu i maści, a na ich kupno i szory przeznaczyłem sześćset rubli srebrnych. Ztąd poszło w świat, że się żenię.

W lutym 1826 roku wypadła mi potrzeba być w Mołoczkach. Tam, w ciągu obiadu, pani Giżycka, otoczona swojemi dwiema pupilkami już na wydaniu, pyta mnie:

— Czy to prawda, że pan masz się żenić?

— Tak jest—odpowiedziałem.

Generał zaciekawiony, pyta:

— A z kim się żenisz?

— Z panną Łaźnińską w powiecie Ostrogskim.

— O, to z Łukasza córką! Bardzo ci winszuję. Znam go oddawna, to zacny dom! i weźmiesz posag.

Generałowa z przekąsem odezwała się:

— Ta panna pewnie bardzo uczona?

— Tak, istotnie — rzekłem — uczono ją czytać i pisać, umie przytem robótki domowe, a nawet na Wielkanoc potrafi upiec placki i baby. Słowem, dość uczona jak dla szlachcica.

Na ten żart gospodyni mocno zmarszczyła czoło i spuściła oczy, a mąż jej, uśmiechnąwszy się, zaczął inną ze mną rozmowę.

Gdyśmy powstali od obiadu, generał wziął mnie pod rękę i rzecze:

— Chodź do mnie na fajkę.

Tam przy kawie, śmiejąc się, przemówił:

— Ależ uciąłeś bąka u stołu!

— W czem?—zapytałem.

— Powiedziałeś, co twoja narzeczona umie, gdy moja żona tyle łożyła kosztów na wychowanie swoich pupilek! Oprócz powszechnej francuszczyzny, męczono je nad włoskim, niemieckim językiem i przy fortepianie wywodzą trele włoskie! Poprzewracało się w głowach bab naszych! Bo czy to wszystko przyda się szlachcicowi na wsi? Wybornie nauczyłeś ją, że do szczęścia w pożyciu wysoka uczoność żony nie jest potrzebną.

Ktoś jeszcze przybył z gości, ożywiła się rozmowa. Nieprędko spostrzegłem, że już się ściemniło

i w okna deszcz bębni. Grzeczny, jak zawsze, generał zatrzymuje mnie na noc. Gdy nam podano herbatę, lokaj oznajmił, że pani generałowa z powodu bólu głowy nie przyjdzie i żadna z dam już się nam nie pokazała. Po lekkiej wieczerzy, po wesołej gawędzie, która przy fajkach przeciągnęła się do późna, gdyśmy się rozeszli, przybyły gość w jednę stronę domu, a ja w drugą na dół do pokoju, gdziem zwykle nocowywał, zastaję drzwi od korytarza zamknięte. Gdy błąkam się, nie wiedząc gdzie mój lokal, wchodzi na korytarz z przeciwnej strony służący miejscowy z latarnią w ręku i rzecze:

— Pokój, gdzie pan zwykle sypiał, przeznaczono dla damy, która może w nocy przyjedzie, ale ja zaprowadzę pana tam, gdzie już posłano dla niego łóżko.

Sądziłem, że o kilka lub kilkanaście kroków. Na dworze wiatr silny ze śniegiem i deszczem, a na mnie frak tylko. W takiem ubraniu przeziębły i zmokły, idę za światłem latarni więcej niż kwadrans, aż na sam koniec ogrodu. Przewodnik wprowadza mnie do pustej, opuszczonej przez ogrodnika chaty, gdziem zastał swąd i dym, bo mokrą słomą zapalono w piecu dawno nieopalanym. Mój Rudnicki, schowawszy za piec świecę, ażeby jej wiatr nie zgasił, otworzył okno.

Skoro przewodnik wyszedł, następuję na mego Rudnickiego o to, że przyjął taką dla mnie kwaterę, a on mi na to:

— Stało się to, panie, bezemnie. Łóżko było już posłane, gdzie pan sypiał zwykle. Wyszedłem tylko na moment z pokoju, a wróciwszy, zastałem drzwi już na klucz zamknięte. W kredensie proszę o klucz, a lokaj, znany mi dobrze, szepnął do ucha:

— Jejmość czegoś rozchimerowała się. Niby ten pokój dla kogoś potrzebny, wszak w pałącu tyle jest jeszcze pokojów gościnnych. Pościel twego pa-

na kazała wynieść do pustej chaty ogrodnika, a z nią niema rady.

— Aha!—pomyślałem—nikczemna zemsta babska za mojego bąka przy stole!

Może kto inny na mojem miejcu, bez względu na porę spóźnioną, na ciemność zupełną, na burzę ze słotą, wysłałby swego lokaja po konie, aby wnet choćby do karczmy wyjechać. Ja, zaśmiałem się tylko z tej zemsty. Kazałem zamknąć okno, zgasić świecę i prędko zasnąłem.

Nazajutrz do dnia, z nikim nie widząc się w pałacu, odjechałem do domu. Pewnie generał Giżycki niedowiedział się o tym wypłatanym mi figlu swej żony.

W marcu 1826 roku udałem się do Krzemieńca dla podnowienia mojej garderoby, tam bowiem, jako w sąsiedztwie Brodów, tańsze były towary niż w Berdyczowie, a nadto wówczas, w tej niby małej Warszawie, dla zbiegowiska zamieszkałych z trzech gubernii majętnych domów i dla samych uczniów licealnych z górą siedmiuset, nietrudno było o wybornych krawców.

Nazajutrz była niedziela. Po rannej kawie udałem się do licealnego kościoła i usiadłem w ławce, gdzie przez trzy lata mieszkając w Krzemieńcu, siadywałem. Po chwili weszła jakaś dama z córką i zajęła miejsce tuż obok. Spojrzeliśmy sobie w oczy, i wnet mnie powitała tym poufałym wyrazem:

— Jak się masz, kochany Szymonie!

Uchyliłem głowę, lecz zarazem okazałem zdziwienie, bo zda się nie znam jej.

— Ty, widzę, nie poznajesz krewnej swojej, Litwińskiej?

— Przebacz pani! — podchwyciłem — mój krótki wzrok nie dozwolił rozeznać rysów jej twarzy.

— Czemu raczej nie powiedziałeś tej prawdy, żem się o wiele zestarzała przez te lat jedenaście od daty poznania się naszego w roku 1815 w Błudowie

na ślubowinach twego brata Antoniego z Teleżyńską. Widzisz tu dowód poważnych lat moich w tej obok mnie córce, dla której, ku dokończeniu starannego jej wychowania, tu zamieszkałam. Ale, ale: mówiono mi, że masz się żenić z panną Łaźnińską. Wnoszę, iż dobrałeś sobie towarzyszkę godną ciebie, a więc wysoce uczoną.

— Naprzód należy wiedzieć — rzekłem jej — że ja nie mam prawa zaliczać się do rzędu uczonych, powtóre, szanownej cioci wiadomo, co filozof genewski powiedział o kobietach: że jeśli kiedy mężczyźni będą mieli rozum, to mądre panny zostaną pannami na zawsze.

Wtem dzwonek u drzwi od zakrystyi uderzył potrzykroć i licealny kapelan wychodzi z wotywą.

Pani Litwińska z naciskiem odezwała się:

— Ot, wolałbyś Mszy świętej słuchać, niż te głupstwa prawić!

Zwrócony do ołtarza, z pokorą zamilkłem. Jej ostatnie wyrazy dały mi domysł, że przywiedzione zdanie Russa, ulubionego dla niej autora, wzięła za przymówkę dla siebie, obwiniano ją bowiem o zarozumiałość tak wielką, że aż dało to powód do jej separacyi z mężem. Później nigdziem się nie zjechał z panią Litwińską, która już dawno nie zyje.

. . . . . .

Ślub mój odbył się dnia 13 maja w zupełnej cichości, bo, jak już wspomniałem, pan Łaźniński nie życzył sobie, aby akt najważniejszy w życiu jego córki, stał się wystawą teatralną.

KONIEC.

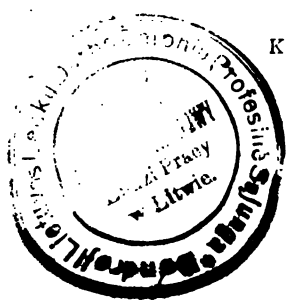

~~५.६०~~ 10/-

PG 7158 .K575 .Z5 C.1
Moja druga mlodosc :
Stanford University Libraries
3 6105 036 637 507

DATE DUE

Stanford University Libraries
Stanford, Ca.
94305

47559
U 26195
LTSR Valst. Centr. Biblioteka